

Szołem Alejchem Z JARMARKU

DZIEJE TEJ KSIĄŻKI W SKRÓCIE

Los książki podobny jest do losu człowieka. Musi ona przejść wszystkie męki piekielne, nim ujrzy światło Boże. Z jarmarku nie ma jeszcze roku. Dziś dopiero książka ukazała się drukiem. Za sobą ma jednak sporą historię. Pozwólcie, że ją wam opowiem w kilku słowach.

Pierwszy, który natchnął mnie ideą wiernego opisanie życia ludu żydowskiego w diasporze w minionym pięćdziesięciu, był nie kto inny, ale właśnie zwykły, prosty Żyd. Taki Żyd dnia powszedniego, którego nieżyjący już poeta I.L. Gordon obdarzył honorowym tytułem „Szanowny Czytelnik”. Obecnie mieszka on w Ameryce. To wielki miłośnik literatury żydowskiej. Naprawdę nazywa się Abraham Elijahu Lubarski. Jako mój wyznawca i wierny przyjaciel przybył on przed kilku laty do Szwajcarii, aby podsunąć mi plan następujący: w związku z tym, że przeżyłem całą epokę i wyrosłem, można śmiało powiedzieć, wraz z żydowską literaturą ludową, byłoby ze wszech miar wskazane, bym wziął na siebie ciężar odzwierciedlenia tej epoki w formie dużej powieści.

Myśl ta zaczęła kiełkować w mojej głowie, wziąłem się do roboty. Wybrałem jednak inną formę. Formę powieści biograficznej.

Minęło kilka lat pracy. Książka rosła. Rozdział za rozdziałem. Co z tego jednak wynikło? Książka nie lubi leżeć bezczynnie. Książka lubi, aby ją drukowano i czytano. Kiedy doszło do druku, okazało się, że nie ma gdzie drukować. Nie stać żydowskiego pisarza, by drukować na koszt własny. Drukować w czasopiśmie? Do tego żydowska literatura jeszcze nie dorosła. Po prostu nie ma odpowiedniego, jak u innych szanujących się narodów, miesięcznika. Z ciężkim sercem musiałem nieraz odkładać pisanie. Trwało to dość długo, dopóki losy nie rzuciły mnie do drugiej ojczyzny — do Ameryki. I oto minął dopiero rok, a już przeniosłem się z moim dziełem do drugiego mieszkania. I tu dopiero wydawnictwo Wahrheit uznało za celowe wydać dwa pierwsze tomy Z jarmarku.

Widząc swoje myśli wyrażone drukiem, autor nabiera odwagi do kontynuowania swego marszu po obranej drodze. A droga jest jeszcze długa. Epoka dopiero zaczyna się kształtować. Obrazy dopiero zaczynają nabierać kolorów.

Wydarzenia powoli rozwijają się, a postacie, zarówno te, które dawno już zniknęły, jak też te, które jeszcze żyją, postacie ze wszech miar godne szacunku, proszą, aby je rzucono na papier...

Miejmy nadzieję, że doprowadzimy naszą pracę do końca.

Nowy Jork, luty

PO CO POWIEŚĆ, KIEDY SAMO ŻYCIE JEST POWIEŚCIĄ?

Dlaczego właśnie Z jarmarku? Rodzaj wstępu. Dlaczego autor wziął się do pisania autobiografii? Szotem Alejchempisarz opowiada o dziejach Szotem Alejchemaczłowieka

„Z jarmarku” może również znaczyć „z życia”, bo życie jest podobne do jarmarku. Każdy jest skory do porównywania ludzkiego życia z czymkolwiek. Pewien stolarz na przykład powiedział kiedyś: — Człowiek jest jak stolarz. Stolarz żyje, żyje, a potem umiera. Tak też bywa z człowiekiem. — Od szewca słyszałem, że życie człowieka podobne jest do pary butów. Kiedy podeszwy są już zdarte, to znaczy koniec. Pora głowie do piachu. Zupełnie naturalne będzie, jeśli furman przyrówna człowieka, nie przymierzając, do konia. Dlatego nie dziw, że takiemu jak ja człowiekowi, który przetarabanił już pół setki lat, a teraz zabrał się do opisanie swego życia, wpadło do głowy przyrównać własną przeszłość do jarmarku.

Prawda jednak nie przedstawia się dokładnie tak; kiedy mówi się „z jarmarku”, to ma się na myśli drogę powrotną albo wrażenia wyniesione z wielkiego jarmarku. Człowiek, kiedy wybiera się na jarmark, jest pełen nadziei. Spodziewa się znaleźć tam jakieś nadzwyczajne towary. Leci więc na ten jarmark jak strzała z łuku. Mknie jak szalony. Nie zaczepiajcie go wtedy. On nie ma czasu! Gdy wraca z jarmarku, wie już, co kupił. Wtedy ma czas. Może już ochłonąć, może też zdać relację ze swoich osiągnięć. Może opowiadać powolutku, nie śpiesząc się, o wszystkim. Z kim się na jarmarku spotkał, co widział i co słyszał.

Wiele razy moi przyjaciele nagabywali mnie i pytali, dlaczego nie zabrałem się do opisywania mego życia. Posłuchałem więc rad moich przyjaciół i nieraz chwyciłem

za pióro, ale zawsze je odkładałem, aż... nadeszła odpowiednia pora. Miałem zaszczyt, nim stuknęło mi pięćdziesiąt lat, spotkać się twarzą w twarz ze śmiercią w jej całym majestacie. Nie były to żarty. O mało co nie przeniosłem się tam, skąd listu nie napiszesz, paczki nie prześlesz, ba, nawet pozdrowienia nie można przekazać. Jednym słowem, było ze mną krucho, godziny moje były policzone. Wtedy powiedziałem sobie: — Teraz jest odpowiednia pora. Siądź i pisz, nikt nie zna bowiem dnia ni godziny. Umrzesz, to przyjdą ludzie, którzy będą uważali, że cię znali i poznali. Wymyślą o tobie różne cuda,

o których filozofom się nie śniło. Na co ci to? Czyż nie lepiej, abyś sam to zrobił? Ty siebie znasz lepiej niż inni.

Opowiedz o sobie. Napisz swoją biografię!

Łatwo powiedzieć: „napisz autobiografię”.

Napisz życiorys, historię prawdziwą, a nie wydumaną. Równa się to złożeniu czytelnikom sprawozdania z całego życia. Taka spowiedź przed całym światem. Wiecie, co wam powiem? Autobiografia i testament to jakby jedno i to samo. To po pierwsze. Po drugie zaś, jest to trudne zadanie dla człowieka, który ma mówić o sobie. Niełatwo jest wznieść się do poziomu wykluczającego subiektywizm, pozwalającego uniknąć pokusy odmalowania siebie w różowych barwach, przedstawiania siebie samego jako wspaniałego młodzieńca, którego tylko głaskać i chwalić. Z tego to powodu wybrałem szczególną formę autobiografii — mianowicie formę powieści biograficznej. Znaczy to, że będę mówił o sobie jakby o osobie trzeciej. Ja, Szolem Alejchempisarz, opowiem wam prawdziwe dzieje Szolema Alejchemaczłowika.

Zrobię to bez ceregieli, bez zbędnych upiększeń i przyozdobień, którymi posługiwałby się zapewne człowiek postronny, obcy pisarz. Zrobię to jak człowiek, który z bohaterem był wszędzie. Razem z nim przeszedł przez wszystkie siedem kręgów piekła. A opowiem wam tę historię po troszeczk, kawałkami. Podzielę powieść na poszczególne epizody. Epizod za epizodem.

A Ten, który daje człowiekowi siłę, aby zapamiętał

wszystko, co z nim w życiu się wydarzyło, niech mnie wesprze, żebym nie uronił ani jednej sprawy, ani jednego wydarzenia godnego uwagi, żebym nie pominął ani jednej osoby spotkanej na tym wielkim jarmarku, w którym uczestniczyłem przez pięćdziesiąt lat mego życia.

MIASTO

Małe miasteczko Woronka — coś w rodzaju Kasrylewki. Legenda z czasów Mazepy, stara bóżnica, stary cmentarz, dwa jarmarki.

Bohater naszej powieści biograficznej wyrósł i wychował się w Kasrylewce, mieście znanym już trochę na świecie. Leży ono, jeśli jesteście ciekawi, na Ukrainie, w guberni połtawskiej, niedaleko starego, historycznego miasta Perejasław. A nazywa się w istocie nie Kasrylewka, lecz Woronka. Proszę to sobie zanotować.

Właściwie powinienem był wymienić nazwę miejscowości, w której się, urodził nasz bohater. Powinienem też podać datę jego urodzin. Tak postępują wszyscy autorzy powieści biograficznych. Wyznam wam jednak, że mnie te dane nie interesują. Mnie interesuje tylko malutka Kasrylewka, czyli Woronka. Żadne bowiem inne miasto na świecie tak głęboko nie wryło się w pamięć mojego bohatera jak ta błogosławiona KasrylewkaWoronka. Żadne też miasto nie znalazło w jego oczach tyle uznania, nie miało tyle wdzięku. Nigdy jej nie zapomniął i nigdy nie zapomni.

A prawdę powiedziawszy, które miasto na świecie, począwszy od Odessy, Paryża, Londynu a na Nowym Jorku skończywszy, może się poszczycić tak długim i szerokim rynkiem? Takim rynkiem pełnym sklepów i straga

nów żydowskich, pełnym stołków i stolików, kramów, na których piętrzą się całe góry świeżych, pachnących jabłek i gruszek, melonów i kawonów. Kozy i świny mają na nie wciąż chrapkę. Przekupki toczą ze zwierzętami nieustanne boje. My zaś, chłopcy chederowi, dopiero mamy chrapkę na te wszystkie przysmaki! Chcielibyśmy je zdobyć, ale nie da rady.

Jakie inne miasto posiada równie starą, pochyloną bóżnicę z tak piękną Arką o kunsztownej skrzynce? Zdobią ją dwa wyrzeźbione lwy. Wyglądałyby jak ptaki, gdyby nie te długie języki i rogi — szofary trzymane w paszczy. — W tej to bóżnicy — opowiadają starzy Żydzi — zamknęli się kiedyś nasi dziadowie w obawie przed Mazepą, oby imię jego szczezło. Trzy doby siedzieli tam w tałasach i tefilin i odmawiali psalmy. Dzięki temu uratowali się od niechybnej śmierci. — Ci sami Żydzi opowiadają, że stary rabin pobłogosławił tę bóżnicę, aby nigdy nie padła ofiarą płomieni. I nie pali się, nawet przy największym pożarze.

A które miasto posiada łaźnię położoną na stoku góry, tuż nad brzegiem rzeki? Jakie inne miasto ma studnię, której woda nie ulega wyczerpaniu? A sama rzeka? Gdzie jeszcze na świecie macie taką rzekę, w której od pokoleń chłopcy z chederu i szejgece pluskają się, uczą się pływać, łowią ryby i wyczyniają różne godne podziwu kawały?

O tej wiekowej łaźni, która stoi nie wiadomo jakim cudem, starzy Żydzi mają co niemiara do opowiadania. Pewnego razu znaleziono w niej powieszono goja. Zapił i powiesił się. Wynikło jednak z tego oszczerce oskarżenie, że to Żydzi go powiesili. No i były kłopoty. Zamierzano wychłostać wszystkich szanowniejszych obywateli, a może być, że i wychłostano. Nie będę się grzebał w tej historii, albowiem nie znoszę smutnych opowieści, nawet gdyby dotyczyły one lat najdawniejszych...

Jakie jeszcze miasto posiada tak wysoką górę, tę po tamtej stronie bóżnicy, której wierzchołek sięga chmur,

a w jej wnętrzu jest schowany skarb z czasów Chmielnickiego?

— Ilekroć — opowiadają starzy Żydzi — zabierano się do poszukiwania skarbu, tyle razy trzeba było szybko zaniechać dalszego kopania. Natrafiano bowiem na szkielety. Na ręce, nogi i głowy ludzi owiniętych w całuny. Może byli to Żydzi-męczennicy. Kto wie?

A które inne miasto posiada takich znakomitych, nobliwych obywateli? Z pozoru niby tylko drobni handlarze, drobni kramarze, którzy żyją z gojów albo z tego, co jeden na drugim zarobi. Mimo to żyją po pańsku. Każdy ma swoje mieszkanie, swoją rodzinę i swoje stałe miejsce w bóżnicy. I to miejsce przy wschodniej ścianie albo inne równie honorowe. Zresztą, co za różnica. A jeśli któryś obywatel sam nie jest bogaczem lub nie zalicza się do ludzi poważnych, to ma krewnego bogacza lub notabla, którym bez przerwy gębę sobie wyciera, opowiadając o nim takie przesadzone i wyolbrzymione historie, że można dostać zawrotu głowy...

A gdzie jest równie stary i rozległy cmentarz? Cmentarz rzeczywiście bardzo stary i bardzo okazały. Zarośnięty tak gęstą trawą, że nie wiadomo, czy faktycznie są tu jakieś mogiły. O tym cmentarzu jest też co opowiadać. A opowiadanie nie będzie należało do wesołych. Raczej do strasznych. Oczywiście dotyczy ono spraw sprzed wielu lat. Ale na noc nie warto mówić o cmentarzach.

Małe miasteczko z tej Woronki, lecz piękne i pełne wdzięku. Jeśli was poniosą nogi, to możecie przemierzyć całe miasteczko wzdłuż i wszerz w ciągu jednej i pół godziny.

Bez kolei i bez morza, i bez wrzawy. W ciągu roku wszystkiego dwa jarmarki, krasne targi i Pokrowa. Obydwa dla Żydów. Żeby Żydzi mogli zarobić, żeby mieli z czego żyć. Małe, bardzo małe miasteczko. Obfituje za to w różne piękne opowieści i legendy, z których można by ułożyć całą książkę.

Wiem, że przepadacie za opowieściami i legendami. Cóż z tego? Nie mogę sobie na to pozwolić. Muszę trzy

mać się ściśle ram określonych przez powieść biograficzną. Przede wszystkim muszę was zapoznać, zgodnie ze zwyczajem, z rodzicami naszego bohatera, z jego ojcem i matką. Bądźcie zadowoleni, że zaczynam od razu od rodziców, a nie od dziadków i pradiadków, jak to czynią inni biografowie.

RODZICE

Woronkowski bogacz. Kupa dzieciaków. Służąca. Bohater figlarz i parodysta

Wysoki, z wiecznie zatroskaną twarzą, szerokim, jasnym i pomarszczonym czołem, z rzadką, figlarną bródką, gospodarz w każdym calu, kantor bóżnicy, uczony w Piśmie, pobożny, znawca hebrajskiego, chasyd cadyka z Talna, zwolennik i miłośnik Mapu, Słonimskiego i Cederbauma, badacz, arbiter w sporach, doradca, szachista, ekspert od brylantów i pereł — oto sylwetka ojca naszego bohatera. Oto reb Nachum Wewik, uważany w mieście za największego bogacza.

Ile właściwie posiadał ten bogacz, trudno powiedzieć. Interesów jednak miał co niemiara. Był właścicielem nieruchomości, dostarczał buraków do cukrowni, dzierżawił miejscową pocztę, handlował zbożem, przewoził ładunki berlinkami na Dnieprze, zajmował się wyrębem lasów, handlem wołami, ale dochody czerpał przede wszystkim ze sklepu z manufakturą. Mówi się: „sklep z manufakturą”. W istocie rzeczy były w tym sklepie towary kolonialne, spożywcze, siano i owies. Można było tam dostać także leki domowego przemysłu dla gojów i gojek. Artykuły żelazne też. Do sklepu z manufakturą ojciec nie wtrącał się. Tu rządziła wszystkim matka, kobietazuch, babako

zak. Prędką w działaniu i niezwykle surowa dla swoich dzieci. A dzieci było sporo. Ponad tuzin. Rozmaitego wzrostu i wieku, rozmaitych odcieni, dzieci o czarnych, blond i rudych włosach.

Z dziećmi nie certowano się specjalnie. Szczególnie za nimi nie tęskniono. Nie wypatrywano z tęsknotą ich przyjscia na świat. A gdyby tak, nie daj Bóg, nie przyszły na ten świat, to też nie byłoby nieszczęścia. Ale skoro już przyszły i są, to proszę bardzo. Komu przeszkadzają? Niech żyją długie lata. A jak chłopakowi udało się wywinąć od odry, ospy czy innych chorób i plag dziecięcych i osiągnąć odpowiedni wiek, to szedł do chederu. Z początku do belfra Nuty Lejba, melameda od Pisma, a później do reb Zurechła, nauczyciela Gemary. Jeśli zaś nie wymknął się z rąk paskudnego anioła śmierci o tysiącu oczu, który czyha na małe dzieciątka, to zawczasu wracał tam, skąd przybył. Zawieszano wtedy zasłony na lustrach, a ojciec z matką siadali do siedmiodniowej pokuty. Zdejmowali buty i zanosili się wielkim płaczem. Tak długo płakali, aż przestali. Odmawiali werset „Bóg dał i Bóg zabrał”, po czym wycierali oczy, wstawali z podłogi i zapominali... Inaczej być nie mogło, bo na domowym jarmarku kłębiło się ponad tuzin dzieci, od wyrostka, któremu zaczęła się już sypać bródka, aż do niemowlęcia przy piersi.

Wychowanie takiej gromady dzieci oraz przetrzymanie ich wszystkich chorób wymagało od matki niezwyklej zaradności. Nie obyło się przy tym bez bicia, lania i prania, czego dzieciom nie skąpiła. Wystarczyło jednak, aby któreś z dzieci zachorowało, a matka nie odstępowała od jego łóżeczka: — Obym ja chorowała zamiast ciebie! — Kiedy jednak wyzdrowiało i stanęło na nogi, już krzyczała: — Do chederu, łobuziaku, do chederu!

W chederze uczyli się wszyscy od czwartego roku życia aż... prawie do ślubu. A z całej czeredy dzieciaków wyróżniał się jako wielki łobuz ten średni, bohater niniejszej powieści biograficznej. Nazywał się Szotem albo Szotem syn Nachuma, syna Wewika.

Gwoli prawdy trzeba powiedzieć, że najgorszym chłopcem ten Szotem, syn Nachuma syna Wewika, nie był; co do nauki, to uczył się lepiej od wszystkich pozostałych dzieci, zaś co do razów, lania, prania i szturchańców, to zainkasował ich więcej niż wszyscy pozostali. Widocznie zasłużył.

— Zobaczycie, Żydzi, że z tego malca nic dobrego nie będzie! Rośnie zero do kwadratu. Licho wie, kim zostanie. Zapewne wyrośnie z niego awanturnik, niezdyscyplinowany samowolnik, żarłok i pijus, istny Iwan Poperyło, wyrzutek, renegat, uosobienie wszelkiego zła. — Takie świadectwo wystawiała mu Fruma, służąca ślepa na jedno oko i dziobata, ale za to bardzo skąpa i wierna. Wierna i oddana, uczciwa służąca. Dzieci tłukła, ile wlezie. Skąpiła im jedzenia. Całą uwagę skupiała na tym, aby były pobożne, uczciwe i porządne wobec Boga i ludzi. A że matka — herodbaba — przeważnie przebywała w sklepie, pobożna służąca rządziła domem twardą ręką, zaś dzieci wychowywała niczym prawdziwa matka. Budziła je ze snu, myła, kąpała, odmawiała wraz z nimi błogosławieństwo poranne, biła, dawała im śniadanie, odprowadzała do chederu i odbierała z chederu; znowu biła, karmiła obiadem i kolacją, odmawiała wraz z nimi wieczorną modlitwę Kriat Szma, znów sprząła i kładła spać. I bez żenady wszystkie razem w jednym łóżku. Dzieci w łóżku z jednej strony a ona z drugiej strony w nogach.

Dała ta dziewczoja Fruma poczuć dzieciom smak prawdziwej niewoli golesowej. Dzień jej zamążpójścia, dzień jej wesela, stał się dla nich świętem. Oby długie lata żył Idele Złodziej, z grzywą kręconych włosów wysmarowanych gęsim tłuszczem, z zasmarkanym nosem, którego nigdy nie mógł wyczyścić do końca. Choćby nawet stanął na głowie. Oby długo żył za to, że postanowił (co za wariat!) poślubić tę ślepą Frumę. A poślubił ją nie tak prosto, bo z miłości. Zakochał się w niej, można powiedzieć, na śmierć. I nie z tego, broń Boże, powodu, że miała tylko jedno oko i była dziobata. Ożenił się dlatego, iż chciał skumać się z Nachumem, synem Wewika. Toć nie żar

ty — taka koneksja! Sama Chaja Estera, matka Szolema, wyprawiła wesele. Grała na nim główną rolę. Upiekła ciasto, sprowadziła klezmerów z Brzezan, tańczyła, hulała do białego rana i całkowicie ochrypla. Śmiechu było co niemiarą. Bractwo naśmiało się i natańczyło do woli. Nie chodziło o to, że gwizdzący przez nos złodziej żeni się ze ślepą dziewczuchą; ważne było, iż ślub służącej Frumy oznaczał dla dzieciaków całkowite — i to na zawsze — uwolnienie się od jej opieki. Przy sposobności uśmiano się też setnie z przedrzeźniania przez szejgeca szczęśliwej pary. Doskonale naśladował pana młodego, jak bez przerwy gwizdże przez nos, i pannę młodą, jak jednym okiem spoziera na swego oblubieńca i oblizuje się niczym kot, który dorwał się do śmietany.

Naśladować, parodiować, przedrzeźniać — w to tylko graj naszemu szejgecowi. W tej materii był mistrzem.

Wystarczyło mu raz spojrzeć na kogoś i już znajdował w nim jakąś wadę albo śmiesznośćkę. Natychmiast nadymał się jak balon i dawał odgrywać przedstawienie. A bractwo pękało ze śmiechu.

Rodzice poskarżyli się rebemu. Powiedzieli, że chłopak zgrywa się i naśladuje wszystkich niczym małpa, przeto należy go od tego odzwyczaić. I rebe, jego nauczyciel, zaczął go odzwyczaić. Niewiele to jednak pomogło. Jakiś diabeł wstąpił w to dziecko. Jakiś chochlik, który każe mu wszystkich naśladować i parodiować. Wszystkich bez wyjątku.

Nawet samego rebego. Jak niucha tabakę, jak chodzi drobniutkimi kroczkami. I żonę rebego. Jak pyskuje, jak rumieni się, jak mruży oczko, gdy ma wziąć u rebego pieniądze na szabes i nie jest w stanie wypowiedzieć „szabes”, tylko wciąż mówi „sabes”. Więc lanie go nie omijało. Dostawał, oj dostawał! Jednym słowem, było życie.

SZMULIK SIEROTA

Opowieści, fantazje, marzenia. Kabała i czary

Są twarze, które zostały przez Pana Boga stworzone specjalnie po to, aby was oczarować od pierwszego spojrzenia. — Kochaj mnie! — rozkazuje, wprost przemawia do was taka twarzyczka, a wy zakochujecie się w niej natychmiast.

Taką właśnie wdzięczną twarzyczkę miał Szmulik, sierota. Chłopak bez ojca i matki, na utrzymaniu w domu rabina. Polubił go bohater naszej powieści Szolem, syn Nachuma, syna Wewika, od pierwszego spotkania. Odtąd dzielili się wszystkim. Dzielili się śniadaniem i obiadem. Stali się przyjaciółmi. Połączyła ich przyjaźń przez duże P. Stanowili jedną duszę i jedno ciało. A jak to się stało? Wszystko przez opowieści Szmulika. Nikt nie miał tyle do opowiadania co Szmulik. Same opowieści to nie wszystko. Ważny też jest sposób ich przekazywania. Opowiadać trzeba umieć. A Szmulik potrafił opowiadać jak nikt na świecie.

Skąd znał ten chłopiec o czerwonych policzkach i marzących oczach takie opowieści? Tyle pięknych, obfitujących w niezwykle obrazy fantastycznych bajek? Czy słyszał je od kogoś? A może je sam wymyślił? Może to wyłącznie płody jego fantazji? Do dziś nie mogę tego pojąć. Wiem tylko jedno: wypływały one niczym ze źródła, a źródło było niewyczerpane. Opowieści jego toczyły się gładko jak po maśle. Snuły się i ciągnęły jak długa nić jedwabna. I głos miał słodki, i jak cukier słodka była jego mowa. Kiedy mówił, policzki miał czerwone a oczy marzące i nieco wilgotne, jakby je przeciągnięto lekkim, cienkim dymkiem.

W piątek po południu lub w sobotę po obiedzie albo wieczorem w święta przyjaciele zwykli byli wybierać się na wysoką górę w Woronce. Wspinali się na jej szczyt, na

wierzchołek, który „sięgał niemal chmur”. Tam obaj kładli się na brzuchu albo na wznak, twarzą do nieba, i Szmulik zaczynał swoje opowieści. Ciągnął bajkę za bajką. Bajkę o królewiczu i królownie. Opowieść o rabinie i rabinowej. Bajkę o księciu i psie. Bajkę o księżniczce i kryształowym pałacu. Opowieść o dwunastu rozbójnikach w lesie. Historię o okręcie, który zapuścił się na zastygłe morze. Opowieść o papieżu, który prowadził dyskusje z największymi rabinami, i bajki o zwierzętach, biesach, duchach i czortach, o czarownikach i diablkach, o smokach, o dziwnych człekokształtnych zwierzętach. Także historię o wiszącym lichtarzu w Pradze. A każda opowieść czy bajka miała swój niepowtarzalny smak, swój jedyny zapach i jakiś szczególny urok.

Szołem, syn Nachuma, syna Wewika, miał oczy i uszy otwarte. Nie spuszczał wzroku z tego ładnego chłopca o czerwonych policzkach i marzących, pięknych oczach.

— Skąd to wszystko, Szmuliku, wiesz?

— Głuptasku, to jeszcze nic. Wiem nawet, jak się toczy wino ze ściany. Jak wytoczyć oliwę z sufitu.

— A jak utoczyć wino ze ściany? I jak oliwę z sufitu?

— Głuptasku, to wszystko betka. Wiem nawet, jak się robi z piasku złoto. Jak ze skorupki można zrobić diamenty i brylanty.

— Jak to się robi?

— Jak? Przy pomocy Kabały. Rebe przecież zajmuje się kabalistyką. Kto o tym nie wie? Przecież on nigdy nie śpi.

— A co wtedy robi?

— W nocy, kiedy wszyscy śpią, on czuwa. Siedzi sobie i zajmuje się Kabałą.

— A ty wszystko, co on robi, widzisz?

— A jak, głuptasku, mogę to zobaczyć, skoro śpię?

— To skąd wiesz, że zajmuje się Kabałą?

— A kto o tym nie wie? Każde dziecko wie o tym. Możesz zapytać kogo chcesz. To co rebe umie, tego nikt nie potrafi. Jeśli tylko zechce, to stoi przed nim otworem wszystkie dwanaście studni rtęci i wszystkie trzynaście

ogrodów pełnych szafranu, złota, srebra, diamentów i brylantów. I tyle tego, ile piasku nad morzem. Tyle, że nawet się odechciewa.

— Dlaczego więc stale jesteś głodny? I dlaczego rabin nie ma grosza na sobotę?

— Dlatego, że nie chce. Na tym padole żyje byle jak, bo pragnie odbyć pokutę. Jest pokutnikiem. Gdyby chciał, byłby bogaty jak Krezus. Tysiąc Rotszyldów miałby w jednym palcu. Wie bowiem, jak dojść do bogactwa. Nie ma dla niego tajemnic. Zna nawet miejsce, gdzie jest ukryty skarb.

— Gdzie jest ukryty skarb?

— Mądralo! Skąd mogę wiedzieć. Gdybym wiedział, dawno bym ci wyjawiał. W środku nocy przyszedłbym do ciebie. Obudziłbym cię ze snu i powiedziałbym: „Chodźmy, Szotem, tam gdzie skarb. Nabierzemy pełne ręce złota. Ponapijemy sobie kieszenie!”

I jak tylko Szmulik zaczął mówić o skarbie, zapaliły się jego marzące oczy, a policzki okrył pąs. Owładnęła nim gorączka. Tak się rozpałił, rozplomiął. Szmulik mówił, a jego przyjaciel Szotem, syn Nachuma, syna Wewika, nie odrywał wzroku od jego ust i pochłaniał każde słowo.

SKARB

Legenda z czasów Chmielnickiego. Cudowne kamienie

Że w naszym miasteczku jest ukryty skarb, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Skąd się wziął u nas skarb? Chmielnicki ukrył go tutaj przed laty. Przez tysiące lat ludzie gromadzili skarby i kosztowności, aż zjawił się Chmielnicki i zagarnął je.

— Kto to był Chmielnicki?

— Nie wiesz, kto to był Chmielnicki? Był to zły człowiek, grzesznik, Haman z dawnych czasów... O tym przecież każde dziecko wie. Ten to Chmielnicki, ten grzesznik, ten Haman, napadł i obrabował dziedziców i bogatych Żydów. Zabrał im mnóstwo złota i przywiózł je do nas, do Woronki. Tutaj też pewnej nocy przy świetle księżyca zakopał je w ziemi po drugiej stronie bóżnicy, na stoku góry. Zakopał je głęboko. To miejsce zarosło trawą i zostało zaklęte, aby nikt nie mógł odnaleźć skarbu.

— I co? Przepadł skarb na zawsze? Na wieki wieków?

— A kto ci powiedział, że przepadł na zawsze, na wieki wieków? A po co Pan Bóg stworzył Kabałę? Kabaliści, głuptasku, mają na to radę.

— Jaką radę?

— Już oni wiedzą lepiej. Mają takie zaklęcia. Znają taki werset z Psalmów, które należy odmówić czterdzieści razy czterdzieści...

— Co to za werset?

— Oj, głuptasku, gdybym ja to wiedział. A gdybym nawet znał go, to też nie koniec na tym. Trzeba odbyć czterdzieści postów, odmówić czterdzieści rozdziałów Psalmów, a czterdziestego pierwszego dnia, gdy słońce zajdzie, należy ukradkiem wymknąć się tak, aby nikogo nie spotkać po drodze. Nie daj Bóg, aby się ktoś nawinał. W przeciwnym razie trzeba wszystko zacząć od nowa. Znowu odbyć czterdzieści postów i wtedy dopiero, gdy wszystko ci się uda i nikt ciebie nie zauważy, powinieneś pójść ciemną nocą, na początku miesiąca, za bóżnicę, drogą w dół, i tam stać na jednej nodze przez czterdzieści minut, odliczając czterdzieści razy po czterdzieści, a jeśli nie pomylisz się w niczym, skarb natychmiast odsłoni się przed tobą...

I Szmulik wyjaśnia w sposób arcyważny swemu przyjacielowi Szolemowi tajemnicę zdobycia skarbu. Czyni to głosem cichym, stopniowo coraz bardziej przyci

szonym. Jakby czytał z książki, nie zatrzymuje się nawet na chwilę.

— A odsłoni się przed tobą skarb poprzez płomyk, poprzez mały ogieniek. A gdy płomyk ci się ukaże, masz natychmiast podejść do niego. Nie bój się, nie poparzysz się. Płomyk bowiem nie pali się, świeci tylko. Tobie pozostaje

nachylić się i nabierać pełne garści — Szmulik pokazuje, jak nabiera obiema rękami — złota, srebra, diamentów, brylantów oraz kamieni, które nazywają się rubiny i jaspisy...

— A jaka między nimi różnica?

— Duża różnica, głuptasku. Rubin to taki kamień, który świeci w ciemności, zaś jaspis posiada w sobie siłę zdolną przekształcić czarne w białe, czerwone w żółte, zielone w niebieskie, mokre w suche, głodne w syte, stare w młode, martwe w żywe... Trzeba tylko potrząść nim prawą klapę kapoty i powiedzieć: „Oby mi wyszło i wyszło dobre śniadanie!” I zaraz pojawia się srebrna taca, a na niej dwie pary pieczonych gołąbków, świeże, z najlepszej mąki, placuszki, prima sort. Albo inaczej: „Niech mi się pojawi, pojawi dobry obiad”. I ukazuje się złota taca, a na niej najrozmaitsze potrawy i dania z królewskiego jadłospisu. Pieczone ozory i farszem nadziewane szyjki, których zapach napędza cię rozkoszą. A przed twoimi oczyma naraz wyrastają świeże, ciut przypieczone, plecione kołaczki. A wina, ile dusza zapagnie, i to najlepszego gatunku. Orzechy, chleb świętojański i cukierki w wielkich ilościach. Jest tego tak dużo, że ochota na to odchodzi.

I Szmulik odwraca głowę na bok i spluwa. A jego przyjaciel poznaje po wyschniętych wargach, po bladej twarzy i rozmarzonych oczach chłopca, że nie wzgardziłby kawałkiem pieczonego ozorka, nadziewaną szyjką albo pajdą kołacza... I ślubuje wtedy, że jutro, jeśli Bóg pozwoli, przyniesie dla niego z domu kilka orzechów, trochę chleba świętojańskiego i cukierków, które zwał, za przeproszeniem, w sklepiku matki. A tymczasem prosi Szmulika, żeby opowiadał dalej. I Szmulik nie daje się długo prosić. Ociera wargi i ciągnie swą opowieść.

— ... A gdy najadłeś się już tych potraw do syta i zapiłeś to wszystko najlepszym gatunkiem winami, bierzesz kamyczek i pocierasz go sobie o klapę powiadając: „Niech się pojawi miękkie posłanie!” I pojawia się łóżeczko z kości słoniowej, złotem zdobione, z pierzynką miękką jak masło, z jedwabnymi poduszkami u wezłowia i atlasową kołdrą. Wyciągasz się jak długi i zasypiasz. I śnią ci się aniołowie, cherubiny i serafiny. I śni ci się raj, ten najwyższy i ten niższy... Albo, jeśli chcesz, pocierasz kamyczek i unosisz się w górę aż do chmur, i ponad chmury, i lecisz niczym orzeł wysoko, wysoko, daleko, daleko!

Czy bajki biednego sieroty Szmulika wpłynęły jakoś na twórczość jego przyjaciela Szolem, gdy ten stał się już Szolem Alejchemem, trudno powiedzieć. Jedno jest pewne: Szmulik wzbogacił wyobraźnię chłopca, rozszerzył jego horyzonty, a marzenie o skarbach, cudownych kamieniach i innych rzeczach Szolem przechowuje do dnia dzisiejszego głęboko w sercu. Może w innej formie, zmienionym kształcie, ale z całą pewnością przechowuje je do dziś.

RABIN W RAJU

Przyjaźń Dawida z Jonatanem. Lewiatan i Szor Habor. Jak wyglądają cadycy na tamtym świecie

Piękna i cudowna opowieść Szmulika oczarowała jego młodego przyjaciela. W nocy śnił mu się książęta i księżniczki. Budzili go i ciągnęli za rękaw: — Wstań, Szolemie, ubierz się i chodź z nami! — I nie tylko we śnie, ale też na jawie znajdował się niemal zawsze wśród książąt i księżniczek, gdzieś w kryształowym pałacu, na zasty

głym morzu lub na jakiejś wyspie, na której mieszkają dzicy ludzie. Albo przebywał w dziwnym raju, gdzie jest dwanaście studni z rtęcią i trzynaście ogrodów pełnych szafranu, a złota i srebra nie zliczysz. Wala się to niczym śmiecie. Innym razem przy pomocy jaspisowego kamyka wznosił się w górę, ponad chmury... Doszło do tego, że zaczął te wszystkie cudowności widywać nieomal na każdym kroku.

Kilka belek złożonych do kupy na podwórku wystarczyło, by wlaź na nie wyobrażając sobie, że jest na wyspie. Że jest księciem. Zaś gęsi i kaczki przechadzające się po podwórku to dzicy ludożercy. Królują nad nimi. Może ich popędzić dokąd zechce, może z nimi zrobić, co mu się żywnie podoba, są bowiem jego poddanymi... Zwykły kawałek szkła zamieniał się w oczach Szolem w drogocenny, cudowny kamień, coś w rodzaju rubinu. Mały kamyczek podniesiony z ziemi mógł być jaspisem. Kto wie? Nie leni się więc, bierze kamyczek, pociera go, gdy nikt nie widzi, o prawą klapę marynarki i powiada tak, jak uczył Szmulik: — Oby mi wyszło, wyszło...

Najbardziej jednak zapamiętał Szolem opowieści Szmulika o skarbach. Był więcej niż pewny, że lada dzień, nie dziś, to jutro, odsłoni się przed nim skarb. Całe złoto odda ojcu i matce. Ojciec nie będzie musiał więcej troszczyć się o swoje interesy. Matka nie będzie musiała całymi dniami marznąć w sklepie. Dzięki mocy zaklętej w jaspisowym kamieniu Szolem zbuduje pałac z kryształu i otoczy go ogrodem z szafranu. A w samym środku ogrodu stanie studnia pełna rtęci. Pies będzie pilnował wejścia, zaś smoki i inne dziwne stwory wraz z dzikimi kotami będą siedzieć na drzewach. A on, książę, we własnej osobie będzie rozdierał hojną dłonią datki wśród biedaków Woronki. Pokażne datki i datki nieco mniejsze. Każdemu według zasług.

Trudno było sobie wyobrazić, aby ci dwaj kochający się przyjaciele, Szolem, syn Nachuma, i sierota Szmulik, mieli kiedyś rozstać się na zawsze. Po pierwsze, dlaczego w ogóle mieliby się rozstać? Po drugie, przecież przysięgli

sobie uroczyście, że jeden bez drugiego nigdzie i nigdy nie wyjedzie, i bez względu na to, co by się stało, dokąd by ich los nie rzucił, zawsze stanowiąc będą jedno ciało i jedną duszę.

Była to taka miłość, jaka panowała między Dawidem i Jonatanem. Czy można było przewidzieć, że pewnego dnia rabin, który wprowadził był w podeszłym wieku — boję się, czy aby nie przekroczył siedemdziesiątki — nagle ni z tego, ni z owego położy się i umrze, a sierota Szmulik pojedzie z wdową do jakiegoś małego miasteczka, położonego nie wiadomo gdzie w chersońskiej guberni? Nikt nie przeczuwał, że zniknie jak kamfora, tak jakby go nigdy nie było na świecie.

Wyobraźcie sobie, że nic nie jest tak proste, jak się wydaje. Nie tak łatwo rabin kładzie się do łóżka i umiera. Rabin, który zawsze był słabeuszem, a zdrowie stracił wskutek ciągłych postów i niedojadania, położył się na stare lata do łóżka. Sparaliżowany przeleżał ponad rok, prawie wcale nie jedząc i nie pijąc. Nieprzerwanie tylko studiował księgi, modlił się i zmagał ze śmiercią. Szmulik opowiedział swojemu przyjacielowi, zaklinając się przy tym na wszystkie świętości, że co wieczór między Minchą i Maariw wlatuje przez szczelinę w oknie Baał Dower, czyli Śmierć. Staje u wezłowania chorego i czeka. Niech tylko chory na chwilę przerwie modlitwę, zrobi z nim „chik” i koniec. Rabin jednakże mądrzejszy jest od śmierci. Nie przerywa modlitwy, nawet na chwilę. Wciąż coś tam powtarza. Albo się modli, albo studiuje.

— Jak on wygląda?

— Kto?

— Ten Baał Dower?

— A skąd miałbym wiedzieć?

— Powiadasz, że on przychodzi. Musiałeś go widzieć.

— Głuptasku! Kto raz go zobaczy, ten nie może już żyć. Jak więc mogłem go widzieć?

— Skąd więc wiesz, że on przychodzi?

— A co ma robić? Czekać na zaproszenie?

A gdy rabin umarł, dwaj przyjaciele przeżyli prawdziwe święto.

Rabin miał piękny pogrzeb, taki piękny, na jaki może sobie pozwolić tylko rabin w małym miasteczku. Sklepy były zamknięte. Dzieci z chederu zwolniono. Całe miasto odprowadzało go na cmentarz. Z pogrzebu rabina obaj serdeczni przyjaciele wracali na końcu. Wzięli się za ręce i szli powolutku, nie śpiesząc się, aby jak najdłużej pogadać ze sobą. A było o czym pogadać. O śmierci rabina i jego wędrówce, na tamten świat. O tym, jak go tam przyjmą i kto go powita. Szmulik wiedział wszystko. A opowiadał, jakby był przy tym. Wyszło na to, że rabin w ogóle nie umarł. Przeniósł się tylko na inny, lepszy świat. Tam już czekali na niego z Lewiatanem, z Szor Haborem, z winem przechowywanym, z wszystkimi innymi przysmakami raj. Tam dopiero użyje żywota. Nowego, szczęśliwego żywota we wspaniałym raj. Razem z takimi osobistościami, jak Abraham, Izaak i Jakub, cnotliwy Józef, Mojżesz i Aaron, król Dawid, król Salomon i prorok Elias, RaMBaM, Baał Szem Tow i rebe z Ryżyny. Szmulik przedstawił ich w sposób niesłychanie wyrazisty. Jak żywi jawili się przed oczyma Szolema. Widział ich twarze, widział ich postacie. Oto nasz praojciec Abraham, starzec z białą brodą, Izaak wysoki i chudy, Jakub chorowity, Józef krasawiec, Mojżesz niskiego wzrostu o szerokim czole, Aaron, dla odmiany wysoki o długim czole, król Dawid ze skrzypcami w ręku, król Salomon w złotej koronie, prorok Elias, biedny Żydek, RaMBaM Majmonides, elegancki, z okrągłą brodą, Baał Szem Tow, prosty Żyd ze zwykłym kijem w ręku, rebe z Ryżyny, postawny Żyd w jedwabnej kapocie...

I człowieka ogarniała przemożna chęć spotkania się z nimi wszystkimi. Po prostu chciało się razem z nimi przebywać w raj. Razem z nimi zakosztować mięsa z Lewiatana i Szor Habora. Łyknąć choć kropelkę wina przechowywanego. Doprawdy, można było pozazdrościć rabinowi używania na tamtym świecie. Zupełnie zapomnieli,

że dopiero co włożono go do ciemnego i ciasnego grobu, że go zasypano lepką czarną ziemią, którą ubito za pomocą drewnianych łopat. Nie pamiętali, że sam Szmulik odmówił po nim Kadisz. Rabin bowiem nie miał, aby nie było to waszym udziałem, własnych dzieci.

SZMULIK ZNIKA

Dawid rozstaje się z Jonatanem. Tajemniczy skarb. Utracony przyjaciel

Przez cały tydzień, podczas gdy żona rabina odbywała pokutę po zmarłym, Szmulik błąkał się po mieście. Był samotny samotnością sieroty, który jeszcze bardziej został osierocony. Z utęsknieniem wypatrywał wieczoru, kiedy zwolnią chłopców z chederu. Wtedy mógł zobaczyć się ze swoim przyjacielem Szolem, synem Nachuma, który po śmierci rabina jeszcze bardziej się do niego przywiązał. Wychodziło na to, że dwaj zakochani w sobie przyjaciele, „Dawid i Jonatan”, będą musieli się rozstać. Jak to się stanie, sami jeszcze nie wiedzieli. Zresztą nie chcieli wiedzieć. Dlatego też wykorzystywali każdy wieczór, aby przebywać razem. Ich szczęście, że było lato. Latem wieczory są wolne od nauki w chederze. Można więc pójść do sadu Nachuma, ojca Szolema, i tam pod gruszą spędzić na rozmowie godzinę, dwie lub nawet trzy. A jeśli nie w sadzie, to można wyjść z miasta i udać się spacerkiem hen, daleko, za młyny. Trzeba tylko uważać, aby szejgece nie napadli na nich, aby nie napuścili psów na „przeklętych Żydów”.

Tam, za młynami, obydwaj przyjaciele, Szmulik sierota i Szolem, syn Nachuma mogli nagadać się do syta.

A było o czym mówić. Jedno ich zajmowało: co będzie dalej? Co będzie, jeśli Szmulik wyjedzie? Słyszał bowiem Szmulik, że rabinowa ma zamiar przenieść się do miasteczka gdzieś w chersońskiej guberni. Ma tam siostrę, a ta jej pisze, żeby do niej przyjechała. A skoro rabinowa jedzie, więc Szmulik też jedzie. Co tu będzie robił sam? Przecież nawet nie ma gdzie głowy położyć.

No jasne, na długo nie jedzie. W każdym razie nie na zawsze. Niech tylko przybędzie na miejsce, to zaraz weźmie się do Kabały i gdy tylko posiędzie jej tajemnicę, natychmiast wraca do Woronki i zabiera się do roboty. Odszuka skarb. Odbędzie czterdzieści postów. Codziennie odmówi czterdzieści rozdziałów Psalmów, a po czterdziestu dniach wymknie się potajemnie, by nikt nie widział, stojąc na jednej nodze odliczy do czterdziestu, dokładnie przez czterdzieści minut, z zegarkiem w rękę.

— Gdzie masz zegarek?

— Teraz nie mam, ale wtedy będę miał.

— Skąd weźmiesz?

— Skąd wezmę? Ukradnę! Co cię to obchodzi?

Szołem patrzy w oczy Szmulikowi. Boi się, czy go jakimś słowem nie uraził. Gotów jeszcze, nie daj Bóg, pogniewać się. Szmulik jednak nie należy do tych, u których przez jedno słowo można wszystko stracić. I nie przestaje opowiadać. Mówi o tym, co nastąpi, gdy obaj przyjaciele dorosną. O tym, co będą razem wyprawiali w ich mieście Woronce i jak uszczęśliwią miejscowych Żydów. I płyną z jego ust słowa czyste jak oliwa. Snują się te opowieści i ciągną niczym pasemka miodu. I nie chce się w tę piękną, ciepłą, letnią noc wracać do domu. Ale trzeba iść spać. Inaczej można w domu oberwać. Więc chłopcy żegnają się: — Do jutra, do jutra!

Minął dzień i następny, a po nim jeszcze jeden, a Szmulika nie ma. Gdzie jest Szmulik? Wyjechał. Zabrał się razem z wdową po rabinie i pojechał do guberni chersońskiej. Jak to? Kiedy? Nie pożegnał się nawet?...

Przyjaciel Szmulika, Szolem, poczuł się nagle zagubiony. Był wytracony z równowagi. Pozostał samotny jak

kamień w polu. Jego najlepszy, najukochańszy, najdroższy druh wyjechał. Ciemności zakryły mu cały świat. Ale co tam świat, gdy nie ma Szmulika. I opuszczony samotny przyjaciel poczuł naraz, że robi mu się jakoś dziwnie ciasno w krtani. Poczul swędzenie w nosie i ucisk na sercu. Ruszył przed siebie i w jakimś cichym zakątku długo, długo płakał. Jak sądzicie, czy Szmulik żyje jeszcze? Ten młodzieniec o oczach marzących, ten wygadany chłopak, który potrafił mówić pięknie i wdzięcznie, a jego słowa płynęły i ciągnęły się jak nitki złocistego miodu? Gdzie on jest? I kim jest? Może jest teraz magidem? Może rabinem? Nauczycielem? Kupcem? Kramarzem? Maklerem? A może biedakiem, ostatnim nędzarzem? A może zanosło go do krainy złota, do Ameryki, i używa życia? A może leży tam, gdzie i my położymy się kiedyś, a robaki będą nas jady. Jeżeli tak, to oby dopiero po stu dwudziestu latach. Kto by coś wiedział, kto by coś o nim słyszał, niech się odezwie.

MEIR MEDWEDEWKER

Nowy kolega, który umie śpiewać. Chłopcy z chederu organizują teatr. Z bosego urwisa wyrasta sławny artysta

Nie musiał długo żałować Szmulika jego wierny kolega i przyjaciel. Bóg go wysłuchał i zesłał mu nowego kolegę. A było to tak: Z chwilą, gdy stary rabin umarł, miasteczko pozostało bez duchowego przywódcy. Dlatego też Nachum, syn Wewika, zostawił wszystkie swoje interesy i pojechał do innego miasteczka, a mianowicie do Rokitna, skąd rozchodziły się wieści na cały świat, że mieszka

tam rabinznakomitość. Nazywa się Chaim Medwedewker. Tego to rabina Nachum, syn Wewika, sprowadził do Woronki. Miasto nie mogło się nim nacieszyć. Był bowiem nie tylko uczony w Piśmie, był nie tylko wzorem bogobojności i specem od śpiewu synagogalnego, ale też wielkim biedakiem. Przeto za jednym zamachem mógł dodatkowo uczyć dzieci zamożniejszych obywateli. Mimo to jednak nie zrezygnowano całkowicie z usług mełameda Zurechła. Nie można przecież, ot, tak sobie, pozbawić człowieka zarobku. Pozostał więc reb Zurechł mełamedem od Tanachu i sztuki pisania (po żydowsku, rosyjsku, niemiecku, francusku i łacinie, której zresztą nie rozumieli ani w ząb zarówno mełamed, jak i dzieci), zaś Gemary uczono się u nowego rabina. A chociaż Szolem, syn Nachuma, syna Wewika, nadal był łobuziakiem i nadal nie miał zamiaru podrosnąć choć trochę, skierowano go jednak do wyższej klasy. Stało się tak, bowiem nowy rabin przeegzaminował go z rozdziału Pięcioksięgu i z komentarzy Rasziego. Był widocznie zadowolony, bo uszczypnął Szolema w policzek i rzekł: — Fajny łobuziak. — Ojcu zaś powiedział, że byłoby grzechem pozostawić takiego szkoca na suchym Tanachu. Trzeba go wziąć do Gemary. To mu nic a nic nie zaszkodzi. Ojciec oczywiście był wniebowzięty. Sam szkoc nie był specjalnie z tej Gemary zadowolony. Rozpierała go za to duma, iż oto siedzi w jednej ławce ze starymi. Pysznił się, zadzierał nosa. Toć nie bagatela! Przybył reb Chaim, rabin z Rokitna, nie sam. Sprowadził dwóch synów. Jeden, już nieco podtatusiały, miał coś w rodzaju guzika na gardle. Nazywał się Abraham. Obdarzony dobrym głosem, mógł już z powodzeniem prowadzić mogły jako kantor. Drugi syn, Meir, miał tylko ładny głos do śpiewu i również guzik na gardle, ale do nauki brakowało mu zdolności. Kapuściany łeb. Może nie tyle łeb kapuściany, co urwis, szejgec. Z nim to Szolem, syn Nachuma, syna Wewika, szybko się zaprzyjaźnił. Chłopak z Rokitna i syn rabina to partner nie lada! Poza tym miał jeszcze inne zalety: śpiewał piosenki, i to jakie!

Miał również wadę — typowy nawyk prawdziwego artysty — nie lubił śpiewać za darmo, dla samego śpiewu. Chcesz posłuchać śpiewu? Bardzo proszę, płac. Jedna piosenka — jedna kopiejka. Nie masz kopiejki? Może być jabłko. Od biedy pół jabłka, parę śliwek, kawałek curkierka. Za darmo nie ma nic! Za to śpiewał takie cudowne piosenki i tak słodkim głosem, z takim uczuciem, że dzisiejsi Sabinowie, Caruzowie, Szalapiny i Siroty oraz wszyscy pozostali wielcy śpiewacy świata mogli się przy nim schować.

Wychodzę ci ja na ulicę Wileńską

I słyszę głos, i słyszę krzyk —

Owej!...

To płacze ktoś!...

Wszyscy chłopcy są zasłuchani, zapatrzeni, zafascynowani. Umierają z zachwytu, a on nic! Josele Sołowiej! Cóż dopiero niektóre śpiewane przez niego fragmenty modlitwy. Pewnego razu, kiedy rabin, jego ojciec, reb Chaim,

wyrwał się na chwilę z domu, Meir stanął twarzą do ściany, zarzucił obrus na siebie, nastawił gardło niczym chazen i zakrzyknął słowami z modlitwy Selichot: — Ej! melech jojszew — szybko i głośno: — Wajikro beszejm. — I wtedy wszedł rabin. Co to jest? Będziesz mi tu odstawiał kantorskie kawały? Ano, heretyku, kładź się na ławeczkę, ot tak, no. I zaczyna się egzekucja.

Nie tylko śpiewem wyróżniał się Meir Medwedewker. Posiadał jeszcze jedną słabość. Lubił grać, odstawiać kogoś, udawać kogoś lub coś. Przedstawiał „Sprzedanie Józefa”, „Wyjście z Egiptu”, „Dziesięć plag”, „Mojżesz z tablicami dekalogu” i wiele innych podobnych scen. Kiedyś na przykład przebrał się za rozbójnika. Wziął do ręki dużą łagę, tasak rabinowej wsadził za pas rabinackiej kapoty i boso paradował w podkasanych spodniach. A oczy, Boże jedyny, miał właśnie jak u zbója. Szolem, syn Nachuma, był za biedaka z grubym kijem w ręku. Na plecach miał poduszkę zamiast garbu. Czapkę przewrócił na drugą stronę i włożył ją na głowę. Chodził po pro

ście. Zabłądził w lesie. Las udawali chłopcy. I Szolem, syn Nachuma, odstawiał biedaka. Krążył wśród drzew. Opierał się na swoim grubym kijem. Szukał drogi i raptem napotkał rozbójnika. Ten wyciąga zza pasa tasak i śpiewa piosenkę, i to po rosyjsku, którą kończy takimi słowami:

Dawaj dieeengi, dawaj dieeengi!

Błaga go biedak, nieborak Szolem, że łzami w oczach. Prosi, aby zlitował się, jeśli nie nad nim, to przynajmniej nad jego żoną i dziećmi. Ona zostanie wdową a dzieci sierotami. Chwyta go rozbójnik Meir za gardło i rzuca na ziemię.

Wtedy zjawia się akurat rabin i zaczyna się wesele:

— Dość, że ten — wskazuje na swego syna — to jest szejgec, łobuz, odstępcza, renegat, ale ty, chłopiec Nachuma, syna Wewika, gdzie tobie do niego? Skąd on do ciebie?

Rabin Chaim był widocznie prorokiem. W wiele lat później jego Meir, który stał się tymczasem sławnym aktorem, zmienił, jak się to mówi, skórę, wychrzczył się. Trzeba jednak podkreślić, że jak najlepszy Żyd wypełnił uczciwie przykazanie o szacunku należnym ojcu. Zrobił to doprawdy wspaniale. Kupił mianowicie swemu staremu i biednemu ojcu mieszkanie w Rokitnie i obsypał go złotem. Przyjeżdżał do niego w odwiedziny każdego lata. Przywoził podarunki dla całej rodziny, a stary reb Chaim, który nie wiedział, jakiego to psikusa wykrecił mu syn, aby uzyskać tytuł aktora Teatrów Imperatorskich, miał szczęśliwą starość. My jednak musimy wrócić do czasów jego dzieciństwa, kiedy to Meirowi Medwedewkerowi jeszcze nie śniło się nawet, że kiedyś będzie się nazywał Michaił Jefimowicz Miedwediew, że będzie o nim głośno, że wstrząśnie światem.

JESZCZE JEDEN UTRACONY PRZYJACIEL

Uczę się kraść. Dzień żałoby w sadzie popa. Kara

Nie ma nic dziwnego w tym, że te dwa chłopaczyska, Meir Medwedewker i Szotem, syn Nachuma, związali się węzłami przyjaźni tak mocno, że stanowili jedno ciało i jedną duszę. Było coś pokrewnego w ich duszach. Obaj wierzyli, że kiedyś wyjdą na ludzi. I przecucie ich nie omyliło. W jakieś dwadzieścia lat po tym, gdy doszło między

nimi do spotkania, a działo to się w Białej Cerkwi, w kijowskiej guberni, jeden z nich był już sławnym aktorem Miedwiediewem, a drugi pisywał felietony w „Jidisze Folksblat” pod pseudonimem Szolem Alejchem. Wróćmy jednak do czasów ich dzieciństwa, gdy jeden nazywał się Meir Medwedewker, a drugi Szolem, syn Nachuma, syna Wewika, gdy razem, jak wszyscy chłopcy z Woronki, spacerowali na bosaka po jej ulicach. I trzeba wyjawic całą prawdę, że obaj przyjaciele nie przejawiali specjalnego entuzjazmu do nauki, którą ładował w nich reb Chaim Medwedewker. Nie okazywali też zbyt dużego zapału do pobożności, którą reb Chaim starał się w nich zaszcześcić. Mieli ochotę na coś zupełnie innego. Na przykład na zrywanie jeszcze zielonego agrestu z krzaków, gruszek i śliwek z drzew własnego lub cudzego sadu. To dostarczało im znacznie więcej przyjemności niż ślęczenie nad Gemarą albo zatopienie się w modlitwach na serio lub odmawianie psalmów, jak tego żądał od swoich uczniów reb Chaim. — Gemara nie zajac, nie ucieknie. Modlitwę Bóg wybaczy, a psalmy niech odmawiają starzy Żydzi!... — Meir Medwedewker tłumaczył Szolemowi. Wolał nauczyć go, jak jednym susem wleźć na najwyższe drzewo albo w podskoku uchwycić gałąź obsypaną czereśniami. Wtedy czereśnie same wpadały do ust. Nic to, że wargi robiły się czarne, a po śladach na palcach można wykryć, kto zrywał

czereśnie. Nic strasznego. Najwyżej dostanie się lanie. Też mi kara! Dostać lanie w chederze to zwykła rzecz. Tak zwykła, że chłopcy nie czuli żadnego wstydu z tego powodu. Nie mówię już o bólu. Co w tym strasznego, że dostaje się od rabina parę razy. Do wesela się zagoi. Wstyd to był tylko dla młodzieńca już zaręczonego. A i on bał się tylko, aby nie dowiedziała się narzeczona. Może nie tyle narzeczona, co jej koleżanki. Mogły z niej wówczas podworować: — Narzeczony z obitym siedzeniem! Meir nie był jeszcze zaręczony, więc tego rodzaju obawy odpadały. Prowadził zatem swego kolegę Szolema po „drodze sprawiedliwej”. Uczył go, w jaki sposób skrócić odmawianie modlitw, jak pod nosem matki wynosić ze sklepu chleb świętojański, cukierki, ciasteczka dla gojów i wiele innych dobrych rzeczy. Nie znaczy to wcale, że uczył go kraść. Broń Boże! Uczył go tylko, jak „przyswoić”. Za to na tamtym świecie nie karze się. Wszystko to uszłoby im na sucho, gdyby Meirowi nie przydarzyło się nieszczęście. Traf chciał, że pewnego dnia przesadził płot, wlaź do sadu popa i narwał pełną bluzę gruszek. Zauważyła to córka popa. Wybiegł pop z psem i złapał go. Pies podarł mu, za przeproszeniem, spodnie, a pop zerwał Meirowi z głowy czapkę i kazał mu iść, gdzie oczy poniosą. Nie byłoby w tym większego nieszczęścia, gdyby to nie stało się dziewiątego dnia miesiąca Aw. No bo jak? Wszyscy Żydzi chodzą w pończochach, żalą się i płaczą z powodu zniszczenia Świątyni Pańskiej, a on — synalek reb Chaima — paraduje bez czapki na głowie i do tego w podartych spodniach! Egzekucji biednego młodzieńca nie da się opisać, zwłaszcza dziś, w okresie wielkiego postępu. Ale nie to jest istotne. Najważniejsze, że trzeba było zabrać Szolema z klasy rabina. W ślad za Nachumem, synem Wewika, inni rodzice również zabrali swoje dzieci. I biedny reb Chaim został bez uczniów. Kantorowanie i rabinowanie dawało mało dochodu. Zmuszony był przeto znowu przenieść się do Rokitna. Miasteczko pozostało bez rabina.

Ale nie smućcie się. Nie na długo. Nachum, syn Wewika, sprowadził nowego rabina z Baryszpola. Nazywał się Szmuel Elijahu. Był to młody człowiek, bardzo wykształcony. Umiał uczyć i umiał śpiewać. Grał w dodatku w szachy, co

świadczyło o jego zdolnościach. Miał tylko jedną wadę, ten Szmuel Elijahu. Był trochę intrygantem i wazeliniarzem. Lubił flirtować z młodymi kobietami, gdy nikt nie widział. I tak utracił nasz bohater drugiego przyjaciela.

KOLEGA SIRKO

Pies mądry i grzeczny. Przyjaciele zwierząt. Metamorfoza. Wierny przyjaciel

Sądzę, iż na podstawie imienia nietrudno domyślić się, że Sirko nie był człowiekiem; był psem — zwykłym, zwyczajnym psem o szarej sierści. Stąd jego imię — Sirko. Powiedziałem „zwyczajny pies”, ale muszę natychmiast sprostować. Nie, nie był to zwyczajny pies, jak się zaraz przekonacie. Ale najpierw garść danych z jego życiorysu. Skąd do Żydów pies? Oto historia:

Kiedy Nachum, syn Wewika, przeniósł się do miasteczka i przejął pocztę, był tam na podwórzu pies Sirko. Bardzo jeszcze młody pies, ale rozumny — prawdziwy mędrzec. Tak dalece mądry, że szybko poznał nowych gospodarzy. To po pierwsze. Po drugie, okazywał szacunek Żydom. Nie zaczepiał ich pod żadnym pozorem, jak to czynią inne psy. Nie miał przyrodzonego nawyku psów, które jak tylko zobaczą długą kapotę, to zaraz wpadają w morderczy szał... Jasne, że z nowymi gospodarzami Sirko nie miał żadnych wspólnych interesów. Nie zaglądał nawet do ich

mieszkania. Widocznie dano mu od razu na początku do zrozumienia za pomocą kija, że do żydowskiego mieszkania pies nie powinien wchodzić. Nie miał też prawa przestąpić progu kuchni. Fruma, dziewczyna ze ślepym oczkiem, „odseparowała” go od kuchni garnkiem ukropu, który wylała nań pewnego razu w wigilię soboty. Oblała go celowo, choć bez złości, i śmiała się przy tym. Dość, że porządny kawał skóry na jego grzbiecie ugotował się.

Ach, ta Fruma! Serce tatarskie miała ta dziewczyna. Nie znosiła widoku psa ani kota. Ze łzami w oczach udało się kiedyś Szolemowi wyratować z jej rąk kota, którego przywiązała do nogi stołu i kijem od miotły okładała go tak bezlitośnie, że zwierzę darło się wniebogłosy.

— Frumeczko, serdecznie kochana Frumieniu, co ty robisz? Miej litość nad stworzeniem. Bóg cię ukarze. Bij lepiej mnie. Wal we mnie. Oszczędź kota! — błagał ją Szolem i nadstawił plecy do bicia. Despotyczna dziewczyna sama wreszcie spostrzegła, iż zbyt okrutnie obeszła się z kotem. Oblała więc go zimną wodą i ledwo udało jej się półżywe stworzenie jako tako przywrócić do życia. A jak sądzicie, o co poszło? O głupstwo. Frumie zdawało się, że „łakomczuch” (tak nazywała kota) coś tam złapał. Albowiem oblizywał się. A czego to, ni z tego, ni z owego, kot się oblizuje? Fruma podejrzewała wszystkich i każdego z osobna. Jeśli kot, to z całą pewnością łakomczuch, jeśli pies, to bies, jeśli goj, to złodziej, a jeśli dziecko, to świnią. I tak po kolei wszystkich. Cały świat. Wracajmy jednak do psa Sirki.

Wypędzony w tak paskudny sposób z domu i z kuchni, każdy pies na jego miejscu wyniosłby się całkiem z podwórka: — A żyćcie sobie sto dwadzieścia lat! — Nie, Sirko należał do innego gatunku. Gdyby nawet wiedział, że czeka go na podwórku śmierć, nie ruszyłby się z miejsca. Tu się urodził i tu zdechnie... Zwłaszcza że miał za sobą dobrych mecenasów — dzieci gospodarza. Znalazł uznanie w ich oczach, spodobał się, mimo że Fruma usilnie starała się go obrzydzić.

Wiele psów życzyłoby sobie mieć taki wikt i taką „po

sadę" jak Sirko. Wszystko co najlepsze, co najsmaczniejsze przynosiły mu dzieci w kieszeniach. Oczywiście potajemnie. Nikt nie miał prawa tego widzieć. Nie powinien nawet domyślić się. Inaczej mogłoby to źle się skończyć dla obu stron. Sirko wiedział już doskonale, o której godzinie otrzyma śniadanie, kiedy obiad i kiedy kolację. Pilnie wtedy wypatrywał tych, którzy mieli mu przynieść te pyszności. Wiedział nawet, co u kogo i w jakiej kieszeni. Obwąchiwał kieszeń i pchał do niej swoją mordę. Słowem, piesmędrzec.

Cóż dopiero sztuczki, jakich nauczyli go chłopcy! Kładli mu na koniuszek nosa tłustą kość albo kawałek chleba i nakazywali: — Nie rusz! (z psami zwykle rozmawia się po gojsku). — I pies czekał z należytyim szacunkiem, dopóki nie usłyszał nowego rozkazu „ham”. Wtedy podskakiwał do góry i było po wszystkim.

Zimą, wieczorową porą, gdy chłopcy przebywali w chederze, Sirko nie mógł doczekać się ich powrotu. Zwykle już o godzinie dziewiątej wyrastał pod oknem chederu. Łapami zaczynał skrobać w zamarźle szyby, znak, że pora zamknąć księgi i iść do domu na kolację. Dla mełameda Sirko był, nie przymierzając, zegarem. — Nie inaczej — powiedział mełamed — jak tylko to, że wasz pies przeszedł metamorfozę: był człowiekiem w poprzednim wcieleniu. — Po czym rebe zwalniał dzieci, które brały swoje papierowe latarki i hurmem ruszały do domu śpiewając wesołe, junackie i żołnierskie pieśni:

Raz, dwa, tri, czetyre! Pajdiom, pajdiom na kwartire! Achter, bachter, koloszka Wosiem diengi, raboszka!

albo:

Pora, pora!

Pora wybiratsia!

I so wsiemi gospodami

Razpraszczatsia — pora!

Sirko biegł naprzód. Z wielkiej radości skakał i tarzał się po śniegu. A wszystko z powodu tych kawałków chleba i tłustych kosteczek. Pies na schwał!

Ileko robiło się ciężko na sercu, ilekroć duszę ogarniał smętny żal, ilekroć w domu oberwał lanie, zaś poprawiny w chederze, tylekroć Szolem, syn Nachuma, uciekał w głąb sadu, w najdalszy zakątek po drugiej stronie ostatniego szeregu drzew. Towarzyszył mu wtedy Sirko. Tam za parkanem, na kopcu śmieci, siadał wraz ze swoim wiernym psem. Pies wyciągał pysk i patrzył mu prosto w oczy niczym człowiek, który zgrzeszył. Dlaczego tak patrzy? O czym wtedy myśli? Czyżby rzeczywiście rozumiał wszystko jak człowiek? Czyżby też miał, nie przymierzając, jak człowiek duszę? I Szolemowi przypominają się słowa rebego: „Ten pies jest przykładem metamorfozy, w poprzednim wcieleniu był człowiekiem”. Przypomina sobie raptem słowa króla Salomona z Księgi Koheleta: „Nie ma różnicy między człowiekiem a zwierzęciem”. „Jeśli nie ma różnicy, to dlaczego on jest psem, a ja człowiekiem?” — tak sobie wówczas myśli i jednocześnie oczyma pełnymi litości i szacunku patrzy na psa. Pies przyjacieli! Drogi, wierny przyjaciel — Sirko.

TRAGEDIA SIRKI

Niecne oszczerstwo. Śmierć niewinnego psa. Gorące łzy

Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że Sirko był mędrce. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, kto go najbardziej kochał, i nie dziw, że Sirko najmocniej przywiązał się do autora tych słów. Zawarł z nim przyjaźń. Kochał go. Gotów był poświęcić się za niego, za swego przyjaciela i pana. Nieme stworzenie nie mogło tego wy

razić słowami. Przejawiało to tak, jak tylko pies potrafi. Sirko skakał wokół Szołema, piszczał z uciechy i tarzał się po ziemi. Jedno słowo przyjaciela i pana: — Na miasto! — wystarczyło, aby Sirko uspokoił się natychmiast. Kładł się, leżał cichuteńko jak kotek i tylko łypał oczkami, aby widzieć, co robi jego pan.

Między panem a jego sługą Sirką nawiązała się cicha miłość. Pan w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić, co będzie, jeśli zabraknie Sirki. Jak to? Czy może być tak, aby Sirki nie stało? Czy to możliwe? Czy Sirko jest człowiekiem, który nagle wyjeżdża bez pożegnania? Ileż to razy chłopci usiłowali zwabić Sirkę do siebie na wieś, a ten nazajutrz przylatywał zasapany, z wywinętym jęczorem, i rzucał się z radości do nóg swemu panu. Skakał, tarzał się po ziemi. Piszczał radośnie i oblizywał kołnierz Szołema. Można przysiąc, że w jego oczach pojawiały się łzy.

A mimo to nastąpił taki dzień, taki smutny przeklęty dzień, gdy wierny Sirko odszedł. Odszedł na zawsze, zniknął na wieki. A odszedł niespodziewanie, w okolicznościach żałosnych, w okolicznościach tragicznych.

Stało się to latem, w upalny dzień lipcowy. Było straszliwie gorące lato, bez kropli deszczu. Ludzie dosłownie umierali ze spiekoty. A że w takie upały psy wściekają się, o tym zapewne wiecie. I gruchnęła wieść po miasteczku, iż jakiś pies wściekł się i pogryzł kilka innych psów. Nie wiadomo które. I strach padł na mieszkańców miasta. Postanowiono zastosować środki zapobiegawcze, aby uchronić dzieci przed ewentualnym pogryzieniem przez wściekłego psa.

Polegały one na tym, że wszystkie dzieci z miasteczka odprowadzano do starego Trofima. Był to goj, znachor, miał „ostre paznokcie”. Tymi pazurami potrafił „zdjąć” spod języka „niebieskie pieski”. A robił to tak sprawnie, że nikt nic nie czuł, choć operacja była niebezpieczna, choć do przyjemnych z pewnością nie należała. Pomyślcie tylko! Jakiś goj wpycha wam w usta swoje pazury i szuka pod waszym językiem jakichś tam niebieskich piesków...

Następnie zabrano się do wszystkich psów w mieście. Sprowadzono, Bóg wie skąd, dwóch kacapów, dwóch hycli uzbrojonych w grube łagi o żelaznych zaczepach. I hycle przystąpili do pracy. W ciągu jednego dnia kaci owi położyli trupem kilkadziesiąt psów. Na oko potrafili ocenić, który pies jest wściekły, a który zdrowy. Kto mógł przypuszczać, że fatalny los dosięgnie również dobrego, mądrego, grzecznego Sirkę? Widocznie kacapy otrzymywali swoją zapłatę stosownie do ilości zabitych psów. Jeśli tak było rzeczywiście, to bardzo możliwe, że były wśród nich niewinne ofiary. Do tych w pierwszym rzędzie należał Sirko.

O całym tym nieszczęściu dzieci dowiedziały się po fakcie, gdy powróciły z chederu do domu. Z miejsca podniosły gwałt. Jak to? Za co Sirko? Jak można było do tego dopuścić?

Jasne, że gwałt ten odcisnął się gwałtem. Jak to? Jak śmieją dzieci chederowe zaprzętać sobie głowę psami? I dostały porządne lanie. Na dodatek podstawili im stołeczek u melameda. Poprosili go, aby nie żałował różg. Oj, nie żałował! Wszystko to jednak nie znaczyło nic w porównaniu z tym, że Sirko zginął niewinnie.

Najbardziej przybity był pan Sirki, autor tych wspomnień. Przez kilka dni nie jadł. Przez kilka nocy nie spał. Przewracał się z boku na bok. Wzdychał i stękał. Robił to oczywiście po cichutku. Nie mógł wybaczyć tym złym ludziom, którzy nie mają w sobie krzty litości dla żywych istot. Nie mają w sobie sprawiedliwości. Głęboko zaczął zastanawiać się nad różnicą między mądrym psem a, nie przymierzając, człowiekiem. Dlaczego pies jest człowiekowi wierny, a człowiek dla psa bywa katem? I wtedy staje mu przed oczyma Sirko ze swoimi mądrymi, dobrymi oczyma. Na ten widok zwała się na łóżko, przyciska twarz do poduszki i zalewa się gorzkimi łzami.

INSTYNYKT DOBRA I INSTYNYKT ZŁA

Perkaty Ojzer. Morały. Nadmiar opiekunów. Moralizator i kaznodzieja

Na wypadek gdyby chłopak zapomniał, że kiedyś miał psa, ludzie na każdym kroku przypominali mu o tym: — Sirko kazał ci się kłaniać! — I przy tej okazji nie omieszkali prawić morałów. Niech sobie na przyszłość zapamięta. Te morały były dla chłopca bardziej dotkliwe niż bicie. Nie na próżno kursuje powiedzonko: „Ból przemija, słowo trwa”. Zwłaszcza że tu w grę wchodziły i razy, i słowa. A słowa sypały się zewsząd. Kto tylko Boga w sercu miał, ten karciał. I pouczał. Powiedziałby ktoś, co ma wspólnego zwykły żydowski szames z synem miejskiego bogacza, co z tego, że synek bogacza akurat w czasie modlitwy wygląda przez okno? A wy sądzicie, że synek bogacza ot tak sobie bez przyczyny wygląda przez okno? Może sobie odchodzić modlitwa i może to być najważniejszy ustęp tej modlitwy, a mimo to warto obejrzyć rzadko widzianą scenę.

Warto dobrze jej się przyjrzeć i wyciągnąć odpowiednie wnioski. Oto pies goni kota. Kot napuszył się i leci jak strzała. Pies za nim. Kot przez rynsztok na dach. Pies wysiada. Stał jak głupi. Oblizuje się i zapewne tak sobie myśli: „A po kiego licha ja, pies, mam się uganiać za byle kotem, który nie umywa się do mego rodu, i co ja na tym dachu miałbym robić”?

— To tak uważa się podczas modlitwy? — Szames Mejłech wali go po karku. — Poczekaj, łobuzie, już ja twemu ojcu wszystko powiem.

Albo, co na przykład może obchodzić perkatego łąziebnego (Ojzer był kiedyś szewcem, ale na stare lata całkowicie osłabiony wynajął się za łąziebnego), że synowie Nachuma, syna Wewika, zjeżdżają z górki na własnych tyłkach i wycierają sobie przy tym spodnie? Musiał to

akurat zauważyć łąziebny Ojzer! Wskoczył z łaźni i dawał na nich ryczeć przez nos:

— Bękarfy! Hulfaje! — Nie wymawiał litery „t”. — Niech szlag frafi waszego fafę i mafkę. Nowe spodnie bierzecie i niszcycie je, marnofrawcy! Zaraz pobiegnę do waszego chederu i podsfawię wam u rebebo sfólek.

Podstawić stołek to nie tylko dobry uczynek. To obowiązek, który każdy Żyd powinien spełnić. Albowiem każdy Żyd ma dzieci i nikt nie może zaręczyć, że wyrosną z nich porządni ludzie. Dlatego trzeba na nie uważać i jeśli nie można rękoma, to przynajmniej językiem trzeba im pomóc. Z tego to powodu dzieci miały wielu wychowawców i opiekunów. Nasłuchały się też tyłu morałów, tyłu słów karcących, że aż szumiało im w uszach:

Żu, żu, żu — tego nie rób! Żu, żu, żu — tam nie stój! Tam nie chodź! Wszyscy „żużali”. Rodzice, siostry, bracia, rebe, służące, wujowie, ciotki, babcie, a szczególnie babcia Minda, która zasługuje na specjalną wzmiankę.

Babcia Minda była wysoką postawną Żydówką. Schludna, elegancka i straszliwie pobożna. Jej zadaniem była opieka nad dziećmi i troska, aby przestrzegały przepisów religijnych. Wygladzała wnukom pejsy poślinionymi palcami i prasowała im ubranka, przysłuchiwała się ich modłom, odmawiała błogosławieństwa i czytała modlitwę Kriat Szma przed snem. Za to wszystkie wnuki musiały przychodzić do niej w sobotę i składać jej życzenia. Rozsiadały się wówczas na ławce przy ścianie, siedziały i czekały, aż ona poczęstuje ich „owocami sobotnimi”. A owoce te rozdawała niezbyt hojną dłonią. Za to podawała je na czystych błyszczących spodeczkach. Jedno jabłuszko, daktyl, figę albo trzy,

cztery wyschnięte rodzynki. A morałów przy tym prawila bez liku. Nauka polegała na tym, że trzeba słuchać rodziców i wszystkich pobożnych Żydów. Trzeba być Żydem. Bóg wymierzy karę za każdy najmniejszy zmarnowany okruszek chleba, za opuszczanie modlitw, za brak posłuszeństwa, za zaniedbanie nauki, za dokazywanie, a także za złe myśli i nawet za plamę na kapocie. Tak straszyla, że aż przestawały

smakować jabłuszko, daktyl, figa albo te trzy wyschnięte rodzynki.

Ale czym byty rodzynki babci w porównaniu z istną kopalnią nauk moralnych, które zaprezentował swoim uczniom rebe tej samej soboty, przed modlitwą Mincha? Wycisnął z ich oczu morze łez. Jak zwykle wyraźnie i obrazowo przedstawiał im instynkt dobra i instynkt zła, raj i piekło, anioły i otchłań od jednego końca świata do drugiego. Miliardy czartów, biesów i diabłów postawił przed oczyma swoich uczniów. Dostrzegł demony pod paznokciami dzieci. Zapewniał, że każdego czeka piekło. Jeśli nawet znajdzie się taki, który nie zgrzeszył, który uczciwie się modlił, uczył się Tory i wypełniał wszystko, co mu instynkt dobra nakazywał, to jednak w tym samym czasie słuchał instynktu zła i grzeszył w myśli. We śnie na pewno myślał o takiej rzeczy, o której nie wolno było myśleć.

Słowem, nie było gdzie się ukryć przed lichem, przed instynktem zła. Choć weź i umieraj. A tu, na złość, właśnie chce się żyć. Chce się pofiglować, chce się śmiać, zreć łakocie. A co do modlitwy, to byle szybko ją odwalić, byle myśleć o takich rzeczach, o których nie wolno myśleć. To już była sprawka instynktu zła. Ten miał dosyć posłańców i pomocników, aby wciągnąć niewinnego w sieć.

A jeśliś wpadł do zastawionej pułapki, to siłą rzeczy szedłeś już za instynktem zła jak ciele. Robiłeś wszystko, co nakazywał. A instynkt zła ma już taki fart, że jego słucha się chętniej niż instynktu dobra. Tu żadne morały nie pomogą. Przeciwnie. Im bardziej instynkt dobra stara się, tym energiczniej przeciwdziała instynkt zła. Strach pomyśleć, ale zdaje mi się, że gdyby nie było instynktu dobra, to instynkt zła nie miałby co robić.

ZŁODZIEJSTWO, GRA W KARTY I INNE GRZECHY

Dzieci pomagają matce na targu. Karty z okazji święta Chanuka. Berł, syn wdowy, uczy kraść. Wyrodney chłopak

Z dziećmi Nachuma, syna Wewika, instynkt zła obszedł się jak zbój. Nie dość, że urwisy skracaly modlitwy, ponad połowę zawsze przepuściły, a babcię okłamywały mówiąc, że dodatkowo odmówiły po kilka rozdziałów Psalmów, to jeszcze nauczyły się kraść. Obzerały się łakociami, grały w karty i popełniały wiele innych grzechów. Rozumie się, że to wszystko rozwijało się stopniowo. Jedno pociągało za sobą drugie. Tak, jak to napisano w Piśmie: „Grzech przyciąga grzech”.

Chyba wam już mówiłem o tym, że Żydzi z Woronki żyli z gojów, a zwłaszcza z wielkich jarmarków, które nosiły nazwę krasnych targów. Na te jarmarki Żydzi zawsze czekali. Oblegali je tłumnie, zawierali transakcje, zarabiali ruble. Goje zaś robili swoje — kradli. Głównie zaś gojki. Nie można było przed nimi się ustrzec. Gdy zdołałeś wytrząsnąć z rękawa takiej gojki chustę albo wstążkę, druga w tym czasie zwędziła ci tuż przed nosem świecę lub kawałek chleba świętojańskiego. Co można było zrobić?

Tu żona Nachuma, syna Wewika, Chaja Estera wpadła na pomysł. Rozstawiła swoich chłopców w sklepie. Mieli uważać, aby nikt nie kradł. A wierne jej bractwo doskonale wywiązywało się z tego zadania. Pilnie czuwało. Nie tylko napełniało sobie kieszenie chlebem świętojańskim, tytoniem, orzechami i śliwkami, ale też dorwało się do zielonej skrzynki, w której były pieniądze z utargu. Wystarczyło, żeby matka była zajęta przez chwilę klientką, a natychmiast para monet przenosiła się ze skrzynki do kieszeni. Z tym łupem bractwo udawało się do chederu, a po drodze zamieniało go na różne łakocie: ciastka makowe, groch, pestki albo... przegrywało w karty.

Gra w karty to była jakaś epidemia, która ogarnęła wszystkie chedery żydowskie. Zaczynała się w święto Chanuka i trwała przez całą zimę. Wiadomo, że w Chanukę gra się w karty. Co więcej, należy grać, bo to zbożny uczynek. Jeden gra w drejdl (kwadratowy, oznaczony literami bąk), a drugi gra w karty. Oczywiście nie mamy na myśli prawdziwych kart, tych fabrycznie drukowanych. Chodzi o nasze, przez nas samych zrobione karty, żydowskie karty. Ale to wszystko jedno. Ten sam zły duch i ten sam hazard. Gdy nadeszło święto Chanuka, rebe nie tylko nakazywał nam grać w karty, ale sam brał udział w grze. A nawet był niezmiernie zadowolony, gdy udawało mu się wygrać od nas wszystkie pieniądze, któreśmy otrzymali w prezencie z okazji święta, te tak zwane pieniądze chanukowe. Ale przegrać pieniądze chanukowe na rzecz melameda należało do przyjemności. Było to pewnym zaszczytem, nawet radością. W każdym razie — lepiej przegrać u rebeego pieniądze chanukowe, niż dostać od niego lanie. Zdaje się, że każdy rozsądny człowiek to rozumie.

A gdy minęła Chanuka, skończyło się święto i skończyły się karty, rebe wówczas głosem surowym tak oto zapowiadał, nakazywał i przestrzegał: —Hizoer wehizomer! Ktokolwiek ośmieli się wziąć karty do ręki lub tylko mówić o kartach, czy też myśleć o kartach, niech wie, że już przepadło. Niech zawczasu uważa się za obitego różgami. Widocznie rebe za młodu sam był niezgorszym łobuzem. Przepadał chyba za kartami w święto Chanuka. Inaczej trudno byłoby sobie wytłumaczyć jego postępowanie. Jakby jednak nie było, jego uczniowie przez całą zimę różnęli w karty. A czynili to z większym zapałem i bardziej hazardowo niż w czasie Chanuki. Przegrywano śniadania i obiady. Ofiarą padała groszowa gotówka. Gdy zabrakło pieniędzy, szukano na gwałt sposobów ich zdobycia. Jedni dobierali się do puszek rebeego Meira Cudotwórcy. Za pomocą słomki i wosku wydobywano pojedyncze grosze, żalodne grosze, które matka do niej wrzu

cała w piątkowe wieczory, przed błogosławieniem świec. Inni znów korzystali z tego, że posyłano ich po zakupy na targ i przy tej sposobności urywali trochę „koszykowego”. Byli i tacy, którzy po prostu dobierali się do portmonetki ojca lub do kieszeni matki. Robili to w nocy, gdy wszyscy spali. Całemu temu procederowi towarzyszył strach. Ryzyko było ogromne. A cała zdobycz szła na karty.

Był tylko jeden problem. Kiedy i gdzie? I jak tu zagrać, żeby rebe nie dowiedział się o tym? A o to dbali już koledzy ze starszej klasy. Chłopcy na schwał. Tacy jak Eli, syn Kejły, młodzieniec dojrzały do żeniaczki, rudowłosego posiadacz srebrnego zegarka, i Berł, syn wdowy, taki sobie zwykły chłopak o grubych wargach i niezwykle mocnych zębach, zdolnych przegryźć żelazo. Już wtedy zaczęła mu się sypać bródka. A sam był temu winien. Palił papierosy. Tak przynajmniej twierdził. — Zaczniście — powiadał — palić papierosy, a zobaczycie, jak wam bródka zacznie się sypać.

— I z samej ciekawości wielu chłopców nauczyło się palić papierosy. I nie tylko palić ich nauczył. Pokazał im też sposób na zdobycie „materiału” do palenia. Mówiąc prościej, nauczył ich kraść. Rzecz jasna, że za tę naukę otrzymywał zapłatę w postaci tytoniu i bibułki.

A Berł miał swoje zasady. Ten, który przynosił mu tytoń i bibułkę, zasługiwał na miano swego chłopca. Był kumplem. Ten zaś, który miał pietra albo nie mógł kraść, zyskiwał przydomek fajtlapy i ofermi. Z kolegowania nici. Bywało, że i w mordę dostawał. I to z rąk własnych Berła. O skardze na niego nie mogło być mowy. Równało się to zdemaskowaniu siebie samego. Na takie bohaterstwo niewielu mogło się zdobyć. Dlatego dalej chłopcy słuchali rozkazów Berła, syna wdowy, i wraz z nim pograżali się coraz głębiej i głębiej w otchłań. Jeden Pan Bóg wiedział, dokąd zabrnęliby z nim chłopaki, gdyby Berł, syn wdowy, nie skończył tak żałośnie. A skończył z własnej winy i w taki sposób, że nikomu z chłopców nie przyszłoby to do głowy.

Chłopcy chederowi z jego paczki byli jeszcze zbyt młodzi i niewinni. Jeszcze nie byli w stanie pojąć tego, co się właściwie wydarzyło. Wiedzieli tylko, że coś tam zaszło pewnego piątku, że przyłapano Berła po drugiej stronie łaźni w chwili, gdy po wybiciu ciemnej szybki zaglądał do kobiet w kąpieli. Trudno określić to, co się działo wtedy w miasteczku. Jego matka, wdowa, wciąż mdlała. Z chederu go wylano. Do bóżnicy nie wpuszczali. Żaden szanujący się chłopak nie śmiał spotykać się z tym „złośliwym renegatem”. Tak go wtedy nazywano. I chyba po to, aby uzasadnić tę nazwę, Berł, syn wdowy, w jakiś czas po tym (matka jego już wtedy nie żyła) wychrzcił się i przepadł.

FEJGELE DIABEL

Łobuzy wchodzą na drogę cnoty. Diabeł, nie dziewczyna. Czarownica, która łaskocze

Mimo wszystko nie należy sądzić, iż zły duch zwyciężył na całej linii, a duch dobry na zawsze pozostał w tyle. Nie wolno zapominać, że na świecie był wtedy miesiąc Elul z dniami pokuty, Rosz Haszana i Jom Kipur. Były ponadto zwykłe modlitwy, były posty, były też dni przeznaczone na umartwienie ciała. Czyli to wszystko, co porządni Żydzi kiedyś wymyślili. Nie bacząc na drobne kradzieże, karty i inne chłopięce grzeszki średniego z synów Nachuma, syna Wewika, Szolema, można by z całą pewnością zaliczyć go do wielce i prawdziwie pobożnych. Cechowała go prawdziwa bojaźń boża. Nieraz uroczyście przyrzekał sobie, że kiedy dorośnie, to z woli bożej będzie świętobliwy i porządny. Taki będzie, jak nakazywała babcia Minda, taki,

jak nakazywał rebe, i taki, jak nakazywali wszyscy porządni i pobożni Żydzi.

Bywało, i to często, że odmawiając modlitwę płakał. Bił się w piersi za grzechy. Oddalał się od swoich starszych braci i od łobuzerskich kolegów, gotowych namówić go do wszelkiego zła. Stał się prawdziwym pokutnikiem. Nadszedł czas pokuty. Nadeszły Groźne Dni.

Być porządnym i pobożnym człowiekiem to prawdziwa przyjemność. Zaś ten, który spróbował zostać pokutnikiem, przyzna, że nie ma na świecie niczego bardziej wspaniałego. Pokutnik to taki człowiek, który przeprosił się z Bogiem.

Pokonał w sobie złe instynkty i zespolił się z Duchem Świętym. Zważcie tylko, czyż może być coś lepszego od takich przeprosin? A co może być słodsze niż zwycięstwo? I co może być miłszego od Ducha Świętego? Pokutnik czuje, że jest całkowicie i absolutnie czysty, mocny, rześki, że się na nowo urodził. Z czystym sumieniem może patrzeć w oczy każdemu człowiekowi. Dobrze jest być pokutnikiem. Wręcz doskonale.

Już pierwszego dnia miesiąca Elul, gdy rozlegały się pierwsze dźwięki szofaru, wydało się bohaterowi tej autobiografii, że oto zły duch leży przed nim spętany. Tarza się po ziemi i błaga o litość. Prosi, aby go zbyt mocno nie deptano. Cóż dopiero mówić o Rosz Haszana albo o Jom Kipur? Cierpienia wywołane postem, uczucie głodu, pragnienia były tak bolesne, że chwilami śmierć zaglądała Szolemowi w oczy. A jednocześnie opór stawiany im na równi z dorosłymi sprawiał mu niewysłowioną satysfakcję. Wszystko to napępiało go jakąś nadzwyczajną słodyczą. Miało w sobie coś z pokusy. Było piękne. Tylko ten potrafi to ocenić, kto sam jest pobożny, albo ten, który był nim kiedyś. Żadna przyjemność nie może być porównywana do tej, która ogarnia człowieka opuszczającego bóżnicę w wieczór kończący Sądny Dzień. Jest zmęczony, ale oczyszczony ze wszystkich grzechów. Dusza w nim jasna i klarowna. Czeka na niego kolacja. Nogi rwą się same do domu. Poznał już przedsmak rajskiego ogrodu. Przedsmak słodkiego ciasta z mąki żytniej maczanego

w mocnej wódce. A na koniec — stop! Co tu się dzieje? Oto Żydzi zatrzymali się, aby uroczyście powitać now księżyc.

— Wprawdzie jesteśmy, Bożunciu, głodni na umór, zmęczeni na fest i wyczerpani do cna, to jednak jedno z drugim nie ma nic wspólnego — Twój księżyc uczymy modlitwą!

Ach, jak dobrze jest być Żydem. Porządny Żydem. Pokutnikiem! Istnieje jednak zły duch. Oby szczeł! Wtrąca ci się szatan paskudny i psuje cały interes. Tym razem szatan pojawił się w postaci dziewczyny o zielonych oczach. Skąd się wzięła dziewczyna — zaraz opowiem.

Zgodnie ze starodawnym zwyczajem na okres Groźnych Dni zjeżdżali się do Woronki Żydzi z okolicznych wsi.

Nazywano ich „jeszywnikami” albo „świętecznikami”. Każdy gospodarz w Woronce miał swego świętecznika i swoją świętecznicę. Świętecznikiem Nachuma, syna Wewika, był jego daleki krewny Lifszyc, zwany Hłubockim. Był to pobożny Żyd. Czoło miał szerokie. Typowe czoło myśliciela, aczkolwiek zbytnią mądrością nie grzeszył. A żonę miał również pobożną. Dwie miała pasje: modły i tabakę. Dzieci nie mieli. Mieli za to młodą służącą, sierotę po dalekiej krewniej. Nazywała się Fejgele. U łobuziaków miała inne imię: Fejgele Diabeł. Była to bowiem dziewczyna na schwał. Istny ogień. Diablica, a nie dziewczyna. Zagrywki miała wcale nie dziewczęce. Przebywała z chłopakami. Brała udział w ich zabawach. Gdy nikt tego nie widział, opowiadała im bajki i śpiewała piosenki. Przeważnie gojskie.

Pewnego razu, a zdarzyło się to w dni powszednie między świętami Sukot, gdy w nocy było jasno i ciepło, Fejgele podkładała się do legowiska chłopców. (Z powodu krewnych, którzy zjechali się na czas świąt, dzieci musiały spać na ziemi pod gołym niebem). Przysiadła się do nich na poły rozebrana, rozplatała warkocze i opowiadała bajki. Nie były to bajki, które zwykł był opowiadać kolega Szolema, Szmulik, wychowanek rebege. Fejgele opowiadała historie o duchach i czartach płatających róż

ne figle. To przewracają ludziom ubrania na lewą stronę, to przestawiają meble, odwracają kartki ksiąg, tłuką naczynia, wyciągają garnki z pieca i wyczyniają różne inne psikusy. Opowiadała o czarownikach i czarownicach oraz o tym, jak czarownica potrafi, jeśli tylko zechce, zamęczyć stu ludzi samym tylko łaskotaniem...

— Łaskotaniem? Co to znaczy samym łaskotaniem?

— Nie wiecie, co to jest łaskotanie? Zaraz wam pokażę, jak czarownica łaskocze.

I Fejgele Diabeł, rozpuściwszy włosy, zabrała się do pokazywania, jak czarownica łaskocze. Z początku chłopcy śmiali się. Potem zaczęli się wrywać. Doszło do szamotaniny. Chłopcy wpijali się palcami w jej długie, rozpuszczone włosy. Nie żalowali ani pięści, ani szturchańców. Bili jak popadło, jak Bóg przykazał. Fejgele udawała, że się broni. Widać było, że te razy sprawiają jej przyjemność. Przyjmowała je i czekała na dalsze. Twarz jej płonęła. Oczy jasnozielone błyszczały jak u kotki. W świetle księżycy wyglądała jak prawdziwa czarownica. Najgorsze jednak było to, że nie tylko pokonała ich wszystkich, ale każdego pokonanego obejmowała, przyciskała do piersi i całowała, całowała w same usta! Jedyne szczęście, że działo się to przed Hoszana Rabba, zanim jeszcze „kartka życiowa” na następny rok została podpisana w niebiosach. Pozostał czas na przebłaganie Boga, aby tych narzuconych pocałunków z babą nie zaliczył w poczet wielkich grzechów. Sam bowiem Pan Bóg mógł zaświadczyć, że stało się wbrew ich zamiarom. Skąd się wzięła ta Fejgele Diabeł? Co za stworzenie z niej było? Czy był to czart? Zły duch? A może zabląkana dusza z innego wcielenia? A może był to sam szatan Belzebub, który przyjął kształty dziewczyny, aby niewinne dzieci namówić do tak ciężkiego grzechu, jakim było całowanie się z dziewczyną, i to wbrew własnej woli?

DUCHKAWALARZ

„Domownik”, który robi kawały. Duch w potrzasku. Rozpustną dziewczką wydają za męża, a ona staje się cnotliwą żoną

Wkrótce się okazało, kim w istocie była Fejgele Diabeł. A okazało się w sposób tak przedziwny, że warto o tym opowiedzieć.

Tej samej zimy, a było to chyba tuż przed lub tuż po Chanuce, zajechał do nas Lifszyc z Hłubokiego. Przywiózł wiadomość, że w jego domu na wsi zamieszkał jakiś duch. Zadomowił się na dobre i przyczynia mu sporo kłopotów. Jest więc z tego powodu po prostu nieszczęśliwy. Z początku „kawalarz” — jak nazywał go Lifszyc — tylko drwił z nich. Co noc przewertowywał księgi Gemary, wydierał kartki z modlitewników i ksiąg biblijnych, przewracał talerze w szafie, rozbijał garnki, wrzucał do wiadra na pomyje woreczek z tefilin, przekręcał portret Montefioriego twarzą do ściany. Nie, nikt niczego nie słyszał. Później kawalarz zaczął opróżniać im kieszenie. Wykradał drobne monety z szuflady, zabrał i gdzie ukrył perły żony Lifszyc. Słowem, istne nieszczęście. Przybył więc Lifszyc do swego krewniaka, do Nachuma, syna Wewika, prosić o radę. Co robić? Czy zawiadomić władzę? A może udać się do rebege z Talna? A może wynieść się z Hłubokiego?

Wysłuchawszy jego relacji Nachum, syn Wewika, miał dwa tylko pytania: — A gdzie sypia służąca? I w jakich stosunkach jest z gospodynią? — Lifszyc obruszył się. Poczul się prawie obrażony. Po pierwsze, Fajgele jest ich biedną krewną. Żona chce ją wydać za męża. Chce jej nawet dać na posag. Dobrze jej u nich jak w raju. A po drugie śpi jak zabita w kuchni, przy zamkniętych drzwiach.

— A może ma jakichś znajomych we wsi? — Nachum

rzucił szybko pytanie. Tym razem Lifszyc wpadł w gniew. Ryknął:

— Skąd u niej znajomi we wsi zamieszkałej przez samych gojów? A może przypuszczasz, że diabełek to ptak? Broń Boże! Nachum zapewnił go, że tak nie myśli. Śmiał się ze swego głupkowatego krewniaka. Starał się przekonać Lifszycę, że diabełków i „domowników” w ogóle nie ma. Czysta bzdura. Lifszyc wiedział swoje. Przysięgał, że na własne uszy słyszał, oby tak dożył szofaru Mesjasza, jak w nocy krąży po pokoju dziwne stworzenie, które sapie i drapie pazurami. Nad ranem można zauważyć jakieś dziwne ślady kurzych łapek na rozsypanym na podłodze kuchni piasku. Spostrzegłszy, z kim ma do czynienia, Nachum, jak to się mówi, zawrócił dyszlem do tyłu. Owszem, może być, że to diabeł wesołek. Ale co z tego? Miałby więc ochotę być przy tym, gdy się zjawia. Jeśli Lifszyc zgadza się, niech go zabierze do siebie na wieś — chciałby na własne oczy zobaczyć... Skoro już postanowiono jechać, niech pojedzie wraz z nim jego młodszy brat Nysł, syn Wewika, albo, jak kto woli, Nysł Rabinowicz. Nysł — dał do zrozumienia Nachum — to chłopak zuch, to facet twardy, obdarzony krzepą. Jest więc nadzieja w Bogu, że da sobie również radę z diablikiem. No co, jedziemy?

Z największą przyjemnością! Lifszyc natychmiast zgodził się. Obiema rękami uchwycił się tej propozycji. Cała trójka odziana w ciepłe kozuchy wsiadła do sań i ruszyła na wieś do Lifszycy. Pod wieczór zajechali na miejsce. Miłym gościom zgotowano serdeczne przyjęcie. Gospodyni szykowała mleczną kolację, a oni rozmawiali o diable, który zadomowił się u Lifszycy...

Gdy Fejga podała do stołu, Nachum prowadził dłuższy wywód, że zarówno on jak i cała jego rodzina, to znaczy wszyscy z Rabinowiczów, od urodzenia już mają jakiś dziwnie mocny sen. Możesz ich wynieść wraz z łóżkiem, a nie usłyszysz. Możesz strzelać z armaty. Na nic. A przed jakimś dybukiem, przed jakimś tam diabłem-dowcipnisiem, przed zadomowionym biesem żadnego pietra nie

mają. Wcale się go nie boją, mimo że noszą przy sobie sporo forsy. Ale głupi to oni też nie są. Forsę mają głęboko wszytą i to, za przeproszeniem, w tylnej części swojej garderoby, której nigdy z siebie nie zdejmują. Poza tym wcale nie wierzą w żadne tam diabły, dybuki, zadomowione biesy, czarowników, itd. To wrogowie je wymyślili, a głupcy wierzą w te bajki.

Na to Lifszyc w swojej szczerzej naiwności odparł, iż byłoby w porządku i sprawiedliwie, gdyby złośliwy diabeł dobrał się do nich jeszcze tej samej nocy. Żeby na własnej skórze poczuli, czym to pachnie. I tak spędzili cały wieczór na rozmowie. Bracia kazali jeszcze podać sobie wino i wkrótce poczęli udawać lekko zamroczonych alkoholem. Zgaszono wreszcie światło i goście poszli spać. Z ich pokoju dochodziło głośne chrapanie. A że jeden starał się prześcignąć drugiego, powstał z tego istny koncert.

Okolo północy rozległy się krzyki. Bijatyka. Mieszały się głosy żydowskie i gojskie. Lifszycowie zerwali się z łóżka ogarnięci strachem. Zapalili światło i oto ich oczom ukazał się następujący widok: w rękach Nachuma biała, spętana postać — Fejgele Diabeł. Ze wszystkich sił stara się wyrwać, zaś Nysł, chłop jak dąb, mociuje się z Chwedorem, pisarzem gminy. Ten gryzł i kąsał. Na rękach Nysła ukazały się ślady krwi. Ale Nysł dał mu radę. Złapał go i związał jak barana. Jak tylko nastał ranek, Fejgele i pisarczyka Chwedora zaprowadzono do urzędu gminnego. Tam postawiono dwa wiadra wódki i sprawę uzgodniono tak załatwić: W związku z tym, że Chwedor sam we własnej osobie jest pisarzem gminnym, to powinien przyznać się do popełnionych kradzieży i zwrócić to wszystko, co przy pomocy dziewczki zwędził Lifszycowi. Wtedy zostanie ukarany łagodnie, to znaczy będzie wychłostany z umiarem i sprawa nie nabierze rozgłosu. Co zaś do dziewczki, to zapewniono ją w słodkich słowach, że nie przekaza jej w ręce gojów. To nie wchodzi w rachubę. Mimo że istny z niej diabeł, chociaż z niej hultajska renegatka. Jednego tylko żądają. Ma powiedzieć, gdzie są perły i inne

ukradzione przedmioty. Uroczyście obiecują jej, że wezmą ją do miasta, znajdą jej narzeczonego i wyprawią wesele na sto dwa, z muzyką, z wystawną kolacją, z pełną wyprawą plus suknią ślubną, i to natychmiast, bezzwłocznie. Tak jak przystoi każdej porządnej i koszernej Żydówce. A o całej sprawie ani mru, mru. Żaden ptak nie wyćwierka i żaden kogut nie wypieje!

I tak też się stało. Chłopa do żeniaczki dano jej ze wszech miar do rzeczy. Chłop z kośćcami. Nazywał się Mojsze Hersz. Z zawodu krawiec damski. Kumami i družbami byli Rabinowicze. Na przyjęcie weselne przyszło całe miasto. Było również naczalstwo. Wypito morze wina i piwa. Zaś Nysł Rabinowicz i stanowy przystaw tak tańcowali, że dziw brał patrzeć na nich.

Po ślubie Fejgele zmieniła się całkowicie. Była nie do poznania. Stała się nabożna niczym żona rabina. Żadnemu mężczyźnie nie śmiała patrzeć w oczy. Wobec dzieci Nachuma udawała, że ich nigdy nie znała. A jeśli w mieście zbierano jałmużnę na rzecz biednych, Fejgele pierwsza wkładała na głowę szal i ruszyła po prośbie. Nic dziwnego. Nazywano ją już starościna. Uchodziła za niezwykle bogobojną Żydówkę, ale jedno z drugim zwykle nie ma nic wspólnego. Jej panięskie przezwisko Fejgele Diabeł pozostało przy niej na zawsze. O to już dbały urwisy Nachuma, syna Wewika. Najbardziej zaś ten średni, największy urwis, autor niniejszej relacji.

RODZINA

Trzej bracia, trzy różne typy. Sprawa z urzędem skarbowym. Stryj Pinie tańczy przed śmiercią

Ojciec naszego bohatera, Nachum, syn Wewika, miał jeszcze dwóch braci: Pinie oraz wspomnianego już Nysła.

Jest rzeczą zmienną, że każdy z trzech braci stanowił odrębny typ. W niczym nie byli do siebie podobni. Najstarszy Nachum, jak już wiemy, był mieszaniną chasyda i maskila. Był filozofem, świetnie kantorowa! nabożeństwu w bóżnicy, był uczonym, dociekliwym badaczem. Z natury spokojny i milczący. Zamknięty w sobie i skłonny do melancholii. Drugi brat, Pinie, był niesłychanie bogobojny. Taśes kotn miał trochę za długi. Był to przystojny mężczyzna o pięknej twarzy, ładnej brodzie i uroczych, zawsze uśmiechniętych oczach. Z natury niezwykle ruchliwy. Udzielał się na rzecz gminy. Wścibski, potrafił wleźć w niejedno mrowisko. Rzezak na schwał. I to nie dla pieniędzy, ale dla chwały boskiej, dla mycwy. Jednym słowem, był to Żyd na sto dwa. Zawsze zajęty cudzymi sprawami. Przekonywaniem, wyjaśnianiem, sędziowaniem. Opieką nad wdowami, sierotami i w ogóle biednymi. To jedno. Cóż dopiero mówić o funkcji starosty w bóżnicy, o szkole religijnej, o Chewra Kadisza, o bractwie studiujących Misznę i o bractwie psalmistów? Mam poważną obawę, że to wszystko było mu znacznie droższe niż posiadanie na własność całego targowiska czy nawet całego jarmarku. Ciężkie pieniądze kosztowało go to wszystko. Ale skoro chodzi o mycwę, czyli dobry i miły Bogu uczynek, to co zrobić? Przeciwnie, im drożej to kosztuje, tym większa jest mycwa, czyli zasługa przed Panem Bogiem. Nie należy więc narzekać. Wtedy bowiem mycwa przestaje być mycwą. Przypominam sobie na przykład następujące wydarzenie. Pewnego razu miały się odbyć targi o pocztę. Chodziło o przejęcie warendę tej instytucji. Aby uniknąć podbijania cen w czasie przetargu, które mogło spowodować krach interesu, Żydzi wpadli na taki pomysł: kto chce pocztę wziąć warendę, powinien rozdzielić pewną kwotę pieniędzy pośród konkurentów, aby ci nie podbijali ceny i nie zepsuli interesu. Konkurentom nie można jednak wierzyć na słowo,

dlatego forszę składa się w bezpiecznym miejscu, a dopiero potem zainteresowani udają się na przetarg. A jeśli mowa o bezpiecznym miejscu, to

gdzie może być najbezpieczniej? Oczywiście, że u Pinie, syna Wewika. Pieniądże więc złożono u niego i dopiero wtedy wszyscy udali się na targi. Ale ten, który zdeponował pieniądze, spletał figła. Pod jakimś pozorem wysliznął się z sali przetargowej, pieniądze odebrał i wszystkich wystawił do wiatru. Oczywiście konkurenci donieśli komu trzeba i najpierw dobrano się do owego faceta, który zdeponował pieniądze, a potem do drugiego osobnika, u którego były zdeponowane. Panie Żydzie szanowny, bardzo przepraszamy, ale jak właściwie było? I opowiedział im Pinie wszystko po kolei. Zasadzono go więc za okradzenie urzędu skarbowego. Jego szczęście, że zamieniono mu więzienie na grzywnę.

Myślicie zapewne, że nauczyło go to rozumu? Jeśli tak, to jesteście w błędzie. Cudze sprawy, gdy tylko zdają się mieć charakter społeczny, gdy trzeba komuś wyświadczyć przysługę, są dla niego znacznie ważniejsze od własnych spraw i interesów. Dla niego porzucić jarmark i udać się na uroczystości obrzezania to fraszka. Jest przecież rytualnym rzezakiem. Nie mówię już o wydaniu za mąż biednej sierotki. To jest większa mycwa. Mycwą też jest tańczyć przez całą noc na tym weselu z biednymi rodzicami narzeczonego. Nieczęsto się zdarza taka okazja.

Mówiąc o tańcach trudno powstrzymać się od wyrażenia podziwu dla jego umiejętności tanecznych. Skąd u takiego Żyda, u tego człowieka na wskroś bogobojnego, takie wspaniałe umiejętności? Gdzie się tego nauczył? I kto był jego nauczycielem? Dla niego takie tańce, jak chasydzki, kozak czy fonia, to doprawdy betka.

— Cisza! Uwaga! Reb Pinie zatańczy „chasyda”!

— Kobiety na bok! Reb Pinie pokaże nam, jak się tańczy fonię.

I ludzie rozstępują się. Formują szpaler. Stryj Pinie tańczy „chasyda”, rżnie kozaka albo wywija fonię. A publika podziwia. Tego jeszcze nie było.

Im biedniejsze było wesele, tym większa była zabawa. A dokładniej, im biedniejsi byli gospodarze weseliska, tym gorliwiej tańczył stryjek Pinie. Popisywał się takimi

sztuczkami, że oko bielalo. A robił to tylko dla mycwy, by spełnić dobry uczynek, by rozweselić młodą parę. Warto było podziwiać stryja Pinie, gdy tańczył pod świecznikiem z płonącymi świecami albo „pod lustro”. A tańczył lekko z takim wdziękiem i gracją, że mogliby mu pozazdrościć najwięksi tancerze współczesnego świata. Tylko bilety sprzedawać. I zebrałyby się pokaźna suma. Kapota odrzucona precz, tałas kotn na wierzchu, rękawy zakasane, spodnie rzecz jasna wpuszczone w cholewy butów, a nogi ledwo, ledwo dotykają podłogi. Głowa podrzucona do góry, oczy przymknięte, na twarzy zachwyty i uniesienie jak podczas modłów. A muzykanci grają żydowskie kawałki. Tłum klaszcze w dłonie. Koło coraz bardziej się powiększa. A tancerz, omijając świecznik z płonącymi świecami, wpada w coraz większą ekstazę.

Nie! to nie był taniec. To była raczej służba boża, misterium. A ja znowu zadaję to samo pytanie: — Skąd się wziął u tego bogobojnego Żyda taki talent i taki kunszt taneczny? Gdzie się tego nauczył? I kto mógł być jego nauczycielem?

— Zagadaliśmy się o tańcach, a tymczasem zapomnieliśmy o trzecim bracie, o Nysle. Poświęćmy mu kilka słów w następnym rozdziale.

STRYJ NYST I CIOCIA HUDŁ

Stryjek Nysł hula. Ważny w oczach naczalstwa. Żona — utrapienie. Udawał czynownika, nawarzył piwa i uciekł do Ameryki. Talent poety

O ile dwaj starsi bracia, Nachum i Pinie, byli chasydami, to trzeci, najmłodszy, Nysł, syn Wewika, albo — jak się ostatnio lubił nazywać — Nysł Rabinowicz, był już absolutnie świecki. Ubierał się niczym szczygieł. Kapota z tyłu

rozcięta. W tamtych latach znamionowało to franta. Lakierowane buty na modłę niemiecką i pejsy mocno, mocno podwinięte. Sposób postępowania demokratyczny. A konkretnie? W bóżnicy miał, jak wszyscy poważni obywatele, swoje stałe miejsce przy ścianie wschodniej, ale siedział zawsze na szelongu w przedsionku świątyni. W rękę miał Pięcioksiąg z komentarzem i głosił prostym ludziom opowieści o reb Mojszele Wajnsztajnie, o Montefiorim i Rotszyldzie. Miał świetny basowy głos. Lubiał śmiać się i sam innych rozśmieszał. Najbardziej śmiały się kobiety i dziewczęta. Po prostu pękały ze śmiechu. Czym je rozśmieszał — czort wie. Wystarczyło, aby powiedział jedno słowo, a już wybuchały bomby śmiechu.

I cóż to był za hulaka! Bez niego każde wesele było po prostu pogrzebem. Nysł, syn Wewika, a raczej Nysł Rabinowicz, potrafił wskrzesić umarłych. Przy nim wszyscy stawali się rozmowniejsi. Ogarniała ich ochota do śmiechu, do tańca. Różnica między nim a stryjem Pinie polegała na tym, że Pinie sam umiał tańczyć, zaś Nysł potrafił skłonić innych do tańca. Wszyscy wypijali z nim brudzia. Wszyscy wraz z nim śpiewali i tańczyli. Pierwszym był prystaw. Z nim to się zamieniał czapkami. Słowem, ubaw na potęgę.

A w ogóle to Nysł był z naczalstwem za pan brat. Miastem rządził twardą ręką tak, jakby on sam był naczelnikiem, czynownikiem lub innym urzędnikiem. Do tego wszystkiego miał jeszcze pysk niewyparzony. Mówił po rosyjsku jak prawdziwy Fonia: — Między proczem, wasza miłost', pozwolcie pokurit na nasz szczot i cztoby nie było nikakich kakow. — Nie tylko Żydzi mieli przed nim respekt. Goje też: — Chodym do Nysela. Wyn i diło skaże i czarka horyłki budę. — Znaczy się, idziem do Nysła, on sprawę wyjaśni i gorzałka będzie.

Nysł udzielał się społecznie jeszcze bardziej niż stryj Pinie. Lubiał zawsze prawować się kimś albo za kogoś. Wydawało mu się, że zna wszystkie przepisy, wszystkie ustawy. Toć to nie bagatela. Żyd mówiący tak świetnie

po rosyjsku, wcale nie poznać, że to Żyd. Do tego jeszcze z naczalstwem za pan brat, starostę zbił jak psa, z wójtem chleje całą noc, i to u siebie w szynku, a ze stanowym prystawem całuje się jak z krewniakiem.

O ile jednak Nysł ważny był w mieście, o tyle wcale nie był ważny u swojej połowicy, cioci Hudł (wszyscy wielcy ludzie mało znaczą u swoich żon). Ciocia Hudł była kobietą niską, czarnowłosą. Jednak ta mała kobietka często napełniała swego wielkiego męża potężnym strachem. Bał się jej jak śmierci. Budziło zdumienie, iż ten wielki rośl

stryjek Nysł, ważniak u naczalstwa, tak świetnie mówiący po rosyjsku, zawsze uśmiechnięty i wesoły elegant, mile widziany przez kobiety, godził się tak łatwo na to, by jego malutka połowica waliła go po głowie poduszką albo miotłą po wypucowanej kapocie. Szczególnie umiłowala sobie tłuc go miotłą właśnie w święta. Przede wszystkim w święta Symchat Tora, i to na oczach tłumu. Mówiła przy tym: — Niech wszyscy wiedzą, jakiego to męża ma jego żona. — On jednak przyjmował to tak na niby, nie na serio. Zamykał się ze wszystkimi Żydami w salonie, otwierał butelki z wódką, zdejmował pokrywy ze wszystkich beczek z kiszonymi ogórkami, wyciągał wszystkie garnki z pieca i urządzał istny pogrom. Fatalne zniszczenia we własnym mieszkaniu. Potem przez trzy tygodnie chorował, na złość cioci Hudł. Ale warto było. Co się nachlali, to się nachlali!

Najzabawniejsze jednak, że stryjek Nysł bez cioci Hudł nie mógł ruszyć się ani na krok. Uważał ją za tęgą głowę. Nie pozostawało mu nic innego, jak zdać się na jej łaskę. Pochodziła przecież z Korsunia, z miasta położonego w kijowskiej guberni. Korsunianie znani byli z wybuchowego temperamentu. — Na to jednak jest tylko jedno lekarstwo — mówił Nysł. — Perły! — Gdyby Bóg mu pomógł i byłby w stanie kupić jej duże perły, to jej charakter, tak twierdził Nysł, uległby całkowitej zmianie. — Znam jeszcze lepsze lekarstwo — szepnął mu na ucho starszy brat Pinie, chąc mu otworzyć oczy, ale wyjawiony sekret sprawił, że Nysł zdrzął na całym ciełe.

— Niech Bóg uchwala! Niech Bóg ma nas w opiece!

— Posłuchaj mnie, Nysł! Rób, jak ci każę. Dobrze na tym wyjdiesz!

Na czym polegała ta rada, okazało się dużo później. Ten właśnie sekret roztrąbiła po mieście sama Hudł, nie przestając publicznie potępiać, przeklinać i rozstawiać po kątach całej rodziny swego męża. „Rodzinka”, innego określenia dla Rabinowiczów nie znalazła. U nich bić żonę to chleb powszedni. Prędzej jednak uschnie im ręka, nim ruszą Hudł. Całe miasto znało tę tajemnicę. Wszyscy wiedzieli, że Nysł Rabinowicz ma ciężkie życie ze swoją żoną, chociaż powszechnie uchodził za możnego, a w naczalstwie wodził rej. Lepiej gdyby nie był taki możny! To bowiem właściwie go dobijało, chociaż w ostatecznym rachunku uszczęśliwiło Nysła wraz z dziećmi i dziećmi dzieci na wieki. O tym krąży cała opowieść, prawdopodobnie zmyślona. Ja jednak mimo wszystko przekazuję ją w takiej wersji, jaką sam usłyszałem.

W małym miasteczku niedaleko Woronki, zdaje się w Brzezanie, goje skazali pewnego Żyda na wygnanie. Co tu robić? Udali się więc Żydzi do Nysła, syna Wewika, albo, jak kto woli, do Nysła Rabinowicza. Przecież taki ważny u naczalstwa, tak pięknie po rosyjsku gada i ze stanowym przystawem z dubeltówki się całuje. Wujek Nysł pobiegł w te pędy do przystawa. A ten nie może w niczym pomóc. — To — powiada — zależy od isprawnika. — Isprawnik zaś, po pierwsze, nowy człowiek, a po drugie straszny Haman, antysemita. Co więc robić dalej? Czy można dopuścić do zniszczenia człowieka i unieszczęśliwienia całej jego rodziny? — Poczekaj troszeczkę. Budiet dieto w szłapie — będzie olej! — powiedział wujek Nysł i odstawił taki mały numerek. Zdobył gdzieś mundur czynownika, przebrał się za isprawnika, złapał karete pocztową i zajechał do wsi z całą paradą. Natychmiast posłał po wójta z całą hromadą i wyszedł z pyskiem: — Kak wy smiejetie, takiesiakie? — Tupał przy tym nogami jak prawdziwy isprawnik. Krzyczał, że to nie po zakonu,

że to bezprawie, a wyrok skazujący Żyda na wygnanie podarł na kawałki. Jeśli zaś ośmielił się poskarżyć na niego gubernatorowi, to niech przyjmą do wiadomości, że on, to znaczy nowy isprawnik, jest właśnie rodzonym wujem gubernatora ze strony matki, a jego żona jest trochę spokrewniona z samym ministrem spraw wewnętrznych i zagranicznych.

Nie wiadomo, kto doniósł. Jednak afera z podartym wyrokiem i historia z gubernatorem oraz ministrem spraw wewnętrznych i zagranicznych niczym oliwa wypłynęła na wierzch. Powstała sprawa, a sprawcę, za przeproszeniem, posadzono i zasądzono. Finał był taki, że odważny stryj Nysł musiał zamienić się w uciekiniera. Mówiąc prościej, wziął i nawiął. Udało mu się. Z początku tułał się przez jakiś czas w Odessie. Tam wyrobił sobie paszport na nowe nazwisko i popłynął do Ameryki. Dotarł do Kanady. Przez pierwszy okres cierpiał biedę. Później zaczęły przychodzić letters, w których pisał, że dobrze mu się powodzi, że zażywa żywota. W jakiś czas potem sprowadził rodzinę, która też słała listy, że żyją jak w niebie. Po tym nadeszły pictures. Na tych zdjęciach wyglądali wszyscy jak hrabiowie. Panowie, panie całą gębą! Ale jak rzeczywiście wyglądało to „zażywanie żywota” i w ogóle życie w Ameryce, tego nie można było od nich wydusić.

Dopiero po trzydziestu latach, w — roku, ten, który opisuje to wszystko, przewędrował przez ocean i szczęśliwie przybył do Ameryki. Postarał się wówczas o dokładne informacje o swoim stryjkę. Dowiedział się, że stryj Nysł jest już na tamtym świecie, że pozostawił po sobie dobre imię i nie mniej dobry majątek. Jego dzieci i wnuki są, jak to się mówi w Ameryce, all right.

Jednak obraz stryja Nysła nie byłby pełny, gdybyśmy opuścili jeden istotny rys. W tym człowieku tkwiła dusza poety — lubił śpiewać pieśni, najczęściej własne. Kiedy siedział w więzieniu, ułożył wiersz o sobie. Według alfabetu. Skomponował do niego muzykę, która brała za serce. Ileż takich talentów, o których nic nie wiemy, przepadło u nas.

PINEŁE, SYN SZYMELY, JEDZIE DO ODESSY

Szymełe mówi raczej po gojsku. Opowiada wiele o Efrosie. Przenosi się do Odessy. Jego syn, Pinełe, przechodzi operację. Ziarnko grochu w uchu. Obiad pożegnalny

Bohaterowi niniejszej biografii wydaje się, jak zresztą każdemu chłopakowi żydowskiemu, że jego miasteczko jest szczytem wszystkiego, jest pępkiem świata, a Żydzi w nim mieszkający to sami wybrańcy Boga. Dla nich to Bóg stworzył ten cały świat. Zaś na czele tych wybrańców stoją dzieci Wewika Rabinowicza. Najpierwszym z pierwszych, główną ozdobą Rabinowiczów jest bezsprzecznie jego tato, Nachum, syn Wewika. Kto bowiem zasiada na widocznym miejscu przy ścianie wschodniej, zaraz po rabinie, przy samej Arce Przymierza? Do kogo najpierw przychodzą z życzeniami w święta? I u kogo zbierają się co sobotę wieczorem dla odprawienia meławe małke, kiedy śpiewają, tańczą i hulają do białego rana? Nie, nie ma niczego wspanialszego niż jego rodzina... Nie ma bogatszego domu. Nie ma człowieka większego od ojca Szołema. Nie ma nikogo pobożniejszego od jego ojca. Nie ma pobożniejszego od jego stryja Pinie. Nie ma człowieka weselszego od jego stryja Nysła. I patrząc na swego rosłego ojca Nachuma, odzianego w sobotę lub święto w swoją piękną jedwabną kapotę opasaną szerokim pasem, z napoleonką na głowie, albo na swoją maleńką matkę, Chaję Esterę, gdy unosi swoje białe delikatne ręce nad dużym, wysokim, srebrnym lichtarzem, aby pobłogosławić świecę, lub też na wysoką krzepką babcię Minde, gdy ta przekomarza się z Bogiem, jakby to był jej całkiem bliski znajomy, czy też na stryja Nysła, tego chłopca na schwał, gdy rozmawia po rosyjsku jak prawdziwy Fonia — Szolem, syn Nachuma, był pełen radości i dumy. Czuł się lepszy od swoich rówieśników. Dziękował Bogu za to, że dane mu było urodzić się w takiej właśnie rodzinie, pod

taką właśnie złotą flagą. Czuł się w niej szczęśliwy, bezpieczny niczym księżę w twierdzy, w królewskim pałacu. I oto nagle filary tej twierdzy zadrżały, zachwiały się. Pałac zaczął się przechylać. Groził zawaleniem. Cały czar szczęśliwego miasteczka nagle prysnął. Młody księżę dowiedział się, że to miasteczko nie jest pępkiem świata. Jest na świecie wiele, bardzo wiele miast większych od Woronki. Są na świecie Żydzi znacznie bogatsi od Rabinowiczów. A dowiedział się Szolem tego wszystkiego od swego nowego przyjaciela, od Pineli, syna Szymeli. I o nim teraz opowiem.

Poza dziećmi Wewika — Rabinowiczami — był w Woronce jeszcze jeden zamożny Żyd o imieniu Szymełe. Był to korpulentny Żyd z okrągłym brzuszkiem o wielce sympatycznej twarzy i ustach nieco wykrzywionych. Nie tyle był bogaczem, ile birbantem żyjącym ponad stan. Każdy rubel uważał za bękarta, którego należało się czym prędzej pozbyć. Ile miał, tyle wydawał. A kiedy nie miał, pożyczał i znowu wydawał.

W mieście uważano go trochę za heretyka, albowiem nosił sztywny kołnierzyk i bródkę ciut za okrągłą i za bardzo wypielęgowaną. Miał za to rękę otwartą i hojną. Nie skąpił jałmużny. Mógł być zwykły dzień tygodnia, a on, gdy miał na to ochotę, spraszał do siebie ludzi na dobrą libację — i hulaj dusza!

Ze wszystkich Rabinowiczów upodobał sobie szczególnie stryja Nysła. Tak jak i on kapotę miał z tyłu rozciętą, nawet pejsy nosił krótkie i lubił rozmawiać z Żydami po gojsku: — Hej, wy, sukine diety! Co tam za głodne kawały pieprzycie! Pora Bogu molitsia! — Pismo miał rzadko spotykane. Czysta kaligrafia. A to dlatego, iż był mańkutom, a mańkuci, jak wiadomo, piszą nadzwyczaj pięknie. W domu bywał gościem, tylko w święta. Odświętował i zaraz wyjeżdżał. Nikt dokładnie nie wiedział dokąd. Zjawiał się znowu podczas następnego święta. Przywoził mnóstwo podarunków. Tyle ich było, że całe miasteczko podrywał na nogi. Długo potem jedynym tematem rozmów mieszkańców były podarunki Szymeli.

Pewnego razu, gdzieś przed świętem Pesach, przyjechał nie wiadomo skąd i rozpuścił pogłoskę, że wyjeżdża z Woronki na stałe. Dokąd? Ano daleko. Bardzo daleko. Aż do Odessy! — Tylko bydlaki — powiedział — siedzą tutaj, w tym grajdołku, czort was pabień! Gdybyście byli w Odessie, wiedzielibyście przynajmniej, co to znaczy miasto. Gdybyście zajrzeli do kantoru Efrosa, to byście zobaczyli, ilu tam urzędników, czort was pabień! Ile się tam złota przelewa w ciągu dnia! Wszyscy razem moglibyście sobie tego życzyć, sukine diety, wraz ze mną!

Ludzie, rzecz zrozumiała, wysłuchali Szymeli z otwartymi ustami, wydziwiali na kantor Efrosa i na jego złoto, którego tyle tam przewala się w ciągu jednego dnia. Za plecami jednak pokpiwano sobie z Szymeli i z kantoru Efrosa. A najbardziej pokpiwał sobie Szmuel Elijahu, nowy rabin i kantor w jednej osobie, który dopiero co przybył z Baryszpola. Był to młody człowiek, niskiego wzrostu. Z charakteru łobuzowaty i bezczelny. On to powiedział: — Naplujcie mu w gębę, temu Szymełe! Po pierwsze, wcale nie wyjeżdża, a po drugie, nie do Odessy, ale trochę bliżej, do Rżyszczewa, i nie dlatego, że miejscowi ludzie to bydlaki, ale dlatego, że się zadłużył. Nawet włosy na głowie nie należą już do niego. Cha! cha! cha!

Jakby jednak nie było, czy miał jechać do Odessy, czy do Rżyszczewa, czy dlatego, że ludzie w Woronce to bydlaki, czy też wreszcie dlatego, że nie miał czym spłacić długów, bo nawet włosy już ponoć nie były jego, fakt pozostaje faktem: Szymełe nie żartował. Natychmiast po święcie Pesach zaczął pozbywać się wszystkiego za pół darmo. Wiele rzeczy rozdał. Swoje córki wystroił niczym do ślubu. Dla swoich chłopców zamówił u krawca Isruela ubrania, krótkie marynarki, jakie nosi się w Odessie. I aby miasteczko rozgrzać do białości, polecił swojej żonie Heni wydać ucztę dla wszystkich mieszkańców miasteczka. Czort ich pabień! Miały być naleśniki ekstra.

Oczywiście na ucztę przyszło całe miasteczko. A pierwszy był właśnie Szmuel Elijahu, nowy rabin i kantor.

który drwił i pokpiwał sobie z Szymeli za jego plecami. A w ogóle podlizywał mu się tak, że człowieka ogarniał wstręt.

Razem z dorosłymi przyszła na ucztę również młodzież. Zamiast jednak siedzieć ze starszymi przy stole, młodzież wolała przebywać na dworze i przyglądać się wozom z budami, na które właśnie ładowano część dobytku. I wtedy Szolem, syn Nachuma, włął wraz z najmłodszym synem Szymeli, chłopcem o wiecznie zatroskanej twarzy i ogromnych pełnych tęsknoty oczach, do wozu pod budą. Rozsiedli się tam wygodnie i rozgadali o dalekiej podróży. W tym czasie Pinele był najbliższym kolegą Szolema. Szolem lubił go za to, że Pinele wiedział prawie wszystko, co się na tym świecie działo. Nasłuchiwał się niejednego o wielkich miastach od swego ojca, a poza tym sam przebywał jakiś czas w mieście Perejasławiu, i to z powodu małego ziarnka grochu.

Pinele w czasie zabawy usiłował wetknąć w ucho ziarenko grochu, aby je wyjąć przez drugie ucho. Okazało się, że ziarenko było uparte i nie chciało w żaden sposób wyjść ani z jednego, ani z drugiego ucha. Wolało raczej pęcznieć i rosnąć w środku, wywołując przez to straszliwy ból głowy. Chłopak nie miał wyjścia i musiał wyśpiewać całą prawdę o ziarnku grochu. Było nie było, dostał lanie, aby zapamiętał: chłopczyk nie powinien wpychać sobie grochu do ucha. Następnie tak długo majsterkowano w jego uchu za pomocą drucików, pręcików, zapalek, aż trzeba było odwieźć go do Perejasławia na operację. O tej wyprawie do wielkiego miasta Pinele miał ponoć wiele do opowiadania. Posiadł kupę wiadomości. Nie dziw, iż bardzo urósł w oczach swoich kolegów. Przewyższał ich co najmniej o głowę. Toż to nie bagatela. Chłopak był w Perejasławiu. Na własne oczy widział niezliczone domy pokryte blachą. Widział trotuary na wszystkich ulicach. Zobaczył białe cerkwie z zielonymi kopułami, ze złotymi krzyżami. Widział murowane sklepy. Całe góry kawonów i melonów, jabłek i gruszek. I wszystkiego było

w bród. Walało się to po prostu na ziemi. Widział też żołnierzy ćwiczących musztrę na ulicach i wiele, wiele innych cudownych i przedziwnych rzeczy.

Od tego czasu Pinele i Szolem stali się przyjaciółmi. Trzymali sztamę. Byli jedną duszą i jednym ciałem. Nikt nie odczuł tak boleśnie wyjazdu Pinele jak Szolem. Zazdrościł mu wyjazdu i ciężko przeżywał rozstanie z przyjacielem. Pokochał go bowiem nie mniej niż swoich poprzednich kolegów.

Podczas pożegnalnego spotkania Pinele, wypucowany, w nowym garniturku, z rękami w kieszeniach, zaczął sobie jawnie drwić z Woronki: — Co to jest ta Woronka? Grajdołek, pipidówka, zabita deskami wieś. Gorsza nawet od wsi! A ludzie! Nędzarze, pętaki, golce, żebracy! To, co w Odessie posiada tylko jeden Efros, uwierz mi, tego nie mają wszyscy Żydzi z Woronki wzięci do kupy!

Potem Pinele zaczął rozwódzić się nad wielkością własną i swojej rodziny. Mówił o tym, jak za chwilę wyruszą krytymi wozami, aż się tylko będzie kurzyć. I jak to sobie trochę pojeżdżą, i co się będzie działo, gdy tylko wjadą do Odessy. Wszyscy znaczący obywatele miasta wyjdą im na spotkanie. Przywitają ich najserdeczniej chlebem i solą, świeżymi kołaczami i pieczonymi kaczkami. Nie zabraknie też doskonałego wiśniaku, a wśród witających będzie również Efros.

— A kto to jest ten Efros? — pyta Szolem cicho.

— Nie wiesz, kto to jest Efros? — odpowiada głośno Pinele. — Efros to nasz krewniak ze strony matki. To bogacz, potentat, milioner! Już ci przecież powiedziałem, głuptasku, że to, co on mieści w jednej kieszeni, tego nie mają

wszyscy tutejsi Żydzi razem wzięci wraz z miejscowymi bogaczami. Możesz sobie wyobrazić, że on wyjeżdża karetą zaprzęzoną w szóstkę koni na szpic, a karete poprzędza jeździec na rączym koniu. Ubrany jest od stóp do głowy w jedwabie i aksamity i posiada dwa futra. Jedno z gronostajów a drugie piżmowe. A w powszednie dni zajada tylko kołaczki i tylko pieczone kaczki. Zapija to najlepszym wiśniakiem...

— A co tam będziecie robili? — zadając to pytanie Szolem potyka ślinkę na myśl o pieczonych kaczkach i najlepszym wiśniaku.

— Co znaczy „co”? — odpowiedź Pineły jest prosta i zarazem poważna. — Co robią wszyscy Żydzi w Odessie? Co robi Efros? Efros ma własne spichrze z pszenicą. To i mój tato będzie miał spichrze z pszenicą. Efros ma kantor i ludzi. I mój tato będzie miał kantor i ludzi. A pieniądze będą płynąć strumieniami do naszych kieszeni. Masz pojęcie, co to jest Odessa?

I Pinele zaczął opowiadać o potędze Efrosa i pięknie Odessy, o jej trzypiętrowych kamienicach. — Głuptasku, nasze miasto w porównaniu z Odessą, jak by ci to powiedzieć — to jak mucha wobec słońca, jak mrówka wobec hipopotama!

— Można było przysiąc, że był tam i widział wszystko na własne oczy. Szolem nie spuszczał z niego wzroku. Połykał każde jego słowo i bardzo mu zazdrościł. Jedna tylko rzecz budziła jego wątpliwości. Nie omieszkał więc zapytać:

Jeśli Odessa to takie wspaniałe miasto, a Efros, ten milioner, jest ich krewnym, to dlaczego dotychczas to przemilczali? Dlaczego wcześniej nie wyjechali do Odessy?

Na to Pinele, nie namyślając się długo, odpowiedział:

— Głuptasku! Myślałeś zapewne, że to bliski krewny. Może nawet wujek? Siostrzeniec? A może powinowaty? Nic z tych rzeczy. To daleki krewny. Nawet nie związany z rodziną. Oboje, to znaczy Efros i moja mama, są tylko z jednego miasta: mama pochodzi z Międzyrzeczki, a ojciec Efrosa, jak powiadają, wywodził się właśnie z Międzyrzeczki.

Nie można twierdzić, żeby odpowiedź Pineły była wyczerpująca. Czas jednak płynął, a przyjaciele tak się zagadali na temat Odessy i szlacheckiego rodowodu Efrosa z Międzyrzeczki oraz jeszcze innych spraw, że nie spostrzegli kiedy minął ranek. A tymczasem biesiadnicy już dawno zjedli naleśniki i lekko a dziwnie zarumienieni i spoceni gospodarze stali przy wozach gotowi do poże

gnania. Przyjaźnie ściskano ręce Szymeły i jego rodziny, wymieniano pocałunki i składano najlepsze życzenia. Najbardziej rozcałował się Szmuel Elijahu, rabin i kantor w jednej osobie. Górna jego warga dziwnie jakoś była wykrzywiona, pewnie tłumil śmiech. Życzył wyjeżdżającym jak najlepiej. Oby szczęście ich nie opuściło! Ponadto prosił przekazać pozdrowienia dla całej Odessy i dla Efrosa szczególnie. Tylko żeby, na miłość boską, nie zapomniano przekazać Efrosowi przyjaznych życzeń.

— Praszczajcie, sukine dzieci! — w taki sposób Szymełe wychylając się z budy żegnał się wesoło z miasteczkiem. — Praszczajcie! Nie pominajcie Uchom! I niech wam Bóg pomoże wykaraskać się z tego bagna. Jazda!

— Jazda! — powtórzył za nim Pinele. Stał na wozie z rękami w kieszeniach, jak dorosły, i czułym wzrokiem spoglądał na swego przyjaciela Szolema. Było w tym spojrzeniu i poczucie własnej godności. Wozy ruszyły w drogę. A gdy zniknęły z oczu pozostawiając za sobą zapach kwaśnego potu i łajna oraz całą ścianę kurzu, Szmuel Elijahu złapał się

pod boki i wprost pękał ze śmiechu. Tarzał się po ziemi, jakby dziesięć tysięcy diabłów łaskotało go w pięty: — Cha! cha! Do Odessy jedzie! Do Efrosa, cha, cha, cha!

W jednej chwili dwulicowy Szmuel Eljahu zyskał sobie wroga. Śmiertelnego wroga! Był nim Szolem, syn Nachuma. Jemu wcale nie było do śmiechu. Przeciwnie, chciało mu się płakać. Raz — stracił przyjaciela. Dwa — dręczyła go zazdrość. Pinele odjechał. I to dokąd? Tak daleko! Do samej Odessy. I rzecz najważniejsza: stara, pełna wdzięku Woronka nagle jakby zmalęła, skurczyła się, pociemniała. Raptem straciła cały swój urok, blask i czar. Szolemowi ścisnęło się serce. Zgorzkniały i smutny ruszył do chederu...

PS. W jakiś czas potem, po wielu, wielu latach, okazało się, że Szmuel Eljahu, rabin i kantor w jednej osobie, miał rację. Szymełe pojechał ze swoją rodziną nie do Odessy, ale do Rżyszczewa, do małego miasteczka w kijowskiej guberni, wcale niedaleko od Woronki. Do czego

była mu potrzebna ta cała komedia z Odessą i Efrosem? O to trzeba by zapytać jego dzieci. Szymełe bowiem już dawno opuścił ten świat.

KTO ZMIENIA MIEJSCE, TEN ZMIENIA LOS

Pozegnanie Woronki. Herszt podkłada swemu współnikowi świnię. Całun babci Mindy

Skąd to się wzięło — tego autor tej opowieści nie potrafi powiedzieć. Fakt, że Szymełe zrobił początek. Natychmiast po jego wyjeździe wszyscy nieco zamożniejsi Żydzi w mieście zaczęli roztrząsać przysłowie: „Kto zmienia miejsce — zmienia los”. Mówili o przeniesieniu się do innych miast, większych niż Woronka, jak Baryszpol, Rżyszczew, Wasilków czy nawet dalej. Doszły również do uszu dzieci Nachuma wieści podawane w najgłębszej tajemnicy, że ojciec ich zamierza przenieść się wkrótce do Perejasławia, wielkiego miasta, skąd kiedyś przyjechał do Woronki, gdy była ona jeszcze całkiem malutka. Tajemniczą wieść zawsze kończono sakramentalnym: „Kto zmienia miejsce — zmienia los”.

W wyobraźni dzieci Perejasław jawił się jako miasto niewymownie duże, pełne czaru i owiane tajemnicą. — Perejasław jest miejscem pewnego zarobku — mówili między sobą starsi, a młodzież przysłuchiwała się, niewiele jednak z tego rozumiejąc. Czuli tylko, że Perejasław to jakaś bardzo dobra rzecz. Cieszyli się więc i jednocześnie żal im było rozstać się z małym miasteczkiem, w którym spędzili najlepsze swoje lata, złote czasy dzieciństwa.

„Co się stanie — zastanawiał się mały Szolem — ze starą bóżnicą woronkowską, kiedy wszyscy się rozjadą? Kto będzie siedział na ich miejscach przy ścianie wschód

nej? A góra wznosząca się po drugiej stronie bóżnicy, co z nią będzie? A co ze skarbem? Czyżby przepaść miała całe to dobro zakopane od wielu lat głęboko w ziemi, przeznaczone dla Żydów? Czyżby doprawdy miało to wszystko zniknąć, szczeznąć?”

Chociaż dorośli mieli się na baczności przed dziećmi i starali się w ich obecności nie rozmawiać o ważnych sprawach, to jednak tu i ówdzie powtarzano: — „Zmienia miejsce — zmienia los”, a z zarobkiem krucho. — Dlaczego ze zmianą miejsca zamieszkania przychodzi odmiana losu, odmiana szczęścia? I co to właściwie jest „stały zarobek”? I co to znaczy, że „krucho”? Tego jeszcze dzieciarnia nie mogła pojąć. Jednak po minach dorosłych malcy domyślali się, że coś się dzieje, coś się szykuje.

Nachum, zawsze spokojny, milczący i nieco melancholijny, jeszcze bardziej spokorniał i przycichł. Zawsze pochylony, teraz jeszcze mocniej się przygarbił. Na jego wysokim białym czole pojawiło się dwa razy więcej zmarszczek.

Zamykał się w pokoju ze swoim młodszym bratem, stryjkiem Nysłem, palił papierosa za papierosem, dusili się we dwójkę dymem i coś tam w tajemnicy szeptali. Ostatniej zimy postanowiono u Rabinowiczów odprawić meławe małkę dla całego miasta. W ostatnie święto Symchat Tora i Szmini Aceret wprowadzie jeszcze hulano, a stryjek Nysł nawet zamienił się czapką ze stanowym przystawem i tańczył z nim na dachu, ale to już było nie to. To już nie była ta hulanka i ten taniec z lat poprzednich. Nawet ciocia Hudł złagodniała, nie miała już w sobie tyle jadu. Cała rodzina była jak maszyna, która obluźowała się, z której powypadały śrubki.

Jedna tylko babcia Minda trzymała fason. Dumna, twarda niczym dąb. Tak samo dbała o czystość jak dawniej. Zawsze schludna. Tylko owoce sobotnie, zdaje się, nie były już takie jak dawniej. Jabłuszka nieco przymrożone, zleżałe i chyba trochę nadgniłe. Orzeszki nadpsute, a do fig dobrały się robaki...

Ale co do modlitwy, to babcia Minda modliła się jak zwykle. Świece błogosławiła po staremu. Robiła to gło

śno, z jakimś szczególnym zamiłowaniem, zupełnie jak mężczyzna. Przy tym zawsze rozgadała się i pogawędziła trochę z Panem Bogiem. Coś tam się działo w rodzinie Rabinowiczów. Coś tam planowano. Coś tajemniczego. Tak było przez całą zimę. Pewnego dnia tajemnica pękła niczym bąbel, wyjaśniła się. Prawda wyszła na wierzch jak oliwa. Całe miasto dowiedziało się, że współnik Nachuma od posesji, Żyd nadziany, z wiecznie czerwonym nochem (nazywał się Herszł, a że nie wymawiał litery „sz”, obdarzono go imieniem Hersł), doprowadził go do kompletnej ruiny. Po prostu okradł. Po cichu wygryzł Nachuma z posesji. W mieście powstał krzyk: — Jak to, reb Nachumie, dlaczego pan milczy? Dlaczego nie pociągnie go pan do rabina, do ludzi? — A gdy doszło już do spotkania z rabinem i z ludźmi, Hersł wszystkich wyśmiał. Rzucił przy tym kilka grubiańskich słów, właśnie z tym swoim „s”. Wstyd powtórzyć.

— Tylko łobuz tak robi! — krzyczał stryjek Nysł. Palił papierosa za papierosem, wymachiwał rękami i przysięgał, że tego hultaja, tego łobuza, tego chama wpakuje do więzienia co najmniej na dwadzieścia pięć lat. Żeby nawet nie miał nazywać się Nysł. Co to znaczy zapakować? Co to za więzienie? Jakie dwadzieścia pięć lat? Starszy brat Nachum starał się go mitygować i ostudzić. Uśmiechał się przy tym i tylko zaciągał grubym papierosem. Podłożono świnię i trzeba teraz jakoś z powrotem do Perejasławia. „Kto zmienia miejsce — ten zmienia los”?...

Były to słowa jasne i proste. Dzieciarnia pojęła je, aczkolwiek jedno było wciąż jeszcze niezrozumiałe: o jakiej świni mowa? Podejść do ojca i wprost zapytać, na to nikt by się nie odważył. Zbyt wielki szacunek żywili do ojca, aby ni z tego, ni z owego podejść i spytać: — Tato, co za świnię ci podłożono? — Dzieci spostrzegły tylko, że ojciec smuci się i chodzi przygarbiony. Każde jego westchnienie sprawiało im serdeczny ból.

— Wy tu zostaniecie przez lato, żeby skończyć naukę. Byłby to bowiem grzech przerwać ją w połowie roku szkolnego. Jak Bóg zechce, to pošlemy po was furmankę

na Święto Kuczek — rzekł do nich ojciec pewnego letniego dnia. W tym czasie podjechały akurat pod dom Rabinowiczów dwa wozy z budami. Takie same jak te, które kiedyś podjechały pod dom Szymeły. Zaczęło się pakowanie. Nastąpiło pożegnanie z miastem. Nie było wcale jednak wesoło, jak przy wyjeździe Szymeły. Jakiś osobliwy smutek ogarnął wszystkich. Na twarzach malowały się głębokie cienie. Całe miasto współczuło Rabinowiczom. — Oby Bóg miał ich w opiece. „Kto zmienia miejsce, ten zmienia los”. Litość bierze. Nieboraki... Tak mówiono wszędzie. Dzieci niewiele z tego rozumiały. Litość? Dla kogo? Jeśli już koniecznie litować się, to przede wszystkim nad babcią Mindą, która na stare lata musiała na nowo skleić swoją drewnianą skrzynię i pakować się do drogi. Teraz dzieciarnia miała okazję zajrzeć do skrzynki i zobaczyć, co się w niej znajduje. Poza wyprasowanymi jedwabnymi chustami świątecznymi, sukniami z czystego jedwabiu lub aksamitu uszitymi w dziwnych fasonach, o krótkich rękawkach, leżał tam w kątku biały lniany materiał. Był to całun staruszki, przygotowany nie wiadomo od kiedy na wypadek jej śmierci, oby nastąpiła po stu dwudziestu latach. A kiedy śmierć już nadejdzie, nie potrzeba liczyć na dzieci. Wszyscy o tym wiedzieli. Mimo to dzieciarnia nie mogła się powstrzymać i złośliwie zapytała babcię: — Na co ci tyle białego materiału? — pytanie to zadał nie kto inny, tylko najmniejszy wzrostem i największy łobuz — autor tych wspomnień.

Dostało mu się za to od babci. Dała mu solidną lekcję moralności. Zamierzała też podstawić mu stółek u tatusia. Od dawna już chciała się dobrać do tego małego diablika, tego wisusa, który za jej plecami przedrzeźnia ją i małpuje sposób, w jaki się modli, jak błogosławi świece (rzeczywiście tak było), słowem — opowie wszystko ojcu, absolutnie wszystko. Inaczej nie zazna spokoju. Ale nic z tego. Nie pisnęła słowa, ani jej się nie śniło donosić. Przeciwnie, przed wyjazdem, w czasie pożegnania, ucałowała każde dziecko z osobna i rozplakała się tak, jak tył

ko matka może płakać. A potem, gdy trzeba było już wsiadać do wozu i odjechać, po raz ostatni odezwała się do dzieci:

— Bądźcie zdrowe, dzieciątka moje! Oby Bóg dał, abyście wszystkie dożyły dnia mego pogrzebu i mogły mnie odprowadzić na cmentarz.

Dziwne jakieś życzenie.

LUDZIE ROZJEŹDZAJĄ SIĘ

Szmuel Elijahu gra w szachy. Pożegnania. Kobiety wdają się w pyskówkę. Trzeba być z żelaza, aby się nie śmiać

Dzień wyjazdu Nachuma, syna Wewika, był dla miasta dniem żałoby, zaś dla dzieci dniem radości. Istnym świętem Symchat Tora. Toć nie bagatela. Po pierwsze, nie ma nauki. Kto w taki dzień pójdzie do chederu? A po drugie, coś się przecież dzieje! Zbierają się, pakują, przesuwiają szafy. Brzęczą szklanki, dźwięczą noże i widelce, nadjeżdżają wozy. Posiłek je się tak, jak w przededniu Pesach, szybko, na jednej nodze. I wreszcie te kilka groszy, które dostajemy tytułem „odjeźdnego”. Na razie ich nie widać. Na razie ludzie przychodzą tylko po to, aby odjeżdżający powiedzieli im „bądźcie zdrowi”, a oni na to: — Jedźcie w zdrowiu! — Przychodzą, aby nawzajem życzyć sobie wielu dobrych rzeczy: zdrowia, powodzenia, szczęścia i wszystkiego najlepszego.

Wcześniej od innych zjawił się Szmuel Elijahu, rabin i kantor w jednej osobie. Szmuel Elijahu był częstym gościem u Rabinowiczów. Przychodził niemal codziennie. Jak porządny i uczciwy Żyd nie opuszcza modlitwy, tak on nie opuszczał ani jednej partii szachów z Nachumem. Szachy, to dla niego największa przyjemność. Wygrać

partyjkę z Nachumem to już szczęście. Dziwny ma jakiś nawyk Szmuel Elijahu! Gdy przegrywa — krzyczy, gdy wygrywa — też krzyczy. Ale wygrywać, to rzadko wygrywa. Najczęściej przegrywa. A gdy przegrywa, krzyczy, że popełnił błąd, że wykonał nie ten ruch, który chciał, że gdyby poszedł inaczej, to przeciwnik z pewnością przegrałby. Jeśli stryj Nysł był obecny przy takiej grze, nie znosił tego krzyku. Zwykle pytał: — Dlaczego pan krzyczy? — Ojciec jednak był człowiekiem innego pokroju. Cierpliwie i spokojnie wysłuchiwał gorączkującego się Szmuela Elijahu, uśmiechał się do własnej brody i grał dalej. Matka Szołema, Chaja Estera, nie posiadała się z oburzenia. W takiej chwili, na godzinę przed odjazdem, grać w szachy? — Ostatni już raz, Chajo Estero, oby pani była zdrowa! Wy wyjeżdżacie, ludzie rozjeżdżają się, nikt nie pozostaje. Z kim będę grał w szachy? — błaga ją Szmuel Elijahu, po czym zsuwa czapkę na tył głowy, zabiera się do gry, rozkręca się i krzyczy, że nie wyszło jak chciał, a Nachum wtedy uśmiecha się i pozwala mu wykonać inny ruch.

Ale tym razem gra nie klei się. Przychodzą coraz to nowi ludzie. Nie wypada być nieuprzejmym. Trzeba przerwać grę, zwłaszcza gdy zjawia się sąsiad, reb Ajzyk. Wprawdzie ma kozią bródkę i modli się cieniutkim głosikiem, ale jest chasydem lubawiczowskim i do tego porządnym człowiekiem. Tuż po nim przychodzi Don.

Don to młody człowiek o białych włosach. To znaczy o żółtych. Bo włosy ma białe, ale taką białą wosku. Z natury milczy. Z nikim nie rozmawia. Teraz jednak, gdy Nachum wyjeżdża z Woronki, Don rozgadał się. Sam by wyjechał, powiada, gdyby miał dokąd. A niech to szlag trafi! Chętnie odsprzedałby swój interes, gdyby miał komu. A niech to szlag trafi! Szmuel Elijahu patrzy na niego jak zbój, ale Don nie przestaje mówić. No i rozgadał się człowiek! Milknie dopiero wtedy, gdy przychodzą inni ludzie. A nadchodzi całe miasto. Jeden za drugim. Najpierw mężczyźni, a potem kobiety. U wszystkich

nosy spuszczone na kwintę. Wszyscy zatroskani, zasmuceni. Niektórzy płaczą. Jedna kobieta przyniosła nawet cukierki dla dzieci. Zaczyna Żydówka.

Bardzo zapłakane są dwie niewiasty, których wesele odbyło się w domu Rabinowiczów. Jedna to dziewczyna Fruma ze ślepym okiem, druga to Fejgele Diabeł. Obie tak szczególnie wycierały sobie oczy, tak smarkały i wydawały jakieś niesamowite piski, że Szolem, ten mały diablik i wesołek, nie mógł się powstrzymać, aby ich natychmiast nie przedrzeźniać. Wycierał sobie oczy, smarkał, piszczał zupełnie jak one. Dzieciarnia pokładała się ze śmiechu.

I wtedy zaczęła się kołomyjka. Co to za śmiech? Matka Chaja Estera, kobieta z natury sroga, a w tej chwili szczególnie zła i zdenerwowana wyjazdem, porzuciła swoją robotę i wylała na dzieci całą gorycz swego zboląłego serca. Chciała koniecznie dowiedzieć się, co to za śmiech? Co to za radość? A Fruma przyszła jej z pomocą i oświadczyła, że gotowa jest przysiąc na wszystkie świętości, iż sprawcą tych śmiechów jest ten mały huncwot, ten samowolec, ten łakomczuch, żarłok i złopak, ten Iwan Poperyło, ten wyrzutek i wyrodek... A miała akurat na myśli autora niniejszej książki, który w owej chwili stał jak nieborak, jak niewiniątko Bogu ducha winne. Z całą pewnością nie ominęłaby go porządna nauuczka na odjezdne, gdyby akurat w sprawę nie wmieszała się babcia Minda. Wybawiła go od sromotnego lania.

Widząc, że z wnuczką krucho, babcia zwróciła się na głos do zgromadzonych ludzi:

— Dzieciatka! Panuje u nas od lat najdawniejszy zwyczaj, że przed wyjazdem trzeba przysiąc na małą chwilę...

Babcia Minda usiadła na kanapie, która była już za stara, aby zabierać ją do Perejaślawia, a kupić jej nikt nie chciał. Wszyscy poszli w jej ślady i usiedli. Zapanowała na chwilę cisza. Słyszeć było tylko przelatującą muchę. I nastąpił ostatni akt. Najcięższy; pożeganie i pocałunki. Ale, dzięki Bogu, jakoś to przeszło. Wozy już go

towe. Jeszcze raz „bądźcie zdrowi” i jeszcze raz „szerokiej drogi”. I znowu chustki do oczu, pociąganie nosem i piski. Boże, ratuj! No i powstrzymaj się tu i nie naśladuj tych bab, gdy twarze w płaczu tak bardzo się wykrzywiają. Piszczą i piszczą. Nie dają nawet innym należycie się pożegnać. Nagle smutek ogarnia duszę. Litość bierze na widok ojca, żal matki, żal babci Mindy. Oto wynoszą jej skrzynię z żelaznym okuciem. Leży tam materiał na całun. Coś mnie za serce ścisnęło. Coś targnęło moją duszą. Zbiera mi się na płacz. Zwłaszcza gdy widzę, że nawet stryjek Nysł wyciera sobie oczy ukradkiem...

Czyżby stryj Nysł płakał? Jak to możliwe? Ojciec przywołuje dzieci po kolei, wyciąga z portmonetki srebrne monety i każdemu wręcza po jednej. Mama też tak robi. A babcia Minda zawczasu jeszcze przygotowała dla każdego papierowe zawiniątko z drobniakami. Grosz do grosza, i to ładny grosz. Olaboga, niech już wozy ruszają! I oto tłum wysunął się naprzód. Jedźcie z Bogiem! Powodzenia! Z budy wychyla się głowa babci Mindy. Jakby chciała jeszcze raz, ostatni, objąć spojrzeniem miejsce, które opuszcza na zawsze, na wieki... Znowu ogarnia nas smutek. Trwa chwilę i znika. Chcielibyśmy już przeliczyć nasze drobnaki...

Po wielkim rozgardiaszu zapanowała cisza. Zaległo milczenie. Wozy odjechały. Pozostał po nich gęsty kurz, zapach smoły i jakaś dziwna pustka. Tłum powoli zaczął się rozchodzić. Pojedynczo, z pewnym uczuciem wstydu. Jeden tu, drugi tam. Każdy czuł się jak obity różgami. Stryjek Nysł wyparował jak kamfora. Najdłużej ze wszystkich pozostał Szmuel Elijahu, kantor. Długo jeszcze stał i patrzył za odjeżdżającymi. Rękami zasłaniał oczy przed słońcem, które, prawdę mówiąc, wcale tak mocno nie świeciło. Następnie z gorzkim uśmiechem na ustach wycedził do siebie: — Ludzie rozlążą się jak te robaki — i trzy razy splunął.

GERGELE ZŁODZIEJ

Mojsze, rzezak i cadyk. Gergele, młodzieniec z pękniętą wargą. Sztuka zdobywania jabłek. Ujęty podczas kradzieży tabaki. Śmierć rebege

To jasne, że dzieciarni nie pozostawiono w miasteczku na pastwę losu. Ojciec chciał znaleźć dla nich mełameda, który byłby jednocześnie i nauczycielem, i wychowawcą, i opiekunem. To znaczy, że dzieci miałyby u niego pobierać naukę i być na wikcie. Rebe miał nad nimi roztaczać opiekę. Poszukiwania ojca zakończyły się sukcesem. Rebe i opiekun w jednej osobie, którego ojciec wyszukał dla dzieci, był ze wszech miar udany. Był to właściwie syn starego rzezaka rytualnego, Mojsze rzezak...

Był to bardzo wartościowy młodzieniec. Istne cacko. Biegły w nauce, doskonały znawca Tanachu. Prawdziwy brylant. Miał tylko jedną wadę — ze zdrowiem był nie całkiem w porządku. Zbyt dobry z natury, zbyt miękki. Swoich uczniów wiódł całkiem nową drogą pedagogiczną — bez różg, tylko za pomocą dobrego, ciepłego słowa. Dzieci do tego zupełnie nie były przygotowane, dlatego też wodziły rebege za nos i nieraz wyprowadzały go w pole. Nie uczyły się, nie modliły się, a gdy rebe zachorował na dobre i musiał położyć się do łóżka, zaczęły po prostu zbijać baki. Zaprzyjaźniły się wtedy z Gergele Złodziejem.

Był to sierota, biedne chłopczyśko o bękarcich oczkach pełnych sprytu, źle odziany i bosy, z pękniętą wargą. Istny włóczęga. Naprawdę nazywał się Gerszon, ale jego matka Sure Fejge, kucharka, przekreśliła jego imię, jak twierdził.

Przezwisek zaś „Złodziej” przypiął mu jego przybrany ojciec Josef Meir, drwal, chociaż wtedy jeszcze Gergele nikomu niczego nie zwędził. Gdyby, powiadał, nie nadano mu tego przydomka, to być może nigdy nie

zostałby złodziejem. Teraz to już na złość zostanie złodziejem. Oby tylko było co kraść.

W taki sposób Gergele Złodziej z ważną miną pysznił się przed Szolem, synem Nachuma. Ten był zachwycony chłopakiem o bystrych oczach i pięknej wardze. Poznali się w chederze rzezaka Mojszy. Przez cały tydzień Mojsze był melamedem w chederze, tylko w czwartek uprawiał zawód rzezaka. W ten dzień wszystkie kobiety i wszystkie dziewczęta przychodziły do niego ze swoimi kurami, kaczkami i gęsiami. Razem z nimi przypalała się jakiś młodzieniaszek. Był to właśnie Gergele. Przyniósł do zarżnięcia kurę. Mama jego, kucharka, szykowała kurę na sobotni obiad.

Czekając na rzezaka Gergele zabawiał kobiety i dziewczęta. Urządzał nieprawdopodobne kawały. Odstawiał takie wariackie numery z piskiem i tańcem, że wszystkie baby zaczęły go przeklinać i wyzywać od złodziei, przechrztów, renegatów i wszelkich choler, pokładając się jednocześnie ze śmiechu. „To mój typ” — powiedział sobie w duchu Szolem i szybko zaprzyjaźnił się z nim. Oczywiście w tajemnicy. Nikt nie mógł o tym wiedzieć, dziecko bowiem z dobrego domu nie mogło sobie pozwolić na przestawanie z synkiem kucharki, i do tego złodziejem.

W tej przyjaźni z chłopcem, z którym mógł spotykać się tylko potajemnie i tylko o zmroku, między Minchą i Maariw, była jakaś szczególna przyjemność, szczególna słodycz. Można przecież trochę pogadać, odstawić kilka sztuczek i puścić się biegiem ze szczytu góry. I jakaż to była radość, gdy mogłeś mu wetknąć ukradkiem parę groszy, cukierek lub kawałek chleba. Gergele przyjmował wszystko z godnością i radością. W żaden sposób nie traktował tego jako jałmużnę. Nie dziękował nawet. Brał jako rzecz należną mu, z ochotą i łapczywie. Kazał nazajutrz również coś przynieść. Udzielał rad, jak zdobyć, to znaczy zwyczajnie ukraść! Ale nie na chama, tylko delikatnie.

Gergele na przykład nauczył swoich kolegów, i to

w bardzo krótkim czasie, jak można zdobyć jabłka i grusze na targu. Całkiem darmo. Nie z obcych sadów, broń Boże. Jakież bowiem dziecko z dobrego domu odważy się przeleźć — niczym goj — przez parkan obcego sadu, gdzie kręci się stróż gotowy połamać kości i waruje pies zdolny rozszarpać człowieka? Zdobyć darmo jabłka, ile dusza zapagnie, nauczał Gergele, można lekko, w sposób niemal zabawowy. Człowiek nie narusza wówczas nawet przykazania Bożego. A jak to jest możliwe? Posłuchajcie i sami powiedzcie, czy to kradzież.

Jest lato. Grusze i jabłka dopiero dojrzały. Zbliża się wieczór. Na rynku siedzą jeszcze baby z rozłożonym na ladach lub na ziemi towarem. Gadają o urodzaju na owoce. Mówią o tym, że od dłuższego czasu nie ma deszczu. A że nie ma deszczu, więc pełno kurzu, a że kurzu dużo, to i roi się od pcheł... Mężowie tych kobiet są w tym czasie w bóżnicy. Odbęniają Minchę i Maariw. I wtedy jest najlepsza pora. Wtedy chłopaki wyruszają do „pracy”. Zdobывают darmowe jabłka. Chłopaki na bosaka, uzbrojeni w kijki z wbitymi w nie gwoździami wygiętymi w kształcie haczyków, ruszają biegiem „w pole”. Nazywa się to „poczta”. Jeden jest koniem, a pozostali trzymają go za uźdę, popędzają, gwizdzą i pokrzykują: — Paszol! — A tuż przy stosach jabłek i gruszek Gergele wydaje komendę: — Pałki daloj! — Bractwo

puszcza w ruch kijki z haczykami. A że od ich biegu podniósł się ogromny kurz, nikt nie jest w stanie zauważyć, jak na haczyki nadziewają się jabłka i grusze.

I zaraz bractwo daje dyla. Po czym Gergele kładzie się na trawę, a chłopaki obok niego. Dobierają się do swego łupu. Do jabłek i gruszek. Jedni wypychają sobie nimi gęby, inni kieszenie. To ci życie! Nie sama kradzież jest słodka. Nie jabłka są słodkie. W ogóle jest wesoło. To ci frajda.

Gergele to przede wszystkim chłopak wesoły, mimo że ma ciężkie życie. Biedne chłopaczysko. Jest sierotą — kto się za nim ujmie? A w dodatku złodziej! Nutę, szames z bóżnicy, przyłapał go kiedyś z cudzym modlitewni

kiem w rękę, a Ruda Basia, która wypieka obwarzanki i bliny, wytrząsnęła z jego bluzy suchary. Takiemu to i warto, bo to mycwa, połamać kości. A na domiar złego ma pysk niewyparzony. Coś straszego. Każdemu podpadł. Każdy przykleił mu jakieś inne przezwisko. A że sam jest bez opieki, puszczone na żywioł, nie ma nic do stracenia. Podstawia więc pierwszemu lepszemu swoją bosą nogę, niczym pogrzebacz, a ten wali się i rozciąga jak długi. Nie zważa przy tym na osobę. Może to być sam rabin, rabinowa lub żona rzezaka rytualnego. Bęc i wszyscy leżą martwym bykiem! To się bardzo podobało młodemu Szolemowi. Z czasem tak sobie upodobał Gergele, że zaczął mu przynosić całe pajdy chleba ze stołu rzezaka. Oczywiście kradzione. Pewnego razu zwędził nawet kostkę cukru. Gergele lubił gryźć cukier. Najbardziej jednak przepadał za tytoniem. Uwielbiał palić papierosy. Ale jak je zdobyć? Rebe jest chory i nie pali. A ojca nie ma akurat w domu. Gergele dał radę Szolemowi. Niech wstępnie częściej do stryja Nysła. Ten przecież pali najlepszy „Diubek”. Była to dobra rada. Stryj miał hojną dłoń. Puszka z tytoniem była zawsze otwarta. Dostęp do niej nie nastęczał trudności. Stała na gzymsie za lustrem. Mały Szolem zaczął często tam zaglądać. Zapuszczał rękę, wyciągał solidne porcje „Diubeka” i dawaj ładować do kieszeni.

Ale miał pecha. Za sprawą chyba samego szatana przypętała się pewnego razu ciocia Hudł. Zobaczyła, co się święci. Licho sprawiło, że właśnie ona musiała to zobaczyć. I tu zaczęło się. Rozpętało się piekło na ziemi. Nie było takiej kary na świecie, na którą by nie zasłużył mały Szolem... Najwyższy wymiar. Szolem pragnął już tylko jednego. Niech będzie najwyższy wymiar, niech będzie kara, byle jak najszybciej! Bóg jednak sprawił cud. Miał szczęście. Właściwie było to nieszczęście. Wielkie nieszczęście. Do wuja Nysła nagle przybyli ludzie wzywający go, aby natychmiast szedł do rzezaka. Rebe Mojsze jest w agonii. Umiera. Całe miasto jest już u niego.

Dla młodego przestępcy był to kolejny cios. Może

większy niż poprzedni. Żadnego innego rebe go uczniowie tak nie kochali. Był to istny anioł, a nie melamed. Dopiero wtedy, gdy jego trumnę przykrytą kirem zaniesiono na cmentarz, zaś całe miasto szło w kondukcje pogrzebowym, dzieci Nachuma, syna Wewika, uświadomiły sobie, jaki wspaniały był to rebe. Prawdziwy brylant. Jak dalece nie potrafiły go uszanować! I potoczyły się z ich oczu łzy. Straty brata tak nie oplakiwano. Morze łez wylali po stracie młodego rebe go, rzezaka Mojsze.

Najbardziej płakał i rozpaczał Szolem. Czuł się winny wobec rebe go. Sądził, że ciężko zgrzeszył wobec niego. Rebe uważał go za najlepszego i najuczciwszego ze swoich uczniów. W rzeczywistości małeć bardzo rzadko był przygotowany do lekcji w czwartki. Udawał, że wie, kiwał głową i potakiwał. Podśpiewywał i machał ręką.

Oszukiwał! Oszukiwał! A ileż wersetów z modlitwy przepuszczał. Połowę tekstu odmawiał. A bywało, że w ogóle się nie modlił. Nie odmawiał modłów: ani Minchy, ani Maariw. Uganiał się tylko za Gergele Złodziejem. Drażnił przez płot psy goja albo kradł jabłka na targu. Tu, na tym świecie, rebe nie miał o tym pojęcia. Nie uwierzyłby w to zresztą. Tam jednak, na tamnym świecie, może już wie? Może wszystko? Wszystko?

BAŁAGULA

Meir Wełwł bałagula i jego rumaki. Wujek Nysł wśród urwisów. Kryty wóz Meira Wetwła i jego trzy rumaki. Bałagula opowiada swój życiorys

Pod koniec lata (trwały jeszcze upały, ale w powietrzu unosił się już zapach miesiąca Elul i woń jesieni) nadjechał z wielkiego miasta Perejasławia kryty wóz zaprzężo

ny w trzy konie. Zajechawszy pod dom wuja Nysła bałagula, wielce rozmowny Żyd imieniem Meir Wełwł, wygramolił się z budy i wyciągnął gdzieś z głębi kieszeni liścik od Nachuma, syna Wewika, do swego brata Nysła Rabinowicza. W liście Nachum donosił, że furmankę wysłał po to, aby sprowadzić dzieci. To po pierwsze. Po drugie zaś przysłał dzieciom trzy pary bucików z cholewami. Po parze na każde dziecko. Po trzecie zaś — żywność. Ciastka, jajka na twardo i gruszki. Na dwa dni. Tyle trwa droga. Poza tym specjalnie od babci Mindy ciepłą kołdrę i stary szal dla opatulenia dzieci, jeśliby, nie daj Bóg, było zimno lub padał deszcz. Bałagule przykazano, aby, broń Boże, nie zapomniał posadzić dzieci na wóz wczesnym rankiem następnego dnia, tuż po modlitwie. Przenocować mają w Baryszpolu. W taki sposób, jeśli Bóg da, zdążą przybyć do Perejasławia, do domu, pod wieczór następnego dnia. Skąd wziąć farbę, by odmalować radość dzieci Nachuma, gdy przekazano im treść listu? Zwłaszcza że do listu były dołączone trzy pary butów? Z czego cieszyć się najpierw? Z nowych butów? Czy z tego, że przez dwa bite dni będą podróżować wozem zaprzężonym w trzy konie? Czy z tego, że pojutrze wieczorem znajdą się w wielkim mieście Perejasławiu?

— A podejdźcie no tu, łobuziaki, pędraki, nicponie! Siadajcie i przymierzajcie mi giem buty z cholewami! — Tak zakomenderował stryj Nysł i przy sposobności każdego z nas obdarzył prztyczkiem, to w nos, to w ucho. Stryj Nysł kochał dzieci. Własne, cudze. Wszystko jedno. Dlatego też szczonek od niego nie był żadną karą. Była to w gruncie rzeczy przyjemność, nawet gdy bolało przez dobre pół godziny. Klaps wymierzany nam przez człowieka, którego kochamy, jest też swego rodzaju podarunkiem. A dzieci kochały stryja Nysła. Już choćby dlatego, że on jeden z całej rodziny nigdy nie karał, nie strofował, nie prawił moralów i nie popędzał do nauki i modlitwy.

Przeciwnie, z dziećmi sam bawił się jak urwis. Lubił pośmiać się, płatać figle. Bywało, że i on czasem wpakował w nos jakiemuś Żydowi, który zasnął w bóżnicy, porządną porcję tabaki, a gdy ten zerwał się ze snu i potężnie kichnął, i rozkaszał się, stryjek Nysł wraz i urwisami wołał: — Na zdrowie! — A co wyprawiał w dni święta Symchat Tora!

Wtedy był największym urwisem ze wszystkich urwisów. Napoił pijaka Gedalię wódką, a potem wraz z urwisami związał mu ręce i nogi jak baranowi i zamknął w celi, jedną zaś rękę przywiązał do sznura zaczepionego o serce dzwonu. Gdy Gedalia po wytrzeźwieniu chciał wstać, pociągnął mimo woli za sznur i dzwon rozdzwonił się jakby na pożar. Wtedy całe miasto zbiegło się z krzykiem i lamentem: — Co się pali?

Rozumiecie więc już, dlaczego tak ciężko było rozstać się z takim stryjkiem. Przy pożegnaniu pocieszał chłopaków słowem i szturchańcem: — Nie ma sprawy! Niczewo. Jeszcze się zobaczymy! I ja tu długo nie zostanę!

Po włożeniu butów z cholewami chłopaki poczuli się w swoim żywiole. Wyrośli! Natychmiast rzucili się do wozu z trzema końmi. Poznali bałagułę, który miał ich zawieźć do wielkiego miasta.

Wóz jak to wóz. Kryty budą z szarego łatanego brezentu. Wewnątrz wyścielany słomą i rogożą, zapowiadał jazdę wygodną i przyjemną. Miejsca do siedzenia miękkie. „Przyjemności” jazdy dały znać o sobie po pierwszym dniu podróży. Wszystkie gnaty bolały. Tyle o wozie. Koniki zaś zasługują na odrębne opisanie. Choćby w paru słowach. I każdy konik z osobna. Albowiem te trzy koniki pasowały do siebie jak pięść do oka. Prawdziwa trojka żydowska. Zaczniemy od środkowego, najważniejszego. Nazywał się Maudryk. Dlaczego Maudryk? Tego nikt nie wie. Może dlatego, że imię Maudryk pochodzi od słowa mudyj, co oznacza „mędrzec”. Bogiem a prawdą Maudryk do zbyt mądrych nie należał. Za to lat miał wiele. To rzucało się w oczy. Morda stara, z oczu lało się, ogon wyłysiały. Z szerokiego niegdyś zadu wystawały kości. Mimo to obowiązek ciągnięcia wozu spo

czywał na nim. Pozostałe bowiem, dwa boczne, udawały tylko, że ciągną. Te dwa „rumaki” też miały swoje imiona. Jednego nazywano Tancerzem, jego chód przypominał bowiem taniec. Nie przestawał podtańcowywać, ale każda noga tańczyła sobie oddzielnie, bez oglądania się na drugą. Z takiego tańca, rzecz jasna, nic nie wychodziło. Przeszkadzał tylko Maudrykowi. Poza tym wozem trzęsło niemiłosiernie. Mogło wytrząsnąć duszę. Wyobraźcie sobie jednak, Meir Wełwł nie popuszczał Tancerzowi. — Już ty u mnie potańczysz! — Do tego dodawał uderzenie biczem albo kijem, do którego bat był przywiązany. Przez całą drogę okładał konia biczem. Uczył go rozumu. Nie na wiele to się zdało. Tancerz tym się nie przejmował. Przeciwnie, uderzony mocniej, odpowiadał pięknym za nadobne. Tylnymi nogami jeszcze żwawiej tańczył. Jakby chciał powiedzieć: „Chcesz, to masz!” Wzrostu był małego, znacznie mniejszy od Maudryka. Pysk za to miał o wiele mądrzejszy. Bez porównania. Bardzo możliwe, że Meir Wełwł nie przesadzał wcale chwając się, że Tancerz należał kiedyś do najwyższej cenionych rumaków. Ktoś jednak rzucił na niego urok i coś się stało z jego nogami. Gdy wszelkie środki zawiodły, dostał się w ręce Meira Wełwł a, a ten daje mu popalić, daje mu szkołę.

Za to trzeciego „rumaka” Meir Wełwł zostawiał w spokoju. Bardzo rzadko, chyba tylko po to, aby nie wyjść z wprawy, smagał go biczem. Była to szkapka niska i gruba. Nogi miała kosmate, a bałaguła nazywał ją Arystokratką. Miała bowiem szlachetny rodowód. — Była kiedyś — tak opowiadał w czasie podróży — własnością popa. — Skąd wzięła się u niego? Jest to cała historia. Nie da się jej opowiedzieć ze wszystkimi szczegółami. Po pierwsze, było to bardzo dawno temu. Jakże więc dokładnie pamiętać? Po drugie, cała historia w ustach Meira Wełwł a jakoś się nie kleiła. Jedno, co zostało w pamięci Meira Wełwł a to fakt, jak sam z uśmiechem opowiadał, że Arystokratka pochodziła z kradzieży. Broń Boże, Meir nie miał z tą kradzie

zą nic wspólnego. Ukradli ją całkiem inni ludzie. On ją tylko kupił za pół darmo. Nie miał wtedy zielonego pojęcia o tym, że była kradziona. Oby tak nie miał pojęcia o biedzie i nędzy! Gdyby wiedział, że pochodzi z kradzieży, i do tego u popa, za żadne skarby nie tknąłby jej. Nawet gdyby go ozłocili. Mówiąc to Meir Wełwł robi bardzo poważną minę. Tak jest. Gdyby nawet obsypali go złotem! I nie dlatego, że uważa siebie za jakiegoś świętego i boi się tknąć kradzionych rzeczy. Co to mnie obchodzi, że ktoś jest złodziejem? Skoroś złodziej, to dostaniesz za swoje na tamtym świecie. Z całkiem innej przyczyny nie kupiłby tego konia. Nie lubi policji. Nie znosi jej jak wieprzowiny. Nie chce mieć żadnych spraw z policją. Już kiedyś miał na plecach garb, nieszczęście, oszczerstwo. Wrodzy furmani podstawili mu kiedyś nóżkę. Taki Jankiel Bułgacz, szlag by go trafił! I tu Meir Wełwł zaczyna nową historię. Niby dygresyjną. Gadkę, jak już przedtem podkreśliśmy, miał nie najgorszą. Bajerował chłopaków aż do samego Baryszpola i od Baryszpola do Perejasławia. Gęba mu się nie zamykała. Wszystkiego dowiedziały się od niego. Od czasów, gdy jako chłopiec Meir Wełwł był poganiaczem koni u Jakuba Bułgacza, a potem gdy po ożenku przeszedł na swoje i został samodzielnym bałagwą, tenże Jankiel Bułgacz prześladował go, nękał i niszczył. Ma go jednak gdzieś... I o swojej żonie opowiedział im bałagwą. Jaka to była ślicznotka w czasach swego panieństwa. Przepadał za nią. Usychał z miłości. O mało co nie umarł. Taka to była krasawica. Dziś, gdyby znowu został kawalerem, nie zechciałby spojrzeć na nią. Wtedy jednak był jeszcze żółtodziobem. Chłopaki nie bardzo rozumieli słowo „żółtodziób”. Kiedy Meir Wełwł dalej snuł swoje wspomnienia, dowiedzieli się, że jego żona w niespełna rok po ślubie urodziła mu chłopczyka i potem jeszcze jednego chłopaka, wtedy zaczęli pojmywać, co to znaczy „żółtodziób”. Ukończywszy opowieść o własnym życiu, Meir Wełwł przeszedł do opisywania dziejów Jankiela Bułgacza i in

nych furmanów. Wymienił każdego z imienia i nazwiska, podał imię każdego konia, ich maść, zalety i wady. Zaznaczył, kto z furmanów ma prawdziwe „rumaki”, a kto tylko chabety, padliny, zwykłe worki z kośćmi. Od furmanów Meir Wełwł przeszedł do handlarzy koni, Cyganów, złodziei i „proroków”. Różnica między złodziejem a „prorokiem” polega na tym — Meir Wełwł wyjaśniał to prosto — że złodziej wyprowadza konia ze stajni, zaś „prorok” zgaduje i wskazuje, gdzie koń obecnie przebywa. Dlatego należy z „prorokami” trzymać sztamę bardziej aniżeli ze złodziejami. — Nie ma co. W ciągu dwóch lat dzieci nie usłyszałyby od nikogo tego, czego dowiedziały się od Meira Wełwła podczas dwóch dni podróży. Teraz, gdy poznaliśmy już bałagwę, jego wóz i jego „rumaki”, możemy wrócić na chwilkę do Woronki i opowiedzieć, jak bohater niniejszej powieści biograficznej pożegnał się ze swoim miasteczkiem, nim je opuścił na zawsze.

ŻEGNAJ, WORONKO!

Bohater żegna się z rodzinnym miasteczkiem. Troska o skarb. Gotów jest podarować Gergele Złodziejowi swoje stare buty. Głupi incydent z dziewczyną Frumą

I choć miasteczko przejadło się już Szolemowi i ludzie w nim żyjący obrzydli, a Pinele, syn Szymeły, zdołał w swoim czasie dostatecznie je poniżyć, to jednak mimo wszystko przed ostatecznym opuszczeniem Woronki nabrała ona w oczach dzieci Nachuma, syna Wewika, dawnego blasku i czaru. Serdecznie żał było się z nią rozstać. Żegnał się z Woronką Szolem jak z żywą istotą, jak

z wiernym i oddanym przyjacielem. Zaczął od sadu. Od każdego drzewa z osobna. Należały już do innego. Skończył pożegnanie na górze, która wznosiła się za bóżnicą. Spędził tam niejedną chwilę ze swoimi najlepszymi przyjaciółmi, począwszy od Szmulika sieroty i na Gergele Złodzieju skończywszy.

Specjalnie zatrzymał się w tym miejscu, w którym według obietnic Szmulika — a ten wiedział przecież najlepiej — spoczywał ukryty skarb. Stał jak zaczarowany. Samotny i skupiony w świętej ciszy. Różne myśli kłębiły się w głowie. Co będzie ze skarbem? Co się stanie, gdy wpadnie w ręce nie Żyda, lecz goja? A czy to w ogóle możliwe, żeby goj go znalazł? Na to pytanie może odpowiedzieć tylko Szmulik.

A gdzie teraz może być Szmulik? Czy spotka się z nim kiedyś w życiu? A co będzie, jeśli się spotkają? To wtedy pierwszą ich czynnością będzie chyba natychmiastowy przyjazd do Woronki. Jeszcze raz rzucić okiem na wszystkie miejsca, gdzie razem spędzili swoje chłopięce lata. Po czym natychmiast zabiorą się z całą energią do wykopania skarbu. Według wszelkich przepisów. Najpierw jeden z nich będzie pościł, następnie drugi. A gdy skończą z postem i z odmawianiem psalmów, przystąpią do pracy nad znalezieniem skarbu. Kiedy go znajdą, podzielą się nim równo. Każdą połowę rozdziela na części. Cóż to będzie za święto!

Najwięcej przypadnie, rzecz jasna, w udziale ojcu Szolemowi. Stryj Nysl też dostanie przyzwoitą część. Poza tym dostanie coś stryj Pinie, a resztę otrzymają krewni. Bardzo duża część skarbu przypadnie miastu, czyli Żydom woronkowskim. Żona rzezaka, biedna wdowa! Trzeba jej dać tyle, aby przestała gadać o powtórnym zamążpójściu i zaniechała pielgrzymki do Chwostowa, do ubogich krewnych, którzy sami ledwo zipią. Obydwie „starościny”, dziewczoja Fruma i Fejgele Diabeł, chociaż na to nie zasłużyły, też coś dostaną, znacznie więcej niż ich mężowie mogliby sobie w najśmielszych snach wymarzyć. Stara Ruda Basia, która żyje z wypieku obwarzan

ków, blinów i sucharów, a całą rodzinę utrzymuje tymi swoimi spuchniętymi rękami, powinna na starość zażywać odpoczynku. A szamesa Mejlecha i Gedalię pijaka można pominąć? Albo weźmy dla przykładu kantora Szmuela Elijahu. Ten uskarża się, iż mu za ciasno w naszym mieście. Ma wspaniały głos. Śpiewałby lepiej od niejednego z wielkich znanych w świecie kantorów, gdyby tylko miał nuty. Trzeba więc postarać się o nuty dla niego.

Pozostaje teraz tylko jeden Gergele Złodziej. Co zrobić z tym chłopakiem, aby przestał kraść? Przede wszystkim należy spowodować, żeby jego matka przestała być kucharką. Zaś jego przybranemu ojcu trzeba kupić niezwłocznie mieszkanie. Na własność. Co do pieniędzy, to należy mu dać ich tyle, aby mógł wypychać nimi wszystkie kieszenie. Trzeba mu jednak oświadczyć wyraźnie, że to nie przez wzgląd na niego, tylko z powodu pasierba Gergele. Od tej chwili niech nie śmie go bić ani przezywać złodziejem.

Nagle przed Szolemem wyrasta Gergele Złodziej. Bosy i obdarty jak zwykle.

— Skąd się wziąłeś?

— A ty?

Rozmowa. Razem ruszają na spacer. Szolem powiadamia go o swoim wyjeździe. Gergele wie już o tym. Słyszał w mieście. Zdążył nawet już obejrzeć wóz z trzema końmi.

— Widziałeś? Co powiesz o nich?

— O kim?

— O koniach.

— A co mam powiedzieć? Konie...

— A wóz z budą podoba ci się?

— Buda jak buda...

Gergele jest nie w sosie. Czegoś mu brak. Przyjaciel chce mu poprawić humor.

— Wiesz co? Przed chwilą myślałem właśnie o tobie. I akurat zjawiłeś się.

— Rzeczywiście? A co myślałeś o mnie?
— Myślałem... Miałem ciebie na myśli przy podziale skarbu.

— O jakim ty skarbie mówisz?

Szołem jest w rozterce. Powiedzieć mu czy nie? Gergele ponawia pytanie: — Co za skarb?

I Szołem opowiada mu historię o skarbie. Gergele wprost rozsądza ciekawość.

— A gdzie ten skarb się znajduje?

Szołem znalazł się w jeszcze większym kłopotcie. Powiedzieć? W oczach Gergele pojawiają się jakieś błyski.

— Czego się boisz? Sprzątnę go czy co?

Szołem żałuje już, że w ogóle zaczął rozmowę na ten temat. Przemawia więc tym samym tonem, jakim w swoim czasie przemawiał do niego Pinele, syn Szymefy. Z góry.

— Głuptasku, gdybym ci nawet powiedział i tak nie będziesz w stanie dotrzeć do niego. Do tego trzeba znać Kabałę. Trzeba też odbyć czterdzieści postów, a na czterdziesty pierwszy dzień...

— A na czterdziesty pierwszy dzień stajesz się idiotą! — Gergele przerywa Szołemu i zerka na jego nowe buty z cholewami. Widać spodobały mu się.

— Nowe?

Szołem jest zawstydzony. Ma zupełnie nowe buty, a Gergele chodzi boso. Powiada więc do Gergele:

— Jeśli chcesz, to pójdz ze mną do stryja Nysła. Dam ci coś w prezencie...

Coś w prezencie? Dlaczego nie? Gergele jest zadowolony. Idą szybkim krokiem. W domu zastają stryja Nysła oraz całą hałastrę przyjaciół, bardzo dobrych przyjaciół. Przyszli na wieść o przybyciu wozu z budą, który ma zawieźć dzieci

Nachuma do Perejasławia, aby pożegnać je i przesłać za ich pośrednictwem najlepsze pozdrowienia dla rodziców.

Wśród zgromadzonych znalazły się też obie „starościny”: Fruma oraz Fejgele Diabeł. Na razie same, bez mężów.

Nieco później przyjdą i oni pożegnać się i przesłać pozdrowienia. Wszyscy spoglądają na dzieci z szacunkiem. Jadą

przecież do wielkiego miasta, do Perejasławia. Innym już językiem z nimi rozmawiają. Udzielają

im rad. Jak mają jechać, gdzie się zatrzymać w Baryszpolu.

Stryjek Nysł, jak to ma w zwyczaju, każdemu daje prztyczka w nos i pyta, czy łobuzy napiszą kiedyś liścik do niego.

Co za pytanie? Oczywiście, że napiszą. Co tydzień list. Co tam jeden list? Dwa na tydzień. Codziennie! Kantor Szmuel Elijahu prosi o przekazanie specjalnego pozdrowienia dla ojca. Poza tym niech Nachum, syn Wewika, dowie się, że od chwili jego wyjazdu, on, Szmuel Elijachu, nie zagrał jeszcze ani jednej partyjki szachów. Bo Woronka jest teraz pustkowiem. Ciocia Hudł zrobiła się nagle tak dobra, że przyłóż do rany. Oświadczyła, że nie potrafi pojąć, jak można było wyprawić dzieci w podróż o suchym pysku. Co to za jedzenie, suche ciasteczka, twarde jajka i gruszki? I to na dwa dni podróży. Dzieci mogą umrzeć z głodu. No i zabrała się do ładowania wszystkiego, co tylko mogła przygotować. Mały garnek smalcu, słoik zepsutych, bo przecukrzonych konfitur z zeszłego jeszcze lata i powidła tak kwaśne, że po skosztowaniu możesz ujrzyć Kraków i Lwów.

Podczas gdy ciocia Hudł pakowała „przysmaki” na drogę, a dzieci były zajęte pożegnaniami, rozegrała się mała scena pomiędzy Frumą dziewczyną a Gergelem Złodziejem. Fruma, ujrawszy Gergełę Złodzieja, zmierzyła go od stóp do głowy swoim ślepym oczkiem i z głupia frant zapytała Fejgele Diabła: — Co tu robi ten złodziej? — Gergele nie czekał, co odpowie Fejgele Diabeł, i sam zadał pytanie: — A co tu robi ta ślepa? — Wyniknąłby z tego niewątpliwie skandal, gdyby Szolem nie wziął za rękę przyjaciela i nie wyprowadził go z domu. W taki dzień można wszystko zrobić. Nawet przyjaźnić się z Gergele złodziejem.

— Powiedziałem, że dam ci coś w prezencie. — I Szolem, syn Nachuma, zachwycony własną wielkodusznością, wyciąga spod marynarki swoje stare buty z cholewami i podaje je Gergele Złodziejowi. Ten widocznie spodziewał się innego prezentu niż stare, używane buty. Na dodatek był wściekły z powodu draki ze ślepą Frumą,

a także dlatego, że Szolem, jego przyjaciel, nie chciał ujawnić miejsca, w którym ukryty był skarb. Dość, że wziął buty i z całych sił grzmotnął nimi o ziemię nie ukrywając swej złości. I na bosaka dał chodu. Biegiem puścił się na przełaj i wkrótce zniknął z oczu.

Głupi incydent — a ile zdrowia kosztował. Zepsuł Szolemowi całą uroczystość pożegnania z miasteczkiem i zatruł słodycz pierwszej wielkiej podróży. Na nic były wszystkie jego wysiłki, aby zapomnieć o koledze Gergele. Ciągłe jawił mu się przed oczyma i czynił wyrzuty: — Obraziłeś, znieważylesz biednego kolegę!

I oto wóz mija już targowisko. Za sobą ma już Szolem wszystkie kramy, wszystkie sklepy, chatki, cmentarz żydowski i cmentarz gojów, minął już mostek, dobrze mu znane ustronne zakątki i koniec z Woronką. I wtedy bohater tych wspomnień poczuł nagle, że chwyta go coś za gardło. I przeniknęło go na wskroś jakieś ciepłe, tkliwe uczucie litości. Wydawało mu się, że to małe, ciche miasteczko zostało osierocone. Oczy Szolema napęłniły się łzami. Ukradkiem, aby nikt z braci tego nie widział, wytarł łzy i cicho po raz ostatni pożegnał się z miasteczkiem:

— Bądź zdrowa, Woronko! Żegnaj, Woronko!

PODRÓŻ

Podróż budą bałaguly Meira Wełwła. Myśli filozoficzne. Pierwszy postój w drodze. Baryszpol. Właściciele zajazdu z długimi nochalami. Legowisko na podłodze. Bohater żegna się na zawsze z Woronką

Tylko ten, kto sam wyrósł w małym miasteczku i po raz pierwszy w życiu wyruszył w świat boży, potrafi zrozu

mieć i odczuć to ogromne szczęście i niewysłowioną przyjemność, jaką miała dzieciarnia podczas swojej pierwszej podróży. Przez kilka godzin chłopcy nie mogli sobie znaleźć miejsca pod budą wozu. Próbowali, biorąc za wzór ojca zasiadającego w wieczór Paschy na suto wyścielanym krześle przy sederze, usadowić się na miękkich posłaniach. Wkładali ręce do kieszeni i kładli się wzdłuż wozu, wyciągając ramiona i nogi na całą długość. Dla odmiany próbowali jechać na stojąco, trzymając się rękami za obręcz budy. Tego już Meir Wełwł nie mógł ścierpieć. I mimo że wszedł z chłopcami w komitywę i przez całą drogę opowiadał im furmańskie historie, to nie zawahał się zapewnić ich, że gdyby

rozdarli brezent, nie omieszka im powyrywać nóg. Co powiedziawszy smagnął biczem „rumaki” i wóz potoczył się w szybkim tempie.

Kto pamięta smak pierwszej jazdy, ten wie, jak droga ucieka, jak ziemia ginie pod kołami, jak nikt nie pod kopytami koni, jak krajobraz przesuwają się przed oczyma, jak pachnie trawa. Jak drzy potrącona gałąź przydrożnego drzewa. Jak wdziera się do gardła świeże powietrze i łaskocze, łaskocze aż do rozkoszy. Człowieka ponosi. Chce mu się śpiewać. Jest mu dobrze. Nieskończenie dobrze.

Minęliśmy już wszystkie domy miasteczka. Lecimy dalej. Wciąż dalej. I nagle widzimy, jak przed nami wyrastają olbrzymi żywi nieboszczycy. Ich wielkie łapy krążą w powietrzu. To unoszą się w górę, to znów spadają w dół. Strach patrzeć. Dopiero z bliska widać, że to wiatraki. I one wkrótce znikają z oczu. Przed nami tylko niebo i pole. Pole i niebo. Chce się zeskoczyć z wozu. A raczej wyfrunąć z niego i wtopić się w ten błękit, który nie zna ani początku, ani końca. Mimo woli rozmyślamy o tym, jak mały jest człowiek i jak potężny jest Ten, który stworzył piękny i wielki świat. Wpadamy powoli w drzemkę.

Ale oto przed nami jakaś ogromna furmanka. Ciągnie ją para ogromnych wołów o potężnych rogach. Przy fur

mance idzie bosy goj z wielgachną czapą na głowie. Meir Wełwł wymienia z nim słowa powitania na poły po żydowsku, na poły po gojsku: — Zdrowie, człowiecze, cholera w bok nechaj tobi budę, a szlag sercowy na pewniaka! — Goj nie całkiem rozumie, co do niego mówi Żyd. Nie wie, czy mu dobrze życzy, czy źle. Stoi przeto przez chwilę strapiiony. Potem wykonuje jakiś ruch głową, mruży pod nosem jakieś podziękowanie i rusza dalej w drogę. Chłopcy pokładają się ze śmiechu. Meir Wełwł, który nawet nie uśmiechnął się, odwraca głowę i powiada: — Co to za śmichychichy, bękarty? — Ładna ci historia, jeszcze pyta, co to za śmichychichy! I tak upływa dzień. Pierwszy dzień wspaniałej podróży pod koniec lata.

Ostatnie dni lata. Ileż w nich piękna! Pola już nagie. Miejscami zaorane. Zboże dawno skoszone. Gdzieśgdzie tylko pobłyskuje jakiś kwiatek, wznosi się samotny kłos, jakaś łodyga. W ogrodach gojów widać kawony i melony. Leżą i dojrzewają. Żółcą się dynie, nabierają soków. Pną się dumnie ku górze słoneczniki. Pysznią się swoimi żółtymi papachami. A cały świat dokoła jest pełen muszek i mrówek. Brzęczą i bzykają. Skaczą pasikoniki. W powietrzu unoszą się płatki i puch. Kołyszą się jak w święto. Zapach pól przepelnia nozdrza. Świat dokoła wydaje się być tak wielki, tak niezmiernie wielki, a niebo tak bardzo okrągłe, że po raz wtóry nawiedza cię myśl, iż ludzie są za mali, zbyt mali w wielkim świecie, że tylko Bóg, którego majestatem przepelniona jest cała Ziemia, jest na jego miarę. Tylko Bóg jest na miarę tego świata...

— Złazcie, bękarty. Jesteśmy w Baryszpolu. Tu przenocujemy. Jak Bóg da, to jutro pojedziemy dalej.

Baryszpol to nowe miasto. Słuszniej jednak będzie, gdy powiem nowa wieś. Duża wieś. Domki jak w Woronce. Ludzie też tacy sami. Ale nosy inne. Może to przypadek a może nie. Chłopcy byli jednak dosyć zdziwieni, bo właściciel zajazdu, jego żona i cztery dorosłe córki, słowem, wszyscy oni mieli długie, wielgachne nosy.

A jeśli wam mało, to dodam, że ich służąca miała jeszcze większy.

Dowiedziawszy się od bałaguły, czyje to dzieci, właściciel okazał im należyty szacunek. Przywitał serdecznie starym pozdrowieniem: Szofem alejchem! — i nakazał długonosej służącej nastawić samowar. Długonosej żonie dał znak, aby podała zakąski, a długonosym córkom wydał polecenie, by natychmiast włożyły buty. Wszystkie bowiem chodziły na bosaka.

Z tymi to bosymi dziewczętami młodzi nasi podróżnicy szybko się oswoili. Z wielką ciekawością wypytywały chłopców, skąd przybywają i dokąd jadą. Pytały o imiona i o to, czy podoba im się Baryszpol. Chciały wszystko wiedzieć, nawet ile kto ma lat. Potem kosztowali wspólnie kwaśne powidła cioci Hudł. Śmiechom nie było końca. Później bawiono się w ciuciubabkę. Ten, który miał zawiązane oczy, powinien złapać wybraną osobę. Dziewczeta tak rozgrzały się tą zabawą, że gdy udało im się złapać kogoś z chłopców, to przyciskały go mocno do piersi, aż mu po prostu brakowało tchu.

Na noc pościelono im na podłodze. Podłogę wysłano słomą. Aby nie poczuli się obrażeni, długonosa właścicielka zajazdu pokazała im, że w innym kącie tej samej izby również na podłodze śpią jej córki. Nie zaszkodziło im to widocznie, bowiem wyrosły, bez uroku, nienajgorzej. Po tej uwadze gospodyni wysmarkała się porządnie. Chłopaki byliby z legowiska wielce zadowoleni, gdyby nie trzeba było rozbierać się w obecności dziewcząt. Wstydziły się. Dziewczeta zaś wcale nie czuły wstydu. Bez ceregieli zdjęły płaszczyki i zostały w samych sukienkach, z gołymi szyjami, bose. Rozpuściły włosy i dziwne jakieś wymieniały między sobą spojrzenia. Zerkały na chłopców i śmiały się, śmiały i śmiały.

— Cisza, spokój! — zakomenderował gospodarz i zgasił lampę. W ciemnościach rozległ się jednak wkrótce tłumiony śmiech i cichy szelest słomy. Nie trwało to długo. Zdrowy, mocny, młody i niewinny sen wnet przymknął zdrowe, mocne i niewinne oczy.

Modlitwa poranna, którą odmawiał z pośpiechem właściciel zajazdu, uświadomiła chłopcom, że nastał już dzień i trzeba jechać do Perejasławia. Słowo „Perejasław” przepełniało ich serca radością. Meir Wełwł, bałaguła, włożył do woreczka tańs i tefilin, a twarz jego przy tym jaśniała niczym twarz cadyka. Poszedł zaprzęgać „rumaki”.

Przekomarzał się z Maudrykiem, Tancerzem i Arystokratką w ich końskim języku. Do każdego miał jakieś pretensje. Najbardziej dostało się Tancerzowi, upominano go, żeby nie tańczył wtedy, gdy się nie gra.

Słońce świeciło. Całe podwórze przed zajazdem było jakby zanurzone w złocie. Zdawało się, że wszystko dokoła błyszczało po prostu od brylantów, lśniło od diamentów. Nawet kupa śmieci, która narosła tu od zeszłego lata, a może od ostatnich dwóch lat, pokryta była złotem. Cóż dopiero mówić o kogucie i kurach, które grzebały w śmieciach.

Każde piórko wyglądało jak czyste złoto. Gdakanie kur sprawiało przyjemność. Ich chód był pełen gracji. A gdy rudy kogut wskoczył na kupę śmieci, przymknął oczka i wyciągnął swoje do entej potęgi podniesione „kukuryku”, jakby na modłę ptasiego kantorowania, znowu objawiło się w pełni piękno świata i wielkość Tego, który go stworzył.

Przemożna chęć ogarnęła człowieka, aby oddać mu hołd, ale nie, broń Boże, poprzez modlitwę, jak to uczynił właściciel zajazdu w Baryszpolu albo Meir Wełwł, bałaguła. Nie. Na to chłopcy nie mieli najmniejszej ochoty. Taki sposób już przejadł im się. Co innego cicho, w głębi serca dziękować Bogu i chwalić go. W taki sposób — zgoda.

— Włażcie, bękart, do wozu. Przed nami jeszcze cały dzień jazdy! — Meir Wełwł popędzał chłopaków. Zapłacił za siano i owies, i pożegnał się z właścicielem zajazdu. Bractwo też pożegnało się jak należy z długonosą rodziną i wślazło pod budę. A jak tylko wóz ruszył, ogarnęła ich znowu rozkosz, słodycz. Jakaś ożywcza świeżość ogromnego przestworza napływała ze wszystkich stron. Wóz toczył się po szerokim świecie pełnym pól

i sadów, piasku, lasów i nieba. Nieba i nieba. Trochę za dużo było tego nieba. A może po prostu przejadła się już jazda. Raczej nie tyle jazda, co bałagula i jego opowieści. Zaczynało już w głowie szumieć, migać przed oczyma, kłuć w bokach. Wszystko chyba od tych wstrząsów, od tej jazdy na wozie. Zdawało się, że będzie już tak trzęsło zawsze. O, żeby zejść z wozu, poczuć grunt pod nogami. Ogarnęła podróżnych tęsknota za domem, za miasteczkiem, za Woronką. I bohater niniejszej autobiografii zaszył się w kącie wozu Meira Wełwła, westchnął głęboko i znowu serdecznie pożegnał się z miasteczkiem. Po cichu, aby bracia nie słyszeli, szeptał:
— Bądź zdrowa, Woronko! Żegnaj, Woronko!

W NOWYM DOMU

Perejasław, wielkie miasto. Chłodne przyjęcie. Srebro zastawione. Z zarobkami krucho. Ojciec zatroskany

Po dwóch dniach jazdy przesyleni kurzem i opowieściami bałaguly młodzi podróżnicy spostrzegli, że zaraz będą w domu. Minęła jeszcze chwila i z ciemności nocy zaczęły wylinać się małe światełka. Niezawodne oznaki miasta. Później koła wozu zastukały na bruku i wozem zaczęło rzucać i trząść jeszcze mocniej niż przedtem. To już było prawdziwe miasto. Wielkie miasto — Perejasław. Z hukiem i trzaskiem wtoczył się wóz Meira Wełwła na ciemne podwórko, gdzie w bramie wisiała zakopcona latarnia i wiązka siana — znak, że to zajezdny dom. To, że źródłem dochodów rodziców był obecnie dom zajezdny, stanowiło dla dzieci jednocześnie niespodziankę i zniewagę. Jak to? Ich ojciec, reb Nachum, będzie przyjmował gości? Ich matka, Chaja Estera, będzie goto

wała obiady dla nich? Ich babcia Minda będzie im usługiwała? Większego ponizienia nie mogli sobie wyobrazić. A marzyciel Szolem, który zawsze śnił o lepszych czasach, który obnosił się ze swoimi sukcesami, po kryjomu, po cichu cierpiał, płakał i tęsknił do swojej kochanej i małej Woronki. Nie rozumiał, dlaczego dorośli uznali, że kto zmienia miejsce, ten zmienia los. Ładna ci zmiana. Nie ma co mówić. — Wyłażcie, bękarty, jesteśmy na miejscu! — obwieścił im Meir Wełwł, gdy przeciągłym „prrr” zatrzymał konie przed gankiem.

Głodni, poobijani i potluczeni chłopcy pojedynczo wylazili z budy i prostowali kości. Natychmiast też rozwarły się drzwi mieszkania i na nieoświetlonym ganku pojawiły się, jedna za drugą, jakieś postacie. W ciemnościach nocy nie sposób było rozpoznać kto to, chyba tylko po głosie. Pierwsza postać była wysoka i gruba. Babcia Minda. Wyciągnęła swoją starą szyję i rzekła: — Tak! Chwała Ci, Boże, dzieci już są! — Następna postać była niewielka. Malutka i żwawa. To matka, Chaja Estera. Zwróciła się do kogoś z pytaniem: — Już przybyły? — Ów ktoś odpowiedział z radością: — Już przyjechały! — Była to osoba długa i chuderława: ojciec, Nachum, syn Wewika. Obecnie już Nachum Rabinowicz. W wielkim mieście zdymisjonowany został dziadek Wewik. Powitanie wypadło nie tak, jak dzieci oczekiwały. Wprawdzie były pocałunki, ale raczej chłodnawe. Zaraz po tym zapytano je: — A co u was? — Cóż można na takie pytanie odpowiedzieć? Nic. Pierwszą osobą, która przypomniała sobie, że dzieci mogą być głodne, była babcia Minda.

— Chcecie coś przegryźć?

— Jeszcze jak! Coś zjeść? Co za pytanie?

— A modlitwę wieczorną odmówiliście?

— A jakże!

Matka żwawo ruszyła do kuchni, aby przygotować coś do jedzenia, a ojciec wypytywał dzieci, co z nauką, co ostatnio przerabiały. Och, dużo przerobiły. Są bardzo zaawansowane! Po co jednak zwracają im głowę. Chcą przecież obejrzeć nowy dom. Nowe mieszkanie!

I szyja idzie w ruch. Rozglądają się na wszystkie strony. Chcą zobaczyć, na jakim świecie żyją. Mają przed sobą duży, ale ponury i jakby trochę głupkowaty dom.

o licznych pokojach, oddzielonych od siebie cienkimi deszczułkami. Są to pokoje dla gości, a gości nie ma ani na lekarstwo. W środkowej części domu mieści się duża sala. Tam chłopcy zobaczyli wszystkie zebrane do kupy meble z Woronki. Okrągły czerwony stół na trzech nogach, starą czerwoną kanapę o wytartych siedzeniach, czerwone lustro z dwoma wyrzeźbionymi dłońmi u góry, przypominającymi uniesione dłonie kohenów w czasie udzielania błogosławieństwa, szklaną szafę, w której widać było pesachowe wielobarwne talerze, srebrną lampkę chanukową i stary srebrny puchar w kształcie jabłka na dużej gałęzi pełnej liści. Wszystkich pozostałych srebrnych i pozłacanych szklanek, pucharów, czarek, widelców, noży i łyżek i całej zastawy ze srebra już nie było. Gdzie to wszystko się podziało? Dopiero później dowiedzieliśmy się, że rodzice zastawili to wszystko wraz z biżuterią matki u jakiegoś bogacza perejasławskiego i nigdy już nie byli w stanie tego wykupić.

— Umyjcie się! — Babcia Minda wydaje to polecenie, gdy matka, Chaja Estera, przynosi z kuchni bardzo skromną kolację. Podgrzewa kaszę z fasolą. Trzeba to zjeść z chlebem, a ten jest czerstwy. Sama kraje chleb i rozdziela każdemu po kawałku. Tego u nich w domu nigdy nie było. Żebracze obyczaj! A tato siedzi z boku i nie przestaje egzaminować, jak dalece zaawansowani są w Tanachu. Widać, że ojciec jest zadowolony. Dzieci daleko zaszły w studiach nad Tanachem, a przede wszystkim Szolem, średni syn. Ten potrafi z pamięci wyrecytować całe rozdziały z Izajasza bez zająknięcia.

Wystarczy już! Niech idą spać!

Mama zabiera chleb, który pozostał na stole i zamyka go w kredensie. Takiego zwyczaju też w Woronce nie było.

Przebrzydły nowy zwyczaj!

Trudno dokładnie ustalić, czy to długa i ciężka droga, łamanie w kościach i zmęczenie spowodowane podróżą,

czy też chłodne przyjęcie i skąpa nędzna kolacja wpłynęły na to, ale nowy dom, o którym chłopcy tak długo marzyli, nie zyskał w ich oczach uznania. Nic też dziwnego, iż poczuli się jakby dostali obuchem w łeb. Byli zadowoleni, gdy nakazano im odmówić modlitwę Kriat Szma i położyć się spać.

Pościelono im na podłodze. Wszyscy trzej chłopcy leżeli na workach wypełnionych słomą. Pokój był duży i ciemny. Pusty, bez jakichkolwiek mebli. Na dodatek przejściowy, z sali do kuchni. Bohater niniejszej autobiografii nie mógł zasnąć. Długo walczył ze snem. W głowie kłębiły się najrozmaitsze myśli. Rodziły się pytania i wątpliwości.

Wątpliwości i pytania. Dlaczego tak ciemno tu i smutno? Dlaczego wszyscy są tak zatroskani? Co się stało z mamą, że zrobiła się taka skąpa? Co się stało z ojcem, czemu tak pochylił się i zgarbił? Dlaczego postarzał się tak, że serce na jego widok aż się kurczy? Dlaczego twarz jego pożółkła i pokryła się zmarszczkami? Czy aby nie z tego powodu, o którym mówiono w Woronce, że z zarobkiem jest krucho? Czyżby to znaczyło — „zmiana miejsca zmienia los”? Co w tym wypadku należy zrobić? W tym wypadku tylko skarb może go uratować. Och, gdyby mógł przynieść ze sobą choćby małą cząstkę tego skarbu, który leży ukryty pod ziemią w Woronce.

Na wspomnienie skarbu odżywa w jego pamięci sierota Szmulik i jego cudowne bajki o pięknych skarbcach pełnych złota i srebra, diamentów i brylantów, które znajdują się w niższym raju, i o tym skarbie ukrytym pod ziemią za bóżnicą w Woronce. Od czasów Chmielnickiego. I nawiedzają go sny o skarbach, o złocie i srebrze, diamentach i

brylantach. I jawi mu się we śnie Szmulik. Twarz ma pełną wdzięku. Oczy błyszczące, a włosy wysmarowane tłuszczem. Wydaje się Szolemowi, że słyszy wyraźnie miękki, nieco ochrypły głos Szmulika, który przemawia do niego jak stary człowiek, słodko i przyjemnie. Pociesza go dobrym słowem: — Nie martw się, Szlomku kochany. Daję ci prezent. Jeden kamień z owych dwóch kamieni. Który chcesz — bierz. Masz do wyboru

jaspis i rubin. — Szolem jest w rozterce. Nie wie, co robić. Zapomniał, który kamień jest lepszy. I gdy tak zastanawia się, wyskakuje nagle Gergele Złodziej, porywa kamienie i znika. A skąd tu się wziął Pinele, syn Szymeli? Trzyma ręce w kieszeni i pęka ze śmiechu.

— Pinele! Z czego się śmiejesz?

— Z twojej cioci Hudł i jej powideł! Cha! Cha! Cha!

— Wstawać chłopcy! Pobudka! Widzieliście coś takiego? Nie sposób ich obudzić. Trzeba zabrać stąd pościel. Trzeba ugotować obiad, a oni śpią. A niech ich tam! — skarży się matka Chaja Estera. Mała, drobna kobiecinka, zahukana, zapracowana. Tyra w kuchni, tyra w całym domu. Ona jedna.

— A teraz do modlitwy! — babcia Minda wspiera matkę. W rękę ma modlitewnik i przerzuca stronicę za stronicą. Słowa modlitwy wypowiada z pełną świadomością ich treści. Nie robi przerw. — Po modlitwie pójdziecie przywitać się z rodziną. Do chederu zaczniecie chodzić, jak Bóg da, po świętach — powiada ojciec. Mówi to głosem bardzo miłym. Jest przy tym delikatniejszy od pozostałych członków rodziny. Ubrany w jakiś dziwny chałacik podbity kocim futrem, mimo iż na dworze jest jeszcze ciepło. Zgarbiony, zatroskany, zaciąga się dymem papierosa i cicho, głęboko wdycha. Tak głęboko, że serce ścisną się z bólu. Wydaje się nam, że jakoś zmałał. Zestarzał się. I ogarnia mnie okrutna i przemożna chęć, aby natychmiast wybiec z tego domu na dwór. Szybko wybiec na miasto, zapoznać się z nim i przywitać z rodziną.

WIELKIE MIASTO

Poznajemy rodzinę. Ciocia Chana i jej dzieci. Elijahu i Awrejmił egzaminują naszego bohatera z Tanachu. Egzamin z kaligrafii

O ile miasto wyglądało w nocy upiornie, mrocznie

i brzydko, o tyle w dzień błyszczało pełnym blaskiem. Chłopcom Perejasław przypadł do gustu. Małomiasteczkowi, woronkowscy chłopcy zachwycali się każdym szczegółem. Jeszcze nigdy w życiu nie widzieli takich szerokich i długich ulic z drewnianymi chodnikami po obu stronach. Nigdy nie widzieli ani nie słyszeli, aby domy były kryte blachą. Aby okna na zewnątrz miały okiennice pomalowane na zielono, żółto lub czerwono. Żeby sklepy były murowane, do tego miały żelazne drzwi. Cóż dopiero targowisko, kościoły, bóżnice i synagogi. A nawet ludzie. Wszyscy i wszystko było tu tak piękne, tak wielkie, tak czyste i tak świątecznie wesołe. Nie, Pinele, syn Szymeli, wcale nie przesadzał, gdy opowiadał cuda o tym wielkim mieście. Niczym na wrotkach ślizgali się po drewnianych trotnach, gdy z ojcem szli do domu krewnych, aby złożyć im uszanowanie. I tylko z tego powodu, że prowadził ich

ojciec, z szacunku dla niego nie zatrzymywali się co krok, aby podziwiać te wszystkie wspaniałości, które jawiły się ich oczom. Jak nakazywał zwyczaj, ojciec szedł z przodu, a dzieci postępowały za nim.

Weszli na ogromne podwórko, przeszli przez duży, szklany, jasny korytarz i trafili do bogatego, istic pańskiego mieszkania. Podłogi wypastowane. Miękkie krzesła i kanapy. Wysokie pod sufit lustra, rzeźbione szafy, kryształowe kandelabry i żyrandole oraz miedziane kinkiety na ścianach. Prawdziwy pałac. Królewskie mieszkanie. Było to mieszkanie cioci Chany. Dziwny dom. Dom bez ojca. Ciocia Chana była wdową. Dzieci jej nie słu

chały. Nie słuchały też rebego. Nikogo nie słuchały. Taka sobie mała anarchia. Każdy robił to, co chciał. A wszyscy wciąż się kłócili. Nadawali sobie nawzajem różne przezwiska. Śmiano się w tym domu głośno i potężnie. Wszyscy tu mówili naraz. Powstawała taka wrzawa, że mąciło się w głowie.

Sama ciocia Chana była kobietą dorodną, wspaniałą. Mogła uchodzić za prawdziwą damę. Za taką damę, która zażywa tabaki ze złotej tabakierki ozdobionej portretem księcia. Takiego z dawnych książąt. Z siwym warkoczem i w jedwabnych pończochach. Ciocia Chana była widocznie kiedyś piękną kobietą. Widać to po córkach. Rzadkiej piękności dziewczęta. Gdy tylko chłopcy weszli, powstała wrzawa, tumult i gwar:

— A więc to oni?

— A to jest ten mistrz Tanachul

— Ano podejdź bliżej. Nie wstydz się. Popatrzcie, jak się wstydzi. Cha, cha, cha!

Tato widać nie mógł powstrzymać się od tego, aby nie pochwalić się synem. Opowiadał o nim jako o dobrym znawcy Tanachu. Obdarzono go z miejsca tytułem mistrza Tanachu.

— Podaj mistrzowi Tanachu szklankę herbaty, daj mu też jabłko i gruszkę. Niech mistrz skosztuje, to perejasławskie owoce.

— Sza! Wiecie co? Zawołajmy Elijahu i Awrejmlą. Niech go przeegzaminują.

Wezwano zatem Elijahu i Awrejmlą. Elijahu i Awrejml to już dorośli młodzieńcy o pięknych bródkach.

Spowinowaceni z rodziną cioci Chany przez jej zmarłego wujka. Mieszkają w sąsiedztwie. Ich ojciec Icchok Jankiel to skapcianiły bogacz. Przez całe życie wojuje z urzędem finansowym. Nosi okrągłą brodę i kolczyk w lewym uchu. Na nikogo nie patrzy, z nikim nie rozmawia. Ironiczny uśmiech nie schodzi mu z twarzy. Jakby chciał powiedzieć: „Co ja tam mam z wami do gadania? Wszyscyście przecież osły”.

Jego synowie zabrali się bez zbytnich ceregieli do

egzaminowania woronkowskiego chłopca. Gruntownie, od początku do końca, nie zaglądając do Tanachu, odpowiadał na pytania. Trzeba przyznać, że chłopak z Woronki zdał egzamin celująco. Nie tylko lokalizował każde słowo, wymieniając rozdział, a nawet zdanie, ale też wskazał, gdzie występują inne słowa o tym samym rdzeniu. Ojciec promieniał z satysfakcji. Rozpierała go duma. Rósł. Twarz jaśniała mu z radości. Znikły gdzieś zmarszczki na czole. Stał się zupełnie innym człowiekiem.

A skoro tak wypadł egzamin, to mistrzowi Tanachu trzeba dać po jeszcze jednym jabłku i gruszcze. I orzeszka mu dać, i cukierki, i jeszcze raz cukierki. Piękne córki cioci Chany nie przestawały komenderować. A przydomek „mistrz

Tanachu" utrzymał się długo nie tylko w rodzinie, ale też w bóżnicy i w chederze. Koledzy inaczej go już nie nazywali, tylko „woronkowski mistrz Tanachu". Również starsi, kto tylko Boga w sercu miał, łapali go często za ucho i tak do niego mawiali: — Powiedz no, mały mistrzu, gdzie w Tanachu stoi to i to?

Mistrzowi Tanachu dom cioci Chany bardzo się spodobał. Z jej chłopcami, urwisami na schwał, Piniem i Mojszem, szybko się zaprzyjaźnił. Zdawało mu się, że drugiego takiego bogatego i wystawnego domu jak u cioci Chany nie ma nie tylko w Perejasławiu, ale na całym świecie. Gdzie to bowiem ktoś widział, aby jabłka wybierano z beczki, orzechy z worka, a cukierki z torby?

Zupełnie inaczej wyglądał dom stryja Pinie. Dom był żydowski. Ze stałą suką i mnóstwem książek, z kompletem Talmudu, z lampką chanukową i długą kręconą woskową świecą hawdałową. Gdzie mu jednak równać się z domem cioci Chany? Był to dom pobożny. Wszyscy w nim byli pobożni. Zarówno stryjek Pinie, jak i jego dzieci. Synowie noszą kapotki do samej ziemi i cyces do kolan. Córki noszą na głowach chusty głęboko naciągnięte na twarz, podkreślające ich skromność. Nie odważą się spojrzeć w twarz obcemu człowiekowi. Na widok obcego człowieka oblewają się pąsem i było, nie było, śmieją się

na kredyt. Ciocia Tema, pobożna Żydówka o białych brwiach, podobna jest do swojej matki jak dwie krople wody. Gdy stoją obok siebie, trudno odgadnąć, która to matka, a która córka. Matkę można poznać tylko po tym, że często kręci przecząco głową.

U stryja Pinie ojciec Szolem już nie chwalił się swoim mistrzem Tanachu. W tym domu nie ceni się zbytnio Tanachu. Kto uczy się Tanachu! Niedowiarki. Powstrzymać się jednak od wychwalania kaligrafii swoich dzieci Nachum, syn Wewika, nie był w stanie. Dzieci piszą tak, że mucha nie siada. — Oto ten mały — wskazał na mistrza Tanachu — ma ci rączkę. Mistrz kaligrafii!

— Dać mu pióro i atrament — zarządził stryjek Pinie. Zakasał przy tym rękawy, jakby to on miał zamiar wykonać tę robotę. — Dać mu pióro i atrament, sprawdzimy tego mistrza kaligrafii. Szybko! Natychmiast!

Polecenie stryja Pinie brzmiało jak rozkaz generała. Wszyscy chłopcy i dziewczęta rzucili się na poszukiwanie pióra i kałamarza.

— Kartkę papieru!

Stryjek wydał rozkaz tonem generała. Nigdzie jednak nie było kawałka papieru.

— Sza! Wiecie co? Niech napisze tu, na moim modlitewniku. — Na ten pomysł wpadł młodszy syn stryja Icl. Był to sympatyczny chłopak o spiczastej głowie i długim nosie.

— Pisz! — ojciec wydał polecenie mistrzowi Tanachu.

— A co mam pisać?

— Co chcesz!

Zanurzywszy pióro w atramencie, mistrz Tanachu, czy też mistrz kaligrafii, przez chwilę się zastanawiał. Po prostu nie wiedział, co napisać. Pustka w głowie. Choć weź i zabij się. Rodzina wuja doszła chyba do wniosku, że mistrz kaligrafii potrafi pisać tylko wtedy, gdy nikt tego nie widzi. Aż tu raptem przypomniał sobie to; co prawie w każdej księdze żydowskiej owych czasów było napisane na pierwszej stronie. Szolem zakasał rękaw, wykonał

ręką jakiś ruch, jeszcze raz zanurzył pióro w kałamarzu i za chwilę ukazały się następujące słowa: „Aczkołwiek mędrzy zabronili pisać na książce, to dla zrobienia znaku wolno”.

Był to coś w rodzaju wstępu, po którym następował znany tekst po hebrajsku : „Ten oto modlitewnik do kogo należy? Do kogo należy, to należy. A jednak, do kogo należy? Do tego, co kupił. A kto go kupił? Kto kupił, ten kupił. A jednak, kto kupił? Ten, kto dał pieniądze. Kto dał pieniądze? Kto dał, ten dał. A jednak, kto dał? Ten, który jest bogaczem. Kto jest bogaczem? Ten, kto jest bogatym bogaczem. A jednak, kto jest bogaczem? Bogaczem jest sławny młodzieniec Icchok, syn starego bogacza Pinie Rabinowicza z miasta Perejasław”.

Doprawdy trudno opisać furorę, którą Szolem wywołał swoim pisaniem. Zarówno pod względem formy, jak i treści. Głównie jednak kaligrafią. Mistrz kaligrafii postarał się już o to, aby tato nie zaznał wstydu. Zmobilizował wszystkie siły. Pocił się jak mysz. Wybrał najpiękniejszy i najmniejszy krój liter. Trzeba było mieć lupe, aby je odczytać. Wszystkie umiejętności pisarskie, które przyswoił sobie od rebege Zurechła, wykorzystał w tej pracy. Można śmiało powiedzieć, że reb Zurechł stworzył w miasteczku nowy styl pisania. Wyszkolił w sztuce pisarskiej całe pokolenie kaligrafów. Rozjechało się to pokolenie po całym świecie i po dziś dzień niemal każdy z nich wyróżnia się piękną sztuką pisania.

. WAKACJE

Arnold z Pidworków. Nowi koledzy. Mełamed Garmizo. Łobuziaki z Woronki pokazują, co potrafią

Między okresami szkolnymi. Kto wie, co to znaczy? Wakacje, vacation, ferie, kanikuły. Są to różne słowa, ale je

dnej treści. Nie wyjaśniają jednak tego, co to słowo znaczy dla żydowskiego chłopca.

Dziecko, które przyjeżdża ze szkoły lub gimnazjum do domu na wakacje, ma za sobą rok pełen zabaw. Zdążyło w tym czasie wytańczyć się dowoli, pohulać, pobiegać i pofiglować ze swoimi kolegami. Bardzo możliwe, że więcej figlowało, niż uczyło się. Jednak żydowski chłopak z chederu harował, niestety, przez okrągły rok. Do późnej nocy przesiadywał nad księgą. Uczył się, wkuwał i wkuwał. I nagle przerwa między okresami szkolnymi. Półtora miesiąca, czterdzieści dwa dni nieprzerwanych wakacji. Od połowy miesiąca Elul do końca miesiąca Tiszri nie będzie chederu. Czy może być większe święto? A do tego trzeba dodać również normalne święta. Nowy Rok, Jom Kipur, Święto Kuczek i Symchat Tora. I wszystko to razem na nowym terenie, w wielkim mieście Perejasławiu.

Przede wszystkim należy obejrzeć miasto. Chłopaki prawie go nie znają. Poza domem cioci Chany i wuja Pinie, oprócz wielkiej bóżnicy, starej bóżnicy i zimnej synagogi, w której śpiewa kantor Całe, chłopcy nigdzie jeszcze nie byli. A pozostało sporo ulic i mnóstwo miejsc godnych obejrzenia: rzeki Altyca i Trabejła, długi most. A gdzie Pidworki z tamtej strony mostu? Pidworki to odrębny rozdział w historii miasta, aczkołwiek należą one do Perejasławia. Arnold z Pidworków pochodzi stamtąd.

Arnold często wpada do Nachuma Rabinowicza na pogawędkę. Lubi rozprawiać o Majmonidesie, o księdze Kuzari, o Baruchu Spinozie, o Mojżeszu Mendelsonie i o wielu innych znakomitościach, których Szolem nie mógł zapamiętać, z wyjątkiem jednej osoby o nazwisku Drefer. To nazwisko wryło mu się w pamięć. Drefer.

— Arnold to bardzo wykształcony człowiek — mówi ojciec Nachum. Bardzo go ceni. — Gdyby — powiada — Arnold nie był Żydem, mógłby zostać nawet prokuratorem. — A dlaczego to prokuratorem? Tego jeszcze Szolem nie mógł zrozumieć. Właśnie Arnoldowi z Pidworków bohater tej opowieści miał dużo do zawdzięczenia

w czasie swoich późniejszych studiów. Z nim więc będziemy mieli okazję spotkać się jeszcze nieraz. Na razie jest przerwa między zajęciami szkolnymi, jesteśmy w przededniu świąt. Najwyższy czas zawrzeć znajomość z nowymi kolegami, poznać jak najwięcej chłopców.

Ze wszystkich chłopców wywodzących się z nobliwych domów pierwsze miejsce zajmuje Mojszeł, syn Icchoka Awigdora. Jest to czyściutki i schludny rudzielec, ubrany zwykle w alpakową kapotkę. Ma niesłychanie wysokie mniemanie o sobie. Tak wysokie, że nie wypada mu nawet rozmawiać z samym sobą. I ma rację. Po pierwsze, ojciec jego, Icchok Awigdor, ma własny dom z białym gankiem. Po drugie, w jego domu roi się od zegarów, zegarków i zegareczków. Jest ich bez liku. Gdy dochodzi godzina dwunasta, wszystkie zegary zaczynają bić naraz. Można ogłuchnąć. Sam Icchok Awigdor to Żyd, który wojuje z całym światem. Oczy ma jak u zbója. Wszyscy chłopcy w bóżnicy drżą na jego widok.

Po Mojszele następuje Zioma Korecki. Chłopak ten należy do największych łobuziaków. Nieco przygarbiony. Z byle kim się nie zadaje. Bowiem jego ojciec goli się. Ma krótko strzyżoną brodę. Jest adwokatem w Petersburgu. Nosi jakieś dziwne okulary. Nazywają je pincenez. Ten to Zioma nauczył wszystkich chłopców w mieście pływać, zażywać kąpieli, jeździć na łyżwach i wiele, wiele innych rzeczy, których chłopcy żydowscy nie znali.

A dalej Isrule, synek Bendickiego, błady i drżący chłopaczek. Potem Chajtł Ruderman, syn mełameda, chłopak o grubych policzkach, i Awrejml Zołotuszkin, czarny jak Arab. Za nimi eleganccy synkowie Merfertów i Lipskich w wypastowanych butach z cholewami. Z nimi rozmawiać to był nie lada zaszczyt. Kto bowiem na co dzień nosi pastowane buty? Za nimi idą chłopcy Konewerów, istne diabły znęcające się nad kotami. Z nimi Szolem nie chciał się kolegować. Wolał raczej przyjaźnić się z takimi chłopcami, jak Motł Szyrme, chłopak o długich pejsach, grający na skrzypcach, albo Elijahu Dodes, z temperamentem, wiecznie roześmiany. Z ni

mi modlił się w tej samej bóżnicy. Zaglądali wspólnie do jego modlitewnika. Razem wyczyniali kawały, dowcipkowali i zartowali. Naśladowali szamesa Refuela, jak jednym oczkiem rozgląda się dookoła i śpiewa Osiemnaście rubli dla kohena. Naśladowali też Koreckiego, jak gwizdże przez nos, i Benię Kanawera, jak zajada tabakę Icchoka Awigdora i wzrusza ramionami. Naśladowali Szolema Wileńskiego, jak sobie głaszcze bródkę i pociąga nosem. Jest, dzięki Bogu, kogo przedrzeźniać. Wystarczy sam Garmizo czytający Torę.

Jego właśnie Szolem, syn Nachuma Rabinowicza, podpatrywał przez dwie soboty z rzędu. Obserwował, jak mełamed Garmizo kołysze się na jednej nodze, po czym wykrzywia swoją dziobatą twarz, wystawia żółte zęby, wyciąga długą szyję, spiczasty nos podnosi do góry, potem opuszcza w dół i wydobywa z siebie dziwny i straszliwy zarazem głos.

Intonuje po hebrajsku: „Zobacz, postawiłem przed tobą dziś życie, dobro, śmierć oraz zło”. Można pęknać ze śmiechu. Ci wszyscy, którzy widzieli i słyszeli, jak Szolem naśladuje Garmizę czytającego Torę, gotowi byli przysiąc, że to prawdziwy Garmizo. Ale Garmizo nie był specjalnie zachwycony, gdy się o tym dowiedział. Nie lenił się, poszedł do Nachuma Rabinowicza i opowiedział mu całą historię o tym, iż on, Garmizo, słyszał od ludzi, że u Nachuma Rabinowicza jest taki chłopak, który go przedrzeźnia. Wywołało to poruszenie w domu. Nachum obiecał że gdy tylko dzieci przyjdą do domu, wyjaśni tę sprawę. Po powrocie dzieci natychmiast zabrano się do nich. Ojciec odgadł, że to sprawa Szolema.

— Chodź no tu, Szolemie. Pokaż, jak udajesz mełameda Garmizę. Pokaż, jak on czyta Torę.

— Jak go parodiuje? W jaki sposób?

Szolem długo nie zwlekał. Zakołysał się na jednej nodze. Wykrzywił twarz tak, jak to robił Garmizo, wystawił zęby, wyciągnął szyję, podniósł do góry nos, opuścił go w dół i zaczął w straszliwy i zarazem osobliwy sposób intonować: „Zobacz, postawiłem dziś przed tobą życie”.

Nigdy jeszcze w swoim życiu nie widział Szolem ojca tak roześmianego. Nachum nie mógł po prostu się powstrzymać. A gdy już wysmiał się do końca, wykaszłał do reszty i otarł oczy, odezwał się do dzieci tymi słowy:

— Widzicie, co takie wakacje mogą narobić? Pałętacie się po próżnicy. Licho wie, co wam strzeliło do głowy parodiować melameda Garmizę czytającego Torę. — W tym miejscu tato nie wytrzymał i ukrył swoją roześmianą twarz w chustce. — Jak Bóg da, to natychmiast po Święcie Kuczek zaczynacie chodzić do chederu. Koniec z wakacjami!

Skoro koniec z wakacjami, to tym bardziej trzeba użyć żywota!

I chłopaki zaczęli korzystać ze swojej wolności na sto dwa. Zawierali znajomości z wieloma kolegami. Nie przebiali. Z każdym się zaprzyjaźnili. Hulali tak jak poborowi przed wcieleniem do wojska. Chłopcy z Woronki pokazali tym z Perejasławia, że chociaż są z małego miasteczka, to znają sprawy, o których chłopcy perejasławscy nie mają zielonego pojęcia. Nie wiedzą na przykład, że do każdego imienia można dopasować odpowiedni rym. Oto próbka. Motek — kmiotek, kapotek, płotek, kotek, młotek itd. Janek — ganek, wianek, dzbanek, straganek ...

I o mowie „taszrak” chłopcy z wielkiego miasta nie mają pojęcia. Każde słowo wymawia się na wspak. Na przykład: „Szam ęgif — masz figę”. Z zamkniętymi oczyma potrafił Szolem przez bitą godzinę mówić na wspak. To przecież prawdziwa rozkosz. Człowiek może nagadać drugiemu, co tylko zechce, a ten ani be, ani me. A cóż to za chłopcy, ci z Perejasławia, skoro pozwalają przejść swobodnie popu i nie powiedzą mu żadnego słowa? Chłopcy z Woronki z całą pewnością tak nie postąpią.

Nie są tak głupi. Oni nie przepuszczają tak sobie popa. Wszyscy chłopcy jak jeden mąż ustawią się za popem i zaśpiewają na głos żartobliwą i szyderczą piosenkę. Chłopcy z Perejasławia twierdzą, że w ich mieście nie

wolno tego robić. Można za to oberwać, i to niewąsko. No i nowina — bać się popa. Niedobrze, jak pop przechodzi ci drogę. Co do tego zgoda. Ale bać się? Perejasław jest doprawdy wielkim i pięknym miastem. Co do tego nie ma dwóch zdań. Jednak w Woronce podczas wakacji było weselej.

Tak sobie myśleli chłopcy z Woronki i mimo wszystko pragnęli, aby dni wakacyjne w Perejasławiu ciągnęły się w nieskończoność.

MELAMEDZI I NAUCZYCIELE

Melamed reb Aron. Cała plejada melamedów. Uczniowie chederu grają w karty

Wakacje jeszcze nie minęły, święta były jeszcze przed nami, a Nachum Rabinowicz prowadził już pertraktacje w sprawie zaangażowania melameda dla swoich dzieci. Było kilku melamedów. Wspomniany już Garmizo, który tak pięknie czytał Torę. Następnie reb Aron Chodorower, bardzo dobry melamed, ale dziwny jakiś. „Przesadysta”. Lubi opowiadać bajki, opowieści przesadnie uduchowione, osadzone w dawnych czasach. Opowiadał na przykład o swoim dziadku, chłopie na schwał, prawdziwym siłaczem, który nie bał się nikogo.

Pewnego razu w noc zimową dziadek reb Arona jechał drogą koło lasu. Nagle z gęstwiny wypadła sfora wilków, dwanaście sztuk. Wilki rzuciły się na sanie dziadka. A dziadek jak nie zeskoczy z sań i dawaj na wilki. Złapał je za łby i wpakowawszy rękę w ich paszcze przenicował zwierzaki na wewnętrzną stronę. I jeszcze jedna opowieść o dziadku. Pewnego razu całe miasto uchronił przed nieszczęściem. Którejś nie

dzieli zebrali się goje na targowisku i po pijanemu zaczęli bić Żydów. Wtedy dziadek reb Arona, który akurat modlił się w najlepsze, nie namyślał się długo, zrzucił z siebie tefilin oraz tałas i dopadłszy gojów wybrał spośród nich największego wzrostem Iwana Poperyłę. Schwyciwszy go za nogi zaczął nim walić tłum po łbach. Goje padali jak muchy. Rozłożył wszystkich, wypuścił Iwana i tak mu powiedział: — Teraz możesz iść do domu, a ja sobie pójde dokończyć modlitwę.

Dziadek ten był nie tylko siłaczem. Był poza tym osobą tak roztargnioną, że strach brał. — Gdy wpadł w zadumę — tak opowiadał reb Aron Chodorower — lęk ogarniał wszystkich. Pewnego razu zamyślony krążył po pokoju. Krążył, krążył i krążył. Spojrzał — i już jest na stole!

Taki to był melamed reb Aron Chodorower. Po nim następowała cała masa innych melamedów, jak reb Jehoszua, Meir Hersz, Jakir Symche, melamed Kajdanowski i Gruby Mendel. Każdy jednak miał jakiś feler: Jeśli umiał nauczać, to nie był mistrzem w Tanachu. Jeśli był mistrzem w Tanachu, to nie umiał uczyć. Ze wszystkich najlepszy byłby gruby Mendel, gdyby nie miał poważnej wady — bił. Dzieci na dźwięk jego imienia drżą ze strachu. Proszę sobie wyobrazić, że melamed Mokisz też bił, ale robił to z umiarem i sensem. Gruby Mendel mógł zabić na śmierć. Ale za to wspaniale uczył. Jednego z tych dwóch obiecał Nachum Rabinowicz, jeśli Bóg da, zaangażować.

A więc melameda miały już dzieci z głowy. Teraz pozostała sprawa nauki pisania. Kto będzie ich tego uczył? Co się tyczy pisania w jidisz, to tego nauczyły się już w Woronce u reb Zurechła. Co jednak zrobić z rosyjskim? W tej sprawie to nawet serdeczny przyjaciel Arnold z Pidworków, o którym mówiliśmy już poprzednio, poradził posłać dzieci, i to niezwłocznie, do jidyszkiej uczulizszy. Nie będzie to zbyt dużo kosztowało, a wypadnie dobrze. Usłyszawszy to, babcia Minda zaklęła się na wszystkie świętości, że póki ona żyje, jej wnukowie pozo

staną Żydami. I nic nie pomogło. Żadne błagania i żadne modlitwy. Zaczęto więc wałkować sprawę nauczycieli. Noach Bocian to dobry nauczyciel, szkopał jednak w tym, że jest zięciem bałaguly. Pisarz Ice zaś układa wprawdzie listy, ma złotą rączkę, ale z językiem u niego nietęgo. Pisarz Abraham, brat Icy, ma rączkę nie najlepszą, a z językiem u niego także krucho. Co robić? Pozostał więc Monisz. Ma wszystkie zalety. Zna świetnie Tanach, gramatykę ma w jednym palcu. Gemara nie jest mu obca i po rosyjsku pisze tak, że mucha nie siada. Prawda, nie wie, co pisze. Dzieci są jeszcze zbyt małe, aby znać się na gramatyce. Niech przedtem nauczą się gramatyki hebrajskiej. To jest ważniejsze. A że rebe Monisz bije, to nic. Będą pilnie się uczyły, to nie będzie bił. Czyż może być, żeby rebe bił za nic? Fakt, że dzieci przekonały się o tym na własnej skórze.

Monisz nie lubił, wzorem innych melamedów, bić ręką lub wysiec różgami. Na grubym palcu prawej ręki miał kostkę. Gdy uderzył cię tą kostką w bok albo w plecy lub w skroń, mogłeś, bracie, zobaczyć swego pradziadka na tamtym świecie. Taka to była kostka! Szolem starał się, jak tylko mógł, aby się z nią nie zapoznać. I może by mu się udało.

Należał bowiem do tych, którzy w czwartek byli solidnie przygotowani z Gemary, albo też świetnie udawali, że są przygotowani. O Tanachu już nawet nie wspominam. Z pisaniem szło mu również niezgorzej. Gdy jednak łobuzował, nie było już wyjścia. Wtedy poczuł smak kostki. Czuje ten smak po dziś dzień. Ale nie z tego powodu Nachum Rabinowicz był niezadowolony z melameda. Chodziło o to, że w krótkim czasie okazało się, iż Monisz nie ma zielonego pojęcia o dykduku. Gdy zapytywano go: — Reb Monisz, dlaczego pan nie przerabia z dziećmi dykduku? — ten odpowiadał: — Co mi tam dykdukszmikduk! — Na domiar wszystkiego jeszcze śmiał się. Tego już Nachum nie mógł znieść. Na następny okres szkolny już go nie zaangażował. Posłał dzieci do innego melameda. Ten z kolei był znawcą gramatyki pełną gębą. Znał

reguły na pamięć. Miał jednak inną wadę. Lubił udzielać się w gminie. Codziennie był czymś zajęty. A to wesele, a to uroczystość obrzezania, a jeśli ani to, ani tamto, to bar miewa, rozwód, jakiś arbitraż lub też pośredniczenie przy polubownym załatwieniu sporu. Ale to jest już do wytrzymania. Dla jednych wada, dla drugich zaleta. Dla dzieci był wprost aniołem, a jego cheder wydawał się rajem. Można tu było uprawiać każdą grę. Nawet w karty. I to nie woronkowskimi kartami. Tfu! Prawdziwymi kartami. A grać, to grali w różne gry. Na przykład w „starszy atut”. Jest to gra uprawiana przez aresztantów. Karty też były aresztanckie. Brudne, tłuste i jakby opuchłe. Ale nie zważali na to i ofiarą kart padały wszystkie śniadania i wszystkie z trudem uzbierane grosze. Całą forszę wygrywali starsi chłopcy. Tacy jak Zioma Korecki, ładny młodzieniec, o którym już wcześniej mówiliśmy. On to nauczył swoich kolegów wielu „dobrych” rzeczy. Jego nauka opierała się na trzech zasadach: nie słuchać rodziców, nienawidzić rebego, nie bać się Boga.

Ponadto starsi chłopcy mieli taki zwyczaj, że zagarnawszy wygraną od młodszych kolegów lubili sobie z nich pokpiwać. Prawdziwi karciarze tak nie postępują. Ale nie należy sądzić, że wszystko przychodziło im łatwo. Sami mieli moc kłopotów. Po pierwsze, trzeba było przekupić żonę rebego, żeby mu nie opowiedziała o grach karcianych. Po drugie, był jeszcze syn rebego Fajwł, zwany Warga. Przewisko to nadano mu z powodu wydatnej grubej wargi. Temu to Fajwłowi Wardze trzeba było podlizywać się i przekupywać go: to śniadaniami, to znów orzeszkami. Strasznie przepadał za orzeszkami. Rzygać się chciało, gdy zajadłe rozłupywał zębami orzechy. W dodatku za cudze pieniądze. Ale co można zrobić? Nie dać mu, to poskarży rebemu. Będzie wtedy lepiej?

Mało miał Nachum Rabinowicz satysfakcji z tych melamedów i ich nauk. W każdą sobotę egzaminował swoje dzieci i wzdychając kiwał głową. Najbardziej zależało mu na średnim, na mistrzu Tanachu. Spodziewał się po nim znacznie więcej. Co dalej? Jaki będzie końcowy rezultat?

— Nim obejrzysz się stuknie ci bar miewa, a ty dwóch zdań nie będziesz w stanie ułożyć! — Zaczął więc ojciec Szołema gorączkowo poszukiwać nauczyciela od Gemary, takiego z prawdziwego zdarzenia. Znalazł go.

NAUCZYCIEL GEMARY

Mojsze Dawid Ruderman — nauczyciel Gemary. Jego syn Szymon ma zamiar wychrzcić się. Miasto wyciąga go z monastynu. Stryj Pinie jest wściekły

Rebe był litwakiem. Nazywał się Mojsze Dawid Ruderman. Był to chuderlawy, przygarbiony Żyd o gęstych, czarnych brwiach. Uczony w Piśmie Świętym. Doskonały znawca Tanachu. W swoim fachu pedant niesłychany. Słowem, był to człowiek pełen zalet. Do tego wszystkiego arcy pobożny, głęboko wierzący. Kto by mógł spodziewać się, że na takim człowieku zaciąży skaza. Syn jego uczęszczał do rosyjskiej ujezdnoj szkoły. W całym mieście tylko dwóch chłopców żydowskich chodziło do tej szkoły. Syn Mojsze Dawida Szymon Ruderman, młodzieniec, któremu bródka dopiero zaczęła się sypać, i Chaim Tamar kin, syn adwokata.

Był to chłopak niskiego wzrostu, tęgi, o małych oczkach i krzywym nosie. Koszulę na modłę szejgeców nosił wypuszczoną na wierzch spodni. Grał z szejgecami w piłkę. Do bóżnicy nigdy nie zaglądał. Chyba że na Jom Kipur. Ukradkiem palił cygara. Ci oto młodzieńcy byli w pewnym sensie pionierami, pierwszymi jaskółkami haskali w Perejasławiu. Na dwunastu szejgeców w szkole byli jedynymi Żydami. Najpierw szejgece patrzyli na te dwa „Żydziątka” jak na dziw natury. Następnie powalili ich na ziemię pośrodku szkolnego podwórka i wieprzowi

na wysmarowali im wargi. Po tym akcie zawarli z nimi przyjaźń. Zadzierzgnięte zostały więzy koleżeństwa i braterstwa.

Bóg mi świadkiem, że goje w owych latach byli jeszcze wolni od uczucia nienawiści. Nie mieli jeszcze pojęcia o tym, czym jest antyżydowska heca. Jeszcze nie byli zarażeni jadem antysemityzmu. Jeśli więc „Żydziątko” zostało powalone na ziemię, policzono mu kości i wysmarowano wargi wieprzowiną, to od razu zaliczano je do swojaków. To, że był to „Herszko”, nie miało już żadnego znaczenia. Miał te same prawa co wszyscy.

Oddanie dzieci na naukę do Mojsze Dawida Rildermana nie obyło się bez trudności. Gładko nie poszło. Stryj Pinie dowiedziawszy się, że brat Nachum powierzył dzieci melamedowi, który ma syna w ujezdnoj, szybko przystąpił do działania. Oświadczył, że od ujezdnoj do chrztu jest tylko jeden krok. I tak też się stało. Widocznie los chciał, aby stryj Pinie okazał się tym razem prawdziwym prorokiem. Oto jak było:

Pewnego razu, akurat w sobotę, gruchnęła po mieście wieść, że dwóch chłopców żydowskich, uczęszczających do szkoły ujezdnoj, ma zamiar przejść na prawosławie. Z początku oczywiście nikt temu nie dawał wiary. Gdzie tam? Kto tam? Co się dzieje! Czego to ludzie nie wymyślą! Ale skoro dzwonią, to musi być święto. I wyobraźcie sobie, że tego dnia, tej samej soboty, wybuchła w mieście panika. Jakby się paliło. Całe miasto ściągnęło pod monastyr. Co się stało? W czym rzecz? Chcecie zobaczyć coś ciekawego? Ruszajcie więc do monastynu. Tam zobaczycie, jak ci dwaj chłopcy z ujezdnoj wdrapali się na wierzchołek klasztoru i zajadają sobie w najlepsze chleb grubo posmarowany smalcem wieprzowym. Robią to na pokaz. Aby każdy mógł zobaczyć.

Popłoch był tak wielki, że nikomu nie wpadło do głowy zapytać: — Jak to możliwe, aby ktoś z dołu mógł zobaczyć, co się dzieje na samym szczycie? Jak można gołym okiem stwierdzić, że chleb posmarowany jest smalcem wieprzowym? A może to jest masło? A może miód?

W mieście wrzało. Świat zatrzęsł się w posadach. Tłum wrzał — synalkowi Tamarkina nie ma się co dziwić. Tatumio sam jest trefny. To przecież „prawnik” od podań i zażaleń. Już w łonie matki był gojem. Ale Mojsze Dawid Ruderman? Z niego przecież Żyd bogobojny. W dodatku mełamed. I to najlepszy w mieście mełamed. Jak można było do tego dopuścić?

Okazuje się, że byli tacy Żydzi, którzy to przewidzieli. Jak do tego doszli? Po prostu rozumem. Ten im podpowiadał, że w wychowywaniu dzieci nie należy zbyt daleko się posuwać. Co tu gadać? Fakt, dzieci oddaliście do ujezdnoj, więc pogodziliście się z tym, aby stały się one gojami. Nie wymagajcie więc od nich, by nosiły cyces. A jeśli zdarzy się, że przepuszczą jakąś modlitwę, trzeba to po cichu przelknąć. Nie trzeba łamać kijów na ich plecach. Nie należy ich bić jak psa.

Takiego zdania byli wszyscy zacni i ogólnie szanowani obywatele miasta. Zebrali się na naradę, na której postawili takie oto pytanie: Co należy obecnie zrobić? W jaki sposób odwieść od chrztu dwóch młodych żydowskich chłopców? Poruszono niebo i ziemię. Odwoływano się do łask i zasług przodków. Postawiono na nogi całą władzę, całe naczalstwo. Rzeczą oczywistą, że największą inicjatywę wykazał tutaj stryj Pinie. Zakasał rękawy, rozczesał swoją piękną brodę i biegał po mieście. Oblewały go siódme poty. Nie jadł, nie pił, aż przy bożej pomocy osiągnął sukces. Udało się. Chłopców wyciągnięto z monastynu.

Jednak finał tej całej sprawy był następujący: jeden z chłopców, Chaim Tamarkin, w kilka lat później wychrzcił się. Zaś Szymona Rudermana odprawiono do Żytomierza, do szkoły rabinackiej, na koszt państwa. Przy bożej pomocy nie tylko ukończył szkołę z wynikiem pomyślnym, ale także został nawet rabinem, i to w Lubeniu, niedaleko od Perejasławia.

— A więc? Kto miał rację? Teraz chyba już odbierzesz, mam nadzieję, dzieci od tego mełameda.

W ten sposób przemawiał do swego brata Nachuma

stryj Pinie. Był niezmiernie zadowolony. Po pierwsze, udało mu się odwieść od chrztu dwóch chłopców żydowskich. Po drugie, jego bratankowie zapewne nie będą już uczyć się u mełameda, który znał wprawdzie gramatykę hebrajską, ale miał syna w szkole dla gojów. Po trzecie, jego przewidywania sprawdziły się. Każde dziecko żydowskie, które uczęszcza do takich szkół, może się łatwo wychrzcić.

Tym razem jednak stryjek Pinie omylił się. I to na całego. Jego brat Nachum ani myślał odebrać dzieci od tak dobrego mełameda.

— Co ja mam do niego? Nie dość, że miał tyle zmartwień, nie dość, że najadł się tyle wstydu, to jeszcze ma pozostać bez chleba?

Stryj Pinie słuchał słów brata z gorzkim uśmiechem na ustach. Jakby chciał powiedzieć: „Obym był fałszywym prorokiem. Na złą drogę sprowadzisz dzieci”. Po czym wstał z krzesła, ucałował mezuzę i szybko, wielce zdenerwowany, opuścił dom Rabinowiczów.

DAWNY CHEDER

Obraz dawnego chederu. Uczniowie pomagają rebemu i jego małżonce w pracy. Rebe odmawia błogosławieństwo. Jego morały i nowe grzechy

Nie. Nie odebrano dzieci od znakomitego nauczyciela, mełameda Rudermana, mimo jego zaszarganej opinii. Wprost przeciwnie. Zostały u niego na kolejny i także trzeci sezon szkolny. Obie strony były zadowolone. Rebe ze swoich uczniów i uczniowie ze swego rebego. A nade wszystko ojciec. Ten był zadowolony i z uczniów, i z rebego.

Najbardziej jednak zadowoleni byli uczniowie. Bóg zesłał im nauczyciela, który nie bił. Pod żadnym pozorem. Nawet nie wiedział, co to jest bicie. Chyba, że chłopak już zanadto dokuczał rebemu. Nie chciał się modlić albo miał tak zakuty łeb, że tylko kołki ciosaj mu na głowie. Należało to jednak do rzadkości. Rebe kładł wtedy delikwenta na ławę, zdejmował z głowy swoją pluszową miękką jarmułkę i lekko wymierzał chłostę.

Mełamed miał jeszcze jeden plus. W jego domu były żarna. Taka maszyna do łuszczenia ziaren. Miała koło i rączkę. Na jej wierzchu leżał worek hreczki. Gdy koło obracało się, hreczka powolutku wysypywała się z worka do skrzynki. Tu spadała na kamień. Kamień rozcierał ją, łuszczył powolutku i drobił na kaszę. Taką to maszyną były żarna. Jest rzeczą jasną, że cały gips w tym urządzeniu polegał na obracaniu koła. Im więcej kręcisz, tym więcej sypie się ziaren. Ochotników do kręcenia koła było sporo. Prawie wszyscy uczniowie mieli na to chrapkę. Każdy chciał pomóc rebemu, który nie mogąc wyżyć z samej belferki imał się różnych prac. Łuszczył ziarna, a jego żona wypiekała ciastka. Zapewne uważacie, że przy wypiekaniu ciastek nie ma co robić. Nic podobnego. Wręcz odwrotnie. Jest sporo roboty. Uczniowie również mogą tu pomóc. Nie tyle przy samym wypiekaniu, co przy ugniataniu ciasta, zwłaszcza miodowego. Ciasto należy oburącz jakby policzkować. Objąć je należy tak długo, aż się rozciągnie. A ciasto miodowe potrafi się rozciągać. Kto lepiej od chederowych chłopaków umiał je tłuc? Toteż ochotników było zawsze więcej, aniżeli potrzeba. O to zajęcie po prostu bili się. Każdy chciał ubiec drugiego.

Czytelnik nie powinien się temu dziwić. Może jednak zadać pytanie: — Co to za robota, łuszczyć ziarna albo ugniatać ciasto? — Odpowiedź jest prosta. U woronkowskich mełamedów wykonywali znacznie brudniejsze prace. Na przykład u rebego Zurechła w Woronce chłopcy Nachuma Rabinowicza myli podłogi przed nadejściem soboty. Wynosili pomyje we dwójkę, a w pojedynkę nosi

li wodę z odległej studni gojów. Nianczenie dzieci rebego przydzielano drogą losowania. Na kogo padł los, ten nianczył. Nie wspomnę już o prowadzeniu kóz do sojcheta. A już szczytem była pomoc przy skubaniu kur. Zresztą każdą pracę uważano za dobrą. Byle się nie uczyć. Nauka była gorsza od wszelkiej pracy. W tym miejscu, wydaje mi się, warto opisać cheder. Opisać tak, jak wyglądał w tamtych czasach. Chodzi mi o to, aby przyszłe pokolenie, jeśli wykáže zainteresowanie życiem Żydów w strefie osiedlenia, otrzymało możliwie wierny jego obraz.

Cheder. Mała chata na kurzych nogach, kryta słomą. Najczęściej lekko pochylona na bok. Czasem bez dachu. Jak bez czapki. Tylko jedno okienko. A jeśli więcej, no to najwyżej dwa. Bez szyb. Zamiast szyby przybijano do framugi kawałek papieru. Czasem poduszkę. Podłoga z gliny, klepisko. Na sobotę i święto posypywano je żółtym piaskiem. Znaczną część chederu zajmuje piec z zapiekiem oraz leżanką. Na leżance śpi rebe. Na zapiecku śpią jego dzieci. Przy ścianie stoi łóżko. Jest to łóżko małżonki rebego. Na nim mnóstwo poduszek. Od największych do całkiem małych jaśków. Piętrzą się pod sam sufit. Na tym to łóżku, na białym prześcieradle, od czasu do czasu pojawia się stolnica do krajania makaronu lub ciasta na obwarzanki. Dzieje się tak, gdy żona rebego zabiera się do wypiekania specjalów na sprzedaż. Czasem w łóżku położy dziecko, jeśli ciężko zachoruje. Pod piecem znajduje się podpiecznik, na Litwie zwany katuchą. Hoduje się w nim drób przeznaczony na sprzedaż. Przy krzywej, nieco wypukłej i przez to jakby brzemiennej ścianie stoi kredens. W nim chleb, garnki i dzbanki. Na kredensie blaszane naczynia, sito, durszlak, tarka itp. Przy drzwiach wejściowych pogrzebacz, łopatka i ogromne wiadro na pomyje — zawsze pełne. Ponadto drewniany ceber oraz wiecznie mokry ręcznik. W środku pokoju długi stół. Przy nim dwie długie ławki.

Ten pokój to cheder. Tu mieści się szkoła, tu rebe prowadzi naukę. Wszyscy nieustannie krzyczą. Krzyczy

rebe i krzyczą jego uczniowie. Słysząc też krzyk żony rebege, która krzając się po kuchni łaje swoje dzieci. Łaje dzieci, aby nie krzyczały. Ptactwo pod piecem gdacze ze strachu. Właśnie kot zeskoczył z leżanki i cichuteńko, spokojniutko wtargnął do podpiecznika. Ptactwo oczywiście spłoszyło się i zagdakało. A niech to! Tak oto wyglądał cheder w Woronce. Wcale pięknie nie wyglądał w Perejasławiu. A mełamed perejasławski wkuwał ze swoimi uczniami identycznie jak woronkowski. Zimą nosił watowany chałat i pluszową jarmułkę, latem koszulę o szerokich rękawach. Zimą, po obiedzie, zamiast herbaty rebe wypijał napar z liści lipowych. Latem zaś pił zwykłą wodę z drewnianego cebra, przecedzoną przez rękaw koszuli. Z wielką żarliwością odmawiał przy tym błogosławieństwo. Zdanie: „... na którego słowo wszystko się stało” wymawiał z niezwykłą nabożnością, a uczniowie wtórem odpowiadali „amen”. Warto było robić wszystko, aby tylko wymigać się od nauki. Doprawdy przejadła się. Od rana do nocy wkuwano. A zimą także w nocy. Wstawało się wczesnym rankiem i zaraz do nauki. Nawet w sobotę. Jeśli tego dnia nie było zwykłej nauki, to siedziało się w soboty po obiedzie w chederze i wysłuchiwało kazań rebege. Morały rebege to najbogatsze fantazje. Źródło swoje miały w bajkach z tysiąca i jednej nocy. Słuchając jego nauk moralnych człowiek stykał się oko w oko z tamtym światem. Miał przedsmak mąk piekielnych. Wyraźnie słyszał zbliżające się kroki szatana. Czuł, jak diabeł rozcina mu brzuch, wyciąga zeń kiszki i rzuca nimi w twarz ofierze: — Nędzniku! Jak ci na imię, szejgecu? Jak się nazywasz? — Złe duchy chwytają go i miotają nim niby kamieniem wystrzelonym z procy. Niby piłką rzuconą z jednego krańca świata na drugi. A jeśli ktoś kiedyś skłamał, to duchy wieszają go za język na haku. I tak sobie wisi niczym poćniętą mięsą w jatce. Jeżeli zaś zdarzyło ci się kiedyś, żeś zapomniał umyć ręce przed jedzeniem, to dwa diabły chwytają cię za palce i obcęgami wyrrywają paznokcie. Jeśliś w jakiś piątek ścinał sobie paznokcie i przez nieuważę

upuścił choć skrawek na podłogę, to z tamtego świata zrzucają cię z powrotem na ziemię, abys tę ścinę odszukał. To są kary za małe grzechy. A jaka jest kara za wielkie? Na przykład za opuszczenie całych fragmentów modlitwy? Za opuszczenie przedwieczornej modlitwy Mincha? Za nieodmówienie Kriat Szma przed snem? Za grzeszne myśli? Za błędne sny?

Na tamtym świecie nie znają litości. Tam nie istnieje ani pokuta, ani modlitwa, ani odkupienie grzechów przez dobre uczynki. Istnieją one tylko na tym świecie. Tam już na nie za późno. Tam już jesteś w jednym szeregu z grzesznikami i złoćciami. Wędrujesz prosto do piekła. Będziesz palony w wiecznym ogniu. Na wieki już będą cię gotować w kotle piekielnym. A rebe krzyczy: — Do piekła pójdziecie, szejgece, do piekła! — Tym oto zawołaniem kończy zwykle swoje kazanie moralne w soboty po południu. A dzieci przysłuchują się słowom rebege bardzo uważnie. Płaczą i żalują za grzechy. Biją się w piersi. Wyznają swoje winy Ał chet. Odczuwają skruchę. Przyrzekają odtąd postępować bogobojnii i posłusznie.

Wystarczyło jednak, aby rebe wstał od stołu, a wszystkie jego morały brały w łeb. Poszły w zapomnienie wszystkie jego pouczenia. Tamten świat z piekłem, diabłami i złymi duchami zniknął gdzieś jak kamfora. Jak mara, jak zły sen. Chłopcy grzeszyli na nowo. Znowu opuszczali całe fragmenty modlitw, przepuszczali Minchę, nie odmawiali Kriat Szma. O myciu rąk nie warto już nawet mówić. Nie czas na modlitwę, gdy świeci słońce, a na ścianach tańczą cienie, które mrugają na nas i wołają: — Na dwór chłopaki, na dwór! Tam jest fajnie! Tam jest byczo! — Jeden skok i już jesteś przy mostku. Tam płynie rzeczka. Szumi woda! Tam rośnie trawka. Tam żółci się kwiat i ptaszek fruwa, pasikonik skacze. A pole zielone nie przestaje zapraszać: — Kładź się, chłopcze, na pachnącą ziemię. Natychmiast,

niezwłocznie, od razu! — I w tym momencie zjawia się nagle ojciec, matka, starszy brat lub starsza siostra i znowu słychać: — Odmówiłeś już modlitwę? Do chederu, szejegece, do chederu!

BAR MICWA

Bohater bar micwy zyskuje uznanie. Galeria typów perejasławskich. Łzy matki

Zastanawiając się nieraz nad nauką w takim chederze, u takich melamedów, których przedstawiłem w poprzednich rozdziałach, mając w pamięci obraz małżonki rebego, której należało zawsze pomagać w pracy, oraz uwzględniając rodziców, braci i siostry, których należało słuchać we wszystkim, wreszcie dodając do tego marnotrawienie czasu na łobuzowaniu, bumelowaniu, grze w karty i guziki zimą, a kąpielach w rzece latem, trudno doprawdy pojąć, jakim cudem dzieci zdołały przyswoić sobie tę wiedzę, którą posiadały.

Nie należy przy tym zapominać, że często oszukiwaliśmy naszego melameda. Własnego ojca też wprowadzaliśmy w błąd, a wzywani do rabinu na egzamin, potrafiliśmy i jego wystrychnąć na dudka. Najwięcej jednak powodów do kpin dostarczyli zgromadzeni w komplecie Żydzi z całego miasta, którzy przybyli na uroczystość bar miewy syna Nachuma Rabinowicza.

Bohater niniejszej autobiografii doskonale pamięta, że nie miał zielonego pojęcia o droszy, którą miał wygłosić w dniu bar miewy. Mimo to całe miasto nie przestawało trąbić o nim. Ojcowie nie ukrywali zazdrości, a matki głośno wyrażały życzenia, aby i one miały tak udane dzieci.

Było to prawdziwe święto. Wspaniały, cudowny, uroczysty dzień. Do jego uświetnienia przyczyniło się wiele osób. Wszystkie pod komendą babci Mindy, która w swojej sobotniej sukni, ze świąteczną chustką na czole wyglądała jak prawdziwy dowódca. Ona wydawała rozkazy. Ona decydowała, kogo zaprosić, a kogo pominąć. Kto i gdzie ma siedzieć. Jakie talerze mają znaleźć się na stole. Jakie wina i jakie wódki należy podać. Ze wszystkimi

pokłóciła się, na wszystkich się pogniwała. Nie uszanowała nawet samego bohatera bar micwy. Pouczała go, jak ma się zachować. Upominała, że ma trzymać fason. Na oczach ludzi nie ogryzać paznokci. Nie śmiać się i innych dzieci nie rozśmieszać. Słowem, nie powinien zachowywać się jak byle huncwot.

— Bóg okazał łaskę i dożyłeś dnia swojej bar micwy. Najwyższy więc czas, abys stał się człowiekiem. — Tak perorowała babcia, gładząc wilgotnymi palcami resztkę jego pejsów, które ledwo zdołała wywojować u swego syna, ojca Szolema. Nachum Rabinowicz bowiem od dawna miał chętkę, aby zupełnie ostrzyć mu pejsy. Babcia Minda jednak nie dopuściła do tego. — Po mojej śmierci — mówiła — gdy moje oczy już tego nie będą widziały, zrobisz ze swoich dzieci gojów. Ale póki ja żyję, chcę oglądać na ich twarzach choćby ślad żydowskości.

Poza licznymi gośćmi zaproszonymi wprost z bóżnicy na uroczystość bar micwy przybyła niemal cała rodzina Rabinowiczów. Wśród obecnych był, rzecz jasna, rebe Mojsze Dawid Ruderman. Zjawił się w swojej sukiennej kapocie, z wyblakłą czapką pluszową, wyglądającą jak łąta na głowie. Zachowywał się skromnie i starał się trzymać z

boku. Od czasu afery z chrztem jego syna mocno podupał na duchu. Prawie nie tknął serwowanych win i przekąsek. Zaszył się w kąt. Przygarbił się i pochylił. Cicho pokasywał w rękawy swojej sukiennej kapoty. I oto nadeszła chwila egzaminu. Konfirmant miał wystąpić z kazaniem przed zgromadzonymi ludźmi. I wtedy rebe Ruderman zerwał się gwałtownie. Wyprostował się w mgnieniu oka. Uniósł w górę gęste czarne brwi. Wbił oczy w swego ucznia. Kciukiem wykonał ruch podobny do ruchu pałeczki w ręku dyrygenta. Podawał w ten sposób swojemu uczniowi ułożone wcześniej pojedyncze słowa i zdania. A uczeń, bohater bar micwy, w pierwszej chwili omal nie stracił przytomności ze strachu. Poczł w ustach jakąś dziwną suchość. Przed oczyma nagle wszystko zawirowało. Zdawało mu się, że porusza się nie po ziemi, lecz po

lodzie. Za chwilę lód pęknie. Gorzej, już pęka. Bęc! Pada. Wraz z nim pada cały tłum. Ale im dłużej to trwa, tym wyraźniej czuje na sobie wzrok rebeego. Poddaje się jego wpływowi. Czuje na sobie ucisk jego kciuka. Powoli zaczyna wracać do siebie. Czuje przypływ sił. Czuje się mocniejszy. Coraz mocniejszy. Jego krok staje się pewny. Pod nogami ma już mocny grunt. Jakby to był żelazny most. I po całym ciełe zaczyna przepływać jakaś ciepła fala. Teraz już po wszystkim, poszło jak z płatka, jak z nut.

W trakcie wygłaszania kazania nasz bohater przyglądał się uważnie zebranych gościom. Dokładnie obserwował miny i reakcje malujące się na ich twarzach. Nikogo nie przeoczył. Oto widzi przed sobą Icchoka Awigдора. Ma oczy zbója i nieprzerwanie wzrusza ramionami. Teraz miga mu przed oczyma starzec Jehoszua Szybne. Podobno stuknęła mu już setka. Cały wiek. Język w jego ustach przypomina dzwon. Nie ma bowiem w nich zębów. Przy nim jego syn Berko. Też już posunięty w latach. Oczy ma przymknięte. Głowa zwisa na bok. Oto zbliża się Oszer Gajdes, którego wszyscy zwą tutaj wujem Oszerem. Jest tęgi, szeroki w barach i tłusty. Jedwabna kapota aż pęka na nim. Siwy jak gołąb. A oto nadchodzi Jose Fruchszejn ze swoimi ogromnymi sztucznymi zębami, błyszczącymi okularami i rzadką bródką. Heretyk i niedowiarek. Z Nachumem Rabinowiczem często grywa w szachy. Czytuje takie książki jak Tajemnice Paryża, Drogi świata itp. Jego młodszy brat to Michoel Fruchszejn. Młodzieniec roztropny, wykształcony i sprytny niczym bękart. Żadnych świętości nie uznaje. W sobotę każe gojce pogasić świece. Szalenie natomiast poważa takich Żydów jak Benie Konawer i Mojsze Berger, o których wszyscy wiedzą, że za młodu nie zwracali zbytnej uwagi na fakt, że fryzjer ostrzygł im brody. Isruel Bendicki też był wśród gości. Ongiś zwano go po prostu Isruel Klezmer. Dziś jednak jest już właścicielem domu. Ma stałe miejsce honorowe w bóżnicy. Zapuścił sobie potężną brodę. A broda jest czarna, błyszcząca i zawsze starannie ucze

sana. Chociaż nawet dziś pogrywa sobie na niejednym weselu, nikt nie powie na niego „klezmer”. A tym bardziej za jego plecami. W samej rzeczy Isruel Bendicki to nobliwy Żyd. Zachowuje się jak prawdziwy pan. Gdy się śmieje, to całą gębą. Wszystkimi zębami — rzadkimi, małymi, białymi. I szames Refuel nie uszedł uwadze naszego bohatera. Widział go, jak stał pochylony, przejęty całkowicie tym, co prawil bohater bar micwy. Odnosiło się wrażenie, że jego pociągła chuda twarz z krzywym nosem wyraża jakieś wielkie pragnienie. Chciałby pewnie za chwilę uderzyć w stół i zgodnie z rytuałem sobotnim przy odczytywaniu Tory zawołać: — Dziesięć rubli...

Nikt i nic nie uszło uwadze konfirmanta. Świąteczny nastrój malował się na twarzach wszystkich zebranych. Najbardziej jaśniała twarz stryja Pinie. Siedział na honorowym miejscu tuż obok ojca konfirmanta. Miał na sobie szabasową jedwabną kapotę, opasaną szerokim pasem, również jedwabnym. Na głowie aksamitną czapkę w kolorze niebieskim. Z dumą patrzył na swego bratanka. Uśmiechał się do niego znacząco: „Co do wiedzy, to huncwot ją ma. To widać... ale czy modli się codziennie? Czy myje ręce, kiedy trzeba? Czy odmawia Kriat Szma przed snem? Czy aby nie łobuzuje w sobotę? Mam poważne wątpliwości”.

Za to ojciec był wniebowzięty. Promieniał. Nie było na świecie szczęśliwszego od niego człowieka. Głowę trzymał wysoko. Lekko drżały mu wargi. Chodził za synem, nie odstępując go ani na krok. Nie odrywał wzroku od zebranych gości. Spoglądał na brata Pinię. Śledził wzrokiem rebeego Rudermana. Wpatrywał się w konfirmanta. Patrzył na jego matkę.

A matka, malutka Chaja Estera, stała sobie z boku, wśród innych kobiet, i z ogromnym szacunkiem przypatrywała się wszystkim zgromadzonym. Miała na sobie sobotni szal jedwabny. Z zachwytem cichutko wzdychała i nerwowo przebierała palcami. W jej oczach pojawiały się dwie błyszczące jak brylanty łzy. Wypłynęły spod powiek i toczyły się po policzkach, lśniąc słonecznym światłem na

jej szczęśliwej, młodej, jasnej, ale już wielce pomarszczonej twarzy.

Jakie to były łzy? Czy łzy radości? Czy łzy satysfakcji? A może łzy dumy? A może płakała z powodu nie najlepszej sytuacji materialnej rodziny? A może serce podpowiadało jej właśnie w tej chwili, że syn, świętujący dziś swoją bar micwę i tak pięknie z tej okazji przemawiający, już wkrótce będzie odmawiał po niej Kadisz.

Kto wie, dlaczego matka potrafi płakać?

MŁODZIENIEC

Starszy brat Herszt zaręcza się. Przepytanka z pomocą suflera. Woreczek na tefilin. Zegarek i narzeczona

A teraz, dzięki Bogu, jesteś już młodzieńcem. Koniec z okresem chłopięcym. Koniec z łobuzowaniem, koniec z figlowaniem. Pora być mężczyzną. Najwyższy czas zostać prawdziwym Żydem. Czas nie stoi w miejscu. Nim się obejrzyysz, już żeniaczka na karku...

Tymi moralami obdarzano konfirmanta nazajutrz po uroczystości sobotniej. Tymczasem rebe pomagał mu przy pierwszym nakładaniu tefilin. Mocno owinął rzemieniem tefilin na jego lewej ręce, tak że aż palce posiniały. Pudełko na czole z powodu luźnego rzemyka co chwila spadało mu na oczy lub przesunęło się na bok. Uparło się widać, aby spaść na ziemię. Stąd dużo zachodu miał nasz bohater z utrzymaniem równowagi. Nie mógł też poruszać się swobodnie. Nie potrafił przez dłuższą chwilę patrzeć na chłopaków ze swojej paczki urwisów, którzy przyglądali mu się z zaciekawieniem, jak po raz pierwszy modli się uzbrojony w tefilin. Trzeba przyznać, że gdyby nie chłopaki, nasz bar miewa modliłby się z pełną żarli

wością. Włożyłby w tę modlitwę cały zapal, całe serce. Rytuał wkładania tefilin przypadł mu do gustu. Spodobały mu się słowa modlitwy towarzyszące temu rytuałowi. Z przyjemnością wdychał ożywczy zapach świeżej skóry juchtowej, z której zrobione były rzemyki. Odczuwał satysfakcję, gdy zwracano się do niego per „młodzieńcze”. Czuł się szczęśliwy, gdy włączono go jako dorosłego Żyda do minjanu. Świadczyło to, że jest pełnoprawnym Żydem, że jest traktowany na równi ze wszystkimi dorosłymi. Nawet jednooki Refuel, szames w bóżnicy, traktuje go inaczej niż dawniej. Odnosi się do niego z jakimś ledwo tajonym szacunkiem. O kolegach nie ma już co mówić. Ci zazdroszczą mu. Tak samo zresztą jak on w swoim czasie, a pamięta to doskonale, zazdrościł swemu starszemu bratu Herszłowi, gdy tamten miał swoją bar micwę. Być może zazdrościł mu wtedy nie tyle bar micwy, ile zaręczyn, które nastąpiły wkrótce potem, i podczas których Herszł dostał w prezencie od swojej narzeczonej piękny, haftowany woreczek na tefilin, a od przyszłego teścia srebrny zegarek. Obydwa te wydarzenia, mianowicie przebieg zaręczyn brata i dzieje zegarka, prezentu od teścia, zasługują choćby na krótką wzmiankę.

Herszł jako chłopak, który osiągnął wiek bar micwy (trzynaście lat), prezentował się bardzo korzystnie. Był przystojny i schludny. Lubił ubierać się czysto i porządnie. Do nauki jednak nie miał głowy. I szczególnej chęci też do niej nie przejawiał. Ale że był synem Rabinowicza, a więc chłopcem z dobrego domu, swatano mu najlepsze partie. Przyjechał do nas wtedy z Wasilkowa jakiś wielce nobliwy Żyd z czarną brodą — kandydat na teścia Herszła. Nie był sam. Wraz z nim przyjechał egzaminator. Miał przeegzaminować przyszłego zięcia.

Egzaminator był młody. Miał ryżawą bródkę. Był przystojny, uczony w Piśmie, znał doskonale Tanach. Świetnie władał hebrajskim. Był jednak ciut nudnawy. Czepiał się byle czego. Zbyt głęboko lubił włożyć za skórę. Zaczął od własnego popisu. Chciał zaimponować rodzicom przyszłego zięcia erudycją. Następnie dobrał się

do rebego, który dotychczas uczył Herszła. Wdał się z nim w długi dyskurs na temat gramatyki hebrajskiej. Na każde twierdzenie rebeego miał gotową replikę. Ilekroć rebe mówił „tak”, ten dla zasady mówił „nie”. Potem przeszedł do natarcia. Zasypywał rebeego pytaniami tego rodzaju:

— Niech rebe powie, dlaczego w Księdze Koheleta jest użyta liczba pojedyncza czasownika w stosunku do podmiotu, który występuje w liczbie mnogiej, na przykład: „Jako muchy zdechłe zasmradza i psuje olejek aptekarski” zamiast „zasmradzają”.

Na to rebe odpowiedział pytaniem: — A dlaczego w Księdze Koheleta stoi jak byk: „Pamiętaj tedy na stwórcy swoich”, zamiast „swego stwórcy”? Dlaczego dla odmiany użyta została liczba mnoga, nie zaś pojedyncza?

Wtedy egzaminator naskoczył na rebeego z boku: — Gdzie występuje zdanie: „I przechodzili od narodu do narodu”?

Rebe lekko się zmieszał. Był jakby nawet zawstydzony, nim znalazł odpowiedź: — To zdanie pochodzi z modlitwy: „Wysławiajcie Pana, wzywajcie imienia jego”.

Młody egzaminator nie ustępował jednak. A gdzie stoi „Wysławiajcie Pana”? Rebe zmieszał się jeszcze bardziej. —

Chyba to będzie gdzieś w Psalmach. — Wtedy rudzielec parsknął śmiechem: — Niech mi rebe nie poczyta tego za złe, ale to nie stoi gdzieś tam w Psalmach. To stoi raz w Psalmach i bez ujmy dla rebeego, jako też dla wszystkich Żydów, w Diwrej Hajamim.

Dla rebeego był to cios śmiertelny. Grube krople potu wystąpiły mu na czole. Był zupełnie złamany. Wycierając spoconą twarz, tak powiedział do dzieci: — Ten młodzieńiec jest zwykłym krętaczem. — W duchu zaś tak sobie pomyślał: „Jeśli weźmie na egzamin narzeczonego in spe, to koniec pieśni. Ze ślubu nici”. A że sam był zainteresowany tym, aby związek doszedł do skutku, albowiem i jemu przypadła pewna suma pieniężna za swatanie, wpadł na pomysł, aby za szeroką kanapką, na której miał siedzieć Herszt podczas egzaminu, ukrył się Szolem, jego

młodszy braciszek. Rodzice przyszłych małżonków rozsiedli się wokół półokrągłego stołu i rudy młodzieniec wziął narzeczonego na spytki. W tym samym czasie matka szykowała stół. Pojawiły się ciastka i wódka. Była widocznie pewna, że egzamin pójdzie gładko.

— No i powiedz mi ty, młodzieńcze, gdzie to jest napisane: „Zewsząd go straszyć będą strachy, a nacierać będą na nogi jego”?

— W Księdze Hioba! — Zza kanapy doszedł na czas cichy szept suflera. Narzeczonego powtórzył to gromkim głosem.

— Faktycznie. Rzeczywiście. A może teraz powiesz mi, gdzie jeszcze w Tanachu znajduje się słowo o tym samym rdzeniu? — Rudzielec mnoży pytania. — W Psalmach. — Piskliwy szept suflera dochodzi w porę do narzeczonego, a ten dokładnie powtarza.

— W takim razie z Tanachem się załatwiliśmy — powiada egzaminator i łapczywym okiem zerka na stół, przy którym krząta się matka, malutka Chaja Estera. Właśnie stawia na stół konfitury. — A teraz zajmijmy się trochę gramatyką. Co to za czasownik „zgubili”? Co to za tryb? W jakiej liczbie występuje? Co to za czas? — A mały Szolem schowany za kanapą szeptem podpowiada i narzeczonego powtarza jak papuga. Odpowiedzi wypadły na celująco.

— Dosyć! Wystarczy już — powiedział egzaminator. Był kontent. Zacierał ręce. Łypał oczami na suto zastawiony stół. I zwróciwszy się do ojca przyszłej narzeczonej, który promieniał z wielkiego zadowolenia, tak powiedział: Należy się panu małżow! Na własne uszy przekonał się pan, że chłopak obkuty jest na blachę. Teraz możemy już chyba coś przekąsić...

Czy rodzice zdawali sobie sprawę z odegranej komedii? Czy tylko rebe i narzeczonego byli wtajemniczeni w sprawę? A może egzaminator poznał się na podstępnie? Trudno odpowiedzieć na to pytanie. W każdym razie obie zainteresowane strony były zadowolone. Na pewno żadna ze stron nie została tutaj oszukana.

Teraz przechodzę do historii z zegarkiem. Zaraz po egzaminie matka pojechała do Wasilkowa obejrzyć narzeczoną. Dziewczyna przypadła jej do gustu, była do rzeczy. Podpisano akt zaręczyn. Potłuczono talerze, wypito wódkę, a przyszły teść dał Herszłowi w prezencie srebrny zegarek. Narzeczonego nie mógł oderwać od niego oczu. Sześćdziesiąt razy na godzinę spoglądał na niego. Jeśli chciałeś zasłużyć na mycwę, to nic, tylko pytaj o godzinę. Pilnował tego zegarka jak źrenicy oka. Przed pójściem spać nie wiedział, gdzie go położyć. W sobotę, nim się wybrał do bóżnicy, nie mógł zdecydować się, w której szufladzie komody ma go umieścić. Na myśl, że mogą go skraść, drżał ze strachu.

I oto pewnego pięknego dnia zechciało się Herszłowi, młodzieńcowi znanemu ze skłonności do pedanterii, wyczyścić garnitur. W modzie były wówczas trykotowe ubrania. A trykotu, jak zapewne wiecie, czepia się kurz. Miał Herszł taką laskę z bambusa, a bambus, jak wiecie, łatwo się gnije. Tą bambusową laską zaczął strzepywać kurz z garnituru.

Trzepał ze wszystkich sił. Solidnie, dokładnie, uczciwie. Tylko zapomniał na śmierć, że w kieszeni garnituru leży zegarek. Rozumie się, że z zegarka pozostały szczątki. Proszek ze srebra, porcelany i szkła. Pozostała też masa małych kóelek. I wtedy narzeczonego zapłakał. Żadne próby pocieszenia go nie odniosły skutku. Nawet obietnica kupienia mu nowego zegarka. Na widok jego zmartwionej twarzy serce ścisnęło się z bólu.

Nasz nowy bar miewa, Szolem, uważał się za takiego samego młodzieńca, jakim był w swoim czasie jego brat Herszł. Miał wtedy Szolem trzy wielkie pragnienia. Chciał mieć taki sam woreczek na tefilin, jaki miał jego brat Herszł, taki zegarek i narzeczoną. Wyobrażał ją sobie nie inaczej, jak tylko w postaci królowej. Miała to być dziewczyna tak piękna jak owe wspaniałe i cudowne dziewczęta, o których opowiadał dawny jego kolega Szmulik. Doskonale ją sobie wyobrażał. Dokładnie ją bowiem oglądał w swoich częstych snach. Pewnego dnia,

wkrótce po uroczystości, zobaczył ją na jawie. Od pierwszego wejrzenia zakochał się. Napiszę o tym w następnym rozdziale.

PIERWSZA MIŁOŚĆ

Roza Berger. Szulamit z Pieśni nad Pieśniami. Chaim Fruchsztejn — groźny rywal. Skrzypiące sztyblety i język francuski. Gra na skrzypcach. Rozkoszne marzenia

Gdyby Szolem nie spotykał się z nią często w późniejszych latach swego życia, gotów byłby przysiąc, że ta, która go oczarowała i podbiła, gdy miał zaledwie czternaście lat, była tylko wytworem wybujałej wyobraźni. Miała na imię Roza. Szolem nigdy nie widział, aby przechadzała się sama po mieście. Zawsze otaczali ją liczni adoratorzy. Zawsze przebywała w gronie młodzieńców, i to z najbogatszych i najznakomitszych rodzin żydowskich. Także w towarzystwie chrześcijan. Bywała i w kręgu oficerów. Rosyjski oficer spaceruje z Żydówką. Słyszeliście?! Taki spacer stanowił wielką sensację. W mieście kipiało. Nie każda młoda Żydówka mogła sobie na coś podobnego pozwolić. Nie każdej Żydówce miasto było skłonne to wybaczyć. Roza stanowiła wyjątek. Tylko ona grała na pianinie. Ona jedynie mówiła po francusku. Mówiła głośno i głośno się śmiała. Roza to nie byle kto. Jest panną z najlepszego domu. Jej ojciec to jeden z najbogatszych i najznakomitszych Żydów w Perejasławiu.

Arystokrata pełną gębą. W młodości, opowiadają ludzie, golił się wbrew zakonowi. Dziś jest już stary i siwy. Nosi brodę, okulary, pod oczyma ma worki. Podobne woreczki ma także Roza. Odziedziczyła je. Trzeba przyznać, że jest jej z tym do twarzy. Wraz z jedwabnymi

brwiami, żydowskogreckim noskiem i jasnobiałą cerą stanowią jakąś harmonijną całość. Jej zgrabna figura podbiła serce obiecującego, ładnego i wiecznie marzącego chłopca chederowego, Szolema, syna Nachuma. Od pierwszego spojrzenia jej cudownych niebieskich oczu Szolem zakochał się na zabój. Pokochał tę Sulamit pierwszą, płomienną i świętą miłością czternastoletniego niewinnego chłopca.

Tak! To Sulamit. Tylko Szulamit z Pieśni nad Pieśniami posiadała takie piękne, takie boskie oczy. Tylko Szulamit z Pieśni nad Pieśniami potrafi swoim spojrzeniem tak słodko i miłośnie, tak głęboko zapaść w serce. Mogę Was, drodzy czytelnicy, zapewnić, że na Szolema Roza spojrziała tylko raz. No, może najwyżej dwa. I to mimochodem, pewnego sobotniego dnia na ulicy. Spacerowała w otoczeniu całej watahy kawalerów. Wśród nich był pewien szczęściarz, Chaim Fruchsztejn.

Chaim to synek Josy Fruchsztejna. Jedyńca. Ma bardzo krótkie nogi. Za to nos szczególnie długi. A na nim czerwone „porzeczeki”. Zęby, rzekłbym, przeraźliwie duże. Ubierał się jak dandys, stuprocentowy modniś. Sztyblety lakierowane, skrzypiące. Obcasy wysokie, bardzo wysokie. Chciał uchodzić za wysokiego. Kamizelka biała jak śnieg. Włosy gładko zaczesane. Pośrodku przedziałek. Jak gąbka, nasączony perfumami. Zapach przeróżnych kremów, wód kolońskich i innych pachnidłań czuć było od niego na kilometr.

Ten to Chaim był najszcześniejszy spośród wszystkich adoratorów Rozy. Jego to właśnie uznało miasto za jej narzeczonego. Uchodził za oblubieńca Rozy. Dlatego, że był synem Josy Fruchsztejna. A Jose Fruchsztejn to bogacz. Bogacze to równi partnerzy. Zwłaszcza gdy chodzi o związek małżeński. Poza tym Chaim był jedynym na cały Perejasław młodzieńcem, który mówił po francusku. On mówił po francusku i Roza mówiła po francusku. Czyż mogła

być wobec tego lepsza para? I jeszcze jedno: ona grała na pianinie, a on na skrzypcach. I gdy we dwoje grają, to zostaw, człowieku, wszystko, co posiadasz, i wal

bez namysłu pod ich okno. Warto doprawdy stać całą noc, aby posłuchać, jak grają. Szolem nieraz stawał w letnie wieczory pod oknem Rozy i słuchał boskich melodii, wydobywanych jej ślicznymi palcami z czarnego błyszczącego fortepianu. Słuchał też niebańskich dźwięków, które Chaim Fruchsztejn wyciągał z delikatnych strun swoich skrzypiec. Tylko „ach” i tylko „och”! Możecie sobie wyobrazić, co Szolem wtedy przeżywał. Rozpływał się ze szczęścia i jednocześnie umierał ze zgryzoty. Błogosławił i przeklinał. Rozkoszował się muzyką i cierpiał, że to ktoś inny gra z Rozą. Błogosławił ręce, które potrafią wydobyć z instrumentów takie słodkie, urocze dźwięki, takie anielskie melodie. Przeklinał dzień, w którym przyszedł na świat w rodzinie Rabinowiczów, a nie Fruchsztejnów. Klął na czym świat stoi, że Chaim Fruchsztejn jest synem bogacza a on, niestety synem biedaków. Nie mógł doprosić się swoich rodziców, aby kupili mu lakierowane skrzypiące sztyblety na wysokich obcasach. Co gorsze, jego buty były już mocno sfatygowane. Obcasy poskręcane, zelówki zdarte. A gdyby nawet zdobył się kiedyś na odwagę i powiedział, że chce mieć lakierowane sztyblety, usłyszałby tylko: — A po co? — A gdyby jeszcze dodał, że chce, aby jego buty skrzypiały, to nie ulega wątpliwości — dostałby w twarz. Jakby to było dobrze, gdyby zdobył skarb! Ten skarb, o którym jego woronkowski przyjaciel, sierota Szmulik, naopowiadał tyle pięknych bajek. Głupstwo! Nie ma żadnego skarbu. A może gdzieś tam skarb jest, ale trudno go odnaleźć. Jest dobrze ukryty. Nim dotrzesz do niego, jeszcze głębiej schowa się w ziemię. I znowu przeklął Szolem dzień swoich urodzin. Dlaczego urodził się w rodzinie pocziwych Rabinowiczów? I jeszcze bardziej zniechęcił krótkonogiego Chaima Fruchsztejna o długim, upstrzonym czerwonymi porzeczkami nosie. Za to, że Bóg obdarzył Chaima trzema wspianiałymi rzeczami: sztybletami, znajomością francuskiego i umiejętnością gry na skrzypcach.

Nieszczęsny Szolem dał słowo, co więcej, przysiągł pod oknem Rozy, przy świetle księżyca, przy wtórze dochodzących z okna niebańskich melodii, że natychmiast zacznie się uczyć gry na skrzypcach. Będzie grał jak ten szczęściarz Chaim Fruchsztejn. Nie! Swoją grą zapędzi w kozi róg dziesięciu takich Fruchsztejnów. I będzie się uczył francuskiego. Przy Bożej pomocy będzie mówił po francusku niczym Chaim Fruchsztejn. A być może prześcignie go nawet. I wtedy uda się do domu Rozy. Przemówi do niej słowami z Pieśni nad Pieśniami — Szuwi, szuwi, Szulamit — wróć, wróć Szulamit, spójrz na mnie, posłuchaj, jak gram na skrzypcach! — I przeciągnie smyczkiem po strunach. Gdy jego Sulamit to usłyszy, ze zdziwieniem zapyta: — Skąd umiesz grać? — A on odpowie: — Z siebie! Sam się nauczyłem. — Chaim Fruchsztejn zdębieje. Z zazdrością na pewno podejdzie do Rozy, aby szepnąć jej coś po francusku. Wtedy wtrąci się Szolem. W pół słowa przerwie mu, i to po francusku: — Uważaj pan, panie Chaimie, na język, którym się posługujesz. Ja rozumiem każde słowo. — I Chaim zdębieje wtedy na fest. Roza Szulamit zaś wstanie z krzesła, weźmie pod ramię Szolema i powie tylko jedno słowo: — Chodźmy! Pójdą wówczas na spacer we dwoje. Roza i on. Po promenadzie Perejasławia. I będą rozmawiać po francusku. A sznur kawalerów z Chaimem Fruchsztejnem na czele będzie za nimi postępował. Ludzie w mieście będą pytać: — Co to za szczęśliwa parka? Ależ to Roza ze swoim wybrańcem! A któż to jest, ten jej wybrańiec? Jej wybrańiec to mistrz

Tanachu z Woronki. To ten znakomity kaligraf, Szolem, syn Nachuma, Szolem Rabinowicz! — Szolem to wszystko słyszy. Jednak, jakby nigdy nic, idzie dalej pod rączkę z piękną Rozą. Wpatruje się w jej niebieskie oczy. Oczy Rozy cudownie skrzą się wesołymi iskierkami. Czuje ciepło jej dłoni. Słyszy, jak serce bije mu w piersiach. Tik, tak, tik, tak! A jego buty skrzypią. To już przechodzi wyobraźnię, to graniczy już z cudem. A co do gry na skrzypcach i konwersacji po francusku, sprawa jest jasna. Po prostu nauczył się. Tak długo

pracował, aż opanował obie dziedziny. Ale z butami sprawa jest dość dziwna. Skąd to skrzypienie? Czyżby i one same nauczyły się tej sztuki? A może to się tylko jemu tak wydaje? I zaczyna przytupywać. Obiema nogami. Mocno, coraz mocniej i nagle obrywa od brata, z którym śpi w jednym łóżku: — Czego wierzgasz nogami jak koń? — Szolem zrywa się. Czyżby to był tylko sen?

Nie przestaje śnić na jawie. Sen przeplata się z jawą. Fantazja i rzeczywistość. Szolem nie ma pojęcia, jak długo to trwa. Aż pewnego dnia zawitał do miasta nieoczekiwany gość. Straszliwy gość. Na imię mu epidemia. Prawdziwa zagłada. Nad miastem jakby rozszalał się huragan. Wszystko się wali. Wszystko wywrócone do góry nogami. Śmierć nawiedza domy. Nie ominęła również domu Nachuma Rabinowicza. Poszła wtedy w niepamięć piękna SzulamitRoza. Ulotniła się gdzieś miłość do ślicznej dziewczyny. Minęła jak sen. Jak igraszka wyobraźni. Jak wczorajszy dzień. Tym gościem była cholera.

CHOLERA

Epidemia. Masażyści. Babcia Minda komenderuje. Porusza niebo i ziemię. Wzywa na pomoc zmarłych. Współpracuje z lekarzami. Śmierć matki. W sobotę nie wolno płakać

Zaczęło się to na początku lata, tuż po święcie Pesach. Początkowo jakby nie na serio. Później jednak, w czasie święta Szawuot, gdy owoce już dojrzały, a zielony agrest tak staniał, że sprzedawano go za pół darmo, rozkręciło się to i przybrało poważne rozmiary. Coraz częściej rozlegały się takie słowa, jak epidemia, zagłada, cholera. Sło

wo „cholera” wypowiadało się nie inaczej, jak tylko z jednoczesnym splunięciem. Na miasto padł strach. Zawisła nad nim groza.

Rzecz oczywista, że strach ogarnął jedynie ludzi dorosłych. Tylko starszych. Z dziećmi sprawa miała się wręcz przeciwnie. Dla nich było to prawie święto. Zaczęto zwracać większą uwagę na to, co jedzą i piją. Codziennie rano badano je. Obmacywano im główki. Sprawdzano języki. W końcu zamknięto chedery i dzieci puszczone do domu. Miało już tak być, aż Bóg ulituje się nad miastem, a epidemia wróci tam, skąd przyszła. Ale epidemia nie chciała opuścić miasta. Cholera rozszalała się na dobre.

Mieszkańcy miasta nie zasypiali jednak gruszek w popiele. Robili wszystko, co było w ich mocy. Przede wszystkim wzięli się do tak zwanych masaży. Szybko utworzono grupy masażyistów. Ich zadanie polegało na tym, że gdy tylko dostrzegli człowieka, któremu zrobiło się niedobrze, natychmiast kładli go na ławę. Rozbierali i dawaj masować. Tymi

masażami niemało ludzi uratowali od śmierci. Do grupy masażystów zapisali się najszacowniejsi obywatele miasta. Całe miasto zostało podzielone na dzielnice. Każdy rewir miał swoich masażystów. Autor niniejszej autobiografii odnosił się do nich z ogromnym szacunkiem. Podziwiał ich. Uważał ich za prawdziwych bohaterów. Ludzie ci nie znali strachu. Nie bali się ani cholery, ani śmierci. Podtrzymywali się wzajemnie na duchu. Uśmiechali się, wypijali lechaim i składali sobie życzenia: — Oby Bóg wszechmogący ulitował się nad ludźmi. Oby epidemia wygasła. Oczywiście Rabinowicze także znaleźli się w grupie masażystów. Nachum Rabinowicz miał co wieczór, po powrocie ze swojego rewiru, wiele do opowiadania. Przynosił mnóstwo nowin. A to kogo dziś masował, a to ilu dziś wymasował. Kogo w ogóle wymasował, a kogo nie. Wszyscy domownicy otaczali go kołem i na stojąco wysłuchiwali jego relacji. Patrzyli na niego z podziwem i szacunkiem. Małeńka Chaja Estera łamała sobie palce i patrząc na czeredę dzieci zebranych w pokcu, rzucała mi

mochodem: — Oby, nie daj Bóg, nie zawłókl tej choroby do domu. — Na to zwykle Nachum odpowiadał z uśmiechem: — Cholera nie jest znów taką chorobą, którą można zawlec. Komu sądzona, tego i w domu dopadnie. Widocznie małeńkiej Chaji Esterze była sądzona. Pewnego pięknego poranka wstała z łóżka i opowiedziała swojej teściowej, babci Mindzie, dziwny sen, jaki miała tej nocy. Śniło się jej, że jest piątkowy wieczór. Właśnie odmawiała nad świecami błogosławieństwo, gdy nagle do pokoju weszła Fruma Sara Srybnicka. Ta sama, która przed tygodniem zmarła na cholere. Podeszła do świec i dmuchnęła na nie. Tfu! Wszystkie świece zgasły. Wysłuchawszy jej relacji z dziwnego snu, babcia Minda po prostu wyśmiała ją. Jak zwykle, korzystnie dla Chaji Estery wyjaśniła, znaczenie snu. Jednak na twarzach obu kobiet najwyraźniej zarysował się cień strachu. Zaraz potem Chaja Estera położyła się do łóżka. Kazała podać sobie lusterko i przyjrawszy się swemu odbiciu, tak powiedziała do babci Mindy: — Teściowo, jest niedobrze! Przyjrzyj się tylko moim paznokciom. — Rzecz jasna, babcia Minda wyśmiała ją. Odczyniła wszystkie złe uroki. Precz przegnała wszystkie złe moce. Po cichu jednak posłała starsze dzieci po ojca, który w tym czasie był zajęty masowaniem w swoim rewirze. I nie czekając na powrót ojca, wstawiła do pieca duże naczynie z wodą i zabrała się do ratowania chorej. Robiła wszystko, co tylko w ludzkiej mocy. Nie zapomniała też posłać po doktora Kozaczkowskiego, najlepszego lekarza w mieście.

Kozaczkowski to chrześcijanin. Mężczyzna ogromnej tuszy o czerwonej twarzy. O nim Żydzi znający się na rzeczy mówili, że jest tak zdrowy, że pewnego dnia kipnie w marszu. I nie bacząc na to, że doktor Kozaczkowski był rzeczywiście najlepszym lekarzem w mieście, babcia Minda sprowadziła również Jenklą. Był to Żyd, który zajmował się leczeniem chorych. Z nim jakoś łatwiej było się dogadać. Jenkl znał się na leczeniu, chociaż był tylko felezerem. Jednak kołnierzyk nosił sztywny jak prawdziwy doktor. Recepty też wypisywał iście po doktorsku. Po ła

cinie czytał jak prawdziwy doktor i pieniądze też brał jak prawdziwy doktor. Gdy dostawał do ręki monetę, nawet nie patrzył. Brał ją jakby od niechcenia. Obmacywał ją w kieszeni i starał się odgadnąć, jaką ma wartość. Jeśli miała małą wartość, natychmiast kazał sobie dać inną. Robił to jednak delikatnie. Uśmiechał się przy tym, gładził sobie włosy na głowie i poprawiał bez przerwy okulary na nosie.

Z nim to babcia Minda zamknęła się na naradę w swoim alkierzyku. Młodsze dzieci wcześniej wyprawiła na dwór. Długo naradzali się szeptem. Trwało to aż do nadejścia ojca. I gdy ten wreszcie zjawił się ledwie żywy, babcia Minda naskoczyła na niego i dała mu porządny wycisk. Wyjaśnienia ojca wypadły bardzo śmiesznie. Istna komedia. Kto nie widział babci Mindy w owych dniach, ten doprawdy nie widział nic równie wspaniałego. Babcia — dowódca! Babcia — marszałek polny! Na głowie nosiła swoją jedwabną chustkę, na której były namalowane srebrne jabłka. Oba końce chusty wiązała z tyłu głowy. Welniane rękawy brunatnoczekoladowej sukni nosiła zakasane. Czarny rypсовy fartuch i umyte do czysta ręce oraz stara, pomarszczona i surowa twarz babci Mindy nadawały jej jakiegoś uroczystego wyglądu. Trudziła się i krzątała, jakby była na jakimś weselu, a nie przy ciężko chorej synowej, która w szponach cholery zmagala się ze śmiercią. Wyglądało na to, że to nie matka, Chaja Estera, ale ona, babcia Minda walczy za nią. Ona toczy bój z aniołem śmierci, który trzepotem skrzydeł dawał już znać o swoim nadejściu. Już go słyszeć, choć jeszcze nie było widać. Dzieci jeszcze nie zdawały sobie sprawy z tego, co się dzieje. Instyktownie czuły jednak, że to coś poważnego. Coś wielkiego, coś takiego, co dla nich stanowi tajemnicę. Mogły z twarzy babci Mindy wyczytać: „Śmierć chce zabrać dzieciom matkę, ale ja, z bożą pomocą, do tego nie dopuszczę!” A jeśli ona tak mówi, to można jej wierzyć. Jej trzeba wierzyć!

Któregoś dnia, gdy doktor Kozaczkowski przyszedł do chorej i widocznie stwierdził, że z nią już jest krucho,

albowiem jego zwykle czerwona twarz jeszcze bardziej poczerwieniała, babcia Minda natychmiast zebrała wszystkie dzieci. Ustawiła je w jednym szeregu, od najstarszego począwszy, a był to już kawaler z bródką, i na najmłodszym skończywszy. A najmłodsze dziecko to dziewczynka licząca roczek. Gdy doktor Kozaczkowski wyszedł z pokoju chorej, babcia padła do nóg, wycalowała jego ręce i podprowadziła do dzieci: — Popatrz pan, kochany i wielmożny panie, ile to robaczków, ile sierot zostawi po sobie chora, jeśli, nie daj Bóg, umrze. W imię sprawiedliwości zlituj się pan, wielmożny panie, nad tymi robaczkami, nad tymi owieczkami! — Odniosłem wrażenie, że słowa te były w stanie wzruszyć nawet kamień. Wzruszyły też do głębi doktora Kozaczkowskiego. Rozłożył ręce i powiedział: — Co jeszcze mógłbym zrobić? Robię wszystko, co mogę. Oto kogo należy prosić. — Tu wskazał palcem na niebo. — Boga, jego trzeba prosić! — Nie tego jednak potrzebowała babcia Minda. Za takie rady tylko wielmożnemu panu podziękować. Nie jest jej potrzebny jako pośrednik między Bogiem a nią. Do Boga sama zna drogę. Była już w bóżnicy. Zapewniła już sobie odpowiednich ludzi do odmawiania psalmów przez całą dobę. Na cmentarzu też już była. Wzywała zmarłych na pomoc. Nad grobem lamentowała: — Taka matka jak żona mego syna Nachuma nie powinna umrzeć. Taka porządna i bogobojna kobieta jak Chaja Estera nie może i nie powinna umrzeć! Nie! Boże kochany! Tyś przecież Bóg dobry. Ty tego nie zrobisz.

Umarła. Dla dzieci była to już druga śmierć po zgonie rebego Mojszy rzezaka. Bardziej tę śmierć odczuwały, aniżeli ogarniały rozumem. Mocno, bardzo mocno je zabolala. Prawda, że Chaja Estera była bardziej surowa od innych matek. Nie da się zaprzeczyć, że często się od niej obrywało. Mówiła: — Dzieci nie powinny być przesadnie ciekawe. Dzieci nie powinny plątać się pod nogami. Nie powinny szczyrzyć zębów i rechotać. — Innymi słowy, dzieci nie powinny się śmiać. Ale dzieci lubiły się właśnie śmiać. Bo jak tu się nie śmiać, gdy człowieka śmiech po

prostu rozsadza. Drogo je ten śmiech kosztował. Płaciły za niego naciągniętymi uszami i czerwonymi policzkami. Matka, chociaż małeńka, twardą miała rączkę. Mocno dała się im we znaki.

Teraz jednak dzieciarnia zapomniała o szturchańcach, kuksańcach i innych sposobach bicia. Wspominano raczej, jak matka zwykła była wkładać rękę do kieszeni fartucha, aby wyciągnąć stamtąd po grosiku dla każdego dziecka. Jak na początku każdego miesiąca częstowała je kiszoną kapustą z miodem. Jak nie odstępowała ani na chwilę od łóżka dziecka, gdy zachorowało. Jak czule obmacywała ich główki. Jak sprawdzała ich puls, pieściła i głaskała po policzkach. Jak na święta szyła im ubranka. Jak kąpała je i myła. Jak wesoło śmiała się przy uczcie sederowej w święto Pesach, gdy po wypiciu wina z czterech kielichów szumiało im trochę w głowie. I wspominały jeszcze wiele innych rzeczy.

Dzieci leżały z głowami wtulonymi w poduszki i zanosiły się płaczem. Ich rozpacz jeszcze wzmogła się, gdy zobaczyły, że ojciec płacze. Kto to słyszał, żeby ojciec płakał! Tego jeszcze nie było. Gdy jednak spostrzegły, jak babcia Minda lamentuje, jak śpiewnie się modli, jak spiera się z Bogiem, to mimo woli, bez względu na żalobę, cień uśmiechu pojawił się na ich twarzach. Babcia Minda tak bowiem rozmawiała z Panem Bogiem — Dlaczegoś mnie nie zabrał zamiast tej młodej gałęzi, tej, bez uroku, matki tyłu robaczków? — To porównanie dzieci do robaczek wywołało w nich śmiech nie do opanowania. Dlaczego właśnie robaczki?

Wtem otwierają się drzwi i stryj Pinie ze swoimi dwoma synami wpada jak wicher. Przychodzi wprost ze starej bóżnicy. Tam stryj Pinie chodzi na modły. Już od progu wyrzuca z siebie gromkie powitanie: — Dobrej soboty! — Zauważywszy, że wszyscy zebrani w pokoju płaczą, podnosi krzyk. Ma to za złe ojcu i babci Mindzie. Wsiada na nich: — Co tu się dzieje? Zmysły potraciliście? Zapomnieliście, że dziś mamy sobotę? W sobotę nie wolno płakać! Nachumie, co ty wyrabiasz? Nie wolno! Dziś jest

sobota! Cokolwiek by nie było, sobota jest najważniejsza! — Sam zaś odszedł na bok i zaczął udawać, że wyciera sobie nos. Ukradkiem spojrzął w stronę, gdzie leżała matka przykryta czarnym suknem. Szybko wytarł oczy, aby nikt nie dostrzegł, że płacze. Nie zdołał jednak ukryć drżenia głosu. Mówił już inaczej. Bardziej miękko, bardziej łagodnie. — Posłuchaj mnie, Nachumie! Wystarczy! Za dużo na siebie bierzesz! Już dosyć! Nie wolno! Dziś sobota... Stryj Pinie nie był w stanie wypowiedzieć słowa „sobota”, bowiem łyż, które przez cały czas połykał, nagle stanęły mu w gardle. Nie mógł się już dłużej powstrzymać. Przypadł do stołu i rozplakał się jak dziecko. Cienkim głosem zawołał: — Chajo Estero! Chajo Estero!

ŻAŁOBNICY

Ojciec ślęczy nad Księgą Hioba. Swaci namawiają go do żeniaczki. Dzieci zamierza się wysłać do Bogusławia, do dziadka. Mojsze Jose

Nigdy jeszcze bohater tych relacji nie pragnął tak bardzo skarbu, o którym naopowiadał mu kiedyś jego kolega Szmulik, jak teraz, gdy wraz z ojcem, braćmi i siostrami odbywał siedmiodniową żalobę. Siedział właśnie z nimi na podłodze w samych skarpetkach i myślał: „Gdybym teraz miał ów skarb głęboko ukryty w dalekim małym miasteczku. Gdybym miał choć jego część. Nie muszę go mieć w całości. Jakżeby mi się teraz przydał! Babcia Minda przestałaby wtedy płakać i skarżyć się. Zaniechałaby waśni z Bogiem. Nie zarzucałaby mu, że postąpił źle, zabierając najpierw synową, a nie ją, teściową... Ojciec

przestałby wzdychać, stękać i żalić się, że on sam pozostał przy życiu. Po co mu żyć na świecie? Czymże jest teraz świat bez Chaji Estery?" Szolem myślał także o dzieciach. Co by teraz robiły i gdzie by się podziewały? Zapewne nad rzeką, w wodzie kąpałyby się, łowiły ryby albo po prostu włóczyły. Piękny jest boży świat. I takie słońce. Taki upał. Właśnie obrodziły owoce. Są tanie. I porzeczek za pół darmo. Już pojawiły się zielone ogórki. Tylko patrzeć, a ukażą się melony. Żółte, soczyste, pachnące. I arbuzy jak ogień czerwone. A wewnątrz pestki szeleszczą niczym piasek. Słodkie jak cukier. Ach, skarbie!

I marzenia przenoszą go w inny świat. W świat fantazji. W świat słodki i przyjemny. I nagle wydaje mu się, że już jest gdzieś w podziemiach naprzeciw skarbu. Oto przed nim skarb w całej okazałości. Ma przed oczyma wszystkie drogie i cudowne rzeczy. Talizmany i szlachetne kamienie. Leży przed nim złoto i srebro. Złote imperiały, diamenty i brylanty. Ojciec jest wprost oszołomiony: — Skąd u ciebie, Szolemie, tyle bogactw! — Nie mogę ci, tato, powiedzieć. Gdybym ci powiedział, całe to bogactwo zniknie bez śladu. — I Szolem jest w siódmym niebie. Udało mu się wyciągnąć ojca z nędzy. Żał mu tylko, że nie ma już matki. — Nie było jej sądzone — powiada babcia Minda. Wszystkie swoje najlepsze lata poświęciła dla dzieci. Teraz, gdy nastał czas na wygodne życie, umarła.

Nagle słychać westchnienie ojca: — Co robić? Od czego zacząć? — I mały marzyciel wraca ze szczęśliwego świata snów i fantazji na ziemię. Zostaje przywołany do okrutnej rzeczywistości. Do świata pełnego trosk i łez. Do prozy dnia codziennego, wypełnionego rozmowami o macę na bułki, o pieniądzech, o zakupach na targu, o gościach, którzy nie chcą jakoś korzystać z ich domu zajezdnego, o parnuse. I nad tym wszystkim unosiło się westchnienie ojca: — Co robić? Od czego zacząć?

— Jak to, co robić? — stryj Pinie wsiada na ojca. — Jest siódmy i ostatni dzień żałoby. Będziesz robił to, co wszyscy Żydzi robią. Ożenisz się...

Żenić się? Tato będzie się żenił? My, dzieci, będziemy miały nową matkę? A jaka będzie ta nowa matka? Różne myśli chodzą po głowie. Dzieci patrzą na ojca. Czekają. Co on powie? Tato nie chce nawet słuchać. Nie chce przyjąć tego do wiadomości. Powiada: — Ja mam się żenić? Po takiej Chai Esterze? I ty to mówisz? Własny brat? Kto ją lepiej od ciebie znał? — Dławi go szloch. Nie może wydobyć głosu. Stryj Pinie zagryza wargi. Nic nie mówi.

Po krótkiej przerwie stryj odzywa się. Czas na modlitwę Mincha. Żałobnicy wstają ze swoich miejsc. Ojciec wraz z dziećmi odmawia na stojąco modlitwę. Sześciu chłopców, a wśród nich nieco starszy z rudą bródką, odmawia Kadisz tak wspaniale, że tylko słuchać. Rodzina z dumą patrzy na kadiszowców. Obce kobiety pękały z zazdrości. — Mając za sobą takich kadiszowców, matka trafi wprost do raju. A gdyby nie, to znaczy, że koniec świata już blisko. — To zdanie wypowiada jakaś krewna. Nazywa się Bluma. Widać, że to kobieta robotna. Męża ma niemowę. Zostawiła go wraz z dziećmi i przybyła tu, aby pomóc rodzinie zmarłej. W kuchni, przy sprzątanu pokoi albo przy dzieciach. Dzieci nie mogą uskarżać się na brak opieki. Wprost przeciwnie. Od śmierci matki stały się jakby ważniejsze. Są przecież sierotami. W czasie siedmiu dni żałoby bywały chwile, które nastrajały dzieci świątecznie. Po pierwsze, a jest to sprawa chyba najważniejsza, nie chodziły do chederu. Po drugie, dostawały w tym czasie prawdziwą słodzoną herbatę. Do tego zaś nie były wcale przyzwyczajone. Ponadto certowano się z nimi jak nigdy. To obmacywano im główki, to znów brzuszki. Pytano o pracę żołądeczków. Dowiedziały się wtedy, że w ogóle mają żołądki. A już największą frajdą było siedzieć z ojcem na kołdrze i patrzeć, jak on, pomarszczony i pochylony, ślęczy nad Księgą Hioba. Miło było słuchać coraz to nowych gości, którzy nawiedzali ich dom, aby pocieszyć w żałobie. Dziwne jakieś były ich słowa. Wchodzili do mieszkania bez zwykłego „dzień dobry”. Wychodzili bez pożegnania. Dziwnie jakoś mrugali oczami i nie

wyraźnie mamrotali pod nosem: —Hmm...mm... Syjon i Jerozolima.

Dla małego urwisa Szolema tego rodzaju wizyty były istną galerią najprzeróżniejszych typów i obrazów. Prosiły się po prostu, aby je przelać na papier. Na pierwszy plan wysuwa się stryj Pinie. Nie sam, ale w otoczeniu swoich synów, Isrulika i Icla, ubranych w długie kapoty. Stryj ma zakasane rękawy i przemawia. Synowie milczą. Stryj mówi na temat przepisu prawnego, dotyczącego siedmiu dni żałoby. Kiedy, od której godziny liczy się kolejny dzień. Z rana czy wieczorem? Nie jest pewny. Obiecuje, że jeszcze raz zajrzy do swoich ksiąg w domu. Wtedy już będzie wiedział dokładnie. Na razie nie żegna się. Wraz z synami bąka naprędce coś, co brzmi jak „Syjon i Jerozolima”. Urywa się szybko. Po nim zjawia się ciocia Chana ze swoimi córkami. Piskliwym głosem nacierają na ojca. Wystarczy już! Dosyć! Niech przestanie płakać! Płaczem nie przywróci Chai Estery do życia. Przed odejściem cioca Chana zwraca uwagę, że w mieszkaniu można się udusić. Zażywa tabaki z małego pudełeczka i podnosi krzyk, aby choć jedno okno otworzyć. — Do wszystkich diabłów — woła — udusić się można. — Po niej wsuwa się ciocia Tema. Kobieta całkiem bez zębów. Trzęsie trochę głową. Z twarzy nie schodzi jej uśmiech, a w oczach łzy. Wypłakuje swoje serce i opowiada nowiny w stylu: — Wszyscy kiedyś pomrzemy...

To są typy z rodzinnej galerii. Potem zjawiają się obcy ludzie. Najrozmaitsze postacie. Jedni wierzą w Boga, w życie na tamtym świecie, a inni nie. Do tych ostatnich należy na przykład Arnold z Pidworków. Ten ze wszystkiego drwi. — Nie ma — powiada — żadnego prawa i żadnego sędziego. Stoi przecież jak byk w Piśmie, że nie ma różnicy między człowiekiem i, nie przymierzając, zwierzęciem. — Strach pomyśleć, co też ten Arnold wygaduje o Bogu i Mesjaszu. A każde wypowiedziane przez niego zdanie jest okrągłe i ma sens. Arnold to jedyna osoba, która wychodzi z domu ze słowami pożegnania. Ciekawe, co się stanie z takim Arnoldem, kiedy pewnego

dnia umrze. — Mnie — powiada Arnold — możecie natychmiast po śmierci spalić, a popiół rozsypać po wszystkich siedmiu morzach. Mnie to nic a nic nie obchodzi. — Babcia Minda daje mu odprawę: — Niech już lepiej pańscy wrogowie mówią za pana. — A Arnold jakby nigdy nic. Śmieje się i odchodzi. Za to wchodzi Jose Fruchsztejn. Świeci swoimi ogromnymi zębami. I on ma żal do ojca o to, że Nachum płacze. — Tego — powiada — nie spodziewałem się po nim. — Dodie, syn Icchoka Awigdora, mówi to samo. Zaklina się na wszystkie świętości, że gdyby jemu coś podobnego przytrafiło się, to by cha, cha, cha, wrzucił do skarbonki Meira Cudotwórcy parę groszy... Gdy Dodie wychodzi, wybucha śmiech. Wszyscy przecież wiedzą, że jego żona Fejge Perł to prawdziwa perła. Perła od samego Boga. Chwała Bogu, że już można troszkę się pośmiać. Ojciec wprawdzie wciąż jeszcze zagląda do Księgi Hioba, ale już tak nie płacze jak w pierwszych dniach żałoby. Już nie złości się na stryja Pinie za to, że ten napomyka mu o nowej żeniaczce. Wzdycha jeszcze tylko i postępuje. Wciąż zadaje to samo pytanie: — Co zrobić z dziećmi? Co z nimi począć?

— Co zrobić z dziećmi? — stryj Pinie odpowiada mu pytaniem na pytanie. Głaszcze sobie przy tym brodę. — Starsze dzieci będą pobierały naukę tam, gdzie dotychczas. Młodsze zaś dzieci wyślesz do ich dziadka, do Bogusławia. W Bogusławiu mieszka dziadek Mojsze Jose i babcia Gitł ze strony matki. Dzieci swoich dziadków nigdy na oczy nie widziały. Słyszały tylko, że gdzieś, w jakimś odległym mieście, które nazywa się Bogusław, mają babcie i dziadka. Słyszały, że dziadkowie to ludzie bogaci, mocno nadziani. A więc chcą ich aż tam wysłać. Byłby to w istocie nie najgorszy plan. Po pierwsze, sama jazda. Po drugie, zobaczą nowe miasto. Na dodatek poznają babcie i dziadka,

których przedtem w ogóle nie widziały, a to już coś znaczy. Pozostaje do wyjaśnienia tylko jedna sprawa: kogo stryj Pinie zalicza do starszych dzieci, a kogo do

młodszych. Nie ulega wątpliwości, że chłopak po bar micwa może się zaliczać do starszych. I ta sprawa tak zajęła Szolemą, że przestał prawie myśleć o matce, o tej, po której rano i wieczorem odmawiał Kadisz, i o ojcu, który nie przestawał wzdychać i kwękać, oraz o skarbie, tak bardzo przecież utęsknionym. Teraz pociągało go zupełnie coś innego. Podróż do wielkiego miasta, do Bogusławia, gdzie mieszka dziadek Mojsze Jose i babcia Gitł. Rodzice jego matki, o których mówią, że są tacy bogaci, tacy bogaci!

NAD DNIEPREM

Podróż do Bogusławia. Milczący bałaguła — Szymon Wolf. W oczekiwaniu na prom. Bałaguła odmawia modlitwę Mincha nad brzegiem rzeki. Dzieci radują się modlitwą

Pewnego dnia pod koniec lata, tuż przed Groźnymi Dniami, zajeżdżał przed ganek domu Rabinowicza kryty wóz, zwany budą. Ulokowano w nim młodsze dzieci. Dwie dziewczynki i czterech chłopców. Był wśród nich i nasz bar micwa, Szolem. Na drogę dzieci dostały po dwie koszulki, zapas żywności i list do dziadka oraz jego małżonki, babci Gitł. Nie szczędzono im pouczeń i wskazówek, jak zachować ostrożność na przeprawie promowej przez Dniepr. Pływać po Dnieprze, i to promem! Nikt z nich dotychczas czegoś podobnego nie widział. Nie wiedzą nawet, czym to się je. Mogą sobie tylko wyobrazić. Z pewnością będzie to wielka frajda. I natychmiast wylatuje z myśli matka. Wszystko idzie w niepamięć. W głowie pozostaje tylko podróż. Myśli biegną ku Dnieprowi, zatrzymują się na promie. Znalazł się jednak ktoś, kto przypomniał im

o śmierci matki. To babcia Minda. Raz po raz kładzie im do głowy, żeby, uchowaj Boże, nie zapomniały odmawiać Kadisz po matce. Głaszcze ich przy tym po twarzach swoimi zimnymi i śliskimi palcami. Całuje na pożegnanie. Na wieki, na zawsze. Wzdycha: — Jeden tylko Bóg wie, czy uda mi się jeszcze kiedyś spotkać z wami... — I tak też było. Serce nie oszukało jej. Gdy w jakiś czas potem dzieci powróciły z Bogusławia do domu, babcia Minda była już tam, gdzie przebywała ich matka. Grób przy grobie. I ojciec odmówił Kadisz po swojej matce. Był ten rok cholerny rokiem Kadiszów. Strasznie dużo ludzi odmawiało Kadisz po swoich zmarłych. Cała bóżnica naraz odmawiała Kadisz. Człowiek i człowiek, a różnica wielka. O ile bałaguła Meir, który kiedyś przewiózł dzieci z Woronki do Perejasławia, był człowiekiem ruchliwym, żwawym i wygadany, o tyle bałaguła Szymon Wolf, wiozący teraz dzieci z Perejasławia do Bogusławia, był człowiekiem ospałym, zatroskanym i milczącym. Milczał, że aż strach! Możesz mu kołki ciosać na głowie, możesz strzelać do niego z armaty, a on nic. Słowa nie piśnie. Poza jednym jedynym, rzecz jasna, słowem: — Wyłazić! — Czasem: — Fora z wozu! — A dzieci wprost umierały z ciekawości. Chciały usłyszeć od niego, kiedy dotrą do Dniepru, kiedy wejdą na prom. I co to jest prom? Ale nic z tego. Zamknął się człowiek. Milczy jak zakłęty. Siedzi na koźle, biczem smaga konie i cmokając głośno grubymi wargami rzuca od czasu do czasu jedne i te same

słowa: — A to ci cholera! Cholery na was nie ma! — Albo dla odmiany: — Naprzód, chabety! A bodajbyście zdechły! — A jeśli się zdarzy, że nie klnie, to wtedy po cichu coś szepcze albo nuci cienkim głosem. W ten sposób odmawia z pamięci psalmy.

I tak jak ludzie są różni i rozmaite mają charaktery, różne też, nie przymierzając, bywają konie. Konie Szymona Wolfa są do niego bardzo podobne. Po prostu wdały się w swego pana. Jak on ospałe. Mają jakiś dziwny nawyk: kichają, prychają, wywijają ogonami i wloką się,

wloką i wloką. I zdaje się, że jazda trwa nie wiadomo od kiedy. Jeden Bóg tylko wie, kiedy dowleczymy się do jakiegoś osiedla. Dokoła pusto. Tylko niebo, ziemia i piasek. Nieprzebrane połacie piasku. Na domiar złego konie nagle przystają. Nie idą dalej. Szymon Wolf złazi powoli z wozu i swoim cienkim głosem wyciąga: — Szczęśliwy jest ten, co nie ma w sobie litości! — Następnie zwraca się do dzieci i powiada: — Fora z budy! — Dzieci wyłazą z wozu. Co się stało? Ano nic! Droga jest piaszczysta. Konie nie uciagną wozu z ładunkiem. Trzeba więc podrażować trochę na piechotę. Żaden problem. Nie ma nieszczęścia. Jak pieszo, to pieszo! Na piechotę to nawet weselej. Jeden tylko szkopuł. Najmłodsza sierotka ma niespełna roczek. Sama nie chce zostać w wozie. Płacze. Nie ma rady. Trzeba ją wziąć na ręce i nieść. A to już w jakimś stopniu psuje zabawę. Na szczęście trwa to niedługo. Droga dalej jest lepsza i Szymon Wolf powiada do dzieci: — Ano, włączcie do wozu! — Włazą więc znowu do wozu pod budę i zaczynają rozprostowywać kości. I tak to trwa aż do następnego piaszczystego odcinka drogi. Wtedy znowu pada komenda: — Fora z budy! — A wkrótce potem: — Włączcie do budy!

I nagle, uwaga! Coś tam błyszczy w dali. Co to jest? Błyszczy jak szkło i srebrem odbija promienie słońca. Gra kolorami. Oczy od nich ślepną. Czyżby to był Dniepr? Dzieci nie mogą już usiedzieć w wozie. A wóz, jakby na złość, wlecze się leniwie. Nim bowiem dotrze do Dniepru, musi pokonać jeszcze jeden odcinek piaszczystej drogi. A piasek w tym miejscu jest sypki, gęsty, głęboki. Po kolana głęboki. Powolutku, krok za krokiem wloką się koniki. Z trudem wyciągają kopyta z piasku. Koła wozu wrzynają się głęboko. Wóz trzeszczy, ale Dniepr coraz bliżej i bliżej. I oto jawi się już w całej okazałości. Oto jest w całej swojej krasie. Tak, to on. To Dniepr. W blasku. Cały skąpany w promieniach słońca. Szerokim i jasnym uśmiechem wita młodych gości, którzy przybyli do niego — staruszka prawiecznego — po raz

pierwszy w życiu, aby z szacunkiem pozdrowić go: — Szotem alejchem, jak się masz, dziadku?

Szczególnego wdzięku dodaje Dnieprowi wysoki, zielony, miejscami żółty oczeret, gęsto rosnący nad jego brzegiem. Długie, ostre, spiczaste liście odbijają się w wodzie niczym w lustrze. A dokoła panuje cisza. Rozległy jest Dniepr. Szeroki i długi. Jak morze pełnowodny. I cicho płyną w dal jego wody. Dokąd? To tajemnica. Lazurowe niebo patrzy na rzekę z góry i wraz ze słońcem przegląda się w wodzie. A słońce nie ma zamiaru zachodzić. Niebo jest czyste i woda jest czysta. I piasek jest czysty a powietrze klarowne. I cisza, boska cisza wokół. I dal niezmiernie boska, bezbrzeżna dal. Przypominają się słowa z Psalmów o nieskończonych bożych przestrzeniach. Nagle: — Ćwir! — Z gęstwiny oczeretu niespodziewanie wyfrunął ptak. Niczym strzała wyrzucona z łuku przecina ciche, jasne, czyste powietrze. Zygzakami pruje w niebo. Po chwili, jakby doznał skruchy, jakby żałował swego odlotu, wraca do oczeretu.

Nadlatuje chwiejnym lotem i szybko niknie w zaroślach. Ogarnia cię wtedy chęć pójścia w jego ślady. Chce się wylecieć z wozu i szybować nad wodą. A jeśli nie fruwać, to przynajmniej rozebrać się do naga, wskoczyć do rzeki i popluskać w wodzie. Żeby tak popływać. Pływać i pływać!

— Wyłaźcie z wozu! — Rozkaz Szymona Wolfa jest ostry. Sam wychodzi pierwszy. Bat ma zatknięty za pasem.

Przystawia ręce do ust, zadziera głowę do góry i wydaje jakiś dziwny, głuchy ryk. Jakby dobywał go z pustej beczki.

— Pro...oom! Pro...oom! — Wygląda na to, że prom to jakaś żywa istota, mieszkająca na drugim brzegu rzeki, którą należy w ten sposób przyzywać. Dzieciaki wyłażą z budy, wyprostowują zeszywniałe od długiego bezruchu gnaty i pomagają bałagule. Na wzór Szymona Wolfa przystawiają ręce do ust, zadzierają główki do góry i piskliwym głosem nawołują:

— Pro...oom! Pro...oom!

I raptem wybuchają śmiechem. Same nie wiedzą, z ja

kiego powodu. Po prostu rozsadza je śmiech. Bez żadnej przyczyny. Śmieją się, bo jest im dobrze, bo są młode i zdrowe. Bo wkrótce znajdą się na promie i popłyną po Dnieprze. Kto się może z nimi równać? Ale oto słońce zaczyna już żegnać dzień. Ostatnimi złocistymi promieniami przegląda się w srebrnej toni rzeki. Śmiech ustaje. Nie do śmiechu teraz. Bardzo tu cicho na tym dniewowym brzegu. Zaiste, wokół panuje święta cisza. I robi się jakoś chłodniej. I woda tak dziwnie pachnie. Coś brzęczy, coś szumi, coś brzmi tuż, tuż i naraz ucieka. Bałagula tymczasem obwiązał kapotę długą chustą, wetknął na nią bat i stanął twarzą ku wschodowi. Zwyczajem pobożnych Żydów przymknął oczy, rozkołysał się, rozkiwał i swoim ciekim głosem zaczął odmawiać modlitwę Mincha. Modlitwa Szymona Wolfa, odmawiana pod gołym kolorowym niebem nad brzegiem starego, pięknego i pachnącego Dniepru, złała się z szumem wciąż szepczącej wody, wywołując w młodych podróżnikach jakiś nowy, nie znany im dotąd podniosły nastrój. Naraz oni również zapragnęli pomodlić się. Można śmiało powiedzieć, że była to ich pierwsza, dobrowolna, niewymuszona modlitwa. Właśnie tutaj, pod gołym niebem, w bezpośredniej bliskości Boga. Nigdy dotychczas nie mieli na to takiej ochoty jak teraz, o wieczornej porze na łonie natury, nad brzegiem wielkiej rzeki. Opuścili jeden werset. Nic nie szkodzi. W drodze można się bez niego obejść. Zaczęli od słów: „Szczęśliwi są ci, którzy mieszkają w domu Twoim”. Modlili się śpiewnie. Ustawili się twarzą ku wschodowi. Rozkołysali się jak bałagula. „Bóg potężny jest i groźny”. Sens tych słów rozumie się dopiero tutaj. Właśnie teraz, w ten wieczór, pod niebem nad brzegiem Dniepru. I modlitwa poszła im w smak. Jest słodka jak nigdy przedtem.

. NA PROMIE

Niespodziewane spotkanie na promie. Ezaw. Rozstanie bez słów

Mali podróżnicy nie zdążyli jeszcze dokończyć modlitwy, gdy ich oczom ukazał się jakiś czarny kłęb płynący w oddali po błyszczącej tafli Dniepru. W miarę zbliżania się do brzegu nabierał on w blasku zachodzącego słońca coraz to nowych kolorów i rósł w oczach. Raz po raz znikał, jakby się zapadał w wodę, aby za chwilę znów się wynurzyć. Wtem rozległ się dziwny szum. Zahuczało i zaturkotało. Można było rozróżnić turkot toczących się kółek i ciężkie

skrzywienie liny. Skrócili więc modlitwę, szybko skacząc po ostatnich wersetach, i pobiegli na brzeg. Tam ujrzeni ciągnącą się przez całą szerokość rzeki grubą linę, jednym końcem przymocowaną do pala wbitego w ziemię po przeciwległej stronie Dniepru. Tymczasem przedmiot na rzece rósł coraz bardziej i bardziej. I oto ten drewniany stwór przeistoczył się w istotę niemal żywą. Wyglądała jak dom, który porusza się i płynie po wodzie. U góry, na grzbiecie, ma kółko; kółko wciąż się kręci i wprawia go w ruch. Pozwala mu płynąć po wodzie. Płynie więc powoli, ale pewnie. Jest coraz bliżej brzegu. Już można go obejrzeć z bliska. Objąć wzrokiem ze wszystkich stron. Nie! To nie jest żywa istota. Nic z tych rzeczy. To zwykły statek. Coś w rodzaju barki lub berlinki. Pełno na nim furmanek, koni i ludzi. To jest właśnie ów prom, z takim utęsknieniem wypatrywany przez dzieci. Tym promem popłyną i przepłyną Dniepr. Lżej się robi na sercu. Można tymczasem usiąść na piaszczystym brzegu i cierpliwie czekać, aż prom dobije do przystani. Prom bowiem płynie bardzo powoli. Ledwo porusza się. Już znacznie szybciej słońce wędruje po niebie. Właśnie je widać. Dopiero co było w górze, a oto schodzi już w dół, zniża się, zanurza i znika za rzeką. Zostawia za sobą sze

roka, czerwoną plamę. Wietrzyk robi się coraz chłodniejszy. Dzieci wciąż jeszcze siedzą na piaszczystej ziemi. Najstarsze z nich wzięło na ręce najmłodsze jednoroczne maleństwo.

Nareszcie prom zatrzymuje się. Ludzie, fury, konie powoli opuszczają pokład. Wszystko odbywa się w kompletnej ciszy. Ludzie w ogóle nie odzywają się. Bałagała Szymon Wolf wszedł na prom i również pary z gęby nie puścił. Wygląda na to, że tu obowiązuje zakaz mówienia. Najpierw Szymon Wolf wprowadził na prom konie i wóz. Ani razu przy tym nie zaklął, nie posłał koni do cholery. Następnie dał znak dzieciom, aby weszły na prom. Jeszcze chwila, a prom ruszył z woli jednego człowieka, który napał na linę ze wszystkich sił. Cicho, bezszelestnie drgnął. Tak cicho, że nie słyhać, jak płynie. Wydawało się, iż to nie prom płynie, przeciwnie, to rzeka, to Dniepr cofa się, przesuwa do tyłu, wyciąga do nas rękę na pożegnanie. Tu, na promie, widać dopiero jak piękny, ogromny i wspaniały jest Dniepr. Płynie się, płynie, a do drugiego brzegu daleko.

Słońce zaszło już dawno. Na niebie pojawił się księżyc. Z początku był czerwony, potem zbiełał. Biel i srebro. Białosrebrna kula. Stopniowo, jedna za drugą, niczym świece sobotnie, zapalały się gwiazdy. Tego wieczoru Dniepr przybrał inny kształt. Zgoła inne ukazał oblicze. Innych nabrał kolorów. Zdawało się, że włożył na siebie ciemne ubranie. Powiało od niego świeżym chłodem. Delikatnym, lekkim chłodem. I tysiące różnych myśli zaczęły Szolemowi chodzić po głowie. O nocy, o niebie, o gwiazdach, które odbijały się w cichym nurcie Dniepru. A każda gwiazda to przecież dusza ludzka. Myślał o sile promu i jego mocy. I o tym, że jeden człowiek, jeden zwyczajny goj potrafi go wprawić w ruch. Kładzie po prostu rękę na linę, ciągnie ją i wtedy kółko zaczyna obracać się, a prom płynie. I nagle Szolem zapragnął ujrzeć tego goja. Ten właśnie majstrował przy linie. Szolem podszedł do niego. Zobaczył przed sobą młodzieńca odzianego w szarą siermię

gę. Na nogach miał potężne buciory z cholewami, na głowie futrzaną czapkę. Z całych sił, nieprzerwanie mocuje się z potwornie grubą liną. Szolem nie spuszcza oka z młodego goja. Widzi, jak ten pracuje całą parą. Jak macha ramionami. W górę, w dół, i znowu w górę, w dół. Wyraźnie słyszy, jak tamtemu trzeszczą kości. „Ezaw — myśli sobie Szolem.

— Prawdziwy Ezaw. Tylko goj tak potrafi. Żyd tego nie potrafi. Gdzie tam Żydowi do takiej roboty. »Bratu twemu służyć będziesz«. Tak przecież toi, jak byk w Pięcioksięgu. Dobrze się stało, że jestem wnukiem Jakuba, a nie Ezawa". A mimo to żal mu młodego goja. Współczuje temu wnukowi Ezawa. Zbyt jeszcze młody jest ten promowy. Bardzo młody Ezaw. Szolem bliżej i dokładniej przygląda mu się. Patrzy, patrzy i nagle odskakuje do tyłu. Zdaje mu się, że już kiedyś widział tę twarz. Twarz jakby znajoma. I Szolem nie zastanawia się więcej. Podchodzi do niego jeszcze bliżej. Tym razem jest tuż przy nim. Toż to żaden goj, to bardzo młody szejgec. Twarz ma niesamowicie umorusaną, zabiedzoną, o grubych rysach. Oczy ma jednak żydowskie. Zaś ręce goja. I przychodzi Szolemowi na myśl zdanie z Biblii: „A ręce jego to ręce Ezawa". Tak, to ręce Ezawa... Dlaczego więc ten szejgec wydaje mu się znajomy? Gdzie go widział?

Zaczyna szperać w zakamarkach swojej pamięci. I przychodzi mu na myśl jeden z jego woronkowskich koleżków, Berł, syn wdowy.

Czarny chłopak o monstrualnie dużych zębach. Czyżby to był on? Przecież to on!

Młody goj zauważył, że patrzę na niego. Zsuwa czapkę głębiej na twarz i tylko boczkiem zaczyna zerkać na mnie. I tak w ciemnościach nocy spotkały się ich oczy. Poznali się.

Niespodziewane spotkanie wywołuje w Szolemie mnóstwo refleksji. Czy Berł to goj? Żyd stał się gojem? I przypomina sobie, że jeszcze wtedy, w Woronce, głośno mówiono o tym, że Berł miał się wychrzcić. Nic też dziw

nego, że obdarzono go wówczas mianem „złośliwego renegata". A może tak podejść do niego i przypomnieć się? Zagadnąć go? Szolem czuje jednak w sobie jakiś wewnętrzny opór. Teraz istnieje przecież między nimi przepaść. Wytworzył się dystans. Panuje chłód. I jednocześnie Szolema ogarnia litość. Litość nad Żydem, który stał się gojem. W imię czego? W jakim celu? Czy po to, aby włożyć na siebie ogromną siermięgę i dużą czapę? Czy po to, aby zostać pomocnikiem promowego? Czy po to, aby być parobkiem? A parobek stoi i milczy. Zęby chociaż poruszył się. Widocznie nie śmie spojrzeć w oczy swojemu dawnemu koledze. Patrzy w dół. Wbił swój wzrok w wodę. Jakby tam było coś godnego oglądania. W chwilę potem Berł wtulił się głębiej w swoją siermięgę. Jeszcze głębiej wsunął głowę do czapki i splunął w dłonie, z większym niż przedtem zapalem zabrał się do roboty. Pełną parą natarł na linę. Ta zaczęła skrzypieć i trzeszczeć. Kółka obracały się. Prom ślizgał się w wodzie. Pożerał coraz większą przestrzeń. Przybiliśmy do brzegu.

— Właźcie do budy! — zakomenderował milczący dotąd bałagula, gdy tylko wytoczył wóz z promu na brzeg. Świsnął batem i obdarzywszy konie takimi epitetami, jak: „cholery, padliny", ruszył naprzód. Za nami pozostał Dniepr, prom i parobek przy linie. Pozostał ten, który kiedyś był dzieckiem żydowskim, wnukiem naszego praojca Abrahama. A teraz kim jest? Szkoda! Szkoda!

. W BOGUSŁAWIU NA TARGOWISKU

Miasto i targowisko. Który Mojsze Jose jest ich dziadkiem? Żyd w tałas kotn podejmuje się zaprowadzić dzieci do dziadka

Dzień był już w pełni, gdy nasi mali podróżnicy wyczerpani, głodni i zaspani wjechali do miasta. Nad miastem, od strony lasu, wysoko stało słońce. Jasne, brylantowe, lśniące słońce. Najpierw minęli ogromny cmentarz. Pełno na nim było nagrobków z zatartymi literami T.N.C.B.H. Patrząc na cmentarz można było odnieść wrażenie, że miasto jest Bóg wie jak ogromne. Potem od razu wpadli na targowisko. Był to obszerny plac, na którym kłębiła się dziwna mieszanka wszystkiego ze wszystkim. Chłopi, konie, krowy, świnie, Cyganie, wozy, koła, chomąta i Żydzi. Żydzi wszelkiego rodzaju. Żydzi ze skórami, Żydzi z czapkami, Żydzi z towarami bławatnymi, Żydzi z bułkami, obwarzankami, ciastkami, kwasem jabłecznym i czym tylko chcecie. A co powiedzieć o babach? Były tam baby z koszykami, baby z jabłkami, baby z drobiem, baby z rybę, smażoną i baby w ogóle. I to wszystko gada, kwiczy i gdacze. A konie, krowy i świnie nie pozostają w tyle. Żebracy grają na lirach i głośno śpiewają. Można doprawdy ogłuchnąć. A w powietrzu unosi się kurz. Jest tak gęsty, że ludzie ledwo widzą się nawzajem. I zapachy w powietrzu takie, że tylko udusić się. Dzieciaki przybyły w samą porę. Właśnie odbywał się jarmark. Bałaguła z trudem zdołał przebić się wozem przez przepełniony plac targowy. Posyłał wiązkę za wiązką miastu wraz z jego jarmarkiem. Nie żałował mu przeróżnych choler i innych plag, jak to było w jego zwyczaju. Tak długo kłął, dopóki nie dojechał do miasta. A miasto kropka w kropkę przypominało dopiero co podziwiany cmentarz. Zapadłe i pochylone domki podobne były do nagrobków. Tu i ówdzie pośród starych budynków poja

wiały się nieliczne nowe domy. Wyglądały obco jak nietutejsze. Jak bogaci kumowie na weselu biedaków. Teraz jednak coś się pokiełbasiło. Mianowicie bałaguła Szymon Wolf wiedział tylko jedno: Wynajęli go po to, aby zawiózł dzieci do Bogusławia, do jakiegoś tam ich dziadka lub babci. Podali mu nawet ich imiona. Co z tego, skoro wyleciały mu z pamięci. A niech je tam! Szymon Wolf przysięgał na wszystko, że całą drogę je pamiętał. Oby tak był Żydem. Gdy jednak wjechał na targowisko, natychmiast wypadły mu z głowy. A niech ich cholera! Kogo cholera miała trafić, tego nie powiedział.

Tymczasem podchodzi jakiś Żyd. Za nim drugi i trzeci. Po nich znów dwójka Żydów. Za dwójką trójka. A potem tłum Żydów do wyboru i koloru. Zjawiają się kobiety z koszykami. Powstaje harmider i kołowrotek. Rozwiązują się języki. Wszyscy gadają naraz. Jeden drugiemu przekazuje sensację. Jakiś tam bałaguła przywiózł jakieś tam dzieci. Skąd? Ano z tamtej strony Dniepru. Z Rżyszczewa? A dlaczego akurat z Rżyszczewa? A dlaczego nie akurat z Kaniowa? Ani z Rżyszczewa, ani z Kaniowa! Po prostu z Perejasławia! Dokąd? Przecież widzicie dokąd! Przecież nie do Jehupca, tylko do Bogusławia je przywiózł. Do kogo? Też mi mądrała! Gdybyśmy wiedzieli, to by wszystko było w porządku. Twierdzi, że do dziadka. Do jakiego dziadka? Gdybyśmy, mądralo, wiedzieli, do jakiego dziadka, to by wszystko grało.

Cicho! Wiecie co? Spytajmy dzieci, jak się nazywa ich dziadek. One na pewno wiedzą. A skąd one mogą wiedzieć? A dlaczego nie mogą wiedzieć?

Nagle z tłumy wyłania się jakiś Żyd z obwarzankami. Na głowie nosi kaszkiet z pękniętym daszkiem. Łokciami przepycha się przez tłum.

— Pozwólcie mi! Ja zapytam dzieci. Jak się wasz dziadek nazywa?

Z powodu zgielku dzieci są trochę zmieszane. Mimo to pamiętają, że dziadkowi na imię Mojsze Jose. Tak,

z całą pewnością Mojsze Jose. Czy aby na sto procent Mojsze Jose? Na sto procent!

Wiadomo już więc, że ich dziadek nazywa się Mojsze Jose. Pozostaje tylko do wyjaśnienia, który Mojsze Jose? Jest ich tu wielu. Jest Mojsze Jose stolarz, jest Mojsze Jose blacharz, Mojsze Jose syn Lei Dwosi i wreszcie Mojsze Jose Hamarnik.

— Cicho, sza! Wiecie co? Jak się wasz ojciec nazywa?

To pytanie zadaje już inny Żyd. Nie ten z obwarzankami. Tym razem jest to Żyd z tałes kotn na wierzchu. Chyba z tych, którzy przesiadują całymi dniami w bóżnicy. Dzieci oświadczają, że ich ojciec nazywa się Nachum. Usłyszawszy to, Żyd z tałes kotn rozpycha tłum i bierze dzieci na spytki:

— Ojcu waszemu na imię Nachum? Czy czasem nie Rabinowicz?

— Rabinowicz.

— A wasza matka nazywa się Chaja Estera?

— Chaja Estera.

— Umarła?

— Umarła.

— Na cholere?

— Na cholere.

— To tak i mówcie!

Żyd z tałes kotn zwraca się twarzą ku zebrany. Promienieje. Skoro rzeczy tak się mają, to pytajcie mnie. Ja wam powiem dokładnie. Ich dziadek to Mojsze Jose Hamarnik. Wie już, że jego córka Chaja Estera, ustrzeż nas Panie Boże od podobnego losu, zmarła na cholere. Natomiast ich babcia Gitl jeszcze o tym nic nie wie. Nikt nie chce jej tego powiedzieć. Stara kobieta i w dodatku kaleka.

Żyd z tałes kotn zwraca się tym razem do dzieci. — Złażcie z wozu. — Twarz mu wciąż promienieje. — Pokażę wam, gdzie wasz dziadek mieszka. Wozem tam się nie dojedzie. Uliczka zbyt wąska. Chyba, że z tamtej strony. Ale zawrócić dyszlem będzie trudno. Jak myślisz, Motł, da się zawrócić?

Słowa te kieruje pod adresem młodzieńca o krzywym nosie.

Motł poprawia czapkę na głowie i powiada:

— A dlaczego by nie? A bo co?

— Bo co? Bo pstro. Zapomniałeś, że Herszko buduje po tamtej stronie stajnię?

— A jeśli stawia stajnię po tamtej stronie to co?

— Co znaczy „co”? Przecież nawiózł kupę drewna.

— Nawiózł kupę drewna? Niech mu to wyjdzie na zdrowie.

— No i gadaj tu z takim ćwokiem!

A im bardziej Motł zachowuje spokój, tym bardziej denerwuje się i gorączkuje jego rozmówca. Wychodzi wprost z siebie. Spluwa pod nogi Motła i wyzywa go od durmionów i idiotów. Powiada do dzieci:

— Chodźcie ze mną, ja was zaprowadzę. Pójdziemy pieszo. — Iz niezmiennie rozpromienioną twarzą rusza z młodymi podróżnikami w kierunku Hornu ich dziadka i babci.

ZASKAKUJĄCE POWITANIE

Babcia Gitl leży sparaliżowana. Dziadek Mojsze Jose ma nos jak bulwa i gęste brwi. Wujek Ice i ciocia Sosia

Sieroty z Perejasławia miały pełne prawo wyobrazić sobie dom dziadka jako pałac. I sam dziadek, Mojsze Jose, przedstawiał się w ich wyobraźni jako patriarcha, zawsze ubrany w jedwabny chałat. Nie na próżno przecież mówią o nich, że tacy bogaci, tacy majętni!

W końcu Żyd przewodnik zaprowadził dzieci przed całkiem zwyczajny dom. Gwoli prawdzie trzeba nadmienić jednak, że dom był z gankiem.

— Właśnie tutaj mieszka wasz dziadek Mojsze Jose. — rzekł ich opiekun i natychmiast zniknął. Nie chciał widać być świadkiem spotkania. Dzieci przeszły przez oszklony ganek, otworzyły drzwi i oto co ujrzały: Na drewnianym łóżku na wprost drzwi leżało jakieś osobliwe stworzenie, które ledwie przypominało żywą istotę. Ni to człowiek, ni to zwierzę. W istocie była to kobieta bez nóg, o dziwacznie powykręcanych rękach. W pierwszym odruchu dzieci chciały uciec. Stworzenie jednak zatrzymało je wzrokiem. Czerwonymi błyszczącymi oczyma wpatrywało się w nie, po czym niezwykle miłym głosem przemówiło:

— Kto wy jesteście, dzieci? — Było coś swojskiego i bliskiego w tym głosie. Zgodnym chórem dzieci odpowiedziały:

— Dzień dobry, jesteśmy z Perejaśławia.

Usłyszawszy to, widząc przed sobą czeredę dzieci a wśród nich małą jednoroczną dziewczynkę, stara kobieta w mig zorientowała się w sytuacji. Załamała swoje wychudłe powykręcane ręce i głośno zaczęła zawodzić.

— Oj, biada mi, biada! Obym tego nie dożyła! Moja Chaja Estera nie żyje! — wątłymi rękami zaczęła bić się po głowie. — Mojsze Jose! Mojsze Jose! Gdzie ty jesteś? Chodź tutaj!

Na jej krzyk wybiegł z alkierzyka jakiś stary niski mężczyzna. Miał na sobie tałas i tefilin. Na grubo zarysowanej twarzy sterczał bulwiasty nos. Nad oczyma gęste przeogromne brwi. Ubranie w latach. I to ma być dziadek Mojsze Jose? To ma być bogacz? To jest ten krezus?

Co zrobił Mojsze Jose? Podniósł krzyk na dzieci. Złosił się na nie. Wygrażał. A że był w trakcie odmawiania modlitwy i nie mógł jej przerwać, zwrócił się do dzieci po hebrajsku: — Bandyty, mordercy! — Do starej też przemówił po hebrajsku. Głos mu przy tym drżał: — Oj, oj... Wiedziałem, moja córka... Bóg dał, Bóg wziął.

Chciał przez to powiedzieć, że wiadomo mu o śmierci córki i że ten sam Bóg, który dał jej życie, teraz ją zabrał. Jednak jego słowa nie podziały na kobietę uspokajająco. Nie przestawała płakać i lamentować. Dalej

biła się rękoma po głowie. Zawodziła: — Chaja Estera! Moja Chaja Estera umarła!

Zbiegli się ludzie. Był wśród nich pewien Żyd o bardzo długich pejsach. Tak długich pejsów dzieci w Perejaśławiu nie widziały. Był to wujek Ice, jedyny brat ich matki. Po nim wpadła kobieta z płonącymi czerwienią policzkami. Rękawy miała zakasane po łokcie. Była to żona wujka Ice, ciocia Sosia. Wraz z nią weszła mała dziewczynka o równie czerwonych policzkach i małych usteczkach. Była to ich jedynaczka, mała, ładniutka i wielce wstydliva Chawa Liba. W ślad za nimi zjawili się jeszcze sporo mężczyzn i kobiet. Sami najbliżsi sąsiedzi. I wszyscy oni naraz zaczęli mówić, pocieszać: — Skoro już tak się stało, że córka umarła, co tu płacz pomoże? Skoro ziemia raz przykryła, to już przepadło. — Zaczęto gościom prawie kazanie, że nie wolno, ot, tak sobie, ni z gruszki, ni z pietruszki przyjść i bezceremonialnie wywalić kawę na ławę, to znaczy przynieść tak niedobrą wieść, aczkolwiek Bogiem a prawdą dzieci w ogóle nic nie powiedziały.

Tymczasem dziadek Mojsze Jose zdjął tałas i tefilin i dawaj robić wyrzuty swoim wnukom za to, że najpierw nie zameldowały się u niego. Gdyby były dobrze wychowane i grzeczne, postarałyby się najpierw z nim zobaczyć. On, ich dziadek, obgadałby z nimi całą sprawę powołutku i dokładnie, po czym powołutku i ostrożnie podzieliłby się złą

nowiną z babcią. Stopniowo przygotowałyby ją do przyjęcia tej wiadomości. Nie tak, jak oni to zrobili. Gwałtownie i raptownie. Tak postępują tylko dzikusy. Ludzie tak nie postępują.

Tego już widocznie babcia nie mogła znieść. Mimo bólu i nieszczęścia wsiadła na dziadka: — Ty stary durniu! Czego chcesz od biednych dzieci? Czy to ich wina? Skąd mogły wiedzieć, że ty wylegujesz się gdzieś tam na kozuchach i odprowadzasz modły? Ładne mi przywitanie! Chodźcie, dzieci, do mnie. Jak się nazywacie?

Dzieci na jej życzenie podchodziły pojedynczo. Pytała je o imię, głaskała, całowała i oblewała je swoimi łzami. Płakała już teraz nie nad swoją córką, ale nad losem tych

biednych sierot. Przysięgała i zaklinała się, że przeczuwała, niemal była pewna, tak pewna jak tego, że słońce świeci w dzień, iż jej córka, Chaja Estera, umarła. Od kilku bowiem nocy nawiedza ją we śnie; pyta, czy dzieci się podobają. A teraz trzeba dzieciakom dać coś do jedzenia. — Mojsze Jose, czego stoisz jak drąg? Nie widzisz, że są głodne i zmęczone? Przecież całą noc nie spały, a ty im będziesz prawil kazanie. Ładny mi dziadek! Ładne mi przywitanie!

WŚRÓD KOZUCHÓW

Buchalteria dziadka. Jego morały, jego książki i jego dobroczytność. Co będzie, gdy Mesjasz przyjdzie? Ekstaza dziadka

Pierwszą czynnością dziadka Mojsze Josy, gdy tylko wnuki odmówiły modlitwę i posiliły się, było poddanie ich egzaminowi. Egzamin odbył się oczywiście u niego. W jego pokoju, do którego zwykły śmiertelnik nie miał dostępu. Nie miał prawa wstępu i nie miał takich możliwości. Nie było po prostu gdzie wejść. Był to pokój tylko nieco większy od klatki, od kojca na kury. W takiej klatce przebywał, po pierwsze, sam dziadek. Następnie mieściły się tam jego książki. W tym całe Szas. Poza tym miał na przechowaniu przeróżne depozyty zostawione przez ludzi za pożyczone u niego pieniądze. Były tam srebrne łyżki, tacki, lampki, miedziane patelnie, samowary, kapoty żydowskie, siermięgi gojów i kozuchy. Najwięcej było kozuchów.

Było to coś w rodzaju lombardu. Zarządzała nim od lat babcia Gitl. Sparaliżowana, przykuta do łóżka, kiero

wała twardą ręką tym przedsiębiorstwem. Gotówkę trzymała u siebie pod poduszką. Nikogo do tej kasy nie dopuszczała. Jednak depozytami władał dziadek. Przyjąć albo oddać depozyt to jego sprawa.

Aby zapamiętać, jaki fant do kogo należy, trzeba było mieć głowę ministra. Bardzo możliwe, że dziadek Mojsze Jose miał taką głowę. Nie chciał jednak całkowicie zdać się na nią. Różne rzeczy mogą się przydarzyć! Wpadł na pomysł. Był to wyłącznie jego pomysł. Do każdego fantu przyczepił świstek papieru i na tym papierze wypisał własnoręcznie po hebrajsku, nie zawsze gramatycznie: „Ten kapota należy do Berła”. Albo: „Ta koszula należy do gojki Jewdokii”.

Pech chciał, że któregoś dnia zgłosił się po wykup kapoty Berł i wydano mu kapotę jakiegoś innego Berła. To co?

Znalazł na to radę. W takich wypadkach wyklada się obydwie kapoty obydwu Berłów. Klient rozpoznaje swoją; przecież żaden Żyd nie weźmie cudzej kapoty. Nie powie, że to jego. Z gojem jednak sprawa ma się inaczej. Gdy taka

przygoda się przytrafi, to już, bracie, nie jest dobrze. Ale i wtedy znajdzie się rada. Żyd uczony w Piśmie zawsze znajdzie radę. Mówi się wtedy Iwanowi, aby był łaskaw potrudzić się i podać jakiś znak na kozuchu. Każdy Iwan doskonale zna swój kozuch i z całą pewnością ma na nim jakiś znak. Jak widzicie, pomysł dziadka był niezawodny. Mimo to często dochodziło do brzydkich awantur pomiędzy babcią i dziadkiem.

— Ja się ciebie, stary durniu, pytam — skoro już zabierasz się do pisania i bazgrzesz, że „ten kapota należy do Berła”, to co ci szkodzi dopisać jeszcze jedno słowo: „Berł Jąkała”?! Albo jak już piszesz, że ten kozuch należy do Iwana, to napisz już w pełni jego imię: „Iwan złodij”. Albo: „Te koszule należy do gojki Jewdowkii Perkatej”.

Był jednak z tego dziadka Mojsze Josy, oby się na tamtym świecie nie obraził, kawał starego uparciucha. Właśnie dlatego, że ona chce tak, to on odwrotnie. I to nie bez racji. Kobieta kaleka, przykuta do łóżka, a pozwala sobie komenderować mężem. Nazywa go starym

durniem przy wnukach. A przecież wiadomo, że nie jest byle kim. Mojsze Jose pochodzi z dobrej rodziny. Dnie i noce spędza na nauce i pracy. Albo uczy się, albo modli. Pości w dni na to przeznaczone. Pości w poniedziałki i w czwartki. Tylko w soboty i w święta je mięso. Do bóżnicy przychodzi pierwszy, a wychodzi ostatni. Kidusz odprawia wtedy, gdy wszyscy Żydzi już śpią. Z tego też powodu babcia Gitł jest zła. Warczy na niego. Nie chodzi o nią. Ona już przyzwyczaiła się do głodowania. Chodzi

o dzieci. O te nieboraczki! O te sierotki! Ich szkoda!

Ze wszystkich dzieci dziadek Mojsze Jose umiłował sobie najbardziej Szołema. Prawda, że szejgec, łobuz i urwis, ale ma główkę na karku. Byłby z niego człowiek, gdyby chciał trochę więcej przesiedzieć z dziadkiem w pokoiku pełnym kozuchów, a nie biegać z chłopakami bogusławskimi nad rzekę i przyglądać się, jak łowią ryby, albo pędzić do lasu, by strącać owoce z dzikich grusz. Słowem, gdyby nie bisurmanił.

— Gdyby twój ojciec był porządnym człowiekiem — tak perorował dziadek — gdyby twój tato nie był zarażony Tanachem i dykdukiem, nie był pod wpływem Mojsze Desewera i innych heretyków, to według wszelkich przepisów prawa powinien pozostawić cię w mojej dyspozycji przez kilka okresów szkolnych. Przy bożej pomocy byłby z cię wtedy porządny człowiek, przyzwoity Żyd. Stałbyś się prawdziwym chasydem, prawdziwym i zagorzałym kabalistą. A tak, co z cię będzie? Zero do kwadratu. Próżniak, łobuziak, pyszałek, fanfaron, potępieniec, że lichy go wie, hultaj, złoczyńca, grzesznik profanujący świętość soboty, trefniak, kacierz, odstępca od Boga Izraela.

— Mojsze Jose! A może wystarczy już znęcać się nad dzieckiem?

„Oby długo żyła babcia Gitł!” — Tak sobie życzy w myślach wyzwolony z rąk dziadka Szolem. Na dworze przecież czekają na niego chłopcy. Mimo wszystko bywały chwile, kiedy dziadek Mojsze Jose był bliski jego sercu. Był drogi i kochany. Pewnego razu zastał go siedzące

go na łóżku babci z woreczkiem tefilin pod ręką. Starał się podlizać babci. Mówił po cichu. Targował się. Prosił o jakieś dodatkowe pieniądze. Gitł nie chciała o tym słyszeć. Chodziło mu o pieniądze na jałmużnę dla biednych chasydów z bóżnicy. Babcia powtarzała swoje: — Nie trzeba. Mam swoje własne sieroty. One bardziej zasługują na miłosierdzie.

I znowu pewnego dnia zastał dziadka w pokoju z tałesem i tefilin. Głowa odrzucona do tyłu. Oczy przymknięte. Jakby nie na tym świecie przebywał. Gdy przebudził się, w oczach miał blask. Była w nich jakaś osobiwa światłość. I jego twarz o grubych rysach wyszlachetniała. Aureola, widoczny znak łaski bożej, otaczała jego głowę. Mówił do siebie. Uśmiech błąkał się na jego straszliwie gęstych wąsach.

— Edom długo nie będzie panował... Zbawienie jest już bliskie. Bardzo bliskie... podejdz moje dziecko. Usiądź na chwilę. Pomówmy o ostatecznym końcu.

o tym, co będzie, gdy przyjdzie Mesjasz.

I dziadek Mojsze Jose zaczął opowiadać swemu wnukowi o tym, co będzie, gdy przyjdzie Mesjasz. Opowiadał z takim zapałem, z takim entuzjazmem i w tak pięknych

i jaskrawych kolorach przedstawił przyszłość, że wnuk za żadne skarby nie chciał w tej chwili opuścić dziadka. Mimo woli przyszedł mu na myśl Szmulik, jego pierwszy i zarazem jedyny najlepszy kolega i przyjaciel. Różnica pomiędzy nimi polegała na tym, że Szmulik opowiadał

o skarbach, czarownikach, księżętach i księżniczkach, a więc o rzeczach należących do tego świata, zaś dziadek

Mojsze Jose ignorował zupełnie ten nasz świat. Przeniósł się wraz ze swoim wnukiem, który słuchał go w najwyższym napięciu, do tamtego świata, do świata cadyków

i aniołów, serafinów i cherubinów. Dotarł prawie do tronu, do świętego majestatu, tuż, tuż, do Niego, do Króla królów

— do Boga. Tam są Szor Habor i Lewiatan. Najdroższy olejek balsamowy i najlepsze wino przechowywane. Cadycy słęczą nad księgami i studiują. Rozkoszują się łaską Boga i owym ukrytym światłem, które Bóg widział

tylko w chwili, gdy stworzył świat. Doszedł wtedy do wniosku, że zwykli ludzie nie są godni, aby je ujrzeć, i ukrył to światło na długo, długo. Aż do czasów, które kiedyś nadejdą. I sam Pan Bóg we własnej osobie stoi i przyjmuje cadyków niczym ojciec.

A z góry, z nieba, opuszcza się powoli na to samo miejsce, gdzie stała dawna Świątynia Pańska, nowa Świątynia.

Nowy Bet Hamikdasz z najczystszej złota i najdroższych kamieni szlachetnych, diamentów i brylantów. I kapłani wyciągają ręce i błogosławią. A lewici śpiewają. I Król Dawid wychodzi naprzeciw ze skrzypcami i śpiewa: —

Radujcie się, cadycy, cieszcie się Bogiem!

W tym miejscu dziadek Mojsze Jose zaczyna śpiewać na głos i strzela do wtóru palcami. Oczy utkwiał gdzieś w górze. Cała twarz promienieje. Jest nieobecny. Przeniósł się poza ten świat. Jest gdzieś tam, daleko. Bardzo daleko. Na tamtym świecie.

ŻYDPTAK

Historia sprzed lat. Jak to ongiś Żydzi żyli wśród dziedziców. Tragedia biednego arendarza

Nie należy jednak sądzić, że dziadek Mojsze Jose stale przebywał na tamtym świecie i że nie miał nic do powiedzenia swojemu wnukowi o sprawach tego świata. Bynajmniej! Sypał opowieściami o dawnych Żydach, dawnych chasydach, niegdysiejszych kabalistach, a także o dawnych dziedzicach i o tym, jak traktowali oni Żydów.

Zwłaszcza jedna taka historia o męczeńskiej śmierci Żyda utkwiała w pamięci wnuków. Historię tę przekazują w wielkim skrócie, gdyż dziadek Mojsze Jose był, oby mi wybaczył, gadułą rozmiłowanym w rozwlekłym opowia

daniu. Lubił też przeskakiwać z tematu na temat i zapędzać się w ślepią uliczkę.

Historia wydarzyła się bardzo dawno temu. Jeszcze za czasów jego błogosławionej pamięci dziadka, starego Hamarnika. Dlaczego nazywano go Hamarnikiem? Hamarnik to była nazwa wsi, w której mieszkał i trzymał w arendzie młyn.

W tej samej wsi mieszkał również inny Żyd imieniem Noach, który dzierżawił karcznię. Noach był człowiekiem prostolinijnym, naiwnym i niesłuchającym bogobojnym. Całe dnie i noce spędzał na modlitwach i odmawianiu psalmów. Był widocznie pokutnikiem, nysterem — człowiekiem okrytym mgłą mistycznej tajemniczości. Wszystkim rządziła i kierowała jego żona. Zadanie Noacha polegało tylko na płaceniu dziedzicowi rat za dzierżawę i na corocznym odnawianiu koncesji na prowadzenie karczmy. Przez całe życie drżał na myśl, że ktoś może go ubiec i wziąć w pacht karcznię. Amatorów nie brakowało, aczkolwiek dochód z karczmy był znikomy. Obarczony liczną dzieciarnią, ledwo wiązał koniec z końcem.

I oto pewnego dnia, gdy przyszedł do dziedzica, aby odnowić dzierżawę, zastał we dworze mnóstwo gości. Była to prawdziwa biesiada. Po niej, jak każde zwyczaj, urządza się polowanie. Bractwo wyrusza na łowy. Stoją już w zaprzęgu przygotowane karety, bryczki i linijki. Rwą się do akcji psy wszelakich ras myśliwskich. Uwijają się myśliwi w czapkach z piórami, z gwizdkami zawieszonymi na piersiach. Polowanie w królewskim stylu. Wszystko zapięte na ostatni guzik. „Nie w porę wybrałem się — myśli sobie Noach — dziedzicowi teraz nie w głowie mówić o arendzie”. Okazało się jednak, że się mylił. Dziedzic właśnie wstał od stołu i miał już dosiąść konia, gdy zobaczył Żyda stojącego gdzieś z boku, pokornie zgarbionego.

Z uśmiechem zwraca się do Żyda:

— Jak się masz, panie arendarzu? Co też porabia u mnie Żyd arendarz?

Na to Noach:

— Panie dziedzicu, przyszedłem względem karczmy. Roześmiał się dziedzic. Był trochę na rauszu, a więc w dobrym nastroju, jak król perski w Księdze Estery, i tak powiada: — Na ile lat chcesz wziąć?

— Chciałbym na kilka lat, ale znam przecież pańskie zwyczaje, jaśnie wielmożny panie hrabio...

Dziedzic nie pozwala mu dokończyć zdania i przerywa:

— Tym razem oddaję ci karcznię za tę cenę co zwykle na okres dziesięciu lat, ale pod jednym warunkiem: żebyś był dla mnie ptakiem.

Żyd wybałusza oczy:

— Co to znaczy, żebym był dla pana ptakiem? Dziedzic wyjaśnia: — Bardzo proste. Masz wleźć na dach tej oto stajni. Widzisz ją? Na dachu masz udawać ptaka, a ja postaram się wycelować w ciebie strzelbę i trafić cię w głowę. Miarkujesz?

Myśliwi wybuchają śmiechem. Żyd też niby się śmieje. W duchu myśli sobie: „Dziedzic żartuje. Trochę za dużo wypił”.

— No — nalega dziedzic — załatwione?

A Noach tymczasem szybko myśli: „Jaką by mu dać odpowiedź?” I dla samej ciekawości pyta:

— A ile czasu daje mi pan do namysłu? Dziedzic mu odpowiada z całą powagą:

— Jedną minutę. Ani chwili dłużej. Wybór jest w twoich rękach. Albo włączysz na dach i udajesz ptaka, albo jutro z samego rana wyleję cię z karczmy.

I serce przestaje Noachowi bić. Co robić? Z dziedzicem nie ma żartów. Zwłaszcza że już zaczynają podstawić drabinę. Sprawa widać jest poważna. Decyduje się na jeszcze jedno pytanie.

— Co będzie jeśli, nie daj Bóg, trafi pan we mnie?

I następuje nowy wybuch śmiechu dziedziców. Noach jest zmieszany. Nie wie, czy dziedzic żartuje, czy traktuje to wszystko serio. Wygląda to jednak na serio. Każą mu bowiem natychmiast wleźć na dach albo pójść do domu i opuścić karczmę. Już postanowił iść do domu, gdy nagle

przypomniał sobie, że ma liczną dzieciarnię na karku. Prosi więc dziedzica, aby ten dał mu kilka chwil na odmówienie modlitwy przedśmiernej. Dziedzic zgadza się.

— Dobrze — powiada — daję na to jedną minutę.

Jedna minuta? Co potrafi Żyd powiedzieć w ciągu jednej minuty? Chyba tylko Szma Israel. Zwłaszcza gdy pchają go już na drabinę. Odmawia więc Szma Israel i zaczyna wspinać się po drabinie. Łzy ciekną mu po twarzy. Co ma robić? Wyrok boży. Przecież ma dzieciarnię na karku. Widocznie sądzone mu było zginąć męczeńską śmiercią. A nuż jednak Bóg zlituje się nad nim i uczyni cud? Najwyższy, jeśli tylko chce, potrafi. Przepelnia go wiara i ufność w Boga. Tacy to byli dawniej Żydzi!

Znalazłszy się na dachu nie przestał w duchu odmawiać Kriat Szma i zalewać się gorzkimi łzami. Wciąż nie tracił wiary w Boga. A nuż zlituje się Bóg, gdy tylko chce, potrafi! Tymczasem dziedzic niecierpliwi się. Nie ma czasu. Rozkazuje mu stanąć w postawie wyprostowanej. Żyd staje więc na baczność. Potem każe mu się pochylić. Pochyla się więc. Każe mu rozstawić ręce. Rozstawia je. Ma wyglądać jak ptak. Nie wiadomo, czy dziedzic żartował, czy też rzecz traktował serio, czy też Bóg wmieszał się, aby wyszło na serio. Dość, że puryc strzelił i trafił Noacha prosto w czoło. Zwalił się Noach jak zestrzelony ptak i stoczył z dachu na ziemię. Jeszcze tego samego dnia pochowano go na cmentarzu żydowskim. Puryc dotrzymał słowa. Przez dziesięć lat nie usuwał wdowy z karczmy. Nie dał się skusić wyższymi opłatami innych reflektantów. Tacy to byli dawni dziedzice!

Podobnych historii o dawnych Żydach i dawnych dziedzicach dziadek znał mnóstwo. Dzieci słuchały ich w nieskończoność. Gdyby tylko Mojsze Jose nie miał zwyczaju wyciągać z każdej historii morału, że trzeba być porządnym Żydem i żywić wiarę w Boga. Gdyby też od tych morałów nie lubił przechodzić do kazań, a od nich do karania. Za to niby, że poddają się instynktowi zła, nie modlą się, nie uczą, nie służą Bogu, że chciałyby w dzień i w nocy tylko łowić ryby, kraść gruszki albo po prostu łobuzować z bogusławskimi chłopakami. Oby ich piorun strzelił!

. GROŻNE DNI

Bogusławska rzeka. Las bogusławski. Bogusławska stara bóżnica. Babcia Gitł wraz z dziećmi składa ofiary. W wigilię Sądnego Dnia dziadek błogosławi dzieci, a jego oczy mokre od łez

Trudno powiedzieć, gdzie było więcej uroków życia, więcej poezji: nad brzegiem Rosu, w lesie bogusławskim, czy też w starej bóżnicy? Nie sposób ustalić, które z tych trzech miejsc stanowiło największą pokusę. Nad Rosem to ci dopiero życie! Tam jest wesoło! Tam bałagury poją swoje konie. Tam woziwody nabierają wody do beczek. Tam pochylone nad wodą stoją mężatki i dziewczęta i odsłaniając czerwone łydki piorą bieliznę. Zaciekle objijają ją kijanką, aż iskry lecą. Tam kąpią się, pluskają, uczą się pływać i łowią rybki chłopcy z całego miasta. Rozbierają się wśród kamieni,

skaczą do wody i krzyczą. Zewsząd słyhać: — Popatrz, jak pływam! Zobacz, leżę na plecach! Rzuć lepiej okiem na to, jak nurkuje! Wszyscy naraz wrzeszczą, wszyscy pokazują sztuczki, wszyscy tu wszystko umieją. Sieroty z Perejasławia szalenie im zazdroszczą. Jakiś chłopak podchodzi do nich. Jest nagi jak tuż po urodzeniu. Wołają na niego Awrejmi. Czarny niczym Tatar. Oczy wylupiaste, twarz — deska do krojenia makaronu, nos jak fasola. Jak się nazywasz? Szolem. Pływać umiesz? Nie. To co stoisz? Chodź ze mną. Nauczę cię. Rozumiecie? Naucz! A nie „będzie uczył”. Podobne słowa, a jaka różnica! Nie mniej pięknie jest w lesie. Las bogusławski obfituje w małe gruszki. Prawda, są kwaśne i twarde, ale przecież gruszki. I nic nie kosztują. Możesz sobie ich nabrać, ile dusza zapagnie. Bezpańskie. Trzeba je tylko dosięgnąć. Gruszki leśne rosną bardzo wysoko. Trzeba wejść na drzewo i z całych sił nim potrząsnąć, inaczej gru

szki nie spadną. Oprócz gruszek rosną też w bogusławskim lesie orzeszki. Zające orzeszki. Późno dojrzewają i pokryte są jakąś dziwną łupiną. Straszliwie gorzką. A jąder w nich nie ma. Będą dopiero później. Nie szkodzi. Mimo wszystko to przecież orzeszki. Można nimi nappełnić kieszenie. Kiedy sam zrywasz, lepiej smakuje. A trzeba umieć zrywać gruszki i strząsać orzeszki.

Abramek umie. Abramek wszystko potrafi. Zuch chłopak. Z natury bardzo dobry. O pogodnym usposobieniu. Żółci w nim za grosz. Jedną ma tylko wadę — jest z rodziny biedaków. Matka, wdowa, pracuje jako kucharka u Jampolskich. O wszystkim dowiedział się wujek Ice i natychmiast doniósł babci Gitł. W tajemnicy, na ucho. Więc babcia Gitł przywołała Szolem do swego łóżka i obdarowała go wyciągniętą spod poduszki gruszką. Nakazała mu przy tym nie spotykać się więcej i nie podtrzymywać znajomości z Abramkiem. Parokrotnie ostrzegała go, że jeśli dziadek Mojsze Jose dowie się o jego kontaktach z takimi chłopakami, to będzie piekło. Im to łatwo powiedzieć: „Nie spotykaj się!” Z Abramkiem przecież Szolem musi spotykać się przynajmniej dwa razy na tydzień: z rana i wieczorem. Przy odmawianiu Kadiszu. Abramek też jest sierotą. Odmawia w starej bóżnicy Kadisz za ojca. Ach, iluż tam odmawiających Kadisz. Wszyscy przy ścianie wschodniej. Mojsze Jose, przyszedłszy po raz pierwszy ze swoimi wnukami do starej bóżnicy, przystąpił z nimi od razu do szamesa i ostrym tonem zażądał, aby wnuki otrzymały miejsce do odmawiania kadiszu przy samej trybunie. — Są — powiedział — dziećmi z dobrego domu. — Szames to starzec z pochylonym grzbietem, o dotkniętych jaglicą oczach, sprawiających wrażenie, że są podmalowane czerwiecią. Wysłuchał tyrazy dziadka z należytych szacunkiem. Nie wyrzekł słowa. Zażył potężną porcję tabaki, szybko strząsnął jej pozostałości z palców i podsunął dziadkowi pudełko z tabaką. Parokrotnie uderzył w wieko i poczęstował dziadka nie wyrzekłszy ani jednego słowa. Miało to oznaczać: „Dobrze, że powiedzieliście mi, iż są to dzie

ci z dobrego domu. Możecie być pewni, że będę o nie dbał jak o żrenicę oka. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości”. Stara bóżnica bogusławska miała w sobie coś takiego, że sieroty perejasławskie — tak je tam nazywano — przywiązały się do niej bardzo mocno, jakby tu się urodziły i wychowały. Wszystko im wydawało się w niej ogromne, wspaniałe i święte. Na wszystkim widać było piętno starodawnego piękna, prawdziwej świętości. Coś ze Świętyni Pańskiej. Z Bet Hamikdaszu. A jeśli stara bóżnica bogusławska w dni powszednie miała w oczach sierot

perejasławskich coś ze Świątyni Pańskiej, to w Groźne Dni, Rosz Haszana i Jom Kipur przeobrażała się dla nich w prawdziwy Bet Homikdasz. Nigdy jeszcze nie widziały tylu Żydów i nigdy nie słyszały takich modłów. Była to mieszanina wszystkich odłamów chasydów, którzy wznosili modły z niezwykle żarliwością niesłychanym przejęciem, klaszcząc w dłonie i strzelając palcami. Śpiewali dziwne jakieś melodie, mruzczyli, bąkali coś pod nosem, wpadali w prawdziwą ekstazę, aby w kilka minut potem znowu powrócić do śpiewania, mruzczenia i strzelania palcami. Dla perejasławskich sierot taki sposób modlenia się był czymś nowym. Był to prawdziwy spektakl teatralny. Jednak gwoździem tego przedstawienia były modły dziadka. Mojsze Jose przyciągał wszystkich do starej bóżnicy swoim sposobem modlenia. Nie był zwolennikiem i wyznawcą jakiegoś określonego rebege. Był z niego dziwny chasyd, który chadzał własnymi drogami, miał własne zwyczaje i własne dziwactwa. Na przykład zostawał w bóżnicy w sobotę lub w jakieś święto po skończonej modlitwie, gdy wszyscy już odeszli do swoich domów. Wujek Ice, który mieszkał w drugim pokoju, siedział już przy stole. Z pieca rozchodził się zapach faszerowanej ryby i innych świątecznych przysmaków. Ślinka ciekła z głodu, a dziadek wciąż trwał na modlitwie i wciąż śpiewał, mruzczał, szeptał. Babcia Gitł po cichu podsuszała wnukom, dzieciom Chaji Estery, po kawałku ciasta. Ma

wiała przy tym z uśmiechem: — Myślę, że popamiętacie to na długo, skoro wpadliście do domu wariatów. Wujek Ice zdążył tymczasem zjeść i odmówić błogosławieństwo. Wysunął głowę ze swojego pokoju i zapytał: — Co, nie ma jeszcze gospodarza? Cha, cha! — Nie dość, że już zjadł, to jeszcze sobie pokpiwa. Wreszcie Bóg ulitował się i dziadek powrócił z bóżnicy. Wpadł do pokoju ciągnąc swoje wierzchnie okrycie rękawem po ziemi. Donośnym głosem powitał wszystkich świątecznym pozdrowieniem i od razu wziął kieliszek, aby odprawić kidusz. Słowa błogosławieństwa brzmiały tak głośno, że cała ulica musiała je słyszeć. — Ze względu na dzieci, w trosce o nieszczęsne sieroty mógłbyś, wydaje mi się, zaniechać swoich zwariowanych sztuczek i skrócić ten cały ceremoniał — powiedziała mu z wyrzutem babcia. Na nic to się jednak zdało. Dziadek nawet nie słyszał. Był w ekstazie. Przebywał w innych, wyższych światach. Jedną ręką jadł, drugą wertował jakąś starą księgę i kiwając się lekko zaglądał w nią jednym okiem, zaś drugim spoglądał na wnuków i wzdychał. Mocno wzdychał. Dziadek ubolewał nad swoimi wnukami, które były przywiązane do świata materii, nad dziećmi, które mają w głowie tylko jadło i łatwo ulegają podszeptom instynktu zła... Po obiedzie nie omieszkał im z tego powodu czynić wyrzutów. Obrzucił ich gęsto morałami. Uznał widocznie za wskazane, żeby im wyszło bokiem to całe jedzenie, ten biały kołacz, faszerowana ryba i słodki cymes, chociaż to babcia Gitł, mimo że leżała sparalizowana, dzięki własnemu sprytowi przygotowała te przysmaki na medal. Tak było w Rosz Haszana. W wigilię Jom Kipur było jeszcze piękniej. Wigilia Jom Kipur w Bogusławiu wyróżniała się u dziadka dwoma ceremoniami, które wywarły na sierotach szczególne wrażenie. Pierwsza uroczystość to składanie ofiar, które odbywało się w noc poprzedzającą wigilię Jom Kipur. W domu perejasławskim też składano ofiary, ale tu, w Bogusławiu, miało to zupełnie inny charakter. Tu całą zbożną sprawę

wzięła na swoje barki babcia Gitł. Przykuta do łóżka wołała do siebie gromadkę dzieci i każdemu wręczała należną ofiarę. Chłopcom po koguciku, a dziewczynkom po kurce. Otwierała swój pokaźny modlitewnik i wykrzywionymi od

reumatyzmu palcami wskazywała na odpowiedni werset Bnej Adam. Starsze dzieci odmawiały modlitwę samodzielnie, a młodsze dziewczynki powtarzały za nią słowo w słowo. Babcia wymawiała wyrazy głośno, dobitnie i z przyśpiewem: „Synowie Adama, mieszkańcy ciemności nieprzeniknionych, więźniowie biedy i żelaza”. I płakała przy tym tak, jak się płacze po zmarłych. A gdy doszło do najmłodszej z sierot, dziewczynki zaledwie rocznej, babcia o mało nie mdlała. Na widok zapłakanej babci młodsze dzieci również zanosily się płaczem. Również i starsze wkrótce wybuchały łkaniem. Powstawał lament nie do opisania. Tamtej soboty, gdy ich matka leżała na podłodze przykryta czernią, nawet w jednej dziesiątej sieroty tyle nie płakały.

Druga ceremonia odbywała się następnego dnia, zaraz po powrocie ze starej bóżnicy, gdzie dzieciarnia otrzymywała od pierwszego gebego pełne kieszenie ciastek. Dziadek Mojsze Jose jeszcze wcześniej nakazywał dzieciom udać się po złożeniu ofiar do bóżnicy, a potem przyjść do niego po błogosławieństwo.

Dziadek Mojsze Jose był tego dnia w osobliwym nastroju i arcydziwnym ubraniu. Na starej, postrzępionej kapocie atlasowej miał jakiś dziwny kontusik z niesamowicie twardego i skrzypiącego materiału, którego dziś już nigdzie i za żadną cenę dostać nie sposób. Na głowie nosił sztrajmł o wielu bokach, a na szyi szeroki śnieżnobiały kołnier z dwoma szpicami. Na kapocie miał szeroki pas o długich frędzlach. Jego niesamowicie gęste brwi i ogromne wąsy w tej chwili nie wyglądały groźnie. Twarz jego była łagodna i niezwykle przyjazna.

— Podejdźcie, dzieci, to was pobłogosławię. — Gestem uroczystym i świątecznym zaprosił sieroty do swego ciasnego i ciemnego pokoju. Położył na głowę każdego z nich obydwie ręce, ukryte w szerokich rękawach atlaso

wej kapoty, i cichym głosem coś mówił. Mówił i mówił, wzdychając przy tym i pojękując.

A gdy skończył, sieroty spojrzały na jego twarz i zobaczyły, że jego oczy błyszczą, są czerwone, że jego rzęsy, wąsy i broda są mokre. Mokre od łez.

. ŚWIĘTO SZAŁASÓW — SUKOT

Wspólny szalas. Dziadek modli się, wnuki chcą jeść. W święto Symchat Tora dziadek delektuje się łaską promienną Boga

W wieczór kończący Jom Kipur, tuż po zakończeniu postu, wbito pierwszy gwóźdź do szalasu świątecznego Mojsze Josy. Szalas budował wujek Ice. Pomagały mu sieroty, ale całością kierował dziadek. On doradzał, on planował, on, jak prawdziwy architekt, komenderował: — To postawić tu! Tamto postawić tam! To wejdzie! Tamto nie przejdzie! — Najzabawniejsze, że wujek Ice i dziadek Mojsze Jose nie zamienili przy tym z sobą ani słowa. Pogniwiali się na siebie. Babcia martwi się: — Toć to jednak. Jedyne kadysz po stu dwudziestu latach i nie rozmawia ze swoim ojcem. Toć to nieludzkie. Kto kiedy słyszał coś podobnego?

W szalasi stanęły dwa oddzielne stoły. Jeden dziadka, drugi wujka. Na każdym stole oddzielne wino na kidusz, oddzielnie chała i oddzielnie świeczniki ze świecami. Ciocia Sosia błogosławiła świece przy swoim stole, a babcia, przeniesiona do szalasu wraz z łóżkiem, odmawiała błogosławieństwo przy swoim. Potem przyszedł wuj Ice z bóżnicy i musiał czekać z kolacją, aż wreszcie dziadek przypomniał sobie, że czas zjawić się i odprawić pierwszy kidusz. Nie ma rady. Nie można być gburem

wobec własnego ojca. Istnieje przecież przykazanie o szacunku należnym ojcu. Co chwila wujek Ice wychodził z domu i zaglądał do szafasu. Za każdym razem powtarzał tę samą śpiewkę:

— Co jeszcze go nie ma? Tego roku dłużej niż zwykle zatrzymuje się u chasydów... Hm... wnet skończą się świece i trzeba będzie jeść w ciemnościach.

Dzieci miały satysfakcję. Wuj Ice to twardy człowiek. Bez serca. Niech też zazna głodu. Niech wie, co to znaczy być głodnym!

I oto wreszcie zjawiał się dziadek. Serdecznie i głośno wszystkich pozdrowił. Usiadł i wydobył modlitewnik Jakuba Emdena. Był to modlitewnik małego formatu, ale bardzo pękaty. Otworzył go i zaczął swoim gościom prawić sentencje. Prawił i prawił. Z kuchni tymczasem, jakby na złość, zaczęły dochodzić zapachy pikantnej, zaprawionej pieprzem faszerowanej ryby, a białe, świeżo upieczone chałki na stole wabiły nas: „Jeśli zamoczycie nas w tym gorącym sosie rybnym, to poczujecie przedsmak raj”. A dziadek Mojsze Jose Hamarnik robi swoje: gada. Świece w szafasie dogasają, a on nic. Dzieci wprost mdleją z głodu. Chcą spać. Oczy im się kleją, a on ciągle czyta. Nagle dziadek zerwał się. Podbiegł do stołu i dawaj odprawiać kidusz świąteczny. Aż pojaśniało w oczach. Natychmiast po nim i wuj Ice znalazł się przy swoim stole. Za wujem Ice sieroty po Chaji Esterze. Wchodzą pojedynczo. Babcia Gitl roni przy tym łzę. Słowem, sporo jeszcze czasu upłynęło, zanim można było wreszcie zamoczyć chleb w miodzie, skosztować kawałek ryby i poczuć smak pieprzu na końcu języka...

Były to pierwsze dni święta Sukot. W następnych dniach poszło jeszcze gorzej. Tak źle, że w Symchat Tora wieczorem wujek Ice nie zdzierzył. Zawołał do siebie sieroty z Perejasławia i tak do nich przemówił:

— Chcecie ujrzyć coś pięknego, idźcie więc do bóżnicy. Tam coś zobaczycie.

Dzieci nie dały się długo prosić. Wzięły się za ręce i poszły. Na ulicy panowała nieprzenikniona ciemność.

Wszyscy Żydzi siedzieli już przy stołach w swoich domach i spożywali dary boże. Wszystkie bóżnice w mieście już były zamknięte na klucz. Straszły ciemnością. Świeciło się tylko w starej bóżnicy. Dzieci po cichutku uchyliły nieco drzwi i zajrzały do środka. Oniemiały. Nie chciały wierzyć własnym oczom. W całej bóżnicy był tylko jeden człowiek, ich dziadek Mojsze Jose. Owinęty w tańs z modlitewnikiem reb Jakuba Emdena w jednej ręce i ze zwojem Tory w drugiej krążył wokół podium. Mocno przyciskał do piersi Torę. Kroki stawiał powoli, a słowa modlitwy wymawiał śpiewnie na głos jak prawdziwy kantor: — Opiekunie biednych, zbaw nas.

Błady strach padł na dzieci. Nie mogły jednak powstrzymać się od śmiechu. Znowu wzięły się za ręce i pędem, co tchu, pomknęły do domu.

— No, coście widziały? Prawda, że coś pięknego? — tymi słowami powitał je wujek Ice. Śmiał się, a jednocześnie łza spłynęła mu po policzku. Raptem dzieci ogarnęła dziwna niechęć. Nie do dziadka. Bynajmniej. Do wuja.

Za to nazajutrz, w dzień Symchat Tora, dekoracja uległa całkowitej zmianie. Dziadek Mojsze Jose był nie do poznania.

Dzieci pamiętały jeszcze to święto w Woronce, gdy miały własny dom. Cóż to był za dzień! Prawdziwa frajda!

Symchat Tora! Całe miasteczko chodziło na rzesach. Od rabina do prystawa. Wszyscy mieszkańcy. Jak biblijny Noe zalani w sztok. Hulano i tańczono. Dokazywano tak, że tylko boki zrywać ze śmiechu.

Symchat Tora było świętem co się zowie także w na poły gojskim Perejasławiu. Świąteczny nastrój udzielał się wszystkim. Nawet taki Żyd jak stryj Pinie upijał się niczym Noe i tańczył kozaka. Trzeba było zobaczyć, jak Żydchasyd w długim tańs kotn wywija kozaka. A cóż dopiero mówić o Dodim Kahanem. Dodie, gdy się upił, nie żałował nikomu obelg. Najlepszym przyjaciółom wygarniał wszystko, co o nich myślał. A robił to w dobrej wierze. Klął i całował jednocześnie. Wpadano do cudzych mieszkań ze świątecznym pozdrowieniem i wyciągano z pieca wszystko, co tam akurat było. Z beczek

w piwnicach wyciągano kiszzone ogórki. A woda lała się strumieniem. Czymże jednak były wszystkie owe święta w porównaniu z Symchat Tora tu, w żydowskim mieście Bogusławiu? Nawet domy, nawet kamienie z bruku, wszystko dosłownie śpiewało i tańczyło. Płasało i radowało się. Pijani byli nie tylko starsi Żydzi, ale i młodzi. Ledwo trzymali się na nogach. Nie trzeba daleko szukać. Wuj Ice, zazwyczaj spokojny Żyd i człowiek dręczony straszną melancholią, też był pod dobrą datą. Pejsy założył za uszy, zakasał poły i dawaj strugać światowca. Wszystko to jednak było niczym w porównaniu z tym, co tego dnia pokazał dziadek Mojsze Jose. Wypił wszystkiego jeden kieliszek wódki i pół kieliszka wina, ale pijany był jak osiemdziesięciu opojów razem wziętych. Dokazywał i wyczyniał takie rzeczy, że całe miasto nie przestawało o nim mówić.

Co powiecie na tego Mojsze Jose? Idźcie, zobaczcie, co Mojsze Jose wyrabia. A Mojsze Jose Hamarnik niczego nie wyrabiał. Chodził sobie tylko po ulicach i tańczył. Ale jak tańczył! Tańczył i skakał. Płasał i śpiewał. I nie sam jeden tańczył. Tańczył we dwoje. Tańczył z szechiną. Tańczył z samym Panem Bogiem. Rozwinął chustę i trzymał ją za jeden koniec. Drugi koniec miała trzymać szechina. Wirował niczym w tańcu z narzeczoną. Takie różne pas. Tam i z powrotem. Na prawo i na lewo. I znowu tam i z powrotem. I znowu raz w prawo, i raz w lewo. I tak w kółko. Głowę zadarł do góry, oczy przymknął. A na twarzy uśmiech szczęścia. Strzelał palcami, pokrzykiwał i śpiewał. Coraz mocniej, coraz głośniej:

Mojsze radował się.

Świętem Symchat Tora.

Łantaridom, hajda!

Cieszcie się, cieszcie się z Symchat Torą,

Łantaridom, dom, dom!

Hajda, drajda!

Thum gęstniał. Robiło się ciasno. Ilu tylko było chłopców w mieście, tylu zjawilo się na ulicy, aby powitać Moj

sze Jose Hamarnika. Wszyscy chcieli zobaczyć, jak on tańczy, jak wiruje, jak śpiewa. Łobuziaki wiwatowali na jego cześć, wtórując mu w śpiewie. A twarze perejasławskich sierot płonęły ze wstydu. Żeby chociaż spojrzeć na którego z nich. Ale nie. On robi swoje. Ze swoją ukochaną szechiną wywija jakiegoś wesołego kozaka. Jeden brzeg chusty trzyma w swoim ręku, a drugi zapewne trzyma sam Bóg. Uśmiech nie schodzi z twarzy dziadka. Strzela palcami, tańczy, skacze i śpiewa coraz mocniej, coraz głośniej. Mojsze radował się świętem Symchat Tora.

. Z POWROTEM DO DOMU

Intrygi i plotki. Dzieci przestają być „oczkiem w głowie” w Bogusławiu. Ciągnie je do domu

Dzieciom zrobiło się ciężko na sercu i smutno kiedy skończyły się święta i przystąpiono do rozbiórki szałasów. Znowu wróciła szara codzienność. Wuj Ice bez krzty litości zabrał się do odrywania ścianek szałasów. Zdarł z dachu gałązek (człowiek bez serca), odbił deski i z morderczą zaciekłością zaczął z nich wyciągać gwoździe. (Co miał do tych gwoździ?) Zostawił tylko cztery słupy. I to było najgorsze. Gołe słupy świadczyły wymownie o dokonanym zniszczeniu. Skarżyły się i oskarżały: „Popatrzcie, Żydzi, co może stać się z żydowskim szałasem!” Żydzi, którzy jeszcze wczoraj byli pijani jak Noe, którzy tańczyli, płasali i wyglupiali się jak dzieci, raptem wytrzeźwieli. Stali się grzeczni, przykładni i prawie wstydzili się spojrzeć sobie w oczy. Smutek ogarnął miasto. Jednak najbardziej

posmutniały dzieci, nasze sieroty z Perejasławia. Dopóki bowiem byli gośćmi, dopóty czuły się w Bogusławiu nienajgorzej. Ale czas płynął i coraz częściej dochodziły do

nich głosy, że są tu zbyt czyste. Dziadek Mojsze Jose siedział sobie samotnie na kozuchu, ubrany w tańce i tefilin, i albo modlił się, albo studiował Pismo, albo tak sobie coś bąkał pod nosem i postukiwał palcami. Czasem cicho wzdychał i rozmawiał z Bogiem. Bywało też, że opowiadał swoim wnukom przepiękne historie o dawnych czasach lub prawil kazania moralne zarzucając im, iż nie są dość pobożni, nie chcą służyć Bogu i wydłużają w ten sposób czas diaspory. Z ich powodu nie przychodzi Mesjasz. Przez nie cierpi, niestety, wielu Żydów w piekle, a niezliczone tysiące dusz ludzkich nie mogą doznać oczyszczenia. Podobnych historii dzieci nasłuchiwały się już od melameda podczas pobytu w chederze. Sporo z tego usłyszały z ust babki Mindy albo po prostu od Żydów nawykłych do umoralniania i straszenia piekłem przy każdej okazji. Miały już tych kazań powyżej uszu. Interesowała je teraz bardziej „polityka”, jaka rozgrywała się na ich oczach w domu dziadka Mojszy Josy i babci Gitł. W dzień i w nocy snuły się tu jakieś intrygi. Przekazywano tajemnice. Padały oszczerstwa. Wujek Ice i ciotka Sola nie przestawali uskarżać się na babcię Gitł, że jest skąpa, że ciężko od niej wydobyć grosz spod poduszki. Dziadek zaś jest zanadto pobożny. Tak pobożny, że niemal już zidiociały... — Postarzał się — szeptali wujostwo. Dziwnie się przy tym uśmiechali i przygryzali wargi. A babcia Gitł również skarżyła się na swoją synową i własnego jedynaka. Nie żywią do niej szacunku, nie oddają czci należnej matce. Czekają tylko, a wie to z całą pewnością, aby czym prędzej zamknęła oczy. Czekają na spadek. Wypatrują schedy. Na złość im będzie żyła i żyła, chociaż śmierć byłaby dla niej dobrodziejstwem. Na co bowiem jej takie nibyżycie. Życie kaleki. Taką wspaniałą córkę utraciła. Pochowała Chaję Estere, matkę tylu dzieci. Nieszczęsna ma dołę... Zniekształconymi przez reumatyzm rękoma ociera łzę ze swoich schorowanych oczu i przywołuje dzieci do siebie. Wyciąga spod poduszki dla każdego z nich po kilka groszy. Zauważywszy to, mała Chawa Liba, córeczka wujka, o czerwonych

policzkach i malutkich wargach, natychmiast donosi

o tym swojej mamie, czyli ciotce Sosi. Ta z kolei przekazuje tę wiadomość wujowi Ice. Zaczynają między sobą po cichu szeptać: — Własnym dzieciom żałuje się grosza, a dla obcych dzieci ma się ręce pełne pieniędzy. — Słyszają to sieroty i przykro im się robi. Obrzydzenie bierze.

Im dalej, tym gorzej. Dzieci czują, że są tu zbędne. Widzą, jak na nie patrzą podczas posiłków. Słyszają, jak za plecami mówi się o ich „apetycikach”. Chleb staje im sztorcem w gardle. Obrzydło im to wszystko. Czekają na list od ojca jak na zbawienie. Kiedy nareszcie pojedą do domu?

Dobry Bóg wysłuchał ich próśb. Nadszedł zbawienny list. Dotarł do nich za pośrednictwem perejasławskiego bałaguły imieniem Noach. Pojadą do domu. To jest właśnie ich bałaguła. Ma kryty wóz i do tego konie, jak się patrzy. Nazywa się Noach, chociaż sam każe tytułować się reb Noach. Ma jednak pewne braki: chrypkę i łysinę. Ale to nie problem. Chrypkę ma, jak powiada, od święta Symchat Tora. Popił sobie wtedy. Bo chociaż pije zawsze, ale z okazji święta wypił ponad miarę. Mówią nawet, że trzeba go było cucić... Co zaś do łysin, ma ją dlatego, że jako dziecko nie pozwalał sobie myć i czesać głowy. Był uparty. Więc wyrywano mu włos po włosie. Jednak wszystkie te rzeczy nie

miały wpływu na podróż. Co innego pomieszało im szyki. Aczkolwiek Noacha przysłano z Perejasławia do Bogusławia specjalnie po to, aby sprowadzić dzieci Nachuma Rabinowicza, ów jednak nie mógł oprzeć się pokusie przewiezienia przy okazji jeszcze kilku pasażerów. A nuż Bóg mu ich ześle. Będzie jak znalazł. Z biczem w ręku kręcił się więc dzień, dwa i trzy po targowisku. Koniki tymczasem żarły owies, a pasażerów jak nie było, tak nie było. To czekanie przyprawiało dzieci o furję. I oto nagle dobra nowina. Jadą! Najlepszy znak: Noach już nawet wytaszczył swój wóz i smaruje koła. Teraz mogą zjawić się nawet wszyscy królowie Wschodu i Zachodu. Klamka zapadła! Teraz mogą mu do wozu nasypać złota, aby zechciał tylko poczekać choć go

dzinkę jeszcze w Bogusławiu. Nic z tego. Może miasto spalić się lub zapaść w otchłań! Nie znacie reb Noacha! Dzieci wpadają do mieszkania. Żegnają się z kolegami, ze starą bóźnicą i żółtą bóźniczką. Żegnają się z dziadkiem i babcią. Dziadek Mojsze Jose, rzecz jasna, prawi im tymczasem morały. Nakazuje im prowadzić się dobrze, jak przystało na prawdziwych i porządnych Żydów. Babcia Gitł pokręconymi rękoma wyciera oczy. Od wujka Ice i cioci Sosi dzieci słyszą tylko chłodne słowa pożegnania: — Jedźcie w zdrowiu! — Ta parka z pewnością byłaby zadowolona z ich wyjazdu, gdyby nie jedno ale. Otóż nie wszystkie obce dzieci wyjeżdżają. Ich radość zostaje zmacona. Wyjeżdżają tylko chłopcy. Dwie dziewczynki nadal pozostają w Bogusławiu. Dlaczego? To bardzo proste. Babcia Gitł powiedziała, że nie dopuści do tego. Nie pozwoli, aby dzieci jej Chaji Estery wpadły w ręce macochy. Wuj Ice uśmiecha się, gładzi swoje pejsy i nie spuszczać wzroku z poduszek mówi: — Dobrze. A to, że chłopcy wpadną w ręce macochy, jest w porządku? Cha, cha! — Co porównujesz chłopców do dziewcząt? Czyż chłopak słucha macochy? Chłopak wychodzi na cały dzień do chederu, a dziewczyna co? Dziewczyna pozostaje cały dzień w domu i niańczy dzieci macochy... Wujek Ice nie jest jeszcze całkiem zadowolony. Głaszcząc pejsy, patrzy na poduszki, uśmiecha się dyplomatycznie i tak powiada: — A co by było, gdyby wszystkie dzieci były dziewczynkami? Cha, cha! — To bym wszystkie dziewczynki — odpowiada babcia — zostawiła u siebie. Wujek Ice kontynuuje rozmowę. Tym razem już bez uśmiešku, w sposób ogłędny: — A skąd byś, dla przykładu, wzięła pieniądze na utrzymanie tylu dziewcząt? — Bóg pomógłby mi — odpowiedziała babcia spokojnie. — Oto przecież pomógł mi wychować takiego ka

dysza jak ty, który czyha na spadek po mnie i boi się, że dla niego nie starczy...

— Ice! — woła męża ciocia Sosia. — Ice, chodź tu, muszę ci coś powiedzieć.

Dzieci mają pociechę z babci Gitł. Podziwiają spryt, z jakim załatwiła wuja Ice. Jak zręcznie go obciachała. Ponadto cieszą się z podróży do domu.

Trochę nie w smak poszło im zasłyszane słowo „macocha”. Po raz pierwszy dowiedziały się o tym. O, będą więc miały macochę? A dlaczego macocha jest zła? Tak zła, że babcia Gitł już zawnazę lituje się nad nimi? Warto, na Boga, zobaczyć taką macochę. Warto już pojechać do domu.

Do domu! Do domu! Do domu!

PYSKÓWKA MACOCHY

Macocha. Przekleństwa według abecadła. Pierwsze dzieło — leksykon przekleństw

Czego to się ludzie uczepli tej macochy? Dzieci nasłuchały się o niej, tyle, że mogłyby pomyśleć, iż to stworzenie ma rogi na czole. Na każdym kroku straszono je: — Zaczekajcie tylko, łobuzy. Niech no tato wyjedzie w świat, a sprowadzi wam na głowę macochę. Wtedy zakosztujecie miodu. — Wystarczy, że słońce przestanie należycie grzać, a usłyszycie natychmiast: — Grzeje to słońce jak macocha. — Musi coś w tym być. Czy możliwe, żeby cały świat zwariował?

Raptem tato zniknął. Minał tydzień. Minał jeszcze tydzień i następny. Gdzież to tato mógł przepaść? Nikt nie puszcza pary z gęby. Starsi rozmawiają z sobą tylko szeptem. Nie chcą, aby dzieci słyszały. Porozumiewają się

raczej na migi. Jednak pewnego razu rebemu w chederze wyrwało się słówko. Zapytał dzieci: — Jeszcze tato nie wrócił z Berdyczowa? — Do tego ostrożnego pytania żona rebego dodała od siebie nie mniej tajemnicze uzupełnienie: — A cóż to? Tak łatwo sprowadzić sierotom macochę?

A więc wiemy już, że tato jest w Berdyczowie. Wiemy, że szuka tam macochy dla swoich dzieci. Ale po co to ukrywał? Co to za tajemnica? Najlepszy dowód, że zanim wrócił z Berdyczowa do domu ze swoim nabytkiem, wysłał sztafetę z taką wieścią: Bóg go obdarzył osobą równą mu pod każdym względem. Jak na nią nie patrzeć, jest to istny skarb. Prawdziwa mecyja. Zarówno pod względem godnego pochodzenia, jak i majątku. A ponieważ wkrótce przy bożej pomocy przyjedzie wraz ze swoją mecyją, prosi, aby jej za wcześniej nie wyjawić, ile ma dzieci. Po co od razu ma się dowiedzieć? Powoli i tak się dowie. A i tak nie wszystkie kłopoty spadną na nią. Chłopcy przecież są starsi, a co do tych dziewczynek, to przecież przebywają u babci. Fakt, że nie wyrzeknie się ich. Uchowaj Boże. Dzieci to dzieci. Jednak w obecnych warunkach lepiej nie przyznawać się do kilkorga dzieci. Przynajmniej przez krótki okres. Zakończył po hebrajsku: — Pozostaje mi tylko życzyć zdrowia i pokoju. Niech Bóg sprzyja, abyśmy się wkrótce zobaczyli.

List wywarłby na pewno dobre wrażenie, gdyby nie ta wzmianka o dzieciach. Sieroty odczuły to najboleśniej. Wiedziały doskonale, że ojciec je kocha, że każde z nich jest mu bardzo drogie, ale fakt, iż przez moment stały się czymś w rodzaju kontrabandy do przemycenia, dotknął je głęboko i wywołał przeróżne domysły. Nie na długo. Wnet bowiem przyniesiono im do chederu wieść tej treści: Przyjechał ojciec i sprowadził z sobą macochę. — No i masz mazł tow! — wtrąciła się żona rebego. — Obyście przynieśli lepsze nowiny. W związku z tym rebe puścił dzieci wcześniej do domu.

W domu zastali całą rodzinę. Był stryj Pinie ze swoimi synami i ciocia Chana z córkami. Wszyscy siedzieli wokół

stołu. Pili herbatę, jedli ciasto i konfitury. Palili papierosy i prowadzili rozmowę bez treści. Puste to były słowa. Nie kleiły się. Nikt bowiem nie słuchał tego, co mówił drugi. Każdy był pogrążony we własnych myślach. Nie spuszczała oka z macochy. Oglądali ją skrupulatnie. Szacowali mecyję, którą tato nabył w Berdyczowie. Zdaje się, że oględziny wypadły zadowolająco. Kobieta dorodna, niegłupia i przede wszystkim miła, przystępna, dobra. Niemal pozbawiona złości. Po cóż więc była ta cała gadanina? Na co potrzebna była ta przygniatająca atmosfera?

Dopiero później, w jakiś tydzień lub dwa potem, macocha objawiła swój prawdziwy temperament. A był to temperament gorący. Dała też próbki swego krasomówstwa. Gadkę miała iście berdyczowską. Gładką, bogatą i kwiecistą. Na każde słowo odpowiadała przekleństwem, i to rymowanym. I wcale się przy tym nie unosiła. Oto garść przykładów. Jeść — oby cię robaki jadły! Pić — oby pijawki piły twoją krew! Szyć — oby ci uszyli całun! Iść — a idźże do cholery! Stać — obyś stanął sztorcem! Siedzieć — obyś siedział na jęczących się ranach! Leżeć — obyś w ziemi leżał! Mówić — obyś w malignie mówił! Milczeć — obyś zamilkł na wieki! Mieć — obyś miał mnóstwo kłopotów! Nie mieć — obyś nie miał niczego dobrego! Trafic — oby cię szlag trafił! Wynieść — oby cię wyniesiono nogami do przodu! Zanieść — oby cię zaniecono na cmentarz!

Albo weźmy dla przykładu zupełnie niewinne słówko „pisać” — oby ci recepty przepisano! Zapisać — oby cię zapisano w poczet skazanych na śmierć. Wypisać — wariata wypisać a ciebie na jego miejsce! A gdy w przystępie dobrego humoru trafiło się w jej ustach jakieś słówko, to przeplatało się, ciągnęło i spływało jak oliwa. Bez zatrzymania, jednym tchem, jak u dobrego kantora, gdy wymawia imiona wszystkich dziesięciu synów Hamana: — Oby cię, Boże kochany, nawiedziło klucie, łamanie, swędzenie, palenie, suszenie, zasuszenie, wysuszenie, ususzenie, skurczenie, pokurczenie. Obyś to wszystko miał, mój Boże kochany, Ojczy serdeczny i najwierniejszy!

Bohater tych wspomnień przyznaje, iż sporo przekleństw i powiedzonek wykorzystanych w jego późniejszych utworach zapożyczył z pyskówek macochy. I to już w swoich młodych latach. Nie miał jeszcze wtedy pojęcia, czym jest literatura. Nie śniło mu się nawet, że będzie kiedykolwiek pisarzem, ale, o dziwo, zapisał wszystkie przekleństwa macochy. Zabrał je i ułożył w postaci słowniczka. Nie lenił się. Zbierał je systematycznie. Gdy zgromadził ich pokaźną ilość, zabrał się do ułożenia przekleństw w porządku alfabetycznym. Owocem kilku nieprzespanych nocy był leksykon, w porządku alfabetycznym, który zamieszczam poniżej:

A — ananas, antyk, Asmodeusz, ancymonek, absolutne zero, aferzysta, arogant, awanturnik;
B — bałwan, bękart, bałagula, bankrut, bandyta, biedak, baran, basatyk, Belzebub, bełkotnik;
G — goj, gojlem, ganew, gagatek, głąb, ględa, gałgan;
D — donosiciel, drab, drań, drań, dureń, dwulicowiec, dywersant, dziad;
H — Hocmach, hultaj, Haman, harpagon, habes, heretyk, hołota;
W — wesz, warchoń, wagabunda, wał, wałkoń, wariat, wicherzyciel;
Z — zabijaka, zdrajca, zając, zakuta pała, zaprzaniec, zawadiaka, zbójca, zdechlak;
CH — chazer, cherlak, chciwiec, chimera, chochlik, cholera, choroba, chuligan, chytrus;
T — Tatar, trąba, tępak, torba, tchórz, trąd, truś, trup;
I — idiota, ignorant, impetyk, intruz, intrygant, jołop, jędza;
Ł — łobuz, łajdak, łakomczuch, łapserdak, łazęga, łazik, łgarz, łotr;
M — małpa, maminsynek, maniak, mantyka, miernota, maruda, mazepa, mazgaj;
N — nudziarz, naiwniak, niedojda, niezdar, narwaniec, natręt, nędznik, niechluj;

S — swołocz, samolub, sekutnica, skąpiradło, skarżypyta, smarkacz, smerda, smrodziarz;
E — egoista, elegant od siedmiu boleści, eunuch, efekciarz, egzekutor;
P — paskuda, patałach, partacz, parch, pępek, placek, pętka, padlina, pajac, pała;
F — fajtlapa, fałszerz, faryzeusz, fuszer, fąfel, filut, fioł, furiat, fujara;
C — cielak, cielęca głowa, ciemniak, ciepłe kluski, ciżba, cudak, cymbał;
K — katorżnik, kacierz, kaleka, kartoflojad, karciarz, kominiarz, kiszka bez dna, kapuściany łeb, kara boża, kaszkiet;
R — rabuś, rozbójnik, ramol, raptus, rybia łuska;

SZ — szarlatan, szabes goj, szajgec, sziksa, szmata, szachraj, szaleniec, szczenię, szatan, szelma;

Był to, można powiedzieć, pierwszy utwór napisany przez Szołema Alejchema. Nadał mu tytuł Pyskówka macochy. Z tym to dziełem zdarzyła się kiedyś przygoda, która mogła zakończyć się kompletną katastrofą.

Ponieważ słownik miał być ułożony zgodnie z alfabetem, autor musiał się niewąsko napracować. Po kilka razy przepisywał swój leksykon. Ojciec zauważył, że chłopak pracuje jakoś dziwnie gorliwie. Zaszedł go więc pewnej nocy od tyłu i rzucił wzrokiem na papier. Wziął rękopis do ręki i przeczytał go od a do z. Nie dość, że sam przeczytał, ale jeszcze dał do przeczytania macosze. I zdarzył się cud. Trudno powiedzieć, czy dlatego, że była akurat w dobrym nastroju, czy dlatego, że wstydziła się okazać gniew. Fakt, iż wybuchła osobliwym i złowrogim śmiechem. Zanosila się wprost od śmiechu. Nieomal pischzała. Zdawało się, że lada chwila trafi ją szlag. Najbardziej spodobały się jej „pępek” i „kaszkieta”. Pępkiem nazywała bohatera tych zapisków, zaś Kaszkietem przeżywała nieco starszego chłopca, ponieważ nosił on nowy kaszkiet.

No i bądź tu mądry. Czyż można było przewidzieć, że cała ta historia skończy się na śmiechu? Nie ulega wątpliwości, że autor leksykonu odmówił modlitwę na intencję cudownego ocalenia.

PRZY BRAMIE NA ŁAWECZCE

Zajazd. Napędzanie gości. Znowu marzenia o skarbie

Czy wiecie, co to jest zajazd? Zajazd to ani dom noclegowy z restauracją, ani hotel. Zajazd to coś pośredniego. Dom zajezdny, źródło dochodów Nachuma Rabinowicza, był w istocie typowym zajazdem. Ogromny dom z ogromnymi stajniami dla koni i wozów oraz olbrzymimi pokojami dla gości. Najczęściej w pokojach stało po kilka łóżek. Gość wynajmował więc nie pokój, ale łóżko. Chyba, że zajeżdżał bogacz, jakiś elegancki lepszy gość. Wtedy wynajmował cały pokój. Jednak tacy goście zdarzali się rzadko. Nazywano ich tu „tłustymi” gośćmi. Ci zwyczajni nie potrzebowali ani oddzielnych samowarów, ani obsługi. Do sali wstawiano wtedy jeden samowar i każdy miał swój czajnik i własną herbatę do parzenia. Słowem, nalejcie sobie, mili moi Żydowie, ile tylko wejdzie, i pijcie, ile dusza zapagnie! Była to istna rozkosz popatrzeć raniutko lub wieczorem na wewnętrzne zajazdu pana Rabinowicza.

Dookoła stołu spore grono Żydów. Piją i gadają. Gadają i mlóć językami wszyscy naraz. Pałą, kopcą. Dym gęstnieje. Jest tak gęsty, że można go kroić nożem. A gadają o wszystkim. O czym tylko chcecie. Jeden mówi o jarmarku. To człowiek targowiska. Drugi mówi o pszenicy. Jest to Żyd handlujący zbożem. Trzeci mówi o lekarzach. To chory człowiek, kaszle. Czwarty rozprawia o kantorach. Nie ma rady, rozmiłowany jest w muzyce. Inny znów siedzi sobie w kącie i, było nie było, odmawia modlitwę. A głos ma kobiecy. Zaś sam gospodarz, reb Nachum Rabinowicz, kondycji słabowitej, znany wam już z poprzednich relacji, siedzi sobie wśród gości odziany w chałat podbity kocią skórą, z okrągłą jarmułką na głowie i grubym papierosem w ustach. Siedzi sobie niczym król na tronie i przysłuchuje się temu, co mówią goście.

Jednak słucha tylko jednym uchem. Drugim łowi mimo woli to, co akurat pyskuje macocha.

A słowa jej pyskówki płyną jak oliwa i ciągną się niczym miód. Od samego rana rozlicza swoich pasierbów. Każdemu z nich udziela właściwego błogosławieństwa. Nie żałuje przy tym szturchańców i kuksańców, a nawet potrafi kopnąć delikwenta w brzuch. Chodzi jej o to, aby jeden ukołysał dziecko, drugi znów poszedł na targ i pomógł jej dźwigać kosz, a co do trzeciego, to po prostu tłucze go, ot tak sobie. Niech go piorun trzaśnie... Dzieci słuchają jej. Wykonują wszystko, co im każe. Wszyscy przeżywają trudny okres. Z zarobkami krucho. Chłopcy przebywają w chederze tylko do południa. Po południu pomagają ojcu. Jeden obsługuje gości, drugi czeka na ławeczce przy bramie. Jego zadaniem jest napędzanie przejeżdżających. Głośno woła: — Zajedźcie tutaj, do naszego zajazdu!

Z pewnością praca przy bramie jest lepsza od tej w środku zajazdu, tam bowiem panuje piekło. Macocha nie skąpi szykan. Tu zaś, na ławeczce, praca nie jest uciążliwa. To żadna praca. To przyjemność. Zabawa. Zwłaszcza latem. Furmani przejeżdżają z hukiem, z gwizdem, z trzaskiem. Wracają z przystani. Wzięli pasażerów z parostatku. Ścigają się, kto pierwszy. Wzniesają tumany kurzu. Pasażerów nie widać, wiadomo tylko, że są. Wszyscy chłopcy i wszyscy posługacze wybiegają wtedy na trakt i głośno a wesoło zachęcają furmanów do odwiedzenia ich zajazdu: — Do nas, wujku! Do naszego zajazdu, wujku! — A furman odpowiada im świstem bata. Przelatuje mimo i znika w tumanach gęstego kurzu. Chłopcy i posługacze stoją z nosami spuszczoneymi na kwintę.

Tak się dzieje latem, gdy trwa żegluga na Dnieprze. Zimą, gdy Dniepr jest skuty lodem, zajezdne domy żyją z gości innego rodzaju. Wtedy zajeżdżają duże kryte budy, wozy załadowane towarem, śmierdzącym tranem. To już nie są nawet goście do łóżek ani do uroczystego spędzania dnia sobotniego. Bez ceregieli kładą się pokotem na podłodze albo nawet na dworze, na golej ziemi,

przy swoich wozach. Płacą tylko za siano i owies. Mało z nich pociechy i jeszcze mniej zarobku. Do tego jeszcze mróz. Do słodkich zajęć nie należy siedzieć wtedy przy bramie.

Bohater niniejszych relacji doskonale pamięta te czasy, gdy siedział na ławeczce w oczekiwaniu gości. Latem w upale, pod palącymi promieniami słońca, zimą w mróz jak pies na dworze. Miał na sobie podarty kożuszek i domagające się szewca buty. Stukał butem o but i gorliwie wypatrywał na drodze wozu z ewentualnymi gośćmi. Gdy zauważył nadjeżdżającą bałagułę, wybiegał naprzeciw i wołał:

— Tutaj! Zajeżdżajcie tutaj, do tego zajazdu! — Jakby na złość, przeważnie mijano go bez słowa i zajeżdżano do stojącego niedaleko bogatszego zajazdu pana Rubena Jasnogrodzkiego.

— Tam — powiadano — są lepsze i większe pokoje. Tam w pokojach są miękkie ławeczki, tam — powiadano — znajdują się w pokojach lustra i wiele, wiele wspaniałych rzeczy, których Rabinowicze nie mają. — Nic dziwnego więc, że tam jest zawsze komplet gości, i to grubo nadzianych. Za to zajazd Rabinowiczów świeci pustkami. Tylko psy do niego zagnać. Szolem buntuje się. Przeciwko komu? Przeciwko Bogu! Dlaczego Bóg nie sprawił, żeby on, Szolem, urodził się jako syn Rubena Jasnogrodzkiego, a nie Nachuma Rabinowicza?

I Ruben Jasnogrodzki staje się dla niego symbolem szczęścia, bogactwa i wszelkiego dobra. Przyjmuje „tłustych” gości. Jasnogrodzki jest ideałem Szolema. Jest jakby drugim skarbem, o którym teraz marzy chłopiec tak jak ongiś w Woronce. I zaczyna mu się wydawać, że w każdym przejeżdżającym obok wozie znajdują się osoby godne szacunku. Grubi goście w niedźwiedzich kożuchach. Właśnie nadjeżdża jakiś bałaguła. Nim Szolem zdążył wykrzyknąć słowo

„tutaj”, zatrzymał konie. Wyłążył z wozu godni szacunku goście w niedźwiedzich kozuchach. Za nimi służący niosą walizki z żółtej skóry załadowane wszelkim dobrem. A każda walizka waży chyba

z pud. I wszyscy wchodzą do zajazdu. Każdy zamawia oddzielny pokój i oddzielny samowar. Zamawiają obiad i kolację na gorąco. I wychodzi na ich spotkanie ojciec w jarmułce. Serdecznie z uśmiechem wita przybyłych. Pyta, czy życzą sobie spędzić również dzień sobotni w jego zajęździe. Goście wybuchają śmiechem. Dlaczego tylko jedną sobotę? A dlaczego by nie trzy soboty? Okazuje się, że są to kupcy, którzy przybyli po zakup pszenicy. Przy tej transakcji ojciec zarobi nieźle tytułem pośrednictwa. I właściwie dlaczego nie ma się przy tym obłowić? Nagle zjawia się macocha. Ma na sobie chustkę sobotnią. Twarz jej promienieje z radości. Jednym okiem zerka na „tłustych” gości i pyta:

— Kto ich tu sprowadził?

— Ja ich tu sprowadziłem. Ja sam — odpowiada Szolem z dumą. Jest szczęśliwy pomimo naprędcie wymyślonego kłamstwa. Jest szczęśliwy, bo i u nich w domu będzie choć raz jeden dobry pogodny dzień. I sobota. Jedna i dobra! Ach! Co to będzie za piękna sobota! A dlaczego tylko jedna sobota? A dlaczego by nie trzy soboty?

Wszystko jest piękne i wspaniałe, ale to tylko urojenie. Tylko sen. Wymarzeni, nadziani „tłusci” goście w niedźwiedzich kozuchach i z żółtymi, skórzanymi walizkami. Gdyby rzeczywiście istnieli! Pewnie zajechaliby nie do ich zajazdu, tylko do położonego naprzeciw domu zajezdnego Rubena Jasnogrodzkiego. Ach, co za wstrętne ludzie! Co im przeszkadzało zajechać do nas? Tak rozmyślając, nasz wieczny marzyciel, przemarznięty do szpiku kości, wraca do domu. Widzi ojca w kocim chałacie, głęboko pochylonego nad księgą. Macocha rozpalona jak w gorączce wylatuje z pyskiem. Nikt nie zajechał? A co zrobić z chlebem, który upiekła? Co z rybami, już są przygotowane. Choć węz i rzuć je psom na pożarcie. — A może myślicie, że będą dla was? — pyta pasierbów. — A nie łaska czerstwy chleb zajadać? Świeży chleb jeszcze gotów wam stanąć sztorcem w gardle. Wasze żołądki mogą go nie strawić. Widzieliście je? Takie to wychuchane bachory. Takie to wymuskane. I tyle ich, bez uroku.

Szkoda, że nie zostawiono ich wraz z dziewczynkami u dziadków w Bogusławiu. Mogły przecież pętać się tam, do jasnej choroby, a nie tu. Po co je tutaj ściągnięto? I niech by je lichy wzięło. Czy po to, aby tu pomagały zreć? A niech je robaki żrą. Niech je toczą żywcem. Oby was ze skóry obdzierano, tak jak wy mnie ze skóry obdzieracie. Z nadejściem zimy was czort pochłonie. Obyście zeschli się na szczapy!

Oto przykład słynnej pyskówki. I Szolem zapomina, że mu zimno. Znowu wybiega na mróz. Siada na swojej ławeczce przy bramie. Pewnie, że tu jest lepiej. Przynajmniej jest spokój. Można pomarzyć o tym, że Bóg nareszcie ześle im „tłustych” gości w niedźwiedzich kozuchach z żółtymi skórzanymi walizkami. A nuż Bóg sprawi, że ci goście zatrzymają się w ich zajęździe, a nie w zajęździe Rubena Jasnogrodzkiego. Bóg, jeśli tylko chce, to potrafi!

WŁAŚCICIEL KOLEKTURY

Saskie i brunszwickie losy loteryjne. Wielkie nadzieje i nikłe wygrane. Szołem pisze powieść w stylu Miłości Syjonu Abrahama Mapu

Zaiste, był Nachum Rabinowicz godnym największego podziwu. Jaką siłę musiał w sobie posiadać ten spokojny i wiecznie zamysłony człowiek, aby wytrzymać rozpętane przez macochę piekło? Ile hartu trzeba było mieć, aby wysłuchać jej pyskówek i „błogosławieństw”? Ile spokoju wewnętrznego, aby patrzeć, jak znęca się nad dziećmi i nie wyrzec ani jednego słowa? Głębia jego serca pozostanie tajemnicą. Na zewnątrz niczego nie okazywał. Nie zdradził się przed nikim ani jednym słowem. I z tego też

powodu macocha szanowała go. Słuchała, poważała i nie obchodziła się z nim tak szorstko jak z dziećmi. Miała dla niego taki respekt, jaki żywić mogła tylko kobieta, która sama nie zaznała w życiu słodyczy, która harowała od świtu do nocy niczym koń, ledwo mogąc uporać się z czeredą dzieci własnych i cudzych.

A może jej poważanie dla męża wzięło się stąd, że całe miasto otaczało go szacunkiem, mimo iż nie był bogaty i ledwo zarabiał na kęs chleba. Głupią, jak to się mówi, macocha w żadnym wypadku nie była. Tylko zgorzkniała. W gniewie nie potrafiła się opanować. Z natury szczerą. Co na sercu, to i na języku. Za to, że ojciec nigdy nie przerywał jej pyskowania, ona nie przeszkadzała ojcu w jego sprawach. Nie przeszkadzała mu w czytaniu ksiąg, w grze w szachy ani w spotkaniach z ludźmi. A ludzie, z którymi spotykał się ojciec, to byli sami maskile, młodzieńcy postępowi i wykształceni, w ogóle ludzie z głową. Można śmiało powiedzieć — śmietanka ówczesnej inteligencji perejasławskiej. Była to pokaźna grupa maskilów zasługujących na to, aby ich dokładniej opisać oraz wymienić z imienia i nazwiska. Pierwszy powinien być opisany właściciel kolektury. Cała ta kolektura mieściła się w jednej teczce. Był to człowiek opasły, ciężkawy, ale z głową na karku. Po cichu mówiono, że z niego kawał heretyka, mimo iż nosił długą kapotę i gęste pejsy. Nachum Rabinowicz mówił o nim nie inaczej, jak tylko „człowiek ó rozległej, głębokiej wiedzy”. Mogli we dwójkę całymi dniami przesiadywać i rozmawiać, rozmawiać, rozmawiać. Bez końca, bez umiaru. Skąd wynaleźli tyle tematów? Właściciel kolektury często przychodził z książką. Często po książkę.

U macochy zyskał przezwisko Kołtun. Miał bowiem nieco skołtunioną brodę. W mieście nazywano go jednak z szacunkiem „pan właściciel kolektury”. Handlował losami loteryjnymi: saskimi i brunszwickimi. Nosił ciemne okulary. Oczy mu nie dopisywały. Latem i zimą chodził w głębokich kaloszach. W żadnych tam butach, tylko w kaloszach. W białych pończochach i w kaloszach. Biedny

jak mysz, ale pełen wiary i ufności. Był święcie przekonany, że któregoś dnia na jakiś los loteryjny jego klienta padnie wielka wygrana, a wtedy i on coś z tego będzie miał. Może wykaraska się z biedy. A wygrać, to niechybnie wygra Nachum Rabinowicz. Jest tego pewien. Nikt bowiem tak bardzo nie potrzebuje tej wielkiej wygranej. Mówił o tym ze szczególnym przejęciem. Bardzo możliwe, że właściciel kolektury tak samo zapewniał innych swoich klientów. Miał ich sporo. Prawie całe miasto. Niemal wszyscy Żydzi grali na loterii. Ale Nachum Rabinowicz wierzył w niego jak w rebebo. Razem z nim wyczekiwał wielkiej wygranej. Czekał i wypatrywał jej tak, jak wypatruje się Mesjasza.

Wzdychał, tęsknił i czekał. A nuż właśnie zjawi się właściciel kolektury z dobrą nowiną. Mąż tow, reb Nachumie, wygrał pan te dwadzieścia pięć tysięcy.

Bohater naszej opowieści doskonale pamięta, że za każdym razem, gdy odbywało się ostatnie ciągnięcie klasy, ojciec nie mógł usiedzieć w miejscu. Wzdychał, ziewał potężnie i miotał się jak w malarii. Wraz z ojcem gorączkował się Szolem. I on wypatrywał szczęśliwego dnia. Może nawet bardziej niż ojciec. Był przekonany, że nie kto inny, tylko jego tato jest najpewniejszym kandydatem do wielkiej wygranej. Powtórzyła się historia skarbu z opowieści Szmulika. Dniami i nocami myślał o tym. Znał na pamięć wszystkie numery losów ojca. Widywał je w swoich snach. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby Bóg okazał się niełaskawy. Co mu szkodzi, że wygrana padnie na los ojca? Dla Pana Boga to błahostka, to drobiazg. Łatwiejszej już być nie może...

Szolem siedzi na ławeczce przy bramie i zauważa nadchodzącego właściciela kolektury. Ten zasuwa w swoich kaloszach wprost do ich domu. Zrywa się więc i biegnie do ojca z nowiną: — Idzie! — Kto idzie? — Właściciel kolektury. — A jeśli on, to co? — Co znaczy „co”? — Przecież dziś jest ostatni dzień ciągnięcia! — Wypowiedziawszy te słowa Szolem zauważa, że położyła, pomarszczona twarz ojca nagle zbladła. W jego zatroskanych oczach ukazuje się ognik i natychmiast gaśnie.

Do mieszkania wpada zasapany właściciel kolektury. Ma astmę. — Niech go się trzyma! — powiada macocha. Nim powie dzień dobry, musi zaczerpnąć tchu. Tato nie zadaje mu żadnych pytań. Gdyby coś było, powiedziała by przecież sam. Przybysz siada na krześle, zsuwa na bok czapkę, wyciera pot z czoła połą swojej kapoty i dzieli się nowiną. — Dzieje się — powiada — coś strasznego. Pali się. Pożar! — Następuje przerwa. Obaj milczą. Po chwili właściciel kolektury rozwija swoją chustę. Brudną, czerwoną, z zielonymi plamami. Zalutuje od niej śledziami. Trzyma w niej losy loteryjne. Drżącymi owłosionymi rękoma wyciąga arkusz papieru, na którym od góry do dołu widnieje cała masa liczb. Kieruje ku nim swoje oczy osłonięte ciemnymi okularami. Szuka. Sza! Znalazł. Ciemne okulary zwraca więc w stronę ojca.

— Pański los, reb Nachum, ma, o ile się nie mylę, numer szesnaście tysięcy trzysta osiemdziesiąt cztery?

— Nie rozumiem — powiada tato z uśmiechem. — Nie, nie rozumiem. Nie rozumiem pańskiego pytania. Mnie się wydaje, że pan posiada wyjątkowo dobrą pamięć. Pan zna wszystkie numery pańskich klientów na pamięć.

— Na pamięć, powiada pan? Być może... Słowem, szesnaście tysięcy trzysta osiemdziesiąt cztery. — Właściciel kolektury patrzy przez swoje ciemne okulary i palcem wskazuje liczby na papierze. Szolemowi głośno bije serce. Lada chwila, a wyskoczy z piersi. A więc? Chciałby już to usłyszeć. Właściciel kolektury nie spieszy się jednak. Cedzi słowa powoli:

— Pański los wygrał, panie Nachumie... Tak, wygrał...

Szolem dostrzega, jak po twarzy ojca przelatuje żółta chmurka i znika. Chce mu się nagle zakrzyknąć niczym kogut: — Kukuryku! — Powstrzymuje się. Chłonie każde słowo właściciela kolektury: — Wygrał pan, ale mało. Będzie tego po niewielkim potrąceniu kosztów tyle, powiedzmy tyle...

Mały Szolemomal nie mdleje. Będzie tego w sumie osiem rubli i sześćdziesiąt kopiejek. — Od pana, o ile się nie mylę, należy mi się dwanaście pięćdziesiąt, a z okresu wcześniejszego, jeśli pan pamięta, trzy ruble i osiemdziesiąt kopiejek. Mamy znaczyć się, dla pełnej jasności, w sumie szesnaście rubli i trzydzieści kopiejek. Z tego wynika więc, że pan pozostaje mi winien na przyszłość, powiedzmy, siedem siedemdziesiąt. Zgadza się? Czyż nie tak? A teraz chyba pan życzy sobie nabyć nowy los. Dam go panu. Weź pan, reb Nachumie. Wybierz pan sobie. Tym razem, jeśli Bóg zechce, wygra pan na pewno. Tak jak dzisiaj mamy wtorek. Już? Dokonał pan już wyboru? A co to za los? Jaki ma numer? Osiem tysięcy sześćset trzydzieści. Oby Bóg dał szczęście, oby to było w dobrą godzinę! Czego tak się gapisz, lobuziaku? — Tak zwraca się do Szolema. Akcent kładzie na „ło”. — Jak daleko jesteś zaawansowany w Szirej Tiferet, ty urwisie jeden? — Tu akcent kładzie na „ur”.

Szirej Tiferet autorstwa Naftalego Herca Wajzla to książka, którą właściciel kolektury kiedyś dał Szolemowi do przeczytania. Przyniósł ją wraz z innymi książkami, między innymi Adama Hakohena Lebensona, Kałmena Szulmana i rabi Icchoka Bera Lewinsona. A urwis Szolem połykał je na ławeczce przy bramie. Ojciec nie posiadał się z radości, że jego syn czyta takie książki. Często też go pytał, czy aby rozumie to, co czyta. A Szolem wstydził się powiedzieć, że tak. Jakże to wprost ojcu powiedzieć? Odpowiadał więc za niego właściciel kolektury: — Doskonale urwis rozumie. Dlaczego miałby tego nie rozumieć? Widzi pan, Mapu albo Smoleński to dla takiego smyka lektura jeszcze za wczesna. — Tak zawyrokował. A wobec tego, że tak właśnie orzekł, Szolem nabrał jeszcze większego apetytu, jeszcze większej ochoty na te książki. Po kryjomu dorwał się do dzieł Mapu i Smoleńskiego. Połykał je po kolei. Czerpał mądrości trochę z dzieł jednego, trochę z drugiego. Pilnie baczył, aby nikt tego nie zauważył. Pierwszą książką, która wpadła w jego ręce, była po

wieść Miłość Syjonu Abrahama Mapu. Połknął ją w ciągu jednego dnia sobotniego. Przeczytał od deski do deski. Czytał ją na strychu z wypiekami na twarzy. Płonął niczym dach ze słomy. Zalewał się łzami nad losem nieszczęsnego Amnona. Płakał i cierpiał. I wnet śmiertelnie zakochał się w bosko pięknej Tamar. Był tak zakochany, jak bohater tej powieści. Może nawet bardziej od niego zakochany. Widywał ją w swoich snach. Rozmawiał z nią językiem Pieśni nad Pieśniami. Obejmował ją, ścisnął i całował.

Na drugi dzień zakochany Szolem snuł się jak cień. Okropnie bolała go głowa. Stracił apetyt do jedzenia, i to na amen. Macocha dziwiła się. Niepojęta dla niej zagadka; nie inaczej, jak tylko niedźwiedź zdechł w lesie. Potem macocha zaczęła śledzić Szolema. Koniecznie chciała dowiedzieć się, dlaczego chłopiec nie chce jeść.

Koniec afery z powieścią Miłość Syjonu był następujący: Od gości, którzy zatrzymywali się w ich zajeździe, Szolem otrzymywał od czasu do czasu parę groszy za drobne usługi. Te grosze Szolem wydał na kupno papieru. Zszył arkusze papieru i oprawił. Mógł zabrać się do pisania książki. Postanowił napisać powieść w stylu Miłość Syjonu Abrahama Mapu. Własną powieść, ale w każdym calu naśladowując pierwowzór. Tak pod względem formy, jak i struktury. Tylko tytuł miał być inny. Nie Miłość Syjonu, lecz Córka Syjonu. Bohaterowie zaś nie nazywali się Amnon i Tamar, tylko Szlomo i Szulamit. A ponieważ w dzień nie było zbyt wiele czasu na pisanie, ponieważ pół dnia spędzał w chederze a drugie pół dnia na pracy w zajeździe, przeto na pisanie postanowił wykorzystać noc. Pisał przy świetle lampy. Spod pióra wychodziły maleńkie literki. Pisał i pisał, i byłby dalej to robił, gdyby macocha nie usłyszała skrzypienia pióra i nie zauważyła światła. Nie leniła się długo. Wstała z łóżka, zakradła się bosą i złapała Szolema na pisaniu. Podniosła niebывале larum. Cały dom stanął na nogi. Błady strach padł na wszystkich. Pomyśleli, że pali się. Alarm podniosła z powodu nafty. Naftę chcą wypalić do cna. Obyście się wszy

scy spalili, Boże jedyny! Niech was szlag trafi! A niech was cholera, pożar i pomór!

Rzecz oczywista, że tato skonfiskował nieskończoną powieść wraz ze skradzioną Miłością Syjonu. Autorowi Córki Syjonu pozostało tylko czekać na surową karę. Okazało się jednak, że ojciec pokazał powieść właścicielowi kolektury. Ten nie mógł się nadziwić pięknemu charakterowi pisma, językowi i wspaniałej poetyckiej formie. W nagrodę tak uszczypnął urwisa w policzek, że na twarzy Szolema pozostał siny ślad.

— Pan, reb Nachumie, nie zdaje sobie sprawy, co to za chłopak. Skarż mnie Bóg, jeśli pan zdaje sobie sprawę! Z niego coś wyrośnie! Zbliź się do mnie, ty urwisie. Niech cię w nagrodę chociaż uszczypnę w twoje czerwone buziaki. A niech cię gęś kopnie!

UDANI ZIĘCIOWIE

Mirowoj sudia — goj prawiący morały Żydom. Lejzor Josł i Magedow. Tysiąc stron Gemary na pamięć

Poza właścicielem kolektury do częstych gości Nachuma Rabinowicza należeli tak zwani „udani zięciowie”. Była to prawdziwa złota młodzież, pieszczoszki, kwiaty perejasławskiej inteligencji.

Każde miasto ma swoje ambicje i swoje upodobania. W Perejasławiu modni byli w owym czasie zięciowie. Dla szacownych obywateli i gospodarzy miasta był to swego rodzaju sport. Nie szczczędzono pieniędzy, nie zwracano uwagi na koszty, aby tylko złapać porządnego zięcia. Towar sprowadzano najczęściej z daleka. Rzadko kiedy kojarzono małżeństwa pomiędzy miejscowymi. Chyba, że kogoś nie stać było na porządny posag. Ten zaś, który był

w stanie i chciał wydać swoje pieniądze na posag, sprowadzał sobie z Litwy albo z Kongresówki zięciulka, prawdziwe cacko. Każdy według gustu i fasonu. Każdy na miarę ambicji i majątku.

Stryj Pinie, dla przykładu, sprowadził sobie zięciulka właśnie z Lubenia. Był to młodzieniec obkuty w Piśmie Świętym, zatopiony w rozmyślaniach o świecie duchowym. Nic w nim nie było z materializmu. Nie wiedział nawet, jak wyglądają pieniądze. Ciocia Chana sprowadziła zięcia dla swojej ślicznej córki z Jaratynia. Był to facet, że tylko za bilety go pokazywać. Niewielki mędrzec, niewielki uczony, ale za to chłop, co się zowie. W sobotę, po weselu, gdy młoda para szła do bóżnicy i gdy z niej wracała, tłum mężczyzn i kobiet cisnął się, aby tylko zerknąć na oblubieńców. Ludzie podziwiali ich i nie mogli wyjść z zachwyty. Oceniali i dyskutowali: kto z tej pary jest ładniejszy? Na głos. Jedni twierdzili, że ona, inni, że on. Młodzi słyszeli te opinie i oblewali się rumieńcem. Przydawało im to jeszcze więcej uroku. Byli jeszcze ładniejsi. Rodzicom więcej nie trzeba. Wystarczyło im, że nowy nabytek się spodobał, że wszystkim przypadł do gustu, że całe miasto mówi o młodej parze. A czego jeszcze potrzeba dla zdobycia popularności?

Bywało też, że bili się o zięciów. To znaczy nie dosłownie. Nie myślcie, uchowaj Boże, że bili się kijami. Jeśli mówię „bili się”, to mam na myśli kłótnie pomiędzy rodzicami. Klócili się o to, czyj zięć jest lepszy. Teściowie pokazywali sobie figi. Doszło kiedyś nawet do bójki i pan Romanowski, mirowoj sudia, znany ze swojej surowości i pilności, który rozumiał po żydowsku, zaczął prawić morały. A jednak goj! Goj nie potrafi zrozumieć rozkoszy i satysfakcji z prowadzenia zięcia w sobotę do bóżnicy. Nie jest w stanie ogarnąć przyjemności płynącej z posadzenia zięcia, odzianego od stóp do głowy w nowe szaty, na honorowym miejscu, przy ścianie wschodniej bóżnicy, aby każdy mógł go zobaczyć. Nie rozumie, co to znaczy obdarzyć zięcia czytaniem ostatniego rozdziału Tory na podium bóżnicy. Co to znaczy, jak zięć pięknym

i czystym głosem odmawia rozdział Tory, a kobiety na balkonie bóżnicy z ciekawości przywierają do okienka, aby zadawać bez przerwy to samo pytanie: — Jak on wygląda? Gdzie jest? — Czy goj potrafi to zrozumieć? Gdzie tam! Nigdy tego nie zrozumie. Gdyby nawet był największym mędrcom na świecie.

Najczęściej jednak „zdobycz” należała do gatunku, który łatwo się zużywa. Krótki błysk i zaraz szara powszedniość. Tak ma się sprawa z towarem, który starzeje się szybko albo wychodzi z mody. Mija rok, mijają dwa lata i zięć, wczorajszy pieszczoł, wczorajszy książę, zamienia się w zwykłego Żyda. Upodabnia się do wszystkich pozostałych Żydów. Zaczyna mu się sypać bródka. Widać, że już dźwiga brzemień troski o zarobki. Żal ogarnia, gdy widzi się, jak były zięć, wczorajszy książę, który dopiero co — wydaje się, że to było w ostatnią sobotę — stał przy wschodniej ścianie w bóżnicy dumny jakby na pokaz, ustępuje miejsca jakiemuś nowemu zięciowi, nowemu pieszczołowi, nowemu księciu. Patrzy na nowego i zazdrości mu. I jego młoda żona, która niedawno temu była królową, przepycha się wraz z innymi kobietami do okienka na balkonie bóżnicy: — Jak on wygląda? Gdzie jest? — Tak to bywa ze wszystkim na świecie. Powinniśmy w tym miejscu zacytować: Dor holech wedor bał Pokolenie odchodzi i pokolenie nadchodzi. I byłoby słuszne, gdybyśmy się trochę zagłębili w rozważania filozoficzne. Jesteśmy jednak przy „udanych zięciach”. Musimy iść tą drogą.

Dwóch udanych zięciów stanowiło, można by rzec, wyjątek od reguły. Ci wytrwali w pełnym blasku w mieście Perejasław bardzo długo. Nie wyblakli jak inni zięciowie, z mody tak szybko nie wyszli. Jeden nazywał się Lejzor Josł, drugi zaś Magidow. Pierwszego sprowadził z Korsunia pewien bogacz, handlarz skórkami, który miał niezbyt ładną córkę, ale za to pełną kiesę. Miał czym zapłacić. Drugiego sprowadził z Litwy Żyd bogacz zajmujący się dostawami koni dla państwa. Ten zaofiarował swemu zięciowi dwie rzeczy naraz: piękną, zdrową jak rzepa

córkę oraz okazały posąg, nie licząc prezentów otrzymanych po ślubie i czego tylko dusza zapagnie. Kiedy tych zięciów sprowadzono, w mieście zakotłowało się. Wszędzie rozprawiano głośno na ich temat. A wesela wyprawiano huczne i okazałe. Po dziś dzień pozostały w pamięci ludzi. Mówiono o nich w mieście i poza granicami miasta. Mówiono o nich w okolicy. To nie drobnostka. Poszło mnóstwo pieniędzy. Czy córki były szczęśliwe, czy nie, to inna sprawa. O ile nam wiadomo, jedna z nich rozwiódła się z mężem wkrótce potem, gdy otrzymała od niego w darze kilkoro dzieci. Pojechała do Ameryki. Drugiej zaś mąż jest, zdaje się, mełamedem albo swatem, lub jednym i drugim jednocześnie. Trudno to ustalić. Jedno jest pewne — jest biedakiem.

My jednak nie piszemy o tym, co jest teraz. Piszemy o tym, co było kiedyś. Mówimy o tym, co było ongiś. Wtedy ojcowie i matki, czyli teściowie i teściowe, byli w siódmym niebie. Jedna teściowa przed drugą chwaliła się swoim drogocennym nabytkiem, swoją mecyją. Jak jedna wygadała się przed babami, że wyhaftowała porojchesz dla bóżnicy, wtedy druga oświadczyła, że zafundowała bóżnicy małe zwoje Tory dla umieszczenia w Arce Przymierza. Z powodu zasłonki i małych zwojów Tory Arka Przymierza stała się już Arczką Przymierza.

W istocie mogły się przechwalać. Miały czym. Lejzor Josł był geniuszem. Mówiono o nim: młodzieniec, a zna na pamięć tysiąc stron Gemary, tysiąc, a nie dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć! O Tanachu już nie wspominam. I cóż za hebraista! Jaki wspaniały stylistą. Niezrównany charakter pisma. Szczyt kaligrafii. Do tego chłopak z temperamentem i dowcipniś. Po cichu mówiono nawet, że jest trochę nawiedzony. Skraca dowolnie tekst modlitwy. Nie uznaje postów. Chustkę do nosa nosi nawet w sobotę. Nie odczuwa lęku przed kobietą. W domu stryja Pinie można było usłyszeć o nim jeszcze wiele rzeczy. Wszystko to jednak było przecież niczym w porównaniu z tysiącem stron Gemary.

Drugi zaś, Magidow, też był geniuszem. Tysiąc stron

Gemary również znał na pamięć. Tysiąc, a nie dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć! Mistrz w gramatyce, znawca Tanachu, hebraista, świetny mówca, ale już nie tak dowcipny jak Lejzor Josł. Przeciwnie. Bardziej badacz naukowy. Wnikliwy, wielce skomplikowany umysł. Nawet trochę pokręcony. Na każde „tak” miał swoje „nie”. U niego wszystko było odwrotnie. Kawał uparciucha. Litwak.

Naturalnie Nachum Rabinowicz nie przepuścił okazji, aby ci udani zięciowie przeegzaminowali jego młodego znawcę Tanachu. Chciał, żeby zobaczyli, jak jego urwis Szolem pisze po hebrajsku. Obydwaj zięciowie doszli do wniosku, że Szolem faktycznie jest urwisem, ale nie wolno zaprzepaścić jego talentu. Trzeba dziecko wyprowadzić na ludzi. Chwalili go i wynosili pod niebiosa. Stwierdzili, że trudno sobie nawet wyobrazić, jak wielki talent w nim drzemie i co z tego urwisa może wyrosnąć.

Może być, że urwis albo, jak kto woli, szejgec, podsłuchiwał rozmowę zięciów i dusza w nim zadrżała. Serce w nim rosło, a w głowie poczuł zamęt, jakby wspinał się po wysokiej drabinie i spoglądał w dół, a tam ludzie obserwują jego wspinaczkę i dopingują go. Przecież to nie błahostka. Tacy ludzie go chwala. Mówią, że nie wiadomo, co z niego może kiedyś wyrosnąć. A ojciec? Ten był w siódmym niebie. Każde jego westchnienie wyrывało serce z piersi. Jego westchnienia oznaczały: „Sam wiem, co z tego urwisa może wyrosnąć. Udzielcie mi jednak, Żydzi kochani, rady. Co mam z nim robić? W jaki sposób zrobić z niego człowieka? Arto właśnie, powiedzcie”.

I znalazł się człowiek, który udzielił mu rady. Była to rada radykalna, ale właściwa. I ojciec przyjął ją. Tym człowiekiem był jeden z najinteligentniejszych ludzi Perejasławia. Nazywał się Arnold. Był to młody filozof, mieszkający na przedmieściu na tak zwanych Pidworkach. Jemu poświęcę specjalny rozdział.

ARNOLD Z PIDWORKÓW

Przedmieście Perejasławia. Arnold heretyk. Wyjście z Egiptu to legenda. Co mówi Drefer o Majmonidesie. Szkoła rabinacka i gimnazjum

Każde niemal miasto z błogosławionej strefy osiedlenia posiada swoje przedmieście, swoją Słobodkę, której ludność składa się przeważnie z gojów. Mieszkający tam Żydzi nie są podobni do Żydów w mieście. To zupełnie inni Żydzi. Inny gatunek. Bardziej wyglądają na wsiowych. Nie są tak chytry jak miastowi Żydzi. Są bardziej prostacy. Noszą wysokie buty z cholewami i śmierdzą juchtem. Miast słowa „dosyc” używają słowa „hadi”. Śmieją się nazbyt głośno, i to „cho, cho!” zamiast „cha, cha!”. Spółgłoskę „r” wymawiają twardo, jakby podwójnie, przez dwa „r” albo i więcej: — Rrebe! Brrat Morrdechaj zaprrasza na uroczystość obrzezania!

W okolicy Perejasławia znajduje się taka Słobodka, oddzielona od miasta rzeczką, nad którą wznosi się drewniany most. Żydzi nazywają tę osadę Pidworki. Jest to miejscowość o zupełnie innym wyglądzie i inna panuje w niej atmosfera. Tam się chodzi wtedy, gdy się ma czas. Tam się chodzi po to, aby łyknąć świeżego powietrza. Tam są sady, tam rośnie trawa. Tam chodzą w sobotę na spacer chłopcy i dziewczęta. Nie znaczy to, Boże broń, że razem. Chłopcy

oddzielnie i dziewczęta oddzielnie. Ale skoro już chodzą, to i muszą się spotykać. Na moście. Wówczas przystają. Wymieniają spojrzenia. I słowa. Czasami też podchodzą do siebie bliżej. Dotykają się nawet łokciami. Wówczas oboje oblewają się pąsem. Młode serca biją szybciej. Po kilku takich spotkaniach na Pidworkach zaczynają w najgłębszej tajemnicy korespondować ze sobą. Idą w ruch liściki. Czasami wykluwa się romans. Jak się kończy taki romans, o tym będziemy mieli okazję powiedzieć później. Tymczasem jesteśmy przy

Arnoldzie z Pidworków, a z nim właśnie mamy zamiar zapoznać się bliżej.

Tam, na Pidworkach, miał Nachum Rabinowicz pewnego znajomego. Był nawet jego serdecznym przyjacielem. Nazywał się ów człowiek Benjamin Kałman z Pidworków. Kiedyś Benjamin Kałman handlował zbożem do spółki z Nachumem Rabinowiczem. Razem ładowali barki i berlinki płynące do Królewca i do Gdańska. Ostatnio Benjamin przygasał trochę, zatracił dawny blask. Handlował na znacznie mniejszą skalę. Nie wychodził poza obręb czterech ścian własnego domu. Jednak serdeczna przyjaźń dawnych wspólników trwała dalej. Były wspólnik często wpadał do domu Nachuma na pogawędkę. Właściwie gawędził tylko Benjamin Kałman. Bardzo lubił gawędzić. A najbardziej uwielbiał opowiadać historyjki o swoim młodszym bracie, Arnoldzie. Mój Arnold! Czy jest jeszcze jeden taki mędrzec jak mój Arnold? Taki uczony jak mój brat? Taki przyzwoity jak on? Nie macie nawet pojęcia, jaki on jest. To ci człowiek! I tak dalej.

Ale nie tylko on mówił o Arnoldzie. Wszyscy o nim mówili. Arnold z Pidworków był swego rodzaju bohaterem miasta. Po pierwsze, kawaler, chociaż już w latach. Może wdowiec lub też rozwodnik. W każdym razie bez żony. Żyd bez żony to samo przez się zjawisko wyjątkowe. Poza tym notariusz. A Żyd notariusz to już całkiem wyjątkowe zjawisko. Wielu spotkaliście u nas notariuszy? To znaczy na razie nie jest jeszcze notariuszem, ale będzie. Studiuje bowiem. Od dawna zresztą już studiuje. Ma tylko złożyć egzaminy i natychmiast zostanie notariuszem. Chyba, że nie zda egzaminów. A dlaczego miałby ich nie zdać? Z całą pewnością zda. Tak twierdzi Benjamin Kałman. Zda i niewątpliwie zostanie notariuszem. Bez dwóch zdań.

Czym jest notariusz, wiedzą wszyscy. I Szolem też wie. Jest w Perejasławiu notariusz, ale to goj. Nazywa się Nawow. Notariusz Nawow. O zdawaniu egzaminów Nawow nie ma pojęcia. Z czego składa się egzamin? Są to sprawy, o których słyszy się i o których się mówi. Nie ma

jednak mowy, aby rozumieć, o co chodzi. Co to, to nie. O Arnoldzie z Pidworków na przykład mówi się, że pisze do gazet, że całe miasto, zarówno Żydzi, jak i chrześcijanie boją się go. Boją się, żeby ich nie opisał w „Kijewlaninie”. Tego już Szolem nie rozumie. Po pierwsze, czego się boją? A po drugie, kto to jest ten Kijewlanin? Słyszysz, gdy inni mówią, więc powtarza za nimi. Wszyscy drżą przed Arnoldem. Boją się jego języka, jego pióra. Boją się go jak śmierci. Ukryć się przed nim — niemożliwe. Przekupić go — nie starczy pieniędzy. — Doigrają się — powiada z uśmiechem Benjamin Kałman. — Gdyby tylko mój Arnold chciał zapaść sobie ręce, to by ich opisał w „Kijewlaninie” od stóp do głów. Nikomu by nie przepuścił. Z Arnoldem nie ma przelewki!

Jest rzeczą dziwną i zarazem charakterystyczną, że Arnold mieszkając ze swoim bratem pod jednym dachem na Pidworkach był z nim zwaśniony. Nie rozmawiali ze sobą od lat. Nie bacząc na to, jeden za drugiego dałby się

posiekać na kawałki. „Mój Arnold! Mój Benjamin Kałman!” Nikt na Pidworkach nie widział, aby bracia kiedykolwiek szli razem. Nikt nie słyszał, aby kiedykolwiek zamienili ze sobą choć jedno słowo. Nie siadywali nawet przy jednym stole. Arnold miał w mieszkaniu Beniamina Kałmana oddzielny pokoik. Pełno w nim było książek i świętych ksiąg. Zalegały aż pod sufit. Mieszkał jak samotnik. Istny odludek. Dziwni bracia!

Arnold należał do częstych gości Nachuma Rabinowicza. Jego odwiedziny nie były jednak podobne do innych wizyt maskili. Nie przychodził po to, aby tak sobie pogadać, popaplać o wszystkim i o niczym. Przychodził z książką, której jeszcze nikt nie znał, albo z egzemplarzem „Kijewlanina” lub z pretensjami do miasta i jego notabli. Szolem żywił dla niego szacunek większy aniżeli dla innych. Nie odstępował go ani na krok. Chłonał każde jego słowo. A więc to jest ten Arnold, który ma zdać egzamin na notariusza? To on będzie notariuszem? I to jest ten Arnold, który pisze w „Kijewlaninie”? To ten, który nie chce sobie paćkać rąk? Zresztą po co paćkać sobie ręce,

gdy się pisze w „Kijewlaninie”? I Szolem nie spuszcza z niego oka. Arnold spodobał mu się. Bardzo sympatyczny i przyjemny facet. Niewysoki. Chudawy, ale mocny. Jakby odlany ze stali. Ruda bródka, o dziwo, dobrze przystrzyżona. Ani śladu pejsów. Krótka marynarka, cienka laseczka i jęczyczek jak brzytwa. Miota gromy i błyskawice. Rozprawia o Bogu i Mesjaszu. Drwi i wyśmiewa chasydów. Rozbija na miazgę fanatyków. Trzeba być uczciwym. Na co mi zda się pobożność? Na co mi wasza pobożność? Bądźcie raczej uczciwi. I głośny, zjadliwy jego śmiech odbija się echem. Dziwi się Szolem. Jak śmie Żyd coś takiego powiedzieć? Widocznie może sobie na to pozwolić. Arnold z Pidworków może sobie pozwolić na wszystko. Nazywa się przecież Arnold i jest notariuszem. To znaczy będzie notariuszem. Zdarza się czasem, że stryj Pinie jest akurat obecny i słyszy, jak Arnold z Pidworków przemawia. Skręca się ze śmiechu i woła: — Arnoldzie! Arnoldzie! Oj, Arnoldzie! — Myśli przy tym: „Jak ziemia może dźwigać takiego grzesznika?” Mimo to stryj Pinie również wysoko ceni Arnolda. Ceni go za uczciwość. Uczciwość Arnolda znana jest w mieście. Wariat na punkcie uczciwości. Człowiek nie znający przed nikim strachu. Wali prawdę w oczy. Rzecz najważniejsza — kpi z bogaczy. Pluje na forszę. No i powiedzcie sami, czy można nie cenić takiego człowieka? Ale Arnold was nie ceni. Nikogo nie ceni. Nikogo nie szanuje. Stryjem Pinie też się nie zachwyca. Znacznie bardziej szanuje jego brata Nachuma. A to dlatego, że, jak powiada, Nachum Rabinowicz jest człowiekiem bez maski. Nie jest ogłupionym chasydem. Jemu można wszystko powiedzieć. Można przed nim nagadać nie tylko na rebege, ale nawet na samego Mojżesza. Szolem słyszał na własne uszy, jak Arnold wyjawiał, że nie wierzy w wyjście Żydów z Egiptu! — To zwykły mit — powiedział. — Cała ta historia to tylko legenda, to zwykła bajka. — Szolem uznał, że słowo „bajka” wywodzi się od bujania. Legenda, czyli bajka historyczna, to po

prostu małe bujanie, małe kłamstewko. Dobrze przynajmniej, że niewielkie. Opowiem wam teraz coś ciekawego. Pewnego razu Arnold z Pidworków przybiegł z grubą książką pod pachą: — Weźcie — powiada — i czytajcie. Zobaczcie, co Drefér pisze o Majmonidesie! Majmonides przez trzynaście lat był lekarzem nadwornym u sułtana tureckiego. W związku z tym przeszedł na mahometanizm. Przez trzynaście lat był Turkiem. Wasz Majmonides, wasz More Newuchim. I co wy na to?

Szczęście, że nie było przy tym stryja Pinie. Strach pomyśleć, co by się działo, gdyby przypadkiem stryj Pinie był przy tym obecny.

Przed takim człowiekiem chwalił się widocznie ojciec Szołema pisaniną swego syna. U niego zapewne zasięgał rady, co zrobić z dzieckiem? Jak wykierować go na ludzi? Szolem akurat nadszedł i usłyszał te oto słowa Arnolda: — Jego pisanina jest do niczego. Może ją pan wyrzucić na śmietnik. Tego rodzaju pisanina niewarta jest papieru, na którym została napisana. A chłopaka, jeśli go chcecie wykierować na ludzi, pošlijcie do ujezdnoj. Po tej szkole otwierają się przed nim wszystkie drogi. Chce pan skierować go do szkoły rabinackiej — bardzo proszę. Chce pan do gimnazjum — ma pan gimnazjum.

Gdy nadszedł Szolem, rozmowa się urwała. I chociaż ocena pisaniny nie wypadła dla Szołema zbyt różowo i wyznaczone dla niej miejsce na śmietniku wcale nie było honorowe, to jednak mimo wszystko Szolem został wiernym i oddanym przyjacielem Arnolda z Pidworków. A wszystko z powodu gimnazjum. Brzmiało to słowo w uszach Szołema jak najpiękniejsza muzyka. Miało mnóstwo czaru i powabu. W rzeczy samej nie miał o gimnazjum jeszcze zielonego pojęcia. Chodziło raczej o to, że on, Szolem, będzie gimnazjalistą. Wyobraźcie sobie! Gimnazjalista. Znał pewnego gimnazjalistę. Widział go na własne oczy. Był nim jedyny w Perejaślawiu żydowski gimnazjalista. Nie tyle może gimnazjalista, co gimnazjalątko ze srebrnobiałymi guzikami mundurka i srebrnym cackiem na kaszkiecie. A nazywał się także Szolem, cho

ciaż zwano go Salomon. Chłopak jak wszyscy chłopcy, a mimo to inny.

Gimnazjalątko. Zupełnie inna, jak się zaraz przekonamy, istota. Na razie jesteśmy przy radzie udzielonej przez Arnolda z Pidworków. Swoim pomysłem wpędził nam kota do domu. Od tego czasu takie słowa jak: „klasy, egzaminy, szkoła rabinacka, gimnazjum, doktor weszły na stałe do repertuaru rozmów przy stole. O czym by nie mówiono, to zawsze w końcu trafiło się przynajmniej jedno ze wspomnianych słów. Każdy z domowników miał coś interesującego do opowiedzenia. Jak to pewien ubogi młodzieniec z jeszywy udał się na bosaka do Żytomierza, aby wstąpić do tamtejszej szkoły rabinackiej; o tym, jak chłopak jakiegoś melameda, litwak, zaginał na kilka lat. Wszyscy myśleli, że jest w Ameryce, a w końcu okazało się, że zdał egzaminy z zakresu wszystkich ośmiu klas gimnazjalnych i obecnie studiuje medycynę. Tego tylko litwak potrafi dokonać!

Sza! Czemu daleko szukać? Weźcie dla przykładu synalka naszego lekarza Jenkla. Jak myślicie, wiele mu brakuje, żeby zostać doktorem? Szkoda fатыgi! Jeszcze minie rok i jeszcze jedna środa, nim synalek lekarza zostanie doktorem... Synalek lekarza to jest właśnie ten gimnazjalista Salomon, o którym wspomniałem. O nim mam zamiar napisać w następnym rozdziale.

GIMNAZJALISTA SALOMON

Synalek Jenkla — lekarz gimnazjalista. Autor strasznie mu zazdrości. Winiarnia jużnawo bieriega. „Cerkowne koszer łefesach”

Było w Perejasławiu kilku doktorów i każdy z nich miał swoje przezwisko: gruby doktor, garbaty doktor, czarny doktor. Wszyscy ci lekarze byli chrześcijanami. Tylko jeden doktor był Żydem. I to taki nie całkiem doktor, a półdoktor. Był nim Jenkl lekarz. Uważał się jednak za prawdziwego doktora i nosił się godnie. Ubrał się jak doktor i zapisywał recepty, a potem odczytywał je na głos po łacinie.

— Będzie pan taki dobry zażywać co dwie godziny łyżkę stołową Kalii bromati i co trzy godziny łyżeczkę do herbaty Natrii bromati i wnet nastąpi poprawa w pańskim żołądku. Jeśli zaś nie nastąpi, to znaczy, że nadeszło pogorszenie. Wtedy każe pan zawołać mnie, a ja przyjdę po raz drugi.

Miasto lubiło Jenkl lekarza bardziej niż innych doktorów. Z nim można było prędzej się dogadać. Można było dowiedzieć się, co gdzie dolega. I dlaczego, gdy się ma reumatyzm, należy pić tran. Jaki związek zachodzi między żołądkiem a nogą. I wiele innych pożytecznych rzeczy. Ponadto Jenkl ma wyjątkową zaletę. Nie targuje się. Bierze tyle, ile mu dają. Nawet nie patrzy na monetę. Przebiera tylko palcami w kieszeni przez kilka chwil i w ciemno odgaduje, jaką monetę otrzymał. Jeśli jest to wytarty trojak bez wartości, zwraca go i powiada, że nie trzeba mu płacić. Człowiekowi robi się wtedy przykro i daje mu inną monetę.

Ma jeszcze jedną zaletę — pozwala wygadać się. Sam też lubi gadać. Lubi opowiadać różne historyjki. Przeważnie o swoich dzieciach. Chwali się, jakie to udane ma dzieci. Starszy chłopak nazywa się Szolem, czyli Salo

mon. Ten już jest gimnazjalistą. On, jeśli Bóg zechce, ukończy gimnazjum i dostanie się na uniwersytet, skąd wyjdzie jako doktor. Jako prawdziwy doktor. — Chciałbym, aby już było święto — mówi Jenkl lekarz wdychając. — Jak Bóg zechce, to mój Salomon przyjedzie na święto. Zobaczycie wtedy, co to za gimnazjalista!

Szolem też chciałby zobaczyć gimnazjalistę. Oby już wreszcie było święto! Obejrzałby go sobie. Zobaczyłby, jak wygląda gimnazjalista. Ledwo doczekał się święta Pesach. Będzie teraz okazja na własne oczy zobaczyć Szolema gimnazjalistę.

Jenkl lekarz nie jest specjalnie gorliwy w wierze. Nie spieszo mu w święta do bóżnicy. Jest przecież, jakby nie było, doktorem! Prawda, że nie całkiem doktor, ale jednak doktor. Tym razem przez wzgląd na syna przyszedł do bóżnicy. Umyty, wypucowany, upudrowany, szczęśliwy. Siedzi w ławce lustrzanej na wprost ściany wschodniej. Obok niego stoi syn Szolem albo, jeśli kto woli, Salomon. Ubrany jest w mundurek ze srebrnymi guzikami od góry do dołu i ma na głowie jakąś dziwną czapkę. Na czapce srebrzyste cacko. W rękę mały modlitewnik. Modli się jak zwykły śmiertelnik. Wszyscy obywatele, wszyscy szacowni gospodarze, wszystkie dzieci nie spuszczaają oka z tego gimnazjalisty w mundurku z błyszczącymi guzikami. Niby człowiek jak człowiek. Niby równy. Niby taki sam chłopak jak inni chłopcy. A jednak inny. A jednak gimnazjalista. I głębokie westchnienie wyrwa się Szolemowi.

Modlitwa dobiega końca, ale Jenkl nie zamierza jeszcze opuścić bóżnicy. To on chce się z kimś przywitać i pozdrowić z okazji święta, to ktoś inny chce jego pozdrowić i życzyć mu wesołych świąt. Prawdopodobnie wywiąże się rozmówka na temat jego syna gimnazjalisty. I tak też było.

Reb Jenkl, to jest właśnie pański synek, ten gimnazjalista? No, to moje uszanowanie. I wszyscy składają wyrazy szacunku. Chłopak, a przecież pozdrawiają go mężczyźni z brodami. Inni znów zatrzymują się przy Jenklu

i wszczynają rozmowę. Oczywiście na temat jego synka. Gdzie się uczy? Czego się uczy? I co będzie, gdy się już wyuczy? Do czego dojdzie?

Do czego dojdzie? Jakoś tam dojdzie, cha, cha, cha! Będzie doktorem. I to pełnym doktorem cha, cha, cha!

Synek Jenkla lekarza będzie doktorem? Prawdziwym doktorem? Co jak co, ale będzie miał z czego żyć. Zarobek pewny. Nawet poważni starsi Żydzi wydziwiają, aczkolwiek nikt nie rozumie, dlaczego nie mieliby wy kierowali swoich dzieci na lekarzy. Nic przecież nie stoi na przeszkodzie. Chodzi o to, że skoro ich rodzice nie wy kierowali ich na lekarzy, to i oni nie chcą, aby ich dzieci zostały lekarzami. Pociuszają się tym, że ich dzieci będą za to Żydami. A zarobki? Nieważne. Pismo powiada, że kto daje życie, ten da i na życie, zaś szczęście jest w rękach Pana Boga. Oto dla przykładu Juzi Finkelsztajn. Nie ukończył studiów lekarskich, a mimo to, bez uszczerbku dla niego, obyśmy mieli to co on, a nawet choćby połowę tego.

— Więc jak długo, panie Jenkl, powinien się jeszcze uczyć, ten wasz, jak go tam, gimnazjalista? — Pytający lustrują go wzrokiem z góry na dół.

— Mój Salomon? — Jenkl głaszczce się po brodzie i kołyszce na jednej nodze. — Och, jeszcze długo, długo. — I zaczyna liczyć na palcach. Ile to lat ma się jeszcze uczyć w gimnazjum i ile na uniwersytecie. A potem, ile lat ma pracować w szpitalu. A może zacznie pracować w szpitalu wojskowym i będzie lekarzem wojskowym, a to już znaczy, że będzie prawie oficerem. Będzie nosił epolety cha, cha, cha!

I wydaje się, że nie ma na świecie szczęśliwszego od niego człowieka. Szczęśliwszego od Jenkla, małego Żydko o zapadniętym nosie, o kręconych mocno wypomadowanych włosach i w tuzurku prawdziwie doktorskim. I nie ma też szczęśliwszego człowieka na całym globie ziemskim od tego gimnazjalisty o czerwonych policzkach, ze srebrnymi guzikami i dziwaczną czapeczką z cackiem. Wychodzą obaj z bóżnicy w otoczeniu wielu szacownych

obywateli. Żydzi zabiegają o względy Jenkla lekarza. Kręcą się wokół niego. Młodzi kręcą się wokół gimnazjalisty. Chcą być jak najbliżej. Przyklepiają się wprost do niego. Wydaje się, że to zupełnie inna istota. Stworzenie innego pokroju.

Nie, Szolem jeszcze nikomu w życiu tak nie zazdrościł, jak temu szczęśliwemu gimnazjaliście. Dlaczego nie jest na jego miejscu? Dlaczego nie jest synem lekarza Jenkla? Przecież też nosi imię Szolem. Co by to szkodziło Bogu, gdyby Nachum Rabinowicz był Jenklem lekarzem, a tamtem Nachumem Rabinowiczem? Widywał go potem w swoich snach. Śnił o nim na jawie. Nie wychodził mu z głowy nawet na sekundę. Stał się jego szaleństwem, drugim Fruchsztejnem. Zazdrościł mu. Bardzo mu zazdrościł. Podejść do niego i zagadać nie miał odwagi. Jak tu gadać z gimnazjalistą? Jak może podejść do chłopaka, który nazywa się Szolem, a wołają na niego Salomon?

Ale w marzeniach wyobrażał sobie, że sam jest gimnazjalistą i nie nazywa się Szolem, tylko Salomon, że nosi mundurek ze srebrnymi guzikami i cacko na czapce. Wszyscy chłopcy zazdrozczą mu i wydziwiają: — Czyżby to był synek Nachuma Rabinowicza? Ten, co to nazywał się kiedyś Szolem?

Można sobie wyobrazić radość Szolema, gdy usłyszał słowa swego ojca, że jeśli Bóg zechce, to już jutro zacznie uczęszczać do gimnazjum. Serce zabiło w nim mocniej. Ojciec mówił, że był już u dyrektora. Zaniósł podanie. Na razie do klasy przygotowawczej.

— W sześć tygodni ukończysz klasę przygotowawczą. Przy bożej pomocy wstąpisz do ujezdnoj, a stąd, jeśli Bóg zechce, do gimnazjum, a z niego dalej... Wszystko w rękach Boga. U niego wszystko jest możliwe, jeśli tylko sam dopomożesz mu swoją pilnością.

Szolem omal nie zapiszczał z zachwytu. Wstrzymał go wstyd przed ojcem. Też mi pytanie. Jeszcze jak będzie się starał! Nieważne, że nie miał pojęcia, co to jest ujezdna. Kto jest jej dyrektorem, co to jest klasa przygotowawcza? Dobrze zapamiętał, co mówił Arnold, ten z Pidwor

ków. Stał mu przed oczyma synek lekarza Jenkla, gimnazjalista ze srebrnymi guzikami i dziwną czapką z cackiem. I fala ciepła zalała jego serce. I zakręciło mu się w głowie. I łyzy, gorące łyzy radości pojawiły się w oczach. Zastygł w bezruchu. Wyglądał nieborak jakby do dwóch liczyć nie potrafił. Pilnie jednak wypatrywał chwili, gdy będzie sam. Wtedy dopiero się nacieszy. Z radości wymierzy sobie dwa policzki. Uderzy się po łydkach albo rzuci się na podłogę i zwinięty w kłębek potoczy się po niej trzy razy w jedną stronę i trzy razy w drugą. Być może wybiegnie na dwór na jednej nodze i śpiewnie rozkrzyczy się:

Salomon! Salomon Gimnazjalista Salomon!

— A tymczasem bądź łaskaw ukołysać dziecko. Potem pomożesz mi przy tłoczeniu rodzynek. — To, rzecz jasna, mówi macocha. Aby czytelnikowi łatwiej było pojąć, co to za rodzynki, które trzeba tłoczyć, należy wyjaśnić, że z zajazdu nie sposób było wyżyć. Otworzył przeto Nachum Rabinowicz winiarnię w piwnicy. Nad piwnicą zawiesił szyld tej treści: Prodaża różnych win jużnawo bierega. Osobiście zajmował się wyrabianiem wina z tłoczonych rodzynek. Nadawał mu różne nazwy. Utkwiły mi w pamięci tylko niektóre: wimorozig, jerez, madera i jeszcze jeden gatunek czerwonego wina o nazwie cerkowny koszer lefesach. Za tym winem dzieci przepadały najbardziej. Było to bowiem wino jednocześnie słodkie i cierpkie. Jego słodycz pochodziła z pewnego gatunku syropu, do którego dodawano trochę cierpkiego smaku z rodzynekowych pestek. Skąd się wziął jego czerwony kolor? To już było tajemnicą ojca. Za każdym razem, kiedy posyłano dzieci do piwnicy po kwartę wina, dobierały się one do czerwonego cerkownego i złopały, ile się tylko dało. Mimo takich strat zarobek z wina był nieliczny. Większy aniżeli z innych interesów.

PENSJA

Ojciec stoi murem po stronie ucznia. Bohater uzyskuje stypendium. Szum w mieście. Sny o skarbie zaczynają się spełniać

Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Wstąpienie do ujezdnoj okazało się sprawą wcale skomplikowaną. Poszło niezupełnie gładko. Pierwszą przeszkodą na drodze do szkoły okazał się stryj Pinie. Poruszył niebo i ziemię. — Jak można — dowodził — mieć dzieci i własnymi rękami robić z nich gojów? — perorował, przeżywał i nie przestawał protestować, póki nie uzyskał od swego brata słowa honoru, że Nachum przynajmniej w sobotę nie pozwoli dzieciom pisać. Ten warunek ojciec Szolem wymógł już na dyrektorze ujezdnoj wcześniej. Ustalił z nim, że jego dzieci będą miały w sobotę wolny dzień. I jeszcze jedno wymógł Nachum na dyrektorze (był to czas, gdy Żydzi mogli dyktować warunki...): jego dzieci nie będą w klasie podczas godziny lekcyjnej popa. Stało, jak sobie Nachum życzył. Drugą przeszkodą dla dzieci był język. Wstępując do szkoły mało rozumiały po rosyjsku. Wszyscy śmiali się i pokpiwali z nich. Zarówno nauczyciele, jak i koledzy. Szolem miał wrażenie, że nawet ławki szkolne z nich się śmieją. Napawało go to gniewem. Sam był przyzwyczajony do wyśmiewania całego świata, a tu raptem śmieją się z niego! A koledzy, szejgece, nie stali z założonymi rękami. Ledwo lekcja dobiegła końca i dzieci żydowskie, te tak zwane żydziątka, pojawiły się na podwórzu szkolnym, a już powalili je na ziemię. Bez cienia złości, przeciwnie, z dużym poczuciem humoru, przytrzymując dzieci za ręce i nogi, wysmarowali żydowskie gęby gojską wieprzowiną. Z ciężkim sercem wracały dzieci do domu, ale słowa nie powiedziały rodzicom. Bały się, że mogą być wypisane ze szkoły. I bez tego macocha wściekała się i kopała dołki

pod tymi, jak je zwała, kłaśnikami, czyli uczniami ujezdnoj szkoły. A ponieważ Szolem był pilniejszy od innych, więc poddawała go tym większym szykanom. Tymczasem wydarzyła się przygoda, która macosze podcięła skrzydła. Odtąd stała się cicha i spokojna. A rzecz wyglądała tak: Pewnego pięknego poranka Szolem chodził po pokoju i wkuwał na głos urok. Powtarzał z pamięci zadaną lekcję. Ojciec w tym samym czasie modlił się. Miał na sobie tałas i tefilin. Macocha zaś, jak zwykle, pastwiła się nad ojcem. Wypominała mu pewien stary grzech, który kiedyś popełnił. Chodziło o to, że przed ślubem nie powiedział jej o wszystkich swoich dzieciach: o tych starszych i tych najmłodszych. Narzekała przy tym na zbyt duży apetyt jego dzieci. A jakie to mają zdrowe żołądki! Nie zapomniała też odpowiednio wyrazić się o całej jego rodzinie. Ojciec pozostawał na to głuchy. Stał twarzą do ściany i modlił się. Jakby nie o niego chodziło. Ale oto macocha wzięła na jęzor Szolema za to, że wciąż chodzi i kuje. Pewnie ten szkolny gagatek myśli sobie, że Bóg wie z jakiego rodu pochodzi. Uważa się za wielkiego pana, wolnego od wszelkich obowiązków. Z wyjątkiem oczywiście żarcia. Myślałby kto, że mam tu pod ręką liczną służbę, że mam do dyspozycji służących i służące. Nic nie szkodzi. Nie będzie poniżej twojej godności, ty gagatku uczniowski w wykrzywionych butach, jeśli pofatygujesz się i zaniesiesz gościowi samowar. Nie spadnie ci z tego powodu, broń Boże, korona z głowy. Apetytowi twemu też to nie zaszkodzi. Nie przeszkodzi ci również w przyszłej zeniaczce. Szolem był już gotów zrezygnować z powtarzania lekcji. Właśnie zamierzał pójść do kuchni po samowar, a tu jak ojciec nie skoczy, jak nie złapie go za rękę i gwałtownie nie krzyknie po hebrajsku (nie chciał zapewne przerywać modlitwy).

— Nie! Nie! W żaden sposób. Nie trzeba! Nie życzę sobie! Nie chcę!
Ostatnie słowa powiedział już po żydowsku. Natarł na

macochę. Może po raz pierwszy od chwili, gdy została jego żoną. Pod żadnym pozorem nie wolno jej pomiatać Szolemem! Może rozkazywać wszystkim dzieciom, ale nie Szolemowi. Szolem to co innego. Szolem ma się uczyć!

— Raz na zawsze! Tak sobie życzę! Tak to jest i tak będzie!

Czy dlatego, że każdy despota, każdy „bicz boży”, gdy usłyszy trochę głośniejsze słowo wpada w strach i milknie, czy też dlatego, że był to pierwszy sprzeciw ojca od chwili ich poznania, fakt, że stał się cud — macocha zagryzła wargi i spotulniała. Od tego czasu wobec Szolema zmieniła się nie do poznania. To znaczy docinków i przekleństw nie skąpiła mu nadal. Szkołę wypominała Szolemowi na każdym kroku. Dawała do zrozumienia, przesadzając jak zwykle, że zużywa cały pud papieru w ciągu tygodnia i trzy butelki atramentu w ciągu dnia. Celowo zapominała nalać nafty do lampy na noc, przygotować śniadanie i wiele innych rzeczy. Ale przestała nim rozporządzać. Chyba że Szolem sam chciał jej w czymś pomóc. Doglądać samowara lub ukołysać dziecko do snu. Jeśli tak, to bardzo proszę.

— Szolemie — powiada do niego macocha z takim typowym dla Berdyczowa zaśpiewem — powiedz, co to takiego, że jak ty tylko spojrzysz na samowar, to ten natychmiast zaczyna kipieć?

Albo tak: — Szolemie, chodź no tu! Dlaczego przy tobie dzieci zasypiają natychmiast? — I jeszcze tak: — Szolemie! Jak długo trwa u ciebie skok na targowisko? Pół minuty? Co ja mówię. Nawet nie pół minuty.

Na dodatek szczęście też mu trochę dopisywało. A jak szczęście sprzyja, to we wszystkim. Pewnego razu sam dyrektor ujezdnoj pociągnął go za ucho i polecił, żeby ojciec stawiał się u niego osobiście w kancelarii. Ma mu coś ważnego do

zakomunikowania. Usłyszawszy, że pan dyrektor wzywa go sam we własnej osobie, Nachum Rabinowicz nie dał na siebie długo czekać. Włożył sobotnią kapotę, jeszcze bardziej podwinął pejsy, i tak już dosyć

podwinęte, i poszedł do szkoły. Był ciekaw, o co idzie. I tu okazało się, że Szolem uczy się doskonale. A skoro tak, to dyrektor powinien go po zakonu, czyli według prawa, wziąć na kazonnyj szczot. Ale zważywszy, że Szolem jest Żydem, zaofiarował mu pensję. Zdaje się, sto dwadzieścia rubli na rok albo na pół roku.

Decyzja ta wzbudziła dużą sensację. Każdy dowiadywał się i wypytywał:

— Czy to prawda?

— A jak? Kłamstwo?

— Pensja?

— Pensja.

— Wyznaczona przez państwo?

— Nie przez państwo, tylko przez Ministerstwo Oświaty.

Człowiek, który ma związek z Ministerstwem Oświaty. Przecież to nie żarty. Wieczorem zbiera się cała rodzina. Chce obejrzeć dokładnie, jak wygląda „posiadacz pensji”. Ach! Kto oglądał wtedy ojca Szolema, jak promieniał jasnym, świetlistym blaskiem, ten nie widział w życiu bardziej szczęśliwego człowieka! Nawet macocha cieszyła się tego dnia. Wraz ze wszystkimi brała udział w tym radosnym święcie. Aż dziw, że była wtedy tak dobra. Częstowała wszystkich herbatą z konfiturami. Tego dnia macocha dużo zyskała w oczach Szolema. Wybaczył jej wszystko. Co było, to spłynęło. Teraz on jest bohaterem. Wszyscy patrzą na niego. Wszyscy o nim mówią. Wszyscy się radują. Wszyscy uśmiechają się. Dzieci cioci Chany, które lubią z nim pożartować, zadają mu pytania: — Co zamierzasz zrobić z taką kupą forsy? — Tak, jakby nie wiedziały, że grosza z tego nie zobaczy. Forsa przyda się ojcu w interesie, w winiarni jużnawo bieriega.

Sza! Oto zjawia się właściciel kolektury w czarnych okularach i głębokich kaloszach. Chce tylko rzucić okiem na tego urwisa (akcent na „ur”) i uszczypnąć szejgeca (akcent na „szej”) w policzek. Wyrwać mu kawałek mięsa z policzka. Również zięciowie, Lejzer Josł i Magidow, wpadli, aby złożyć gratulacje i powiedzieć małż tow oraz

posiedzieć trochę i pogadać o haskali, o świecie duchowym, o postępie i cywilizacji. Po nich przyszedł Arnold z Pidworków i trochę popsuł ogólną radość. Po pierwsze, udowodnił Żydom, że osły z nich. Nie wiedzą, co mówią. Pensja to wcale nie pensja, lecz stypendium. Co innego pensja i co innego stypendium. Po drugie, Szotem nie jest jedynym stypendystą. Jest jeszcze jeden taki uczeń w ujezdnoj, który otrzymał stypendium w wysokości stu dwudziestu rubli. Jest nim nowy kolega Szolema: nazywa się Eli. O nim jednak potem.

Tymczasem nasz bohater byt w siódmym niebie. Upewnił się, że jego dawne woronkowskie marzenia o skarbie zaczynają powoli się spełniać... I wyobraźnia porывa go i zanosí hen, daleko, do świata snów. Oto widzi siebie w otoczeniu kolegów. Patrzą na niego promiennym wzrokiem. Zazdroszczą mu. I widzi ojca, ale jakże odmienionego? Jest jakiś młodszy. Gdzie się podział jego pochylony grzbiet? Jego głębokie zmarszczki na czole? Co się stało z jego poźólkłą zatroskaną twarzą? Inny człowiek! I już nie wzdycha. I cała rodzina ustawia się wokół niego, oddaje mu

czeń. Jemu i jego synowi Szolemowi. Temu wybrańcowi losu. Temu szczęśliwcowi, o którym dziś głośno wszędzie. Znają go wszyscy. Zna go państwo. A nawet narodowa oświata. Wszyscy bez wyjątku. Może nawet sam cesarz. Kto wie?...

KOLEGA ELI

Eli, syn Dodiego. Pierwsze spotkanie przy pożarze. Rozmowy ze stryjem o kosmografii. Bohater profanuje publicznie sobotą. Zostaje uhonorowany tytułem „literata”

Twarz blada, okrągła, ciut dziobata. Włosy stojące, twarde, czarne, gęste, kłujące. Cała grzywa. Oczy śmieją się.

Zęby zdrowe, białe. Palce krótkie. Śmiech donośny, zdrowy. Temperament ognisty. I oto przed wami portret kolegi Szolema, Eliego. Kolegi od pierwszej klasy ujezdnoj do końca szkoły. Po raz pierwszy spotkali się i zawarli znajomość pewnej nocy przy pożarze.

Pożar to widowisko. Darmowe przedstawienie. Nadzwyczaj interesujące zebranie najrozmaitszych ludzi. Smutnych i wesołych. Nie trzeba teatru. Noc jest cicha. Niebo głębokie. Gwiazdy świecą. Gdzieś tam szczekają psy. A domek pali się jak świeca. Spokojnie, powoli. Ma czas. Ze wszystkich ulic nadciągają ludzie. Z początku idą krokiem sennym, później żywszym, szybszym. Początkowo pojedynczo. Później gromadnie. A dzieci żydowskich — hurma. Żydzi rzucają się w ogień ratować dobytek. Kobiety krzyczą. Małe dzieci płaczą. Młodzieńcy popisują się słówkami. Dorastające panny śmieją się. Dzieci Rabinowicza też tu są. Nagle do uszu Szolema dochodzi czyjś głos. Głos chłopca, który krzyczy mu do ucha:

— Jada!

— Kto?

— Pożarną komanda. Chodź, będziemy pomagali w gaszeniu. — Obaj chłopcy biorą się za ręce i biegiem ruszają przez plac targowy, aby przywitać strażaków. W biegu Szolem dowiaduje się, że Eli jest synem pisarza Dodiego. Eli zaś usłyszał, że jego towarzysz nazywa się Szolem i jest synem Nachuma Rabinowicza.

Następne ich spotkanie odbyło się nieco później. Tym razem w dzień. Też na ulicy. Też na darmowym spektaklu. Jakiś czarny facet o białych zębach pokazuje małpę i wszyscy chłopcy z miasta biegają za nim. Jeden z dziwów rzadko trafiających się w takim mieście jak Perejasław. To znów pokazują niedźwiedzia o wypalonych oczach, który tańczy na zawieszonym drągu. Wyprawia brewerie Wańkaklaun w czerwonych spodniach. Jakiś Cygan oprowadza swoją małpę. Twarze Cygana i małpy są identyczne. Jakby jedna i ta sama matka ich urodziła. Oboje mają tak samo pomarszczone, owłosione oblicze. Te same wyłysiałe czaszki. Te same smutne oczy. Razem

wyciągają swoje brudne, cienkie, owłosione ręce po datki. I jakiś dziwny jest głos Cygana, i cudaczna jego mowa. Kiwa głową i takie robi przy tym grymasy, że nikt nie może powstrzymać się od śmiechu. — Daj barin! Charosz abiezjan! Amerykański! — Bractwo wybucha śmiechem.

Te dwa spotkania wystarczyły aż nadto, aby ci dwaj chłopcy, dwa urwisy, Szolem, syn Nachuma, i Eli, syn pisarza Dodiego, zostali przyjaciółmi. W dodatku Bóg tak pokierował, że obaj spotkali się w jednej szkole, w tej samej klasie. Ławka przy ławce. Akurat w chwili, gdy nauczyciel prowadził swoją pierwszą lekcję. I oto spostrzega Szolem, że jego nowy kolega Eli wyciąga rękę, kiwa głową, naśladuje miny Cygana: — Daj barin! Charosz abiezjan! Amerykański! — I spróbuj tu powstrzymać się od śmiechu. Rzecz jasna, nie uchodzi im to na sucho. Za karę zostają w szkole bez obiadu, ale zawarta przyjaźń zostaje scementowana na wieki. Od tej chwili stanowią nierozdzielny parę. Jedno serce, jedna dusza. Jedna głowa. Tam gdzie jeden, tam drugi. Uczą się razem i uczą się dobrze. Dali sobie słowo, że prześcigną w nauce wszystkich gojów. Będą prymusami. Byli również pierwsi wśród urwisów. To, na co oni sobie pozwalali, przekraczało odwagę pozostałych chłopców. Toć to nie żarty! Najlepsze chłopaki w mieście. Stypendyści. I do tego ich znajomość gramatyki rosyjskiej. Jakie słowo nie padnie, a oni zaraz ze swoją gramatyką: stół, dla przykładu, to po rosyjsku stół. A stół to odmienia się: stół, stoła, stołu, stół, stołem, o stolie. Nóż to noż. Więc: noż, noża, nożu, noż, nożom, o nożu. Cóż dopiero geografia! Kto lepiej od nich wie, dlaczego Ziemia jest okrągła? Co wokół czego się obraca? Ziemia wokół Słońca, czy Słońce wokół Ziemi? Skąd się bierze wiatr? I co jest najpierw, grzmot czy błyskawica? Skąd się bierze deszcz?

Ze wszystkich przedmiotów szkolnych najbardziej podoba się ojcu Szolema geografia. Bowiern geografia kształci. Oświeca. Rachunki to też dobra rzecz. Matematyka wyostrza umysł i nic ponadto. Oto dla przykładu

Jose Fruchsztejn. Prosty Żyd. Do szkół nie chodził, a mimo to rozwiąże każde najtrudniejsze zadanie. I to w głowie, bez papieru, bez ołówka i bez pomocniczych instrumentów. Albo weźcie dla przykładu właściciela kolektury. Gdzie studiował? Gdzieś tam w jeszywie. Czy sądzicie, że nie zna algebry? O Lejzorze już nawet nie wspomnę. Tym bardziej o Arnoldzie z Pidworków. Ten może w każdej chwili stanąć do egzaminu państwowego. Nie! Mówcie sobie co chcecie, ale geografia to jednak nie matematyka. Geografii trzeba się uczyć. Geografię trzeba znać. A Szolem zna geografię. Jego ojciec lubi z nim pogadać o geografii. I nie posiada się ze szczęścia i satysfakcji, gdy to odbywa się w obecności osoby postronnej. Zamienia się to w istną komedię, kiedy stryj Pinie jest w pobliżu. Stryj Pinie głaszcze się wtedy po brodzie, uśmiecha się i podkpiwa z młodego filozofa, gdy ten zaczyna się zbytnio rozwodzić nad tą swoją geografiją. Smarkacz ma czelność powiedzieć dorosłemu Żydowi, własnemu stryjowi, że Ziemia obraca się wokół Słońca, a nie odwrotnie. A przecież w Piśmie stoi jak byk: „Słońce w Gibeonie, stań!” Powstaje jeszcze pytanie: — Powiadasz, że wpierw jest grzmot i dopiero potem błyskawica. To dlaczego przedtem widzimy błyskawicę, a dopiero potem słysząc grzmot? Stryj Pinie pyta z ciekawości i pęka ze śmiechu. Powiadasz, że Ziemia to kula jak jabłko. A jak mi to udowodnisz? Szolem na to odpowiada:

— Jeśli zechcesz, stryju, pofatygować się, to wstań, za przeproszeniem, raniutko i spójrz na wierzchołek monasteru, gdy słońce zaczyna wschodzić. Zobaczysz wtedy, że wierzchołek klasztoru jest najwcześniej oświetlony.

— Zapewne, nic innego nie mam do roboty tylko wstawać o świcie i gapić się na czubek klasztoru. I to wszystko przez wzgląd na twoją geografiją. Cha! cha! cha!

Nie! Stryj Pinie nie jest zadowolony ani z geografii, ani z klas szkolnych, ani z tego, że syn jego brata Nachuma koleguje z chłopakiem pisarza. Ten może go sprowadzić na Bóg wie jakie złe drogi. Doszły do niego słuchy, że obydwaj chłopcy chodzą w soboty na spacer na Pi

dworki. Noszą w sobotę chusteczki i jak rozmawiają ze sobą, to nie po żydowski, ale po rosyjsku. Co tu gadać! Wszystko to, niestety, prawda! Święta prawda. Co gorsza, chodzą na Pidworki w każdą sobotę, ale nie po to, aby spacerować. Noszą w sobotę nie tylko chustki, ale też drobne pieniądze przeznaczone na kupno gruszek. A co do rozmów, to rozmawiają o takich rzeczach, że strach pomyśleć. Gdyby tylko stryj Pinie wiedział, o czym rozmawiają i jak rozmawiają. Gdyby stryj Pinie wiedział, że ci dwaj młodzieńcy pływają łódką i zapuszczają się het, daleko, na drugą stronę rzeki. Tam kładą się na zieloną trawkę, czytają rosyjskie książki i śpiewają piosenki gojów. Śnią na jawie. Budują wspólnie zamki na lodzie. Wyobrażają sobie, co to będzie, gdy pewnego dnia ukończą szkołę. Dokąd się udadzą? Co będą studiować? Co z nimi się stanie? Atmosfera tej sielanki była zupełnie gojska. Ich słodkie marzenia nie miały treści żydowskiej. Bowiem Eli wyrastał w rodzinie dalekiej od żydostwa. Mimo to nie omijały go — jedno nie ma nic wspólnego z drugim — siarczyste policzki otrzymywane od ojca za opuszczanie modlitwy. Pod tym względem nie było różnicy między jego ojcem a innymi ojcami rodzin żydowskich. Boję się, że wszyscy ojcowie pod tym względem są do siebie podobni. Jeszcze dziś możecie spotkać wielu ojców, którzy sami popełniają czyny zakazane, ale ze wszystkich sił dążą do tego, aby ich dzieci były porządne, pobożne i uczciwsze od nich. Wymigiwać się od modlitwy to stary wybieg chłopaków. Jeszcze z czasów chederu. Przeskakiwać i omijać całe wersety było u nich na porządku dziennym. Od chwili wstąpienia do szkoły zaczęli uchylać się od modlitwy. Ojciec doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale udawał, że nic nie wie. Znaleźli się jednak tacy, którzy śledzili każdy krok Szolem'a i nie omieszkali o tym donieść ojcu. Uparli się otworzyć mu oczy na to, że jego dziecko schodzi z dobrej drogi. W konsekwencji dzieci nie tylko ociągały się z modlitwą, ale znalazły nawet w tym znaczne upodobanie. Nie na próżno widać rebe po

uczał kiedyś swoich uczniów, tych małych grzeszników, że istotny sens każdego grzechu tkwi nie w tym, iż grzech jest straszny, ale straszna jest żądza popełnienia grzechu. Jeszcze do dziś przechowywał Szolem w swojej pamięci smak swego pierwszego grzechu, profanacji soboty. A było to tak:

Sobota. Żydzi są już po obiedzie. Śpią snem błogosławionym. Na ulicy żywej duszy. Nawet psa z kulawą nogą. Cisza i spokój. Choć i węz i rozłóż się na środku drogi. Słońce praży jak na pustyni. Ściany świeżo pomalowanych domów i drewniane parkany otaczające podwórza aż proszą się, aby na nich coś narysować lub napisać. Szolem trzyma ręce w kieszeni. Ma tam kawałek kredy. Resztkę kredy używanej w szkole na lekcji matematyki. Rozgląda się na wszystkie strony. Ludzi nie ma. Okiennice zatrzęsnięte. A instynkt zła szepcze mu do ucha: — Namaluj! — Ale co namalować? Więc na chybcika wypisuje znaną piosenkę, którą dzieci podśpiewują podczas rysowania
Toczka, toczka, zapiatają,
Minus rozica kriwaja — Ruczka, ruczka i krużok
Nóżka, nóżka i pupok.
Jednocześnie powstaje rysunek przedstawiający małego człowieczka o okrągłej głowie, z rączkami, nóżkami i z buzią pełną śmiechu. Artysta jest zadowolony ze swego rysunku. Brak tylko podpisu. Szolem znowu rozgląda się na wszystkie strony. Nikogo nie widać. Okiennice zatrzęsnięte. A zły duch kusi nadal: — Napisz! — A co tu napisać? Długo Szolem nie myśli. Bierze kredę i dużymi okrągłymi literami umieszcza pod rysunkiem rymowany napis po rosyjsku:

Kto pisał — nie znaju, A ja durak — czytaju.

I nagle, nim zdążył przeczytać swój napis, czuje czyjeś palce chwytające go za lewe ucho, i to fest.

Sądę, że nikt z czytelników nie odgadł, kto bohatera niniejszych wspomnień złapał podczas popełniania tak brzydkiego występku. Publiczna profanacja soboty. Rzecz oczywista, że tym człowiekiem był nie kto inny, tylko stryj Pinie. I właśnie on musiał wcześniej od innych obudzić się i wyjść do kogoś z wizytą. Co potem było, lepiej nie mówić. Każdy może sobie wyobrazić, że nic nie pomogło. Ani prośby, ani łzy. Stryj Pinie natychmiast zaprowadził wysmarowanego kredą chłopaka do domu i oddał go w ręce ojca. Ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co nastąpiło potem, gdy całe miasto dowiedziało się o zajściu. Sprawa doszła nawet do dyrekcji szkoły. Groziła mu relegacja z ujezdnoj. Ojciec płakał przed dyrektorem rzewnymi łzami. Prosił o litość nad synem. Tylko dzięki temu, że Szolem był jednym z najlepszych uczniów, że był stypendystą, nie usunięto go ze szkoły. Za to nauczyciele obdarzyli go stosownym przydomkiem. Przy wywoływaniu go do tablicy już nie mówili Rabinowicz. Odtąd używali słowa „malarz” albo „literat”. A przyzwisko to rozciągali na trzy sążnie:

— Li—te—rat!

I ten przydomek przyłgnął do niego na długo. Na zawsze.

WŚRÓD KANTORÓW I KLEZMERÓW

Historia z książki żydowskiej. Kantorzy z „koloraturą”. Jehoszua Herszt, klezmer, i jego kapela. Zły duch skrzypiec

Bohater niniejszej autobiografii zawsze miał skłonność do literatury. Zamierzał zostać literatem, pisarzem. Nie tylko „pisarzem” bazgrającym kredą po ścianach, ale prawdziwym człowiekiem pióra, autorem książek. O nim to

przecież powiedział proroczo jego stary przyjaciel, właściciel kolektury, że zostanie kiedyś literatem. Będzie pisał po hebrajsku, jak Cederbaum, Gotlober, Jehalel i wielu innych wielkich pisarzy. Jednak Arnold z Pidworków zawyrokował zupełnie inaczej. Jeśli gagatek będzie kiedyś pisał, to już raczej po rosyjsku. Będzie rosyjskim, nie zaś hebrajskim pisarzem. — W hebrajskiej gazecie „Hamelic” — perorował — i bez niego jest sporo dyletantów, ignorantów, belfrów i próżniaków. Nie Cederbaum, nie Gotlober, nie Jehalel, lecz Turgieniew i Gogol, Puszkina i Lermontow. Oto ci, którzy powinni mu świecić przykładem.

Jednym słowem, albo po hebrajsku, albo po rosyjsku. Ale że gagatek będzie pisał kiedyś po żydowsku, nikomu do głowy nie przyszło. Czy jidisz to język? Oczywiście w rozmowie posługiwano się tylko i wyłącznie jidisz. Innego języka nie używano. A że można w tym języku pisać, o tym mało kto wiedział. Żargon iwrytajcz to język dla bab. Żyd wstydział się brać do ręki żydowską książkę. Jeszcze gotowi powiedzieć, że prostak!

A jednak utkwilo Szolemowi w pamięci pewne wydarzenie z dzieciństwa. Działo się to jeszcze w owym zapomnianym przez ludzi i Boga miasteczku, w Woronce. Książka żydowska pisana żargonem miała tam wielkie powodzenie. O jaką książkę chodziło, tego bohater autobiografii nie może sobie przypomnieć. Pamięta tylko, że była to mała książeczka, chudawa, o żółtych, przybrudzonych, rozsypujących się i podartych kartkach, bez okładki, a nawet bez strony tytułowej.

W sobotę wieczorem zbierali się wszyscy ważniejsi żydowscy obywatele miasta w mieszkaniu Nachuma, aby uroczystie odprawić melawe małke. Matka była zajęta w kuchni, a goście tymczasem coś przegryzali. Reb Nachum czytał na głos książkę. Tato czyta, a goście przy stole palą papierosy i zataczają się ze śmiechu. Trzymają się za boki i raz po raz przerywają mu czytanie okrzykami podziwu i zachwytu. Pod adresem autora przesyłają wiązanki życzeń: — A to ci skurczybyk! A to ci bękart! A to

ci dopiero! A niech go diabli! — Sam lektor też nie może powstrzymać się od śmiechu. Ledwo się nie udławił. Dzieci nie chcą iść spać. Cóż dopiero Szolem! Nie jest w stanie zrozumieć tego, co tato czyta, ale bawi go, że brodaci Żydzi po prostu tarzają się z uciechy. Trzymają się za boki i co chwila wybuchają salwami głośnego śmiechu. Siedzi sobie z daleka i obserwuje twarze zebranych. Widzi, jak one jaśnieją, i zazdrości owemu Żydowi, który napisał tę książczynę. I jego najgłębszym pragnieniem jest, aby, przy bożej pomocy, gdy tylko dorośnie, zdołał napisać taką samą książkę, którą Żydzi przeczytają z ochotą. Też będą pękać ze śmiechu i posyłać pod adresem autora takie same wiązanki przekleństw. Takie same: — A niech go diabli!...

Ale jak by nie było, czy będzie z niego pisarz hebrajski, czy rosyjski, to fakt, że „znawcą” to już będzie na pewno. Bez dwóch zdań. Być „znawcą” — tego chciał. Chciał opanować wszystko. Nawet grę na skrzypcach. Z pozoru niby nic. Co za związek ma gra na skrzypcach z haską? A ma. Gra na skrzypcach była w owym czasie w programie ogólnego wykształcenia, na równi z innymi przedmiotami. Mieściła się w ramach wiedzy ogólnej, podobnie jak na przykład nauka języka francuskiego czy niemieckiego. Praktycznych korzyści nikt nie oczekiwał, ale dziecko z dobrego domu, które dąży do doskonałości, powinno wszystko umieć. Dlatego też chłopcy z dobrych domów uczyli się gry na skrzypcach. Chaim Fruchsztajn grał na skrzypcach, Całe Marfel grał na skrzypcach, Motł Srebner też grał na skrzypcach. Wielu innych chłopców także grało. Dlaczego więc Szolem Rabinowicz ma być gorszy od innych? Rzecz w tym, że jego ojciec tak sobie życzył. Nie uznaje gry na skrzypcach. — To zbędna rzecz — twierdził. — Szkoda czasu. Ponadto pachnie to klezmerstwem. Matematyka, geografia, stylistyka, to jest coś. Ale rzępolenie na skrzypcach? Szkoda fatygi!

Tak twierdzi Nachum Rabinowicz i ze swego punktu widzenia ma, być może, rację. Posłuchajcie jednak, co na ten temat mówi klezmer Jehoszua Herszl. To porządy

i uczciwy Żyd. Delikatny Żyd. Nosi gęste pejsy. On powiada tak: — Co ma jedno z drugim? — Sam — mówi — też ma dzieci nie gorsze od innych dzieci żydowskich. Też niewąskie łobuziaki, a mimo to szlag ich nie trafił. Więc o co chodzi? Boi się pan, że nie grają na wszystkich instrumentach? A klezmer Bencjon co mówi? Bencjon, który wyuczył tych wszystkich wymienionych chłopców gry na skrzypcach, ma nos zapadnięty i dlatego jego wymowa jest trochę niewyraźna. Zamiast „t” mówi „f”. Podał egzaminowi wstępnemu chłopaka Nachuma Rabinowicza. Udzielił mu pierwszej lekcji. Potem oświadczył wobec wszystkich chłopców, że Szolem to „falenf”. W jego ustach mogło to oznaczać talent.

Szolem nie miał pojęcia o tym, czy rzeczywiście posiada talent. Jedno wiedział: Od dzieciństwa przepadał za skrzypcami. Jakby na złość wszystkim, jakby w odpowiedzi na czyjeś urojone szyderstwo, uciekał zawsze w świat śpiewu i muzyki, w świat kantorów i klezmerów. Kantorzy i śpiewacy byli stałymi gośćmi w domu Rabinowiczów. Sam Nachum Rabinowicz to baal tefiła. Znał się na muzyce i na śpiewie. Ponadto jego dom zajezdny był jedynym, można powiedzieć, zajazdem dla kantorów.

Nie było wypadku, aby w sobotę poświęconą błogosławieństwom nie zajechała przed zajazd buda pełna dziwnych facetów, ożywionych, ruchliwych i głodnych. Przeważnie byli źle ubrani. Po prostu w łachmanach. Jednym słowem, goło i boso. Tylko szyje mieli owinięte szalikami. Szaliki nosili wełniane i ciepłe. Jak szarańcza wpadali do zajazdu. Zarli wszystko, co im podawano. Wiadomo było, że skoro przyjeżdżali głodni, to na pewno są to śpiewacy z jakimś kantorem o światowej sławie. Przez okrągły dzień kantor o światowej sławie wydierał się na całe gardło.

Wypróbowywał swoją koloraturę i połykał mnóstwo surowych jaj. Zaś śpiewacy z jego orszaku rozsadzali swoim

śpiewem ściany domu. Przeważnie mieli słabe głosy. Za to zdrowe apetyty. Swoim modlitewnym śpiewem nie zyskali uznania. Nazarli się tylko do syta, napili i zmykali nie zapłaciwszy ani grosza.

To oczywiście nie przypadło macosze do gustu. Pozbywała się więc stopniowo tych kantorów światowej sławy. Stanowczo poprosiła ich o przeniesienie się do zajazdu Rubena Jasnogrodzkiego. — Żarłoków — twierdziła — ma dosyć własnego chowu. — A krzykaczy też jej, dzięki Bogu, nie brakuje. Za to dzieci Rabinowicza nasłuchały się tyle melodii, że stały się znawcami muzyki synagogałnej. Znały na pamięć każdą kompozycję. Potrafiły odgadnąć, czy należy ona do repertuaru kantora Pici, kantora Mici, czy też kantora z Siedlec, z Góry Kalwarii, a może z Bełza. Były czasy, że śpiew dosłownie unosił się bez przerwy w powietrzu. W uszach szumiało od melodii. A pieśń bulgotała w gardle. Wtedy sen przychodził z trudem.

Tak było ze śpiewem. Co zaś się tyczy muzyki, to bohater niniejszej biografii miał okazję wysłuchać jeszcze więcej klezmerów niż kantorów, ponieważ Jehoszua Herszł z grubymi pejsami i Bencjon z zapadłym nosem mieszkali niedaleko chederu. Idąc do chederu trzeba było przejść koło ich domów. Naturalnie przymusu nie było. Można było całkiem śmiało ominąć te domy. Byłoby wtedy nawet bliżej. Szolem jednak wolał przechodzić właśnie koło klezmerów. Lubił zatrzymywać się pod ich oknami i słuchać, jak klezmer Bencjon uczy chłopców gry na skrzypcach, albo jak Jehoszua Herszł przeprowadza próbę ze swoimi synami grającymi na różnych instrumentach. A wtedy nie można go od okna ani oderwać, ani odpędzić.

Zauważyli to synowie Jehoszuy Herszła i starszy z nich, Hemele, przeciągnął go za pierwszym razem smyczkiem po głowie, a za następnym oblał wiadrem wody. Nic to jednak nie pomogło. Za jednego papierosa Szolem został przyjacielem Hemele. Zaczął bywać w domu klezmera. Nie opuścił ani jednej repetycji. A powtórki odbywały się w każdy poniedziałek i czwartek. Przez to zawarł znajomość z całą gromadą muzykantów, z całą rodziną klezmerską. Z ich żonami i dziećmi. Z ich obyczajami. Z ich cygańskim życiem, a nawet z ich językiem. Z kle

zmerską gwarą, którą później spożytkował, już jako Szolem Alejchem, w swoich utworach: Na skrzypcach, Stempeniu, Błądzące gwiazdy i w wielu innych.

Jak więc widzicie, przeszkód w grze na skrzypcach nie było. Okazji miał dosyć. Talentu, jak twierdził Bencjon, też. Czego więc brakowało? Instrumentu. Skrzypiec. Skrzypce kosztują. A forsy brak. Należy więc ją zdobyć. I tu wydarzyła się rzecz komiczna i smutna jednocześnie. Coś w rodzaju tragikomedii.

NIE KRADNIJ!

Sakiewka z drobniakami. Kradzież i żal. Jak pozbyć się sakiewki

Wśród bywalców zajazdu Rabinowicza był stały gość. Litwak, kupiec zbożowy z Pińska, nazwiskiem Wolfson. Ów Wolfson zatrzymywał się w zajezdzie na całe miesiące. Miał swój pokój, zwany przez wszystkich pokojem Wolfsona, nawet wtedy gdy kupiec przebywał w Pińsku. I samowar miał oddzielny: samowarek Wolfsona. A był u Rabinowicza

traktowany jak swój człowiek. Jadł to, co wszyscy, a gdy macocha miała zły humor, to obrywał na równi z domownikami. Tak jak swój. W domu nosił krótki chałacik. Zdarzało się, że chodził po zajęzdzie nawet bez chałata i namiętnie zaciągał się cygarem. Palił grube cygara i lubił gadać. Trzymał cygaro w ustach, ręce w kieszeniach i gadał. Gadał i gadał. Potop słów. Pokój był otwarty. Samowarek na stole, szuflada stołu zamknięta. Kluczyk tkwi w zameczku. Jeden obrót kluczykiem i stanie otworem.

Do czego służy szuflada, wszyscy wiedzą. Są tam listy, książki, rachunki, pieniądze i portfel. Duży, gruby portfel

wypchany asygnatami. Kto wie, ile tam jest! Oprócz portfela — skórzana sakiewka. Stara, wytarta, ale pełna drobnych monet. Miedzianych i srebrnych. Sporo tego. Daj Bóg, aby Szolem posiadał choćby połowę tego. Wystarczyłoby mu na kupno najlepszych na świecie skrzypiec.

Nieraz Wolfson otwierał tę szufladę w obecności różnych ludzi. Niechcący i Szolem zerknął na grubego, wypchanego asygnatami portfela, a przede wszystkim na skórzaną sakiewkę w drobniakami. Zaprzagnął wtedy, aby Wolfson zgubił kiedyś tę sakiewkę, a on, Szolem, ją znalazł. Byłaby podwójna satysfakcja. Haszowes awejda to jeden z wielkich zbożnych uczynków. Jednak posiadanie takiej sakiewki z forszą to jeszcze większy zbożny uczynek... Sęk w tym, że litwak nie miał zamiaru jej zgubić. Rozgrzesza się więc Szolem przed sobą i postanawia, że jeśli Wolfson, powiedzmy, da mu swoje spodnie do wyczyszczenia i zapomni wyjąć z nich sakiewkę, to guzik mu ją odda. Mogła przecież wypaść z kieszeni podczas czyszczenia. Czy to jego wina? Ale Wolfson też nie jest głupi. Za każdym razem, kiedy daje dzieciom ubranie do czyszczenia, opróżnia wszystkie kieszenie. Litwak pozostaje litwakiem! Szolema ponosi gniew. Zastanawia się i dochodzi do wniosku, że skoro tak jest, że skoro nie ma mowy ani o zgubie, ani o roztargnieniu Wolfsona, to należy samemu zajrzeć do sakiewki i zorientować się przynajmniej, ile tam jest drobniaków. Przeto w tym celu, bez najmniejszego, broń Boże, zamiaru popełnienia kradzieży, ot po prostu z samej ciekawości, Szolem dostaje się pewnego dnia do pokoju Wolfsona. Przez chwilę kręci się w miejscu, niby sprząta ze stołu. Litwak w tym czasie jest na sali ogólnej zajazdu. Pali grube cygaro i nadaje. Z tego krzątania się po izbie na razie nic nie wychodzi. Dotykają pęku kluczyków Szolem ma wrażenie, że zimny metal wydaje jakiś niesamowity wrzask, który dochodzi aż do nieba. Ciarki przebiegają mu po ciele. Nogi zaczynają drżeć. W tył zwrot i Szolem wychodzi z pustymi rękami.

Pierwsza próba nie udała się. Czekał na następną. Je

dnocześnie robił sobie wyrzuty, iż jest złodziejem: „Jesteś złodziejem, Szolemie! Miałaś niedobre myśli. Już jesteś złodziejem! Złodziejem! Złodziejem!”

Drugą próbę podjął już wkrótce. Wolfson nie lubił samotnie siedzieć w swoim pokoju. W sali ogólnej zajazdu było sporo gości. Wolał przebywać tam. Palił cygara i gadał. Gadał jak zwykle. I znowu Szolem wpadł do pokoju Wolfsona. Tym razem już nie po to, aby tylko zerknąć, ale po to, aby skorzystać z okazji. I tak przecież jest już złodziejem. Pochylił się całym ciałem nad stołem. Jakby chciał coś wziąć z przeciwnego krańca. Lewą ręką uchwycił zimny kluczyk. Obrót w prawo i zamek otworzył się. Rozległ się cichy dźwięk, a potem cisza. Szolem zagląda do środka i dreszcz go przechodzi. Najpierw zauważył grubego portfela. Otwarty. Wypchany mnóstwem banknotów. Czerwone

dziesięciorublówki, niebieskie pięciorublówki, zielone i żółte trzyrubłówki. Kto wie, ile tego? Jeden czerwony banknocik i byłby uratowany. Kto to spostrzeże? Bierz więc, głuptasie! Wyciągnij! Nie! Nie jest w stanie! Ręce mu drżą. Żęby szcękają i w piersiach brak tchu. Zerka więc na skórzaną sakiewkę. Jest pełna! Chce ją wziąć, ale prawa ręka odmawia posłuszeństwa. Otworzyć sakiewkę i wyjąć z niej kilka srebrnych monet? Za dużo jednak zachodu. Wziąć sakiewkę i wsunąć ją do kieszeni? Zaraz się spostrzeżę. Tymczasem czas upływa. Zdaje się, że każda chwila to rok. Nagle rozlega się szelest. Aha, na pewno litwak człapie w swoich wytartych pantoflach... Obrót kluczykiem z powrotem w lewo i Szolem odchodzi z pustymi rękami. Sądzi, że kogoś napotka, ale gdzie tam! Ani słyhu, ani dychu! Nie ma nikogo! Wrócić do pokoju? Za późno! Trzeba było przedtem! Taka okazja! Idiota z ciebie, Szolemie! Równocześnie idiota i złodziej!

Trzecia próba, dokonana w jakiś czas później, poszła już gładko. Bez ceregieli i bez wahań. Od razu przystąpił do stołu. Otworzył zamek, wsunął rękę do szuflady i cap za sakiewkę. Szybkim ruchem włożył ją do kieszeni, po czym spokojnie zamknął szufladę. Wziął swoje książki

i poszedł do szkoły. Nie spieszył się. Przeciwnie, szedł powoli. Nawet sennie. Zdawało się, że zachował zimną krew. Ale to tylko pozory. Już na ulicy poczuł, że sakiewka pali go. Nie powinien jej trzymać przy sobie. Za żadne skarby. Przynajmniej na razie. I zamiast iść prosto do szkoły, Szolem wpada do stodoły, gdzie trzymają drewno na opał. Pełno tu porąbanego drewna. Nachyla się i chowa sakiewkę w najciemniejszym kącie, między saniem szczap a ścianą stodoły. Zapamiętał sobie to miejsce i marsz do szkoły.

Jeśli zdarzy się wam napotkać kogoś z płonąca twarzą, z gorejącymi oczami, nad podziw schludnie ubranego, gotowego za was skoczyć w ogień i wodę, ale trochę roztargnionego, pogrążonego w zadumie, to wiedźcie, że macie do czynienia z osobnikiem, który posiadał tajemnicę znaną tylko jemu i Bogu. Tak właśnie wyglądał owego dnia bohater niniejszej autobiografii. Czuł się winny grzechu. Gdy rozmawiał z ludźmi, w jego oczach czaił się grzech. Zdawało mu się, że wszyscy znają jego tajemnicę. Wiedzą, że ma jakiś święty, bardzo święty sekret. Jego kolega Eli, który go znał lepiej od innych, zadał mu pytanie:

— Szlomka, co z tobą? Znowu coś kredą na płocie zmalowałeś?

— Zamknij pysk, bo ci facjatę zmaluję. Zapomnisz swego imienia i nazwiska.

— Co? Ano spróbuj! Zobaczymy, kto komu zmaluje.

I Eli zakasuje rękawy gotów do bójki. Jego koledze nie w głowie jednak bitka. Myśli i uczucia Szolema były tam, w stodole pełnej rąbanego drzewa, przy sakiewce. Przecież zapomniał nawet zajrzeć do jej wnętrza. Ledwo doczekał końca lekcji. Chciałby już być w domu. Chciałby na chwileczkę skoczyć do stodoły i zbadać sakiewkę. Ile? Jakim majątkiem dysponuje?

W domu istny kataklizm. Wszystko było przewrócone do góry nogami. Cała pościel wałała się na podłodze. Kuchnia — prawdziwe pobojuwisko. Służąca siksa płacze. Przysięga na wszystkie świętości, że nie ma o niczym po

jęcia. Ojciec załamuje ręce. Wygląda jak sto nieszczęść. Przygarbiony potrójnie. Macocha piorunuje. Przeklina, gani. Kogo? Zorientować się trudno. Bowiemi miota przekleństwa w liczbie mnogiej: — Żeby to spod nosa zabierać, a niech

was śmierć zabierze! Ziemia pochłoneła sakiewkę z forszą, a niech was ziemia pochłonie! Nikt nie widział sakiewki, obyście święta nie zobaczyli. Jaki teraz gość zechce stanąć w naszym zajeździe, a niech wam język stanie w gębie! A sam Wolfson stoi w chałacie pośrodku sali z cygarem w ustach. Ręce trzyma w kieszeniach, spogląda na dzieci, uśmiecha się i tak powiada: — Dopiero dziś rano miałem w ręku sakiewkę. Z domu wcale nie wychodziłem.

— Nie widzieliście sakiewki? — pyta ojciec dzieci. Szolem zaś odpowiada za wszystkich: — Jaką sakiewkę? Rzadko kiedy ojciec wpada w złość. Tym razem nie może już powstrzymać się i ostro naciera na swego pupilka.

Przedrzeźnia go:

— Jaką sakiewkę? I co powiecie o tym naiwnym durniu? Od samego rana słyszy „sakiewka, sakiewka” i jeszcze pyta, jaka sakiewka? A zwracając się do Wolfsona, tato powiada: — A ile tam forsy było u pana w sakiewce?

— Nie chodzi tu o pieniądze — odpowiada Wolfson w swoim litwackim dialekcie. — Tu chodzi o sakiewkę! Dopiero dziś rano miałem ją w ręku. Z domu wcale nie wychodziłem. Nie wychodziłem.

Nie, na razie nie pora dowiadywać się, ile forsy jest w sakiewce. Szolem nie jest taki głupi, aby teraz, gdy jest gorąco, iść do stodoły i grzebać w sakiewce. Stać go na to, aby odłożyć to na jutro lub pojutrze. Tymczasem trzeba się wziąć do książek, powtórzyć geografii i historię. Wykuć na blachę. Zrobić kilka zadań z geometrii... Nieboraczek, Bogu ducha winien. A tu w domu kotłuje się!

Służącą już zwolniono z pracy. Macocha piekli się. Cały dom na kółkach. Wszyscy szukają sakiewki. Szolem wraz z nimi. Co jednak spojrzy na twarz ojca, serce mu się ściska. Nie może znieść widoku ojca przytłoczonego

nieszczęściem. Nie może słuchać, jak on wzdycha i stęka. I teraz dopiero złodziej zdaje sobie sprawę z tego, co uczynił. Ogarnia go żal i skrucha. Jest wściekły na zły instynkt, który nakłonił go do tego grzechu, który pchnął go na śliską drogę.

Godziny wlokły się jak lata. Dzień wydawał się nie mieć końca. Ledwo doczekał się wieczoru, aż tumult ucichł i troski powszednie o chleb i zarobki zepchnęły na krótko harmider spowodowany kradzieżą na plan dalszy. Wtedy złodziejaszek wybiegł na podwórko, a stamtąd przedostał się do drewnutni. Powoli wyciągnął z ukrycia sakiewkę, otworzył ją, zajrzał do środka... A tam spoczywała stara, wytarta moneta sprzed wielu, wielu lat. Kiedyś miała wartość dziesięciu kopiejek, a dziś nie ma już żadnej. Nikt jej dzisiaj do ręki nie weźmie! Sama sakiewka też nie ma wartości. Pomarszczona i pożółkła jak twarz babci. Wstręt, okropność. No i warto było dla takiego paskudztwa popełnić brzydki uczynek? Naruszyć jedno z dziesięciorga przykazań: „Nie kradnij”?

Ledwo zdążył wrócić do domu, a już macocha poleciła mu zanieść samowar do pokoju gościa. Gość, a był nim Wolfson, miał pewien nawyk. Ilekroć wnoszono do jego pokoju samowar, zacierał z uciechy ręce i zawodząc śpiewnie wygłaszał rymowane zdanie: — Samowar od matki, więc napijmy się herbatki. — A teraz dodawał: — I co słyhać? Sakieweczki wciąż nie ma? — Mówiąc to zaglądał Szolemowi w oczy. Nie można było wytrzymać. Wyczuwało się w jego słowach i w spojrzeniu utajoną ironię. A może Szolemowi tak się tylko wydawało? Jest takie porzekadło: „Wie kot, czyje mięso zjadł”. Albo inne: „Na złodzieju czapka gore”. W każdym razie złodziej w owej chwili nienawidził Wolfsona z całego serca. Nie mógł znieść jego litwackiej twarzy i litwackiego narzecza: „sak'eweczka”. W głębi swego serca straszliwie go przeklinał. Ale co zrobić z pechową sakiewką? Co będzie, jeśli ktoś znajdzie ją ukrytą wśród drzewa? Gdyby nie wymówili pracy siksie, to najlepszym wyjściem byłoby pod

rzucenie sakiewki. Teraz jednak, gdy służącą wypędzono, podejrzenie może paść na dzieci.

Szołem długo nie mógł zasnąć. Nie mógł uwierzyć, że to nie sen. Zły sen. Czyżby to było prawdą? Czyżby był złodziejem? I oblewają go poty. Jak nisko może upaść człowiek. I co będzie dalej? Wreszcie zasypia. Płaczą mu się we śnie sakiewki. Sakiewki nie są wcale sakiewkami. To żywe stworzenia. Jakieś obłazłe, żółte, pomarszczone. Zimne i mokre. Jak żaby. Ruszają się. Pełzają mu po ciele. Włazą pod kołnierz. Pod pachy. Brr! Budzi się. Zagląda pod kołdrę. Obmacuje się. Dzięki Bogu, to tylko sen. Dobrze, ale jak pozbyć się sakiewki? Nie ma innej rady, jak tylko podzucić ją w takim miejscu, gdzie ptak jej nie zobaczy. Gdzie jest takie miejsce? Może ją wrzucić do ogrodu sąsiada? Może na cmentarz? A może podzucić w bóżnicy, w części przeznaczonej dla kobiet? Nie! Najlepiej z mostu do rzeki. Koniecznie w sobotę. I tak też się stało.

Jest sobota w południe. Koniec lata. Na dworze jeszcze ciepło. Chłopcy i dziewczęta spacerują bez płaszczy. Dziewczęta trzymają parasolki. Wśród spacerowiczów znajduje się też nasz bohater z sakiewką. Leży ona głęboko schowana w jego kieszeni. Pełno w niej teraz kamyczków. Gdy rzuci ją do wody, będzie miał pewność, że pójdzie od razu na dno. Szkopuł jednak w tym, że na moście roi się od przechodniów. Jemu zależy przecież na tym, aby nikt nie zauważył. Kręci się więc tam i z powrotem. Zagląda każdemu w oczy. Gotów jest przysiąc, że wszyscy jakoś dziwnie patrzą na niego. A może mu się tylko tak zdaje? Wciąż ta sama śpiewka: „Na złodzieju czapka gore”. Ale oto Bóg ulitował się nad nim. Dotarł do słupa, na którym opiera się przeszło mostu. Przechylił się całym ciałem przez poręcz, niby to obserwując wodę. Jakby zauważył w tej wodzie jakieś dziwy. Ręką namacał kieszeń, w której leżała przeklęta sakiewka. Poczul obrzydzenie. Miał wrażenie, że trzyma jakieś żywe, wstrętne stworzenie. Powolutku wyciągnął ją z kieszeni i plusk w wodę. Nie ma już sakiewki. Tam, gdzie sakiew

ka wpadła do wody, pojawiło się kółeczko. Kółeczko rozszerzało się. Tymczasem pojawiły się nowe kółeczka. Szołem nie był w stanie oderwać wzroku od miejsca, w którym utonął jego grzech i pogrzebana została na wieki jego tajemnica. Nagle obudził go melodyjny, piękny głos. Jednocześnie do jego uszu dotarł słodki śmiech.

— Co, rybki pływają? Cha, cha! Czy dlatego pan tak długo wpatruje się w wodę?

Odwraca głowę i widzi córkę kantora w towarzystwie przyjaciółki.

— Panie tu stoją już od dłuższego czasu?

— Cały czas. Cha! cha! cha!

I obie wybuchają śmiechem. Dla nich to tylko śmiech, ale Szołema pożera strach, czy aby nie zauważyły jego uczynku. Głupi chłopak. Niepotrzebne obawy. Oczekiwało go inne zmartwienie, którego się nawet nie spodziewał. Sądzone mu było przeżyć, jak wnet się przekonamy, nowy dramat pod tytułem Córka kantora.

CÓRKA KANTORA

Plomienna miłość. Wymiana listów. Korespondencja wpada w cudze ręce

Tę samą rolę, jaką w wielkim mieście odgrywają dziś gimnazjaliści i studenci, spełniali niegdyś w małych miastach uczniowie ujezdnoj. Brakowało im tylko mundurków. Poza tym byli to bohaterowie w pełnym tego słowa znaczeniu. Mogli robić wszystko, czego nie wolno było zwyczajnym chłopakom z chederu. Mogli sobie pozwolić, dla przykładu, płać figle szamesowi, kąpać się w rzece poza terenem wydzielonym do kąpielni, dowcipkować i nabijać się z kogo tylko chcieli, a nawet prowadzić rozmowy

z dziewczynami, ale wyłącznie z dobrych domów. A dziewczęta za nimi przepadały.

Muszę w tym miejscu zauważyć, że te rozmowy nie miały nic wspólnego z flirtem ani romansem. Były wyrazem najczystszych i najświętszych uczuć, jakie tylko istnieć mogą w stosunkach między młodymi Żydami obojga płci. Nie będzie chyba przesadą, jeśli powiem, że stosunki między aniołami nie mogłyby być bardziej czyste i bardziej niewinne od tych, które istniały między córką kantora i młodym bohaterem niniejszej biografii. Gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach doszło do ich pierwszego spotkania, trudno dziś dokładnie ustalić. Nie jest to zresztą takie ważne. Innej okazji oraz innego miejsca spotkania poza sobotą po południu i poza mostem prowadzącym na Pidworki w mieście nie było. Nie wiadomo kto pierwszy przemówił i co było przedmiotem rozmowy. Zaczęło się to chyba od pewnego przenikliwego spojrzenia. Potem pojawił się uśmiech. Po nim nastąpiły, jakby niechcący, dotknięcia łokciami. Wreszcie czapka została zdjęta i zdrastie. Potem już bez pośrednictwa czapki: — *Kak poziwajecie?* — Później, przy następnej okazji, zatrzymują się już na kilka minut, rozmawiają na mało ważne tematy i umawiają się na następne spotkanie:

On: *Do widzenia!*

Ona: *Kiedy? Znowu w sobotę?*

On: *A kiedyż, jeśli nie w sobotę?*

Ona: *Gdzie? Znowu tutaj na moście?*

On: *A gdzież by?*

Ona: *Może w innym miejscu?*

On: *A mianowicie?*

Ona: *Gdzie pan będzie w święto Symchat Tora w czasie hakafot?*

On: *Co znaczy „gdzie”? W wielkiej bóżnicy.*

Ona: *Dlaczego nie w zimnej bóżnicy?*

On: *Tam, gdzie modli się pani ojciec?*

Ona: *A co to przeszkadza?*

On: *Mój ojciec połapie się, gdzie jestem.*

Ona: *Jeśli z pana chłopczyk bojący się swego taty...*

Nie pozwala jej dokończyć. Jakby go maczugą zdiełała po łbie. Jak to? On ma być tym chłopczykiem, który boi się taty? I kto to mówi? Szybko znajduje pretekst, aby się wywinąć. I to w sposób szatańsko sprytny. Ma właśnie coś bardzo ważnego jej do powiedzenia, ale nie może tego uczynić, ona bowiem jest w towarzystwie swojej przyjaciółki. Córka kantora oblewa się pąsem. Daje znak przyjaciółce, by odeszła na kilka kroków. Ta odchodzi i zostają we dwoje. Córka kantora gotowa jest wysłuchać jego tajemnicy. On nie daje jej długo czekać i płacząc słowa powiada do niej, że od dłuższego czasu chciał jej wyznać, iż spotkałby się z nią sam na sam, bez towarzystwa przyjaciółki.

Na to ona: — *Co tu gadać. Czyż nie chciałabym spotkać się z panem w cztery oczy bez przyzwoitek i bez koleżanek? — Nie może sobie jednak na to pozwolić. Samej jej nie puszczają. Mama nad tym czuwa. On jednak nie powinien bać się jej koleżanki. To spokojna, porządna dziewczyna. Sama też chętnie porozmawiałaby z chłopcem. A jeśli chce koniecznie wiedzieć, to ona też jest zakochana w pewnym młodzieńcu.*

Też zakochana?

Wniosek stąd, że ona, córka kantora, na pewno jest zakochana! Chciałby więc wiedzieć, kto jest tym szczęśliwcem?

— Za dużo pan chce wiedzieć. Szybko pan się zestarzeje.

Czyż trzeba lepszego komentarza do tych słów? Czyż nie wynika z nich jasno, że tym szczęśliwcem jest nie kto inny, ale właśnie on sam? A jeśli pozostaje jeszcze jakiś cień wątpliwości, to wystarczy spojrzeć na jej twarz, jasną i promienną. Wystarczy popatrzeć na jej oczy gorejące szczęściem. Twarz znana mu i bliska. Znane mu i bliskie oczy. Gdzie on widział tę białą dziewczynę o falujących blond włosach? I jej ręka wydaje mu się tak bardzo bliska. Biała rączka o cienkich, długich palcach. Biała rączka gładka i ciepła. Po raz pierwszy w swym życiu trzyma za rękę dziewczynę...

Niczym pobożny Żyd wypatrujący Mesjasza, czekał Szolem na nadejście wspaniałego święta Symchat Tora. Jednak czas dłużył mu się. Dni wlokły się powoli. Prawie odchodził od zmysłów. Postanowił wtedy wylać swoje serce na papier. Ni z tego, ni z owego zabrał się do pisania listu. Zajęło mu to dzień i noc. Pisanie szło mu gładko. Słowa płynęły niby woda z fontanny. Nie byłoby końca tej pisaniny, gdyby papier się nie skończył. Bez względu na stan majątkowy autor listu zapłaciłby każdą sumę za swoje dzieło.

Teraz pozostała ostatnia sprawa: jak kot ma się przepawić przez rzekę? Jak list ma się dostać w ręce dziewczyny? Jest tylko jedna rada: przesłać go przez koleżankę. Będzie to oznaczało dopuszczenie do tajemnicy osoby trzeciej. Zaufać obcej dziewczynie, o której nic się nie wie? Nie stanowiłoby to większej przeszkody, gdyby nie jedno ale. Jak dotrzeć do tej trzeciej osoby? I na to jest rada. Trzeba będzie wciągnąć do sprawy czwartą osobę. Będzie to chłopiec, w którym jest zakochana koleżanka córki kantora. Chłopak z chłopakiem zawsze się dogada. Chłopak z chłopakiem mogą bez przeszkód załatwić wszystko w najgłębszej tajemnicy. Teraz pozostała do załatwienia właściwie tylko drobnostka. Znaleźć owego chłopaka i nawiązać z nim przyjaźń. To, zdaje się, jest łatwe. Od słów do czynów jednak daleko. Chłopak był subiektem w sklepie żelaznym. Miał ładną twarz, ale ręce takie, że strach. Istne łapy. Przystąpić do niego było nietrudno, gorzej jednak z wtajemniczeniem w sprawę. No i jak mu powiedzieć, do czego jest potrzebny? Już przy pierwszym spotkaniu o mało nie doszło do skandalu. Właścicielce sklepu, Żydówce ubranej w gruby kożuch, mimo że było po sezonie zimowym, o czarnych rękach i szerniałym nosie (gołymi rękami ważyła gwoździe i śrut, po czym wycierała nimi nos) nie przypadła do gustu okoliczność, że jej subiekt zadaje się z synem Rabinowicza. Jakże to sprawy może mieć do załatwienia jej subiekt z młodym Rabinowiczem? Pierwszy niewypał.

Następnym razem, gdy już Szolem wyznał subiektowi, że ma prośbę do jego narzeczonej, ten nadał się jak kogut na kota, który dobrał się do jego kur.

— Skąd wiesz, że mam narzeczoną?

— Znam jej koleżankę.

— Córkę kantora? Połamię ci kości.

Szolem nie rozumie, co to znaczy połamać kości. Jednak ze śmiechu subiekta wnioskuje, że święci się coś niedobrego. Zadaje więc pytanie:

— A kto jest tym łamaczem kości?

— To już moja sprawa... Co to za prośba? Szolem wyciąga z kieszeni grubą kopertę i wręcza ją

subiektowi. List ten powinna pańska narzeczona przekazać córce kantora, a odpowiedź mnie, rozumie się przez pana. Subiekt bierze list do ręki, ogląda ze wszystkich stron kopertę i powiada:

— I to wszystko? Zajdź do mnie jutro, dostaniesz odpowiedź.

Kamień z serca! Nazajutrz Szolem otrzymał od subiekta wiadomość, że odpowiedzi jeszcze nie dostał. — Przyjdź jutro, na pewno już będzie.

Następnego dnia znów to samo. Nie ma odpowiedzi. Tym razem Szolem zauważył, a może mu się tylko wydawało, że subiekt jakoś dziwnie uśmiecha się pod nosem. Do tego podejrzenia doszło następne. Subiekt w pewnym momencie westchnął i rzekł:

— Gdybym to ja umiał pisać tak jak ty.

— Skąd wiesz, jak piszę?

— Moja narzeczona powiedziała mi to.

— A skąd wie twoja narzeczona?

— Od córki kantora.

Wyjaśnienie jest nienajgorsze. Z całą pewnością miło jest usłyszeć taki komplement od dziewczyny, którą się kocha. Mimo woli jednak złe przeczucie wkrada się w serce Szolema. A może subiekt wcale nie przekazał jego listu i sam go przeczytał? Ta myśl nie pozwala mu zasnąć. Ledwo doczekał się odpowiedzi.

Święto było już za pasem. Subiekt wybiegł mu na

przeciw i wsunął do ręki żółty skrawek papieru złożony we czworo. Bez koperty, ale z odcisniętą w wosku monetą. Był to właśnie długo oczekiwany liścik od córki kantora. Smukłe litery listu przypominały jej długie, cienkie palce. Pisała o tym, że ze łzami w oczach czytała jego list wiele razy. Szczerze żałuje, że sama nie potrafi pisać tak pięknie jak on. Gdybym miała skrzydła, to bym na nich przyleciała do ciebie. Gdybym umiała pływać, to bym przepłynęła wszystkie morza, aby tylko ciebie ujrzeć. Jeśli sądzisz, że potrafię spokojnie spać, to się grubo mylisz. Z niecierpliwością wypatruje święta Symchat Tora. Serce rozumie serce. Na koniec upominała Szolema, aby nie posyłał więcej listów tą drogą, jest bowiem przekonana, że był on w obcych rękach. Tu Szolemowi przypomniały się łapy subiekta. Robi mu się na przemian gorąco i zimno. Wyobraża sobie dokładnie, jak subiekt otworzył kopertę i czytał jego list. Jego serdeczne zwierzenie przeznaczone dla córki kantora.

Jednak nie zamartwiał się długo. Oto bowiem jest już Symchat Tora. Wnet ją zobaczy. Wnet będzie stać przy niej. Będzie z nią rozmawiał. Będzie razem z córką kantora.

. SYMCHAT TORA

Święta noc. Poezja zawarta w oczekiwaniu na hakafot. Żydzi idą w tan. Kobiety i dziewczęta całują Torę. Niebiosy otwierają się i aniołowie śpiewają pieśni pochwalne

Gdybym był Goethem, klnę się, że nie opisałbym cierpień młodego Wertera. Raczej opisałbym zmartwienia biednego młodzieńca, śmiertelnie zakochanego w córce

kantora. Gdybym zaś był Heinem, za Boga bym nie opiewał nocy florenckiej. Już prędzej opiewałbym noc Symchat Tora, gdy Żydzi odprawiają hakafot, a młode kobiety i piękne dziewczęta zbierają się w bóżnicy razem z mężczyznami. W Symchat Tora jest to dozwolone. Całują Torę, skaczą, krzyczą i piszczą we wszelkich tonacjach: — Obyście dożyli następnego roku! — W odpowiedzi słyszą: — I wy także! I wy także!

Na godzinę lub dwie przed hakafot zbierają się już małe dzieci, chłopcy i dziewczęta. Włazą na ławki, a chorągwie w ich rękach łopoczą. Jabłka na drzewcu błyszczą czerwienią. Pał się wetknięte w nie świece. Policzki dzieci są równie czerwone jak jabłka, a ich oczy płoną niegorzej od świeczek.

Starsi chłopcy, ci od Gemary albo ze szkoły ujezdnoj, spacerują tymczasem po podwórzu bóżnicy. Powietrze jest jeszcze łagodne i rześkie. Niebo usiane gwiazdami. Święto na całej kuli ziemskiej. Nawet cisza jest świąteczna. Nic nie może zakłócić nocy Symchat Tora, gdy naród wybrany raduje się na całym świecie z daru niebios. A jeśli przejeżdża obok jakaś chłopska furmanka i podnosi gęsty dławiający kurz, jeśli przelatuje wóz pocztowy ze swoim dzwonkiem — dzyń, dzyń, dzyń! — to jedzie nim jakaś figura, jakaś władza, ale kto na to zwraca uwagę? Kurz opadnie, dzwonek ucichnie gdzieś w dali, a noc pozostanie wciąż święta, świąteczna, albowiem Symchat Tora panuje dziś na świecie! Czarny kot przebiega przez podwórze bóżnicy na swoich aksamitnych miękkich łapach. Przecina dziedziniec i znika. Z daleka, z ulicy gojów, dobiega szczekanie psa. Ujada długo, potem powoli cichnie. A noc pozostaje święta, bowiem panuje święto Symchat Tora. Jakże lekko człowiek oddycha! I tak dobrze jest na sercu. I jak przyjemnie na duszy.

Wewnętrzny spokój czyni człowieka cierpliwym. Przecież to nie byle co. Oto jestem ja i oto jest noc Symchat Tora. Oto jest niebo a w nim Bóg. Mój Bóg! Moje niebo! Moje święto!

Dzieci już odprawiają hakafot! Wpadają do bóżnicy.

Gdzie? Co? Zaczyna się! Na razie odmawiają modlitwę Maariw. Kantor Cale z zimnej bóżnicy stoi przy podium wraz ze swoimi dwoma pomocnikami. Jeden z nich, czarnowłosy chłop o grubych wargach, to bas. Drugi, wychudły chłopczyna o białej twarzy, to tenor. Zaś sam kantor Cale o złotym gardle to Żyd wysoki, rudy, z nosem zagiętym niczym szofar. Ma cienkie kręcone pejsy i rudą kręconą bródkę, jakby przyklejoną. Kto by pomyślał, że taki potworek ma piękną, delikatną, łagodną i miłą córkę. Córka kantora to właśnie jego córka; kantor Cale to jej ojciec, który na każdym kroku chwali się, że nikt nie ma tak pięknej córki. Szkopuł tylko w tym, że ona nie chce wyjść za mąż. Kogo by nie swatano, jedną daje odpowiedź: „nie”. Pomoże to jej jak umarłemu kadzidło. W chwili, gdy zjawi się właściwy konkurent, będzie musiała powiedzieć „tak”. W razie odmowy weźmie się ją za warkocze. A pod ręką zawsze znajdzie się kij. Tak mówi kantor Cale, rzecz jasna w żartach. Pokazuje przy tym swoją bambusową laskę ze starą, pożółkłą gałką z kości słoniowej.

Odprawiono już modlitwę Maariw w zimnej bóżnicy, a do hakafot jeszcze daleko. Dopiero odmawiają Ato horejsjo ładaas. Dopiero rozdzielają poszczególne wersety pośród wiernych zgromadzonych przy wschodniej ścianie bóżnicy. Każdy z nich odmawia swój werset stojąc obok swego miejsca. Każdy jednak wygłasza modlitwę na swój sposób, w innej tonacji i innym stylu. To znaczy, styl jest jednakowy, ale każdy ma inną barwę głosu i każdy trochę się boi, wychodzi więc nie to, co trzeba, a zakrętas, jaki zostawia się na końcu wersetu, całkowicie gdzieś zanika.

Bóżnica jest dostatecznie duża, szeroka i wysoka. Nie ma sufitu — widać dach. Dlatego zowią ją zimną. Dach jest pomalowany na niebiesko. Może ciut za bardzo niebiesko. Przez to wydaje się prawie zielony. Malarz przebrał miarę. Również gwiazdy na nim są nieco za duże. Każda gwiazda jest tylko trochę mniejsza od jabłka i wygląda jak kartofel pomalowany na złoto. Malarz rozmie

ścił je gęsto, w równych rzędach. Jedna obok drugiej. Ze środkowej części dachu zwisały na długich miedzianych linach wiekowe świeczniki odlane ze starej, żółtej, pozieleniałej miedzi. Z tej samej miedzi lśniły kinkiety na ścianach. Wszystko przesycone jest światłem. Palą się wszystkie świece. Jest tak jasno, że jaśniej chyba już być nie może.

Skąd się wzięło tylu, bez uroku, Żydów, kobiet, chłopców, dziewcząt i małych dzieci?

Szołem jest po raz pierwszy w zimnej bóżnicy. Mimo woli przychodzi mu na myśl werset: „Jak dobre są twoje namioty, Jakubie!” Z trudem znajduje miejsce siedzące. Na szczęście dostrzegł go szames. Przecież to synek reb Nachuma Rabinowicza. Obowiązkowo trzeba dla niego znaleźć miejsce, i to właśnie w ławce lustrzanej, wśród wybitnych obywateli.

W którym miejscu modlitwy jesteście? Szum i gwar jest tak wielki, że nie słyhać głosu kantora i jego pomocników.

Na nic okrzyki z tłumu: — Sza! — Na próżno szames stuka w stół. Kobiety trajkoczą, dziewczęta śmieją się, dzieci piszcza, jakiś chłopczyk zanosi się płaczem. Czemu płaczesz, chłopczyku? Stracili mu niechący jabłko z chorągiewki, zdeptano je. Co teraz pocznie bez jabłka? A obok siedzi starszy chłopak, szczyrzy zęby i śmieje się z dramatu dziecka. Złości to Szolema. Wdaje się więc w rozmowę z chłopakiem:

— Co tu jest do śmiechu?

Na to ten, nie przestając szczyrzyć zębów, odpowiada:

— Bo on jest głupi!

To jeszcze bardziej złości Szolema:

— A ty w jego wieku miałeś więcej rozumu?

Tym razem młodzieniaszek przestaje się śmiać i odpowiada już łobuzersko:

— Ile miałem rozumu w jego wieku nie pamiętam, ale jest pewne, że mam więcej rozumu niż ty, mimo że chodzisz do szkoły i jesteś synem Nachuma Rabinowicza.

Gdyby to nie zdarzyło się w zimnej bóżnicy wśród ob

cych ludzi, to syn Nachuma Rabinowicza inaczej policzyłby się z tym urwisem. Tu jednak musiał przemilczeć zniewagę, mógł bowiem solidnie oberwać. Poza tym usłyszał właśnie wśród gwaru i szumu umiłowanie słowa: — Hatojroni reb Szymson Zejw bereb Chaim Cwi hakojn tejn kowod latojro! Widać, już zaczęło się nakafot. Gdzież więc córka kantora?

— Ana adonaj hoszia na! — Prosimy cię Panie, zbaw nas! — Pierwsza część zakończyła się tańcem i śpiewem na prostą melodię. Przeszło pierwsze hakafot. A szames wywołuje już swoim ochrypłym głosem następnych do oddania czci Torze. I tak zakończyło się drugie okrażenie, trzecie i czwarte. Po każdym okrażeniu ta sama zwykła melodia i ten sam taniec. A córki kantora nie widać.

Szołem wierci się. Rozgląda się na wszystkie strony. Niestety, nie ma jej. Ani jej, ani jej koleżanki. Czyżby go aż tak brzydko oszukała? A może po prostu nie mogła przyjść? Może coś się jej przytrafiło? Może rodzice dowiedzieli się o ich tajemnicy i zamknęli ją w domu? Po kantorze Cale można się wszystkiego spodziewać. Przecież ciągnie córkę za warkocze i bije ją laską! I mroczne myśli nachodzą Szolema.

Ponieważ chłopak Nachuma Rabinowicza kręcił się, wiercił i rozglądał na wszystkie strony, szames uznał, że zapewne przepada on za udziałem w hakafot. A może też ktoś z gabajów dał mu znak, aby wyróżnił syna Nachuma Rabinowicza? Tak czy owak wśród wywołanych do Tory Szolem usłyszał nagle swoje imię: — Młodzieńcze Szolemie, synu Menachema Rabinowicza, oddaj cześć Torze! — Krew uderzyła mu do głowy. Nie był w stanie znieść spojrzeń szacownych obywateli. Poczul się jak młodzieniec wywołany do odczytania całego rozdziału Tory w sobotę. Nim zdążył rozejrzeć się wokół, szames podał mu Torę. Już stał w jednym szeregu z grupą Żydów, z olbrzymią Torą w rękach. Ruszyła procesja. Z przodu kroczy kantor Cale i śpiewa: — Ojzer dalim, hojszjo no! — Kobiety i dziewczęta wrywają się z tłumu.

Całują Torę i składają mu życzenia: — Obyście dożyli następnego roku!

Szołem czuje się jakoś dziwnie. Zwracają się do niego per wy. Jest zmieszany niespodziewanymi honorami. Odczuwa dumę. Jedyny chłopak wśród tak wielu starszych Żydów. Rozpiera go duma, że nie jest byle kim, że jest synem reb Nachuma Rabinowicza. Z dobrego domu. Wśród największego zgietku nagle czuje na swojej ręce pocałunek: — Obyście dożyli następnego roku! — Podnosi oczy, a przed nim córka kantora i, ma się rozumieć, jej przyjaciółka... Niebiosy otwierają się. Aniołowie schodzą na ziemię i śpiewają hymny. Opiewają stworzony przez Boga świat. Ten dobry, słodki, piękny, umiłowany świat! Opiewają ludzi, których Pan Bóg stworzył. Dobrych, słodkich, pięknych i umiłowanych ludzi! Jest wspaniale. Tak cudownie, że chce się aż płakać ze szczęścia. A serce śpiewa pieśń na cześć niebiańskich duchów: — Szolem alejchem, aniołowie!

Prawda, w pierwszej chwili Szolemowi zrobiło się przykro i nieco dziwnie. Zamiast pocałować Torę, pocałowała go w rękę. Zaplanowała tak? Wyczytał to z jej śmiejących się oczu. Był tak zdumiony, że omal nie wypuścił z rąk Tory. Miał ochotę zatrzymać się. Chciał jeszcze raz spojrzeć w jej piękne oczy. Może nawet szepnąć kilka słów. Ale nie ma rady. Żydzi postępują za nim w szeregu. Trzeba iść naprzód. Trzeba przekazać Torę następnym. Okrążenie jeszcze nie dobiegło końca. Dopiero przed Arką Przymierza można przekazać zwoje Tory szamesowi. Ogląda się więc Szolem za siebie. Może jeszcze raz ją zobaczyć. Choćby z daleka. Nie widać jej. Idzie więc dalej. Postępuje za Żydami. Robi jeszcze jedną rundę. Wypatruje. Córki kantora nie ma w pobliżu. Znikł jak kamfora. Wybiega więc z bóżnicy. Szuka jej na podwórzu. Nigdzie jej nie ma. Może był to sen? Może to była zjawą? Nie! To nie był sen. To nie była zjawą. Jeszcze teraz czuje jej pocałunek na swojej ręce. Idzie przed siebie i nie czuje ziemi, po której stąpa. Wydaje mu się, że

ma skrzydła i leci. Fruwa w powietrzu, a wraz z nim aniołowie. Unoszą się w przestrzeni. Odprowadzają go aż do wielkiej bóżnicy.

Tam dopiero połowa hakafot. Ojciec jest zadowolony, w świątecznym nastroju. Ubrany w starą, wytartą jedwabną kapotę, z której miejscami wyziera żółta podszewka. Wygląda wspaniale jak nigdy. Obok niego stoją obaj udani zięciowie. Z jednej strony Lejzor Josł, z drugiej Magidow. Obydwaj żartują, a ojciec słucha, jak to w jego zwyczaju, uważnie i śmieje się.

— Gdzieś tak długo był? — Ojciec zadaje to pytanie nie po to aby, broń Boże, ukarać Szolema. Pyta po prostu z ciekawości.

— W zimnej bóżnicy — odpowiada Szolem. Chwali się, że uhonorowano go hakafot.

Ojcu się to podoba. Powiada więc:

— To bardzo ładnie z ich strony.

Udani zięciowie troszkę naigrywają się z Szolem. Jeden z nich pyta go, czy w zimnej bóżnicy poznał „Ojzer Dalim”.

Drugi wtrąca: — Skąd mógł się tam wziąć „Ojzer Dalim”? Tam przecież znajduje się tylko wnuk „Ojzer Dalim”.

I wszyscy trzej zaśmiewają się z tego konceptu. Nawet Szolem im wtóruje.

No i noc! Taka noc może się zdarzyć tylko w Symchat Tora podczas hakafot.

KRYZYS

Paskudnie oszukany w swoich najświętszych uczuciach. Po chorobie nowy człowiek. Pożegnanie z dzieciństwem

Kiedy autor tej opowieści zapuszcza się w głąb swojego dzieciństwa, gdy wyciąga na światło dzienne wspomnienia

z bezpowrotnie minionych dni, gdy w głębokiej zadumie zastanawia się trzeźwo nad swoimi późniejszymi przeżyciami, doświadczeniami wyniesionymi z wielkiego, światowego jarmarku, który nazywa się życiem, ogarnia go ogromne zdumienie. Jak mógł znieść tyle okrutnych ciosów, tyle bolesnych zawodów i tyle gorzkich rozczarowań? Jak mógł po tym wszystkim znosić nowe ciosy, nowe zawody i jeszcze większe rozczarowania. Ciosy są nie tak straszne. Straszniejsze są rozczarowania. Najgorzej jest być oszukanym. Z porażki można się podnieść. Rozczarowanie natomiast zostawia na zawsze bliznę na duszy.

Bohater niniejszej autobiografii był już bity i kopany — w sensie moralnym. I w sensie materialnym przeżywał niejedną tragedię. Czytelnik dowie się z późniejszych rozdziałów o tym, jak bohater nasz poznał w krótkim czasie smak utraty pewnego kapitału wskutek spekulacji, do których wciągnęli go różnego rodzaju Menachemy Mendle. Z czystym sumieniem może oświadczyć, że nie bolała go utrata pieniędzy. Bardziej bolało to, że ludzie go oszukali, i to, że on się zawiódł na ludziach. Rozczarowanie, oto co skracało mu życie. Wpędzało go do grobu.

Gdy jeszcze był smarkaczem, zakochał się głupio w córce kantora. Wtedy dostał po raz pierwszy po głowie. Doznał pierwszego wielkiego rozczarowania. Otrzymał cios, którego nie mógł przewidzieć. Było prawdopodobne, że rodzice dowiedzą się o ich nie wydarzonym romansie i doprowadzą do zerwania tego niepoważnego związku. Można było domyślać się, że kantor Cale złapie swoją córkę za warkocze i zbije nie na żarty kijem. Kto jednak mógł przypuścić, że córka kantora romansując z synem Rabinowicza była zakochana w goju, subieckie w wielkim sklepie żelaznym Kotielnikowa? Komu mogło wpaść na myśl, że pewnego dnia, akurat w wigilię soboty, niedługo po owym sławnym święcie Symchat Tora, ucieknie i skryje się w żeńskim monasterze, gdzie przyjmie chrzest i wyjdzie za mąż za tegoż właśnie subiektka?

Okazuje się, że wyobraźnia pisarza jest niczym w po

równaniu z życiem. Rzecz oczywista, że biedak Cale biegał nieprzytomny po mieście. Szukał wsparcia u przodków na cmentarzu. Stukał do drzwi archimandryty, szlifował progi przelożonej monasteru. Słał prośby do samego gubernatora. Nic nie pomogło. Nawet modły zawiódły. W mieście kotłowało się. Cały świat zadrżał. Gdybyż to była zwykła żydowska dziewczyna! Nieszczęścia chodzą po ludziach, nic nie poradzisz. Ale to nie była zwykła dziewczyna. Traf chciał, że była to córka kantora, człowieka niemal świętego. Kto go teraz dopuści do odprawiania modłów? Zaraz jednak nasuwa się pytanie: z czego będzie żył? A co ze wstydem, którego nałykali się nobliwi obywatele z zimnej bóżnicy? To też coś znaczy. Dlaczego nieszczęście przydarzyło się właśnie ich kantorowi, z ich bóżnicy? Czym jednak były te wszystkie kłopoty, zmartwienia, wstyd i cierpienia w porównaniu z piekłem szalejącym w duszy owego młodzieńca, który przecież na zabój zakochał się w córce kantora? Czym były wobec nieszczęścia tego chłopca,

którego tak brzydko oszukała? Pomyśleć, że wołała goja, subiekta w sklepie Kotielnikowa, niż jego, chłopca z najlepszego domu. Dlaczego go oszukiwała? Dlaczego pisała do niego takie liściki? Dlaczego pocałowała go w rękę przy hakafot w święto Symchat Tora? Dlaczego przysięgała mu wieczną miłość? Przecież ucieczka z subiektem nie była przypadkowa. Była zaplanowana i przygotowana od dawna. I tu Szolem przypomniał sobie, że narzeczony jej koleżanki, ów subiekcik o dużych łapach, powiedział kiedyś, że przez córkę kantora ktoś mu kości połamie. Teraz już wie, kim jest ten gość od łamania kości. To doprowadza go do szału. Klnie, na czym świat stoi. Przeklina dzień, w którym poznał córkę kantora. Przeklina subiekta ze sklepu żelaznego Kotielnikowa, subiekta pośredniczącego w korespondencji i wszystkich subiektów całego świata. Ach, jakby to było dobrze, gdyby wybuchł pożar we wszystkich sklepach żelaznych w mieście, gdyby wszystkie te sklepy spłonęły. Albo, gdyby

zerwała się burza i zwała wszystkie sklepy i wszystkie domy w mieście lub gdyby ziemia się rozwarła i cały Perejasław wraz z mostem i Pidworkami zniknął w jej czeluściach. Nie ma w Szolemie śladu litości dla nikogo. Ani dla siebie, ani dla obcych. Ani dla starców, ani dla dzieci. Niech to wszystko piorun trzaśnie! I rzuca przekleństwo na cały świat stworzony przez Boga. Na świat pełen fałszu, brzydoty i paskudztwa. I przeklina ludzi, których Bóg stworzył. Ludzi fałszywych, brzydkich, paskudnych. Pograżony w melancholii Szolem wraca któregoś dnia ze szkoły i czuje, że głowa mu jakoś dziwnie ciąży. Jakby była z ołowiu. Przed oczyma migają mu kółka z jakimiś dziwnymi figurami. Kółka pękają, a figury rozplywają się. Topnieją jak śnieg w słońcu. Na ich miejsce pojawiają się inne. Szolem nie chce tknąć jedzenia. Macocha jest zdumiona: — Chyba niedźwiedź zdechł w lesie! — Rzuca te słowa, jak zwykle, jadownie. Szolem nie może utrzymać się na nogach. Kładzie się na kanapę. Podchodzi do niego ojciec i obmacuje mu głowę. Pyta się o coś, a Szolem odpowiada. Nie pamięta pytania i własnej odpowiedzi. Zdaje się, że była mowa o żołądku, doktorze i aptece... Czuję, że dają mu coś do zażycia w łyżeczce od herbaty. Lekarstwo ma zapach migdałów. A głowa pęka. I wiją się przed oczyma jakieś stwory. Przeciskają się przez jego uszy i wylatują z długim, długim gwizdem. I jakby mrówki zalazły mu pod skórę i wypełniły żyły. Łaskoczą go. Gotują się w jego ciele. Bulgoczą. I sakiewki, kupa sakiewek, cała góra sakiewek toczy się w dół. Ludzie chcą je złapać, ale nie mogą. Dziwne, Szolem ma oczy, zdaje się, zupełnie zamknięte, a mimo to wszystko widzi. Z powodu świstu w uszach nic nie słyszy, ale za to widzi wszystkich. Wszyscy tu są. Zbieranina dawnych i obecnych kolegów oraz innych, obcych ludzi. Jest kolega Szmulik, Pinele, syn Szymeły, Eli, syn Dodi, Icl, syn stryja Pinie, gość z ich zajazdu, Wolfson. Najzabawniejsze, że subiekt Kotielnikowa modli się przy bimie w bóżnicy, śpiewa modlitwę Symchat Tora, a córka kantora bije się w piersi ałchet. I jakiś głos, tępy, przytłumiony

dochodzi z zimnej bóżnicy. Dziwne płaczliwe tony. To modlą się umarli. Umarli w każdą noc sobotnią modlą się w zimnej bóżnicy. Mają minjan. Kto by o tym nie wiedział? I nic go nie dziwi. Nawet to, że goj, subiekt Kotielnikowa, prowadzi modły w bóżnicy z żydowskim przyśpiewem. Jednego tylko nie może sobie wytłumaczyć: Jak to jest, że dopiero co był tu jego kolega Szmulik, sierota Szmulik, a on nie zapytał go o skarb? Jak mógł zapomnieć o tak ważnej sprawie? Otwiera oczy i szuka wzrokiem Szmulika. Nie może go znaleźć. Nie ma Szmulika. Nie ma nikogo z tych, którzy dopiero co tu stali. Gdzie się mogli podziać? I znowu Szolem zamyka oczy.

Wsluchuje się w bicie swego serca. Słyszy jak ono pracuje. I słyszy, jak krew pulsuje mu w skroniach. Czuje, że cały świat jest oblany potem. Pływa w rzece potu. Na czubkach palców pojawiły się pęcherzyki jak po łaźni parowej. Włosy na głowie ma mokre, przylepiają się do czoła. Czuje dotyk zimnej ręki i słyszy znane mu westchnienie. Otwiera oczy. To ojciec. Przy nim stoi Wolfson, właściciel kolektury i kilka innych osób. Zauważa, że wszyscy patrzą na niego z litością. Mówią o nim. Słyszy słowo „kryzys”. O jakim kryzysie tu mowa? Jest zadowolony, że oto stał się ważną osobą, którą wszyscy się interesują. Największe zainteresowanie wykazuje ojciec. Pochyla się nad nim i pyta, czego by sobie życzył. Szolem nie od razu odpowiada. Chce się przedtem zastanowić. Chce się zastanowić, gdzie jest i co mu dolega. Mija kilka długich chwil, nim dochodzi do siebie i rozumie, że był chory, a teraz jest już mu lepiej. Czy lepiej? Doskonale. Dopiero, gdy już całkiem ogarnął sytuację, zwilżył językiem wargi i wypowiada jedno jedyne słowo: — Agrest. — Ojciec wymienia spojrzenia z pozostałymi osobami i zapytuje go: — Agrest? Jaki agrest? — Konfityry — odpowiada chory dziwnie grubym głosem. Głosem, który najpierw był cieniutki, sopranowy, a teraz zmienił się w bas. Sam przeraził się swego głosu. Nie poznał go. W czasie choroby Szolem zmienił

się nie do poznania. Gdy w kilka tygodni potem zlął z łóżka i ledwo dowlókl się do sali ogólnej zajazdu, spojrzął w lustro i oniemiał. Twarz w lustrze mało go przypominała. Miał przed sobą innego zupełnie człowieka. Przed chorobą był to sympatyczny chłopak o czerwonych, pulchnych policzkach. Ruchliwy, żywy, o śmiejących się oczach, z podstrzyżoną okrągło blond grzywką na czole. Teraz twarz była blada, policzki zapadnięte, oczy stały się większe, spojrzenie pełne zadumy, a cała postać wyciągnęła się. Blond włosy zostały ostrzyżone do samej skóry jak u Tatarów. Słowem, był to teraz inny człowiek. Ale nie tylko miał odmieniony wygląd. Czuł, że wewnątrz, w jego duszy, zaszła zmiana. I żałuje tej swojej dziecięcej przeszłości, która nigdy już nie wróci. Nigdy się nie powtórzy. Nigdy! I teraz, gdy pisze te słowa przeżywając na nowo owe szczęśliwe chwile, wspomina je z cichą tęsknotą. Tym razem na zawsze już żegna się ze swoimi młodymi latami: — Żegnaj, dzieciństwo!

SZOTEM UDZIELA KOREPETYCJI

Sens udzielania korepetycji. Młodzi i starzy nauczyciele. Siła gramatyki. W perejaśławskim parku i w domu macochy. Kompromisowa decyzja właściciela kolektury. Szotem dostaje posadę i pakuje swoje książki

Nie wiadomo, do kogo należała inicjatywa, kto pierwszy wpadł na pomysł, aby młodzieniaszek niespełna siedemnastoletni, jeszcze bez śladu wąsów i przed ukończeniem ujezdnoj, wziął do ręki kij, zarzucił na ramiona paletko bez rękawów i pomaszerował od domu do domu, aby udzielać korepetycji. Korepetycje polegają na wku

waniu z chłopcami i dziewczętami tego wszystkiego, czego uczą się oni w klasach szkolnych. To również oznacza, że korepetytor podjął się przerobić z nimi przedmioty wymagane przy wstąpieniu do odpowiedniej klasy albo przy egzaminach.

Zdawanie egzaminów stało się modne i popularne. Wszyscy przygotowywali się do egzaminów. Chłopcy i dziewczęta, narzeczeni i kawalerowie, młodzi ojcowie rodzin, Żydzi z brodami — wszyscy wzięli się do gramatyki Goworowa, do arytmetyki Jewtuszelewskiego, geografii Smirnowa, geometrii Disterwega. Zaczęli wkuwać na pamięć bajki Kryłowa i zaglądać do słowników. Istna epidemia z tymi egzaminami! Jest rzeczą zrozumiałą, że wkrótce zabrakło nauczycieli w mieście. Zawodowych nauczycieli żydowskich było bowiem tylko dwóch: Manisow, starzec bez zębów, który raczej pluł, niż mówił, w dodatku głuchy jak pień, oraz młodszy, Noach Busel. Ten uczył francuskiego. Nosił niebieski mundur, błyszczące buty z cholewami, i był bardzo drogi. Kazał sobie sporo płacić. Ponadto był jeszcze pisarz Icze i jego brat, pisarz Abraham. Obaj mieli pulchne policzki. Zawsze wypucowani na glanc. Ci już brali bardzo mało; zbyt tani, ale też mocno skłóćeni z gramatyką rosyjską, z którą byli na bakier i nie wiedzieli, jak się pisze słowo Pieczeniegi. To znaczy wiedzieli, że tam ma być jat', ale gdzie je postawić, tego nie wiedzieli. Czy po „p”, czy po „n”, czy po „g”. To samo było z „s” i „sz”. Gdy doszło na przykład do słowa „susza” albo „Sasza”, z równym powodzeniem mogli napisać „susza” jak „szusa” lub „szuse”, „Sasza” jak „Szasa” lub „Szasa”, lub „Szasa”. W mieście krążyła anegdota, że gdy ktoś, za przeproszeniem, poprosił ich o napisanie zdania „Sasza suszył się na suszy”, to jeden napisał „Szasa szusiła na szusie”, a drugi rąbnął: „Szasa szusiłsza na szusie”.

Rzecz oczywista, że to była tylko anegdota, ale jakże zabolala nauczycieli, gdy doszła do ich wiadomości. W istocie rzeczy była to rzecz godna pożałowania. Przecież to oni nauczyli tylu mieszkańców miasta czytać i pi

sać, nauczyli ich i ich dzieci, a tu przychodzą młode żółtodzioby, którym mleko matki pod nosem jeszcze nie obeszło, i opowiadają anegdoty!... Ale nic nie poradzisz, gramatyka stała się chodliwym artykułem. Bez gramatyki ani rusz! Doszło nawet do tego, że stryj Pinie, który nie znosił gramatyki, podobnie jak pobożny Żyd nie znosi wieprzowiny, przyznał, że gramatyka to dobra rzecz. On, Żyd, który jeździ po jarmarkach, handluje z Moskwą, poważany przez Moskala i mówiący doskonale po rosyjsku czuje, że brak mu znajomości gramatyki! (Słowo „gramatyka” zaakcentował wystawieniem pięciu złożonych razem palców).

Mimo to, by jego bratanek Szolem nie przejął się zbyt swoją rolą, Pinie uznał za wskazane dopieć mu. — Nie rozumiem — powiada — żeby do tego trzeba było paradować bez czapki, zasiadać do stołu bez przepisowego mycia rąk i pisać w sobotę. — Jemu, Piniemu, wydaje się, że właśnie można znać gramatykę i paradować w czapce, myć się przed jedzeniem i nie pisać w sobotę. Stryj Pinie widocznie był wiernym stróżem przepisów religijnych, jak przystało na prawdziwego uczonego w Piśmie. Za nic nie może zapomnieć tamtej pisaniny na parkanie w sobotę. Ale kto by z nim się liczył. Jakże ma się nie przejmować swoją rolą młodzieniaszek, który otrzymuje stypendium, udziela korepetycji, zarabia krocie, bo wszyscy się o niego biją. Wszyscy chcą właśnie, aby on, a nie kto inny przygotowywał ich dzieci do szkoły. Jakże tu nie przejmować się swoją rolą? Żydzi walą do niego korzystając z protekcji właściciela kolektury w ciemnych okularach, który jest za pan brat z Nachumem Rabinowiczem. Proszą go, aby był tak łaskaw namówić ojca, by ten wyprosił u syna choć pół godziny dziennie. Powiadają, że jego Szolem ma lekką rękę, że dzięki niemu najlepiej zdaje się egzaminy. Rośnie więc serce ojca, raduje się jego dusza. Przecież to nie żarty. Doczekał się takich honorów, choć wielkich radości nie ma. Tych jest mało. Co to za radość, proszę was, jeśli cały dzień nie widzi swojego dziecka? Pierwszą połowę dnia Szolem spędza w szko

le, drugą, aż do wieczora, na korepetycjach. Wieczorem zaś spaceruje z kolegami w parku miejskim. Latem park miejski w Perejasławiu jest istnym ogrodem rajskim. Gra tam orkiestra wojskowa pod batutą pułkowego kapelmistrza. Jest nim Żyd z czarną brodą, o czarnych jak czereśnie oczach i grubych wargach. Wszystkie dziewczęta są w nim zakochane. On zaś kocha wszystkie dziewczęta. Uśmiecha się do nich z daleka swoimi grubymi wargami i czereśniowoczerwonymi oczyma. Wymachuje pałeczką coraz energiczniej i mocniej. A trąby trąbią, a bębny bębnią i pył wzniesany przez spacerujące alejami pary miesza się z aromatycznym zapachem dopiero co rozkwitłych krzaków bzu. Powietrze przesycone jest jakąś gęstą słodyczą. Tylko miejscowy, człowiek z Małorusi, zna, pamięta i potrafi ocenić ten zapach. Tylko on wie, czym jest wieczór letni i czym jest spacer po perejasławskim parku. Park oświetlony jest bardzo słabo. Są w nim raptem trzy, cztery latarnie gazowe z zadymionymi lampkami, szerniałymi i potłuczonymi szkiełkami. Przy silniejszym wietrze lampy gasną. Kto jednak na to zwraca uwagę? Przeciwnie, jeśli chcecie koniecznie wiedzieć, to jeszcze lepiej, gdy jest ciemno. Chłopcy i dziewczęta mogą wtedy zatrzymać się, uciąć rozmówkę, pośmiać się i umówić się na jutro o tej samej porze, na spotkanie w alejach, pod dopiero co rozkwitym krzakiem bzu...

I rozpromieniony, rozgorączkowany Szolem wraca do domu. Głód zaspokaja byle czym. Dzwonkiem śledzia, zielonym ogórkiem lub cebulą z chlebem. Apetyt, bez uroku, dopisuje. O umyciu rąk nie ma mowy. Odmówić błogosławieństwo nad pokarmem, gdzie tam! O modlitwę wieczorną ojciec nawet nie zapyta. Boli go to, ale udaje, że nic nie widzi. Szolem nie ma czasu, by zamienić choć słowo z rodzeństwem. Zjadł i zaraz trzeba zasiać do odrabiania lekcji na jutro. Siada Szolem do stołu przy świetle lampy. A lampa to nafta. A tego macocha nie cierpi. Burczy więc pod nosem. Gniewa to ojca. Szolem wtedy powiada, że sam za własne pieniądze kupi naftę. I lampę

też sobie sprawi. Ojciec na to oświadcza, żeby się nie ważył tego robić. Nie zniesie tego. Słyszy to kolekturowiec w czarnych okularach i wtrąca się, bo nie lubi kłótni. Proponuje wyjście kompromisowe. Ponieważ młodzieniaszek jest już człowiekiem na swoim, zarabia te parę groszy, a sam też powinien się uczyć i ma przed sobą egzaminy, to byłoby słuszne, żeby tego łobuza (już nie mówi „łobuziaka”) zostawić w spokoju. Słowem, rada jego jest taka: Niech sobie do końca egzaminów Szolem wynajmie kwaterę wraz z utrzymaniem i niech się uczy na zdrowie. A jeśli będzie miał trudności z wynajęciem mieszkania, to on, właściciel kolektury, weźmie to na siebie.

Rzecz zrozumiała, że z początku ojciec nawet nie chciał o tym słyszeć. Plan uznał za szalony. Kolekturowiec jednak i ścianę mógł przegadać. Ale nie lubił dużo rozprawiać, wolał działać. Natychmiast przystąpił do dzieła i wnet wrócił z dobrą wieścią. Udało się, i to jak najlepiej. Znalazł chętnego, który oddaje do dyspozycji Szolemowi oddzielny pokój z utrzymaniem za darmo. Stawia jeden tylko warunek: Szolem ma codziennie pół godziny z rana i pół godziny po południu uczyć starsze jego dzieci i czasem pół godziny lub całą godzinę wieczorem uczyć jego młodsze dzieci.

— Ile jest tych dzieci? — nieśmiało zapytuje ojciec.

— Co pana to obchodzi? Czy Szolem ma je karmić? Ma je tylko uczyć. To co to za różnica troje, pięcioro czy też siedmioro? Chyba zdajecie sobie sprawę, że jestem waszym dobrym przyjacielem i nie wyprowadzę was w pole. Rada moja jest taka: Niech się łobuz spakuje i zabiera ze mną natychmiast. Ale to już, albowiem reflektantów na to miejsce znajdzie się sporo! Hajda!

Łobuz zaczyna się pakować. Dużo czasu mu to nie zajmie. Cały jego majątek składa się z kilku koszul, jednej pary pończoch, woreczka na tefilin, modlitewnika i książek. Tych jest sporo. Pakując się zerka na ojca. Twarz ojca jest żółta jak wosk. Zębami gryzie swoją rzadką bródkę. Nic nie mówi. Wzdycha tylko, a każde jego westchnienie przejmuje bólem serce Szolema. Za to

macocha rozgadała się. Zaczęła się żalić i ubolewać. Plan, powiada, jej się nie podoba. Po pierwsze, co na to ludzie powiedzą? Ludzie powiedzą, oby ich wszystkich plagi Faraona dotknęły, że winna jest macocha. To raz. Po drugie — komu dziecko, jeśli jest przy ojcu, przeszkadza? Gęba więcej, gęba mniej, od tego rosół nie będzie tłściejszy... A gdy doszło do pożegnania, uroniła nawet łzę...

Odprowadzając chłopaka ojciec wymógł na nim zobowiązanie, że w sobotę będzie w domu. Trudno, cały tydzień niech już będzie, ale sobota, z woli bożej, to sobota. Dlaczego miałby ojcu odmówić tej małej przyjemności? Zwłaszcza że i dla niego to przyjemność i satysfakcja. Bowiem gdzie jeszcze tak odprawia się sobotę jak u ojca Szolema? Kto powiada Szotem alejchem tak jak jego ojciec? U kogo brzmi ładniej Ejszes chait mi jimco? Kto potrafi tak śpiewać pieśni sobotnie? A kidusz wszyscy Żydzi odprawiają. Ale nie na wszystkich Żydach spoczywa szechina. We wszystkich domach żydowskich obchodzą sobotę, ale nie we wszystkich domach pojawiają się aniołowie. Fruwają, unoszą się w powietrzu i napęniają dom cichą świętością albo świętą ciszą świętej, wielkiej soboty.

SIELANKA

Sobotni goście. Hebrajski poeta Benjaminson. Piekło Dantego i Dolina Jehoszefer albo cholera. Jak poeta piecze na ogniu śledzie. Przy stole w sobotę. Gabete Fejga Lea wypatruje soboty

Mieć gościa w domu na sobotę było nie tylko mycwą, ale nawet regułą, która weszła w nawyk. Takie to zwyczaje

panowały w owych czasach pośród pobożnych Żydów. Taki na przykład szacowny Żyd jak Nachum Rabinowicz nie mógł sobie po prostu wyobrazić stołu sobotniego bez zaproszonego gościa. Cała sobota była wtedy do niczego. I Bóg za każdym razem przysyłał mu coraz to innych gości. Tym razem gościem był jego własny syn. Dobre i to. Nie był jednak jedynym gościem. Prócz niego było jeszcze dwóch: znany już wam właściciel kolektury w ciemnych okularach oraz pan Benjaminson.

Pan Benjaminson to meszorer. Nie przy kantorze. Benjaminson to meszorerpoeta. Pisze wiersze po hebrajsku. Napisał całą książkę pod tytułem Dolina Jehoszefer albo cholera. Pięknym, poetyckim językiem opisuje, jak to Bóg rozżłócił się na rozpustną ludzkość i zesłał na ziemię cholere. Cholera występuje w postaci brzydkiej i strasznej kobiety, trzymającej w ręku brzytwę, którą tnie na prawo i na lewo. Rzecz oczywista, że piekło Dantego opisane jest w ciemniejszych kolorach i wywiera na czytelniku większe wrażenie. Ale nie o to chodzi. Chodzi o język. Był to wspaniały, cukierkowosłodki język poetycki, na który z pewnością cholera sobie nie zasłużyła. Tyle jeśli chodzi o utwór. Teraz pora na autora.

Suchy, ale barczysty, o szerokiej i błyszczącej, kwadratowej twarzy pokrytej rzadkim zarostem. Tak rzadkim, że gdy jadł, można było dostrzec, jak każdy połykany kęs przechodzi przez gardło. Zupełnie jak u głodnej gęsi. Włosy też ma rzadkie. Rzadkie, ale za to długie; zwisają kręconymi loczkami. Zawsze nasmarowane czymś tłustym, żeby tylko błyszczały. Ubrany jak Niemiec. Kapelusz wysoki, twardy. Wszystko, co miał na sobie, było stare. Przeróżliwie stare, ale niezwykle czyste. Wyszczotkowane i wyprasowane. A wszystko to robił sam. Sam czyścił, sam prasował, sam reperował. I guziki sam sobie przyszywał. Nie ulega wątpliwości, że koszulę, którą nosił, sam prał w nocy. I krawat miał własnej roboty. Gdy mówił — to całym sercem. I całym ciałem. Głos miał serdeczny, twarz budzącą litość. Oczy na poły przymknięte, wytrzeszczone. Patrząc na tego człowieka bohater niniejsz

szej opowieści zadawał sobie pytanie: — Ciekawe, jak też wyglądał ten Benjaminson lat temu trzydzieści, czterdzieści, gdy był jeszcze młodym chłopcem? Skąd się wziął i skąd przybył? — Nikt tego nie wie. Wyrażając się słowami macochy, „przetaszczył” go tu kolekturowiec. Jeden niedojda ciągnie drugiego. Na swoje cholerne szczęście kolekturowiec sprowadził pewnego pięknego dnia Benjaminsona z szarą walizeczką. Akurat wtedy, gdy jej, macochy, nie było w domu. Kiedy wróciła i zastała faceta z walizeczką, który czytał właśnie ojcu jakąś książkę, od razu orzekła, że to niedojda. Z tych niedojdów, których należy „gęsto siać, aby rzadko wzeszli”. Zadała też pytanie, dlaczego to nie zatrzymał się w zajeździe Rubena Jasnogrodzkiego? Jednak stało się. Nie wygania się przecież człowieka z domu. Zwłaszcza takiego, który niczego nie potrzebuje, niczego nie wymaga i niczego nie żąda. Śpi na starej ceratowej kanapce między dwoma pokojami. Gdy się wnosi do pokoju samowar, sam sobie nalewa do swojego czajnika wrzątku po brzegi. Wsypuje doń z żółtego papieru jakichś ziółek, które „są dobre na serce”, wyjmując z kieszeni kawałek własnego cukru i popija sobie własną herbatą. Z jedzeniem tak samo. Ma swój własny chleb w swojej szarej walizeczce. Chleb jest czerstwy. Im chleb jest starszy, tym lepszy. Tak oszczędniej. Śledzie kupuje sobie codziennie. Za jedną kopiejkę dzwonko śledzia. Niesie to dzwonko powoli. Na czubkach palców wchodzi do kuchni i stokrotnie przepaszając prosi macochę, aby zezwoliła mu włożyć ten kawałek śledzia do pieca. Chce go troszkę przypiec. Gdy śledź zaczyna protestować, to znaczy skwierczy, smaży się, wydziela taki smród, że trzeba z domu uciekać. Wtedy macocha zaklina się, że następnym razem wypędzi go wraz ze śledziem. Przysięgi jednak nie dotrzymuje, trzeba bowiem mieć serce Tatarzyna, aby przepędzić człowieka, który cały tydzień przeżył na suchym kawałku pieczonego śledzia.

Sobota to wyjątek. Nadchodzi sobota i wtedy Benjaminson jest gościem. Na równi z innymi. Może nawet wa

źniejszym od wszystkich innych gości. Żyd to zacny. Delikatny. Uczony. Maskil. Literat. Poeta. A że biedak — to co z tego? Co ma robić? Gdyby to od niego zależało, byłby bogaczem. A że nie ma szczęścia... Głębokie westchnienie wrywa się z serca. Gospodarz domu odpowiada mu westchnieniem — nalewa kieliszek wina. Jemu, sobie i kolekturowcowi. Wypijają na zdrowie. Nie tylko swoje, ale całego narodu żydowskiego. A od wina człowiek ożywia się. Rozwiązują się języki. Zaczyna się rozmowa. Wszyscy mówią naraz. Broń Boże, żeby to były czcze słowa. Mówią o Biblii, o książkach, o nauce, oświeceniu i o wszelkich innych mądrych rzeczach.

Najmłodszy z gości, autor tej książki, też wtrąca się do dyskusji. Uważa jednak, by nie wyrwać się zbędnym słowem, mimo iż traktują go prawie jak dorosłego. Młodzieniaszek, który już zarabia na siebie, który udziela korepetycji, to przecież nie byle kto.

Od chwili, gdy zrezygnował z darmowego wikt i pracuje na swoje utrzymanie, pozostali dwaj goście zaczęli go traktować jak dorosłego. Zwracali się do niego per pan. Dla kolekturowca stał się klientem. Oferował Szolemowi ósemkę losu loteryjnego i zapewnił z takim samym przekonaniem, jak to zawsze czynił, że niezawodnie, gdy tylko Bóg zechce, główna wygrana przypadnie jemu w udziale. Zaś poeta Benjaminson stał się częstym gościem w mieszkaniu młodzieńca, który udzielał korepetycji. Zasiadał przy jego stoliku, gdy Szolem był zajęty korepetycjami w mieście, i pisał.

Pewnego dnia zjawił się ze swoją starą walizeczką. Ze swoimi papierami i ze swoim czerstwym chlebem. Miał piec swojego śledzia w zajezdzie Rabinowicza i znosić przy tym zniewagi macochy, postanowił czynić to w kuchni gospodyni swojego młodego przyjaciela Szolema. Skończyło się na tym, że całkowicie i na stałe przeniósł się do niego. Odbłyło się to w sposób prosty i zwyczajny. Dwóch ludzi nie dzieli nienawiść. Jeden może być pożyteczny drugiemu. Dlaczego więc nie mogą być razem? Benjaminson to wspaniały hebraista, poeta. Jego młodszy

przyjaciel ma oddzielny pokój. Posiada łóżko. Łóżko jest szerokie. To pole, a nie łóżko. Komu więc to będzie przeszkadzało, jeśli będzie w nim leżeć dwóch, a nie jeden? To, że poeta Benjaminson nie zna miary w gadaniu, że nie przestaje chwalić swoich wierszy, że czyta do późnej nocy swoje poematy, i to z takim zapalem i ekstazą, że łyzy mu ciekną z oczu — to fraszka. Jego młody przyjaciel, Szolem, ma dzięki Bogu twardy sen, zaś Benjaminson nie za bardzo przejmując się tym, że ktoś właśnie śpi. Wtedy, gdy on, Benjaminson, czyta swoje wiersze, cały świat może przewrócić do góry nogami.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że tych wszystkich ludzi nie mogło nic łączyć. Cóż bowiem wspólnego mógł mieć Nachum Rabinowicz, Żyd z pozycją, pół chasyd i pół maskil, z kimś takim jak kolekturowiec w ciemnych okularach, który był litwakiem i mitnagedem. Co mogło łączyć ich obu z wiecznie głodnym i egzaltowanym poetą Benjaminsonem? I wreszcie, jak mógł się dobrze czuć w tym środowisku miły młodzieniec o pulchnych policzkach i kręconych blond włosach (po tyfusie włosy odrosły mu jak trawa po deszczu)? Co miał tu do roboty młodzieniec, który z racji wieku odczuwał normalny pociąg do spacerów, do wycieczek w głąb parku z kolegami i ledwo poznanymi dziewczętami? Trzeba jednak przyznać, że była to istna sielanka, że panowała między nimi prawdziwa, nie do opisania, przyjaźń i zażyłość. Sobota była dniem, na który czekali z utęsknieniem jak na nadzwyczajne spotkanie. Każdy z tej czwórki mając coś ciekawego do opowiedzenia przekładał to na sobotę. Poeta Benjaminson zmagający się cały czas ze swoimi wierszami najlepsze zostawiał na sobotę po południu. Nie znaczy to, że czytał je tylko po obiedzie. W istocie czytał wszystko, co mu się uzbierało w ciągu tygodnia, przed obiadem, przy obiedzie i po obiedzie.

Właściciel kolektury w ciemnych okularach był już znacznie bardziej praktyczny. Gdy wrócili z bóżnicy i ojciec odmówił już wszystko, co należało, odprawił kidusz i zabierał się do mycia rąk, kolekturowiec, spozierając

przez ciemne okulary na talerz, zwykł był powiadać: — A teraz nasz poeta zapewne coś powie. — A poeta, nieborak, choć był głodny jak wilk, nie dał długo na siebie czekać, nie dał się prosić. Kolekturowiec zaś ładował w siebie, ile wlezie. Moczył chałę w pieprznej zupie rybnej, zapijał kieliszkiem mocnej wódki i zacierając ręce wykrzykiwał z zachwytem: — Doskonałe! Mucha nie siada! Koniec świata!

Zaiste, trudno było domyślić się, na czym miał polegać ten koniec świata. Czyżby na wierszach Benjaminsona? Czy na zupie rybnej? Czy też na kieliszku wódki? A może na tym wszystkim razem? Bądź co bądź nastrój był podniosły. Nawet macocha tego dnia czuła się wywyższona. Na sobotę wkładała peruczkę berdyczowską. Łaskawym, przyjaznym okiem patrzyła na gości i zapędzała ich do jedzenia. Niech wreszcie coś zjedzą. Niech coś z tej gadaniny zostanie na później.

Dla dopełnienia obrazu tej sielanki trzeba poświęcić kilka słów jeszcze jednej osobie, która niecierpliwie wypatrywała gości sobotnich. Była nią gabe Fejga Lea. Autor tych wspomnień już ją opisał w innym miejscu, w książce Motł, syn kantora. Był to kot. Z powodu tuszy przezwano go gabe Fejga Lea. Chłopcy mieli słabość do kotów, a Fejga Lea co roku wydawała na świat całe pokolenie dorodnych szarych kociąt. Gdy kocięta dorastały, rozdawano je jako prezenty, Fejga Lea zaś zostawała sama. Był to stary, zasiedziały w domu kot, który znał swoją wartość. Nie dał sobie dmuchać w kaszę. Gwoli prawdzie nie miał u macochy przywilejów. Nieraz obrywał: to nogą w bok, to miotłą po głowie. Zresztą, dlaczego miałby się cieszyć lepszymi względami niż dzieci macochy? A dzieci macochy też nie obchodzą się z Fejgą Leą w rękawiczkach. Dopiekają jej do żywego. Odrywają od piersi małe kocięta i zamęczają je na śmierć. Jest na to wytłumaczenie, zresztą na wszystko można znaleźć usprawiedliwienie. Dlaczego mają dzieci lepiej obchodzić się z kotem, aniżeli własna matka obchodzi się z nimi? Owszem, gdy Szolem mieszkał w domu, to uważał, aby

kotu nie działa się krzywda. Obecnie, gdy jest tylko gościem, gdy przychodzi raz na tydzień w sobotę, Fejga Lea wita go jak swojaka. Wstaje na jego widok, zgina grzbiet, ociera się głową o jego nogi, otwiera szeroko pyszczek, by ziewać i oblizuje się. — Jak się masz Fejgo Leo? — Szolem głaszcze ją po głowie i nachyla się ku niej. — Miau! — Fejga Lea miauczy takim tonem, jakby chciała powiedzieć: „Cóż, grunt, że się żyje, grunt, że się spotykamy”. I nie przestaje ocierać się o jego nogi. Nie przestaje mruczeć i patrzeć na niego wzrokiem istoty, która ma coś na sumieniu. Czeka, by jej coś dał.

— Biedne stworzenie — mówi kolekturowiec i wzdycha. Benjaminson tymczasem polyka coś z talerza i zwracając się do zebranych przy stole powiada, że ma na ten temat własny wiersz pod tytułem I miłosierdziem ogarnia On wszystkie swoje stworzenia. Nie czekając na zaproszenie wznosi oczy do góry i deklamuje swój utwór.

ZAWIEDZIONE NADZIEJE

Egzaminy za pasem. Szolem wraz ze swoim kolegą Elim buduje zamki na lodzie. Dla zwyczajcy nad trzecią. List poetycki do Gurlanda. Klub w trafice. Gurland odpowiada listem i zamki na lodzie rozpadają się

Czas płynie. Dzieci rosną. Nadchodzi lato, ostatnie lato. Kończy się szkoła. Egzaminy za pasem. Jeszcze tydzień, jeszcze dwa i koniec ze szkołą. Szolem ma już jej dosyć. Bohater tych wspomnień nigdy nie żywił zbyt wielkiej sympatii do szkoły. Nigdy nie była ona dla niego źródłem wiedzy i mądrości. Jeśli skorzystał z owoców wiedzy, to chyba tylko z płodów drzewa, któremu na imię było haskala. Dużo mu dały książki rosyjskie i hebrajskie, ga

zety i czasopisma. Oto, czym się karmił. W dużym stopniu pomagał mu w tym klub, ówczesna inteligencja perejasławska z kolekturowcem, Benjaminsonem i „udanymi zięciami” na czele. I przede wszystkim Arnold z Pidworków ze swoją bogatą biblioteką.

Jedyną rzeczą łączącą go ze szkołą była przyjaźń z kolegą Elim. Jego kochał naprawdę. Lubił go za żywy temperament, za talent w naśladowaniu nauczycieli. Eli robił to jak prawdziwy aktor, jak urodzony komik. Razem przewracali świat do góry nogami. Czytali książki, używali żywota. Z pozostałymi kolegami z klasy nie utrzymywali kontaktów. Były to zakute pały. W czasie, gdy przygotowywali się do egzaminów, gdy drżeli ze strachu przed wpadką, nasi przyjaciele, Szolem Rabinowicz i Eli, syn Dodiego, kpili z całego świata. Egzaminy mieli w nosie.

Na dworze lato: żyć, nie umierać! Istny raj. Można pływać, wiosłować, przeprować się na drugi brzeg rzeki. Tam rośnie gęsto oczeret. Tam, na drugim brzegu, rozciąga się łąka upstrzona białymi i czerwonymi stokrotkami. Za łąką rośnie gaj, a właściwie las. Bieg do lasu aż do utraty tchu to nie lada sztuczka. Kto prędzej dobiegnie, Szolem czy Eli? Po biegu obaj ledwo dyszą. Rzucają się wtedy na zieloną i pachnącą trawę. Leżą na brzuchu. Twarz zanurzają w surowej, piaszczystej ziemi. Po piasku spaceruje muszka, przechadza się żuczek, uwija się mrówka taszcząca w swoich przednich nóżkach całe źdźbło słomy, kawałeczek kory, igłę sosny. Dokoła panuje cisza, rzadko tylko przerywana świergotem przelatujących nisko jaskółek. Znak, że będzie deszcz. Słysząc kumkanie żab. „Kum, kum!” jakiejś osieroconej w oczerecie żaby. Za chwilę milknie. A więc na pewno będzie padać, chociaż niebo jest czyste i klarowne jak kryształ. Najmniejszej plamki na horyzoncie. I odczuwasz wówczas jakiś ściśły związek z tym lasem, z łąką, stokrotkami, tą świeżą ziemią, pachnącą trawą, muszką, żuczkiem i mrówką uwijającą się pracowicie, jaskółkami latającymi nad głową, żabami kumkającymi nad wodą, z całą otaczającą

cię przyrodą. Wszystko stanowi tu niepodzielną całość. Fauna, flora i człowiek to jeden świat, to jedna rodzina. A wszystko szumi, ryje, hałasuje. A cały ten harmider, ten jarmark — to świat. To nazywa się życiem. Obydwaj przyjaciele są zadowoleni z życia. Są usatysfakcjonowani własną przeszłością, zadowoleni z dnia dzisiejszego i z ufnością spoglądają na dzień jutrzejszy. Spodziewają się po nim jeszcze więcej radości. Tymczasem rozmawiają. Długo, cicho, spokojnie. Jest to rozmowa bez początku i bez końca. Głównie obraca się wokół tego, co ich oczekuje. Co będzie dalej? I roztaczają swoje plany. Zaczynają budować zamki na lodzie. Zarysowuje się przed nimi życie pełne barw. Takie życie, które jest tylko owocem fantazji. Marzenie, które nigdy nie ziści się na Ziemi. Jednak nie można bawić długo na łące. Czas nie stoi w miejscu. Egzaminy to nie fraszka. Wprawdzie są prymusami, ale nigdy nic nie wiadomo. Zdarza się, że i najlepszemu noga się powinie. Jeden tylko człowiek nie tracił pewności. Był nim kolekturowiec w ciemnych okularach. — Co mi tam egzaminy? Jakie tam egzaminy? Guzik z pętelką — tak perorował właściciel kolektury, bardziej niż rodzony ojciec przeżywając szkolne losy Szolema. Nic też dziwnego, że znacznie silniej niż inni przyjął radosną nowinę, iż Szolem i jego przyjaciel Eli zostali zwolnieni z egzaminów. — Chwała Bogu! Jesteśmy zwolnieni! Zwolnieni z egzaminów, no i pohulamy! — Kolekturowiec nie posiadał się z radości. I wieczorem tego samego dnia przyniósł do mieszkania urwisa, jak wciąż nazywał Szolema, jednego śledzia i butelkę wódki. W trójkę wraz z poetą Benjaminsonem wyprawili sobie ucztę zgodnie z boskim przykazaniem. Duch Boży, jak powiedział o sobie Benjaminson, natchnął go. Czym prędzej spłodził wiersz Dla zwycięzcy nad trzecią hymn pochwalny.

„Nad trzecią” oznacza trzecią klasę szkoły, którą Szolem właśnie ukończył. Teraz zaczynał się nowy etap. Co dalej? Ku jakiemu celowi zmierzać? Na scenę wkroczyli

wszyscy nasi starzy znajomi. Obaj zięciowie, Arnold z Pidworków i wszyscy pozostali dobrzy przyjaciele. Każdy ze swoją radą: gimnazjum, szkoła rabinacka, uniwersytet, lekarze, adwokaci, inżynierowie... Ojciec był w rozterce. Tyle dróg, profesji, biznesów, aż w głowie się mąci.

Ze wszystkich propozycji i projektów wybrali Instytut Nauczycielski w Żytomierzu. Instytut obiecał wziąć obydwu absolwentów, to znaczy Szolema i Elięgo, na utrzymanie państwowe. W tej sprawie posłano już dokumenty do Żytomierza do dyrektora szkoły, pana Gurlanda. Dla większej pewności Szolem załączył do dokumentów napisany przez siebie list po hebrajsku. List był w prawdziwie poetyckim stylu. Chciał pokazać dyrektorowi, że z nie byle kim ma do czynienia. Kolekturowiec był wniebowzięty.

— Chwała Bogu, żeśmy się już pozbyli kłopotów. — Mówiąc to wytarł mokrą połą marynarki swoje ciemne okulary (bez okularów twarz kolekturowca wydawała się spuchnięta, a oczy przypominały poduszeczki). — Nasz urwis ma już przyszłość zapewnioną. Obym ja już miał takie kłopoty z sobą jak on. Kim by już nie został: rabinem czy nauczycielem, ale jedno jest pewne — wyjdzie na ludzi. A z poboru do wojska też jesteśmy zwolnieni. Pozostaje więc tylko jedno — dokonać wyboru narzeczonej. Ładnej, z porządnego domu, z posagiem tysiąca pięciuset karbowaniców. A wtedy żyć, nie umierać. Każ więc pan, reb Nachumie, podać kwaterek wina tego cerkiewnego, kosztownego i zdatnego na święto Pesach.

Okazuje się jednak, że kolekturowiec pospieszył się nieco. Wypadki potoczyły się inaczej.

Wszystkie interesy, których miał się Nachum Rabinowicz, nie wystarczyły na jakieś takie utrzymanie. Traf chciał, że znalazł się pewien bogaty gruboskórny goj nazwiskiem Zachar Nestorowicz, który zapalał wielką czcią i szacunkiem dla Nachuma. Odstąpił mu sklep z piwnicą w swojej kamienicy w dodatku od frontu. Nachum miał tam sprzedawać tytoń i papierosy. Do tego sklepu przeniósł Nachum również wyszynk różnych win jużnawo bieriega.

I zaczęła się sypać forsa. Dom Nachuma Rabinowicza, jak pamiętacie, był domem zebrań, był klubem, w którym spotykali się maskile, zbierała się młodzież. Obecnie klub ten ożywił się jeszcze bardziej. Zachodziło do niego coraz więcej i więcej przyjaciół. Dobrych przyjaciół i w ogóle klientów. Kto tylko rozporządzał chwilką wolnego czasu, chciał pogadać z ludźmi, pragnął dowiedzieć się, co słychać na świecie, ten wpadał do trafiki, aby zapalić papierosa i zamienić kilka słów.

Pewnego dnia zebrała się w klubie albo, jak wolicie, w trafice cała śmietanka perejaśławskiej inteligencji. Znaleźli się tam wszyscy nasi starzy znajomi: Jose Fruchsztejn, „udani zięciowie”, Arnold z Pidworków i, rzecz oczywista, kolekturowiec w swoich ciemnych okularach oraz poeta Benjaminson. Nie zabrakło też naszego młodego urwisa Szolema. Rozmowa była bardzo ożywiona. Co chwila towarzyszył jej wybuch śmiechu. Wywoływał go zwykle jeden z zięciów, Lejzor Josł. Mianowicie żądał od każdego z obecnych wytłumaczenia bez użycia rąk słowa „masywny”. A że dla Żyda jest to zadanie niemożliwe do wykonania, więc śmiechu było co niemiara. Wtem, gdy śmiech osiągnął apogeum, otwierają się drzwi i na progu staje listonosz z listem poleconym. Na kopercie dużymi literami rosyjskimi wypisany jest adres nadawcy: „Kancelaria Żytomierskiego Państwowego Żydowskiego Instytutu Nauczycielskiego”. Aha! To od niego. Od Gurlanda! Szybko otworzyli kopertę. Przeczytali list od dyrektora Gurlanda. W liście stało jak byk: „Ponieważ nauka w Instytucie trwa cztery lata, a jak wynika z dokumentów kandydat urodził się lutego , zatem roku , czyli już za trzy lata, w miesiącu październiku, będzie musiał stanąć do poboru. To znaczy na rok przed ukończeniem naszej szkoły”.

Jak grom z jasnego nieba spadła na wszystkich ta wiadomość. Najpierw spierano się o sens zawartych w liście słów. O co właściwie chodzi? Dlaczego pan Gurland nie dopowiedział do końca swojej decyzji? Co z tego wynika dla nas? A może jest jakaś rada, istnieje jakiś kruczek,

by wypłatać się z tego? Próżne jednak spory. Daremne rozważania. Stało się jasne jak dwa razy dwa jest cztery, że to przegrana sprawa. Szansę wstąpienia do instytutu żadne. Metryki przecież przerobić nie można. Pan Gurland zaś nie jest człowiekiem, z którym można kręcić. Przepadło!

Bohater niniejszych wspomnień doskonale przypomina sobie ową epokę przejścia z jednego świata do drugiego. Trzeba było wybrać drogę, po której należało kroczyć dalej. Trzeba było opracować plan działania. Program na całe życie. Szolem i Eli dawno już zdecydowali, że razem przeniosą się do Żytomierza. Razem będą mieszkali, spacerowali, uczyli się i kąpali. Gdy nadejdą wakacje, razem pojedą do domu. I co to będzie za niespodzianka! Koledzy z ujezdnoj zostaną oszołomieni ich żytomierskimi mundurkami. Najlepiej trzymać się od nich z daleka. Będą rozmawiali o Puszkynie, Lermontowie, Szekspirze i Byronie. I koniecznie głośno, żeby wszyscy słyszeli, żeby wszyscy wiedzieli. Koledzy będą się dziwowali, zazdrościli. Zarumienione dziewczęta będą się kręciły koło nich i udawały, że niby to poprawiają swoje rękawiczki. Będą strzelały oczkami i próbowały bliżej poznać się z nimi. Słowem, będzie jak w raju! I nagle ze wszystkich marzeń nici. Nie ma Żytomierza! Nie ma Instytutu Nauczycielskiego! Nic z kąpieli w rzece. Nic z wiosłowania. Koniec z wakacjami. Koniec z kolegami. Koniec z dziewczętami. Nie ma raju! Koniec z karierą. A twarz ojca? Żal popatrzeć: żółta jak wosk. Nowe zmarszczki, nowe troski, nowe westchnienia. Gwałtu, co robić? Co należy zrobić? Poeta Benjaminson czuje się niedobrze. Pragnie ich pocieszyć choćby nowym wierszem. Ale biada. Nic nie wychodzi. Kolekturowca jakoś nie widać. Kilka razy pokazał się na krótko. Powiedział, że ma jakiś bardzo dobry plan dla urwisa, który zabezpieczy go na całe życie. Jego i jego dzieci. I dzieci jego dzieci. Nie ma jednak w tej chwili czasu. Umyka. Odtąd po nim ani widu, ani słychu.

KONIEC SIELANKI

Kim był właściciel kolektury? Trzy ruble za gramatykę na święto. Śmierć kolekturowca. Pogrzeb. Poeta Benjaminson znika i odnajduje się w Ameryce

Nie ma nic wiecznego na tym świecie. Nadszedł kres sielanki. Jeden ze wspomnianych przyjaciół zmarł przed czasem, drugi odszedł niedługo po nim i cała paczka rozleciała się. Początek zrobił nasz stary znajomy, kolekturowiec w ciemnych okularach i w wielgachnych, głębokich kaloszach. Niedługo po nim wyniósł się również poeta Benjaminson. Kim właściwie był kolekturowiec? Skąd się wziął? Gdzie i kogo zostawił w świecie? Dla kogo harował przez całe życie? Dla kogo dreptał w błocie, pocił się i czekał na swoją wielką wygraną? Są to pytania, na które trudno udzielić wyczerpującej odpowiedzi. Godzi się tylko przypomnieć, że często prosił swego młodego przyjaciela, tego, jak go nazywał, urwisa, aby swoją rączką wykaligrafował mu po rosyjsku adres. Adres podyktowany przez niego brzmiał: „Miasteczko Panast, powiat Pińsk, gubernia Mińsk, pani Frejdka Etkka”.

— Pani Frejdce Etce — poprawia go urwis zgodnie z gramatyką. Kolekturowiec dyktuje dalej:

— Z włożeniem trzy ruble.

— Trzech rubli — poprawia go znowu urwis.

Na co tu gramatyka. Kolekturowiec nie daje za wygraną. Tam nie potrzebują gramatyki. Tam czekają na pieniądze. Nie na próżno powiadają u nas na Wołyniu, że jak litwak wyjeżdża z domu na siedem świąt pesachowych, to szukaj wiatru w polu. Kolekturowiec miał taką naturę, że gdy wyszedł z domu na chwilę, to przepadał na długo. Ile razy byście go potem pytali, gdzie był, nie dojdziecie z nim do porozumienia. — Gdzie byłem, to byłem. Nie wasze zmartwienie. — I tym

razem kolekturowiec zniknął i nikt nie wiedział, gdzie się podział.

Pewnego razu, gdy Szolem wczesnym rankiem udzielał uczniom korepetycji w swoim pokoju, otworzyły się drzwi i pojawił się w nich ojciec. Szolem zaniepokoił się: — Co się stało?

— Nic. Kolekturowiec zaniemógł. Trzeba pójść do niego. Trzeba odwiedzić chorego...

Po drodze dowiaduje się od ojca szczegółów. Od dłuższego już czasu z kolekturowcem nie było najlepiej. Ostatnio jednak stan jego zdrowia znacznie się pogorszył. W toku rozmowy padają coraz smutniejsze szczegóły. Okazuje się, że jest poważnie chory. Całkiem z nim krucho. To znaczy, że dni jego są policzone. Tak rozmawiając dochodzą do podwórza bóżnicy.

Podwórze bóżnicy całe w promieniach gorejącego słońca ostatnich dni lata. Pełno na nim żydowskiej dziatwy.

Półnogie i bosc chłopaczyska bawią się w koniki, hałasują. Dźwięczne okrzyki z młodych, zdrowych gardeł napęlniają echem całą okolicę. Kipi życie. Radość panuje na żydowskiej ulicy. Powietrze, mimo panującej tu ciasnoty, jest orzeźwiający. Gdzieniedzie wyrasta jakieś drzewko. Spod ziemi przebija trawka. Brudna woda, którą tu wylewano, chroni od kurzu wzbijanego przez rozbiegane dzieci. Jest przecież lato. Nie siedzi się w domu. Jest dobrze na tym bożym świecie.

Tutaj mieszka kolekturowiec. Tato wskazuje drogę. Schodzą w głąb ni to piwnicy, ni to grobu. Opierają się rękami o wilgotne ściany. Naciskają ciężką żelazną klamkę i otwierają drzwi. Oczom ich ukazuje się następujący widok: Na gołej podłodze, przykryty czernią, leży jakiś przedmiot. Środkowa jego część jest wybrzuszona szpiczasto do góry. U wezłowia dopalają się dwie świece wetknięte w dwie różnej wielkości i różnego koloru butelki. Z tyłu za świecami, pośrodku pokoju, siedzi na taborecie Żyd ze skołtunioną brodą. Ma na sobie podartą, postrzępioną kapotę. Jest to szames. Po prawej stronie stoją jak osieroczone bliźnięta dwa stare, głębokie, podarte

kalosze, a na parapecie jedyne okna leżą duże ciemne okulary.

Tego samego dnia odbył się pogrzeb. Można sobie wyobrazić, jaki to był pogrzeb. Po pierwsze, umarły był nędzarzem. Nikt go nie znał i nikogo nie obchodził. Po drugie miał w mieście opinię zakonspirowanego heretyka. Ponieważ jednak w pogrzebie uczestniczyli reb Nachum Rabinowicz, Jose Fruchsztejn, obaj udani zięciowie oraz Arnold z Pidworków, dla którego był to może pierwszy i ostatni pogrzeb, w którym wziął udział, ludzie z miasta zaczęli przejawiać coraz większe zainteresowanie. Zaczęli się schodzić. Tłum rósł i rósł. Niespodziewanie pogrzeb przeistoczył się w wielką, wspaniałą i imponującą uroczystość. Biedacy i nędzarze wyczuli tłusty kąsek. Nie będą im skąpić datków. Ze wszystkich zakątków powyłazili więc kalecy. Ciągnęli za poły. Ryczeli w niebogłosość pytając, dlaczego nie dostają jałmużny. Trudno było im wytłumaczyć i przekonać, że umarły był takim samym biedakiem jak oni.

— Dlaczego więc ma taki uroczysty pogrzeb? Jeżeli nie bogacz — twierdzili — i nie rabin, jak widać, to skąd te zaszczyty?

Słońce jeszcze mocno prażyło, gdy wyniesiono z piwnicy nosze ze zmarłym przykryte czarnym płótnem. Podwórze bóżnicy i cała uliczka były po brzegi zapełnione tłumem. Nikt nikogo tu nie prosił. Wszyscy przyszli z własnej woli. Nikt nie płakał. Tu i ówdzie rozlegały się westchnienia. Nikt nie wygłaszał żałobnych przemówień. Nikt nie rozdierał szat, nie odmawiał modlitwy za umarłych, nie odprawiał przez siedem dni pokuty żałobnej.

Słysząc było tylko pochwały: — To był porządny Żyd... Wprawdzie nie cadyk, ale porządny, uczciwy człowiek... Wspierał wielu biedaków... Co zarobił, to rozdawał..., ostatni kęs... Poświęcał się dla innych..., dla starych chorych Żydów... Nie wahał się wydierać od bogatych ludzi datków... Nie znosił podziękowań... Nigdy nie dbał o siebie, ale zawsze o innych... Dziwny był z niego człowiek... taki to człowiek...

Był to piękny pogrzeb, pełen jakiejś cichej satysfakcji. Chwała Bogu, że ludzie odwdzięczają się ludziom. Jeśli nie za ich życia, to przynajmniej po śmierci. Odrobina czci i szacunku za ich cierpienia i trud, gorzka męka. Żał tylko, że sam kolekturowiec w ciemnych okularach nie może choćby na chwilę, na małą, jedyną chwilę wstać z grobu i popatrzeć na okazywany mu szacunek. A zresztą, kto to może wiedzieć? Cóż my w ogóle wiemy? Po głowie błakają się różne myśli o nieśmiertelnej duszy. Wierzył w nią zmarły, mimo iż był heretykiem. A może w kondukcje kroczy właśnie jego dusza wraz z nami i dusza ta wie więcej, znacznie więcej od nas? Kto wie? Kto wie?

Tłum rzędnie stopniowo. Przed cmentarzem znaleźli się tylko najbliżsi przyjaciele. Cały klub. Miejsce na grób wyznaczono skromne. Tak skromne, jak skromny był umarły. Gdzieś z boku. Usypano pagórek na świeżej mogile i wszyscy się rozeszli. Nikt nie płakał. Nikt nie odmówił Kadiszu. Nie wygłosił przemówienia żałobnego. Nikt nie odbył siedmiodniowej pokuty za zmarłego. Przez pewien czas jeszcze mówiono o nim w klubie. Później przestano i zapomniano.

Wkrótce potem zniknął również poeta Benjaminson. Przez długi czas nie wiadomo, gdzie się podziewa. Wreszcie rozeszła się wieść, że jest w Kijowie. Po jakimś czasie Benjaminson zasłynął jako uczestnik „wielkiej wojny”, która wybuchła wśród mędrców kijowskich. O tym dowiemy się szczegółowo w następnych rozdziałach. Jego nazwisko wymieniano razem z takimi ludźmi, jak Mojsze Aron Szacki, Icchok Jaków Wajsenberg, Dubzewicz, Darewski. Potem doszły do nas słuchy, że Benjaminson wyemigrował do Ameryki i tam powodzi mu się bardzo dobrze. I tak rozpadła się paczka. Rozdzieliła się grupa, wygasła rzadko spotykana przyjaźń. Koniec sielanki.

PÓŁ ROKU TUŁACZKI

Samotny i osierocony. Żyd od skór. W świat w poszukiwaniu szczęścia. Długo nie można być gościem. Konkurencja prywatnych nauczycieli i małomiasteczkowa zawiść. Klezmer Abraham — ktoś w rodzaju Stempeniu. Powrót do domu Straciwszy dwóch bliskich przyjaciół, właściciela kolektury i Benjaminsona, bohater niniejszych wspomnień nie mógł sobie znaleźć miejsca. Był jak osierocony. Jeszcze bardziej odczuł swoją samotność, gdy jego jedyny pozostały kolega, Eli, wyjechał do Żytomierza. Do uczucia samotności mimo woli przyłączyło się uczucie zazdrości. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że jest to brzydka przywara, że jest w tym coś nieczystego. Nic jednak na to nie poradzi. Gniewało i bolało Szofema, że szczęście uśmiechnęło się nie do niego, ale do jego kolegi. Z jakiej racji? Czym zawinił, że pospieszył się z przyjściem na świat o parę miesięcy wcześniej? Z powodu takiego głupstwa miałby zaprzepaścić karierę? Przegrać całe swoje życie? Schował głowę w poduszkę i gorzko zapłakał. Wydawało mu się, że niebo runęło na ziemię i na świecie zapanowała ciemność.

Nie ma jednak takiej choroby, na którą nie byłoby lekarstwa. Najlepszym lekarstwem na rany duszy jest czas. Poproszę teraz czytelnika, aby pofatygował się ze mną do dawnego domu zajezdnego państwa Rabinowiczów. Wśród stałych gości zajazdu był pewien jegomość o dziwnym przezwisku: „Żyd od owczych skór”. Owcze skóry wysyłał do swojej garbarni. Tam je czyszczono, farbowano, wyprawiano i wyrabiano z nich czapy i kożuchy dla gojów. Gdy Żyd od skór przyjeżdżał, to czuć go było już na odległość. Ostra była woń tych skór. W pierwszych dniach jego pobytu cały zajazd trząsał się od kichania. Potem zatykały nam się nosy i nie czuliśmy już żadnego zapachu.

Sam Żyd od skór był miłym człowiekiem. Prostoduszny, dobry i szczerzy. Zamiast „sz” wymawiał „s”. Modlić się chciał tylko na głos. W wigilię szabasu, gdy zabierał się do odprawiania kiduszu, brał do ręki kielich, przymykał oczy i potężnym głosem wykrzykiwał: „Tak zostały ukończone niebo i ziemia”. Wtedy dziatwa ze śmiechu chowała się pod stołem. Żyd od skór wiedział, że to z niego śmieją się, ale zbytnio się tym nie przejmował.

— Sajgece! Scury! Cy wolno śmiać się ze starego człowieka? Bóg was ukaże, sarlatani!

To wywoływało jeszcze większy wybuch śmiechu. Wszyscy się śmiali. A potem sam Żyd od skór też pokładał się ze śmiechu. Za jego to przyczyną autor niniejszych wspomnień zdecydował się na opuszczenie rodzinnego miasta i wyruszenie w świat w poszukiwaniu swego szczęścia. I to, broń Boże, nie do Ameryki, nie do Londynu, Paryża, nawet nie do Odessy, Warszawy lub Kijowa, ale do małego miasteczka niedaleko Perejasławia, do Rżyszczewa w guberni kijowskiej. U niego, w Rżyszczewie, twierdził Żyd od skór, nie ma nauczycieli. — Ozłocą tam pańskiego syna, panie Rabinowicz. Sam mam dzieci, moi przyjaciele oraz znajomi też mają dzieci. Dzieci chcą się uczyć, a nauczycieli nie ma. Choć weź i powieś się! Uwierzcie mi, przysięgam, że syn wasz będzie się czuł u mnie jak w domu. Będę go strzegł jak żrenicy oka.

Słowem, tak zachęcił zarówno ojca, jak i syna, że trudno było oprzeć się pokusie. Wsiedli na statek parowy i popłynęli do Rżyszczewa.

Natychmiast skierowano tam przybyszów do Żyda od skór. Gości przyjęto niezwykle serdecznie. Pierwszego dnia nie wiadano po prostu, gdzie ich posadzić i co z nimi zrobić. Samego gospodarza zastali przy sortowaniu skór. Był tylko w kamizelce, bez kapoty i bez butów. Ujrawszy dostojnych gości włożył czym prędzej buty, zarzucił kapotę i dawaj krzyczeć do drugiego pokoju:

— Sejne Sejnd! Sejne Sejnd! Sykuj samowar! Mamy gości!

Piorunem zjawił się samowar. Potem szklanki, herba

ła, kawa, cykoria, mleko i bułki z masłem. Na takie luksusy można sobie pozwalać tylko w święto Szawuot, gdy jadłospis jest mleczny, albo z okazji połogu w domu. Obiad zaś był istic królewski: faszzerowana ryba, ryba smażona, ryba pieczona, rosół z makaronem, rosół z ryżem, rosół z migdałami. Do wyboru, do koloru. O mięsie już nie mówię. Wszystkie rodzaje i wszystkie gatunki. Były nawet dwa rodzaje cymesu. Po tym wszystkim znów samowar. Znowu herbata, konfitury i ciastka. Gdy nadeszła pora kolacji, gospodarz zwrócił się do gości z pytaniem, co mianowicie wybierają z mlecznych potraw — pierogi, naleśniki czy też bliny? Goście skromnie odpowiedzieli, że im wszystko jedno. Oczywiście podano wszystkie trzy wymienione potrawy. Zapili je kawą i uraczyli się dodatkowo konfiturami

wszelkiego rodzaju. Ojcu posłano na aksamitnej kanapie, Szolemowi zaś na drugiej kanapie. Pościelono im tak, jak się ścieli łoże książęce lub królewskie. Następnego dnia ojciec pożegnał się i odjechał. Szolem został u Żyda od skór na kwaterze wraz z wiktem. Za to miał udzielać lekcji jego dzieciom.

Nazajutrz obiad był już mniej wystawny. Zwykła kasza z rosółem, kawałek mięsa i to wszystko. Kolacja była również mleczna, ale składała się z małego kawałka sera, masła i chleba.

Chleba było w bród. Jednak gościowi posłano już nie na aksamitnej kanapie, ale na żelaznej skrzyni. Rano bolały go wszystkie kości. Łamało w krzyżu. Trzeciego dnia obiad składał się ze zwykłej zupy kartoflanej, po której paliło niemiłosiernie. Kolacji już nie podano. Zastąpiła ją szklaneczka herbaty z chlebem. Tym razem pościelono mu już na podłodze, na wyprawionych skórach. Trzeba było nie lada wysiłku, aby nie udusić się od odoru wydzielanego przez skóry. Na dodatek przez całą noc darło się dziecko w kołysce. O spaniu nie było mowy. Mała lampka kopciła i wydzielala czad. Od płaczu dziecka i czadu pękała głowa. Litość i trwoga!

Korepetytor doszedł do wniosku, że o spaniu nie ma co marzyć. Wstał więc i podszedł do dziecka w kołysce.

Chciał ustalić, dlaczego płakało. Okazało się, że sprawcą płaczu był kot, który wlaź do kołyski i poczuwszy się tam jak u Pana Boga za piecem spokojnie zasnął. Korepetytor zastanawiał się, co robić? A może wyrzucić kota? Szkoda. Żał. Zostawić kota w spokoju? Wtedy dziecko będzie dalej ryczało. Wpadł więc na pomysł, bo mądry chłopak zawsze da sobie radę. Zacznie kołysać dziecko i wtedy kot sam ucieknie. Znał to z własnej praktyki. W domu i w chederze spotykał się z podobnymi przypadkami. Zanim położono niemowlę do kołyski, uważano za wskazane najpierw wsadzić tam kota i porządnie go wykołysać. Kot jednak za żadne skarby nie chciał być kołysany. Ledwo zdążyłeś ruszyć kołyską, już czmychał. Gotów był oczy ci wydrapać. I tym razem tak było. Korepetytor zaledwie zbliżył się do kołyski, gdy kot natychmiast z niej wyskoczył i gdzieś przepadł. Niemowlę zaś, ukołysane, przestało płakać i zasnęło. Gdy nazajutrz Szolem opowiedział o tym matce niemowlęcia, ta obrzuciła kota gradem przekleństw. Niemowlę przytuliła do piersi nie przestając pieścić i hołubić. A niech tego kota szlag trafi! A że korepetytor nie zmrużył w nocy oka, obchodziło ją tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Doszedłszy do przekonania, że to wszystko nie ma sensu, korepetytor w porę wziął rozbrat ze skórami i przeniósł się na kwaterę do innego gospodarza.

I tu zaczęła się dla niego nowa seria kłopotów, nieszczęść i udręk. Okrutne gospodynie, zasiedziały prusaki, jadowne pluskwy, nietoperze, szczury i inne plugastwa. Wszystko to jednak betka w porównaniu z intrygami, które snuli konkurujący z nim korepetytorzy. Byli to Żydzi, mełamedzi, nauczyciele dziewcząt, zaznamiający je z sztuką pisania. Wszyscy oni toczyli z sobą bezlitosną walkę. W stosunku do nowego konkurenta z Perejasławia zajęli jednolite stanowisko. Nie było takiego paskudztwa na świecie, którym by nie obrzucili nowego przybysza. Gdyby dać wiarę ich twierdzeniom, to Szolem był istnym kryminalistą, złodziejem, bandytą, słowem, człowiekiem do wszystkiego. Rozpuścili takie plotki wśród chlebobdaw

ców naszego korepetytora, że nie pozostało mu nic innego, jak tylko prosić Boga, aby sezon szkolny skończył się wreszcie i żeby mógł ujść stąd z życiem.

Pobyt w Rżyszczewie był prawdziwym koszmarem. Złym i upiornym snem. Jedyne miejsce, w którym czuł się dobrze, należał do klezmera Abrahama. To był prawdziwy artysta. Istny mistrz. W pełni zasłużył na to, aby go opisać. Był to

wysoki, postawny, barczysty mężczyzna

o okrągłej twarzy, małych oczkach, gęstych brwiach

i o czarnych, długich, kręconych włosach. Ręce miał grube, szerokie i tak owłosione, że skrzypce wyglądały w nich jak małe skrzypczki, jak zabaweczka. Nut nie znał, a mimo to był autorem wielu kompozycji. A grał tak pięknie, że można go było słuchać bez końca. Był to ktoś w rodzaju Stempeniu, a może nawet przewyższał go. W życiu również żywo przypominał Stempeniu. Dziwny facet. Poetycka natura i wielki miłośnik płci nadobnej. W odróżnieniu jednak od Stempeniu miał żonę w niczym nie przypominającą jędzy słynnego artysty. Wprost przeciwnie. Abrahamowa, żona klezmera, była podobna do swego męża. Wysoka, przy tuszy i piękna. Może ciut za bardzo przy tuszy. Można było wyciąć z niej trzy kobiety, ale co do charakteru — prawdziwa kopia Abrahama. Jak dwie krople wody. Oboje nigdy nie wściekali się. Zawsze pogodni, weseli, dobrze usposobieni do ludzi, zawsze uśmiechnięci. Lubili dobrze zjeść, dobrze wypić, dobrze żyć. Jeśli było za co, to kupowali sobie rzeczy najlepsze i najdroższe. Jeśli forsy nie było, potrafili zaciąć zęby i czekać cierpliwie, aż Bóg ześle im jakiś zarobek, choćby najdrobniejszy. Wtedy ciachnie się po śledziku i też będzie uczta. Tak jak Bóg przykazał. Dzieci Stwórcy im nie poskąpił. Mieli ich całe stadko. Każde dziecko miało wrodzony talent do muzyki. Każde grało znakomicie. Każde na innym instrumencie. Rzadko spotykana orkiestra. Do nich wpadał nasz korepetytor z Perejasławia. U nich czuł się jak ryba w wodzie. Sam mistrz uczył go gry na skrzypkach. Za darmo. Klezmer Abraham nie na

leżał do ludzi, którzy brali pieniądze za rzecz tak świętą jak muzyka. Jeśli zaś korepetytor jest w posiadaniu paru groszy, to bardzo prosi o małą pożyczkę. To samo jego żona, klezmerowa Abrahamowa. Akurat potrzebuje kilku groszy na targ... — A nuż znajdzie się u pana w kieszeni trochę drobnych?

Rzecz jasna, że drobniaki zawsze się jakoś znajdą.

W ten sposób Szolem stał się w ich domu swojakiem. Niemal członkiem rodziny. To zaś wystarczyło, aby jego konkurenci po fachu zaczęli szpetnie obgadywać jego i klezmera z klezmerowa oraz całą ich rodzinę. Roztrąbili po całym mieście, że Szolem wszystko, co zarabia, oddaje klezmerowej i że co noc wyprawiają w domu klezmera hulanki. Klezmerowie grają, a Szolem tańczy z klezmerowa. Słowem, używanie na sto dwa. Nie obchodzi ich to, że biedacy w mieście puchną z głodu, a małe dzieci umierają. Opowiadający tę nowinę robi przy tym pobożne miny. Wywala oczy do nieba, a słuchacze spluwają. Co to ma wspólnego z biedakami? Jaki tu związek z dziećmi? Co ma znaczyć spluwanie? O to nie należy pytać. Tam, gdzie w grę wchodzi rywalizacja, nie ma miejsca dla zdrowego rozsądku. Jednym słowem, Szolem ledwo dotrwał do końca sezonu szkolnego i czmychnął z przeklętego miasteczka. Uciekał nie oglądając się za siebie. Przysiągł, że jego dzieci i wnukowie nigdy nie będą udzielać lekcji i korepetycji w małych miasteczkach. Twardo postanowił poszukać innej drogi do życiowej kariery.

Jakże słodki jest powrót do domu! Szolem znowu spotyka się ze swoim przyjacielem Elim. W mieście mówią, że pisuje do „Hamagid”. Darwin, Buckle i Spencer. Dwa typy ówczesnych eksternistów
Żadne słowo nie brzmi tak pięknie jak słowo „mama”. Żadne słowo nie przemawia tak mocno do serca jak „dom rodzinny”. Jeśli się chce właściwie ocenić dom rodzinny, trzeba choćby na krótko go opuścić. Należy udać się na krótką nawet wędrowkę po obczyźnie, aby potem wrócić do domu, do swego rodzinnego gniazda. Każdy przedmiot nabiera wtedy swoistego wdzięku. Przybiera inne oblicze. Wszystko staje się droższe i bliższe sercu. Człowiek czuje się odmieniony. Jakby na nowo się urodził.

Kiedy bohater niniejszych wspomnień wrócił do domu na Rosz Haszana, najpierw wyruszył na miasto. Przemierzył wszystkie ulice chcąc upewnić się, czy wszystkie podwórka, wszystkie ogrody i wszystkie domy są na swoich miejscach. Ludzie, których po drodze spotykał, zmienili się niewiele. Serdecznie witali się z nim, a on ze swojej strony starał się okazywać im swoją życzliwość.

Tylko młodzież tymczasem nieco podrosła. Stała na własne nogi. Szolem, jak go zapewniano, też podrosł i zmężniał. W dodatku ubierał się elegancko, z fasonem i szykiem. Buciki skrzypiące, obcasy wysokie. Spodnie szerokie i długie. Słowem, ostatni krzyk mody. Krótka marynareczka, kapelusik jaśnusięński w odcieniu żółtym. Włosy długie niczym poeta. Sczesane w dół a la Gogol.

Zupełnie inaczej wyglądał jego kolega Eli, który również przyjechał na święta z Żytomierza. Jego mundur składał się z krótkiej zapiętej pod szyją marynarki, przypominającej tuzurek, i krótkich, wąskich spodni. Na głowie kaszkiet z szerokim daszkiem. Włosy ostrzyżone na

zero niczym u żołnierza. Pierś wysunięta do przodu. Zęby białe, oczy wesołe. Opowiada cuda o swoim instytucie. Nie może się wprost nagadać. Przerabiają tam, powiada, wyższą matematykę. Obcuja z literaturą rosyjską, uprawiają gimnastykę. Jeśli idzie o judaistykę, to tyle co kot napłakał. Rozdział z Piącioksięgu, rozdział z Gemary, i to wszystko. I to jest ta cała nauka w Instytucie Nauczycielskim? I ten oto Eli będzie nauczycielem żydowskim? Rabinem? Szolem był oszołomiony, bo Eli przywiózł z Żytomierskiego Instytutu Nauczycielskiego całą pakę wierszy i pieśni rosyjskich i ani jednego wiersza lub pieśni w języku żydowskim. Jakby przyjechał nie z żydowskiej uczelni, ale ze zwykłej bursy seminarium nauczycielskiego dla gojów.

Nie przeszkodziło to jednak przyjaciołom utrzymywać dalsze serdeczne stosunki. Pozostali nadal przyjaciółmi. Wszędzie chodzili razem. Zawsze we dwójkę. Obaj mieli o czym opowiadać. Jeszcze bardziej mieli z czego śmiać się. Pokpiwali sobie z całego miasta. I tak, jak za dawnych lat bywało, wynajmowali łódkę i wyruszali z biegiem rzeki hen, daleko za miasto.

Koniec lata. Chłody jeszcze nie nadeszły. Pola jednak nie są już zielone. Nie ma już śladu po czerwonych i białych stokrotkach. Oczeret wyziera jeszcze z błota. Jest już jednak rzadki i żółty. Lasek przybrał kolor czerwonawy. Czas wylegiwania się na trawie już minął. Ziemia jest wilgotna, błotnista. Przyjaciele wynajdują jakiś pień i siadają na nim. Opowiadają sobie o wszystkim, co przeżyli w ciągu minionego półrocza. Nie pomijają najdrobniejszego szczegółu. Żadnego detalu. Przekazują sobie każde wrażenie, każde spotkanie, każde zdarzenie. Sztuka polega na tym, że obaj mówią jednocześnie, obaj śmieją się naraz i przerywają sobie nawzajem, wpadają sobie w słowa, a mimo to rozumieją się świetnie. Często jednak nadchodzi chwila milczenia. Każdy zagłębia się we własne myśli, własną duszę. Pozostaje jakby zamknięty we wnętrzu własnego ja. Są wprawdzie bardzo bliskimi przyjaciółmi, lubią się, nie mają przed sobą tajemnic, ale

jednak nie wszystko sobie zwierają. Nie, nie wszystko. Każdy z nich ma swoje własne myśli. Ma swój własny ideał, własny mały świat. I nikt nie może mieć do niego dostępu, choćby to nawet był najlepszy kolega.

Robi się chłodniej. Dzień ma się ku końcowi. Słońce jest coraz niżej. Las pokrywa jakby cienki dym. Z drzewa spada szyszka. Przyjaciele zrywają się. Czarodziejski krąg pryska.

— Czy pora wracać?

— Tak, pora wracać!

Idą więc. Wąską, krętą, wytartą ścieżką przemierzają całe pole. Wsiadają do łódki i intonują piosenkę polską, nie żydowską. Ślizgają się po wąskiej, krętej rzeczce, tuż obok złotego oczeretu.

Jest już ciemno, gdy wracają do domu. Policzki ich płoną. Oczy błyszczą. Są głodni. Po drodze kupili kawon i dwa świeże, miękkie, jeszcze gorące placki. Urządzają sobie kolację. Radość wypełnia serca. Śmieją się. Nie wiadomo nawet z czego.

Postronny obserwator mógłby sobie pomyśleć, że obaj są jednakowo szczęśliwi, w równym stopniu zadowoleni. Są przecież młodzi, zdrowi. Czego im brak? W istocie rzeczy tylko jeden z nich, Eli, był naprawdę szczęśliwy. Drugi, Szolem, był załamany. Nie szedł właściwą drogą. Jediną jego pociechą stanowił fakt, że miasto zachwycało się jego hakafot w bóżnicy, jego znajomością Tanachu, hebrajskiego i jego umiejętnością pięknego pisania. Były to rzeczy stanowiące dla jego kolegi niedostępną tajemnicę. Nie na jego miarę. Gdzie mu tam do takiego pisania po żydowsku? Gdzie mu tam do takiej znajomości hebrajskiego? Do poetyckiego stylu? Do tego zdolny jest tylko on, syn Nachuma Rabinowicza. On, znający na pamięć wszystkie księgi haskali. On, stały czytelnik „Hamagid”. Aż dziw bierze, że sam jeszcze nie pisuje w „Hamagid”. Skąd jednak mogą wiedzieć, że nie pisuje; a może pisze pod pseudonimem? Tak to mówią ludzie w Perejasławiu. Szolem chodzi w aureoli sławy. Tak bardzo olbrzymieje w ich oczach.

On sam staje się jakby solidniejszy. Nie szuka już kontaktu z dawnymi koleżkami i buziakami. Zapisuje się do miejskiej biblioteki. Znosi stamtąd do domu naręcza grubych książek. Czyta Darwina, Buckle'a, Spencera. Obraca się wśród starszych, sławnych, oświeconych młodzieńców miasta. Wśród samouków, którzy o własnych siłach, pilną pracą, przysiadaniem fałdów, przerobili cały program szkół średnich. Opanowali łacinę i grekę. Przyswoili sobie algebrę, geometrię, trygonometrię, psychologię i filozofię. Gotowi byli choćby dziś wstąpić na uniwersytet. Brak im było tylko pieniędzy na koszty podróży. A oto dwa przykłady eksternów. Pierwszy z nich nazywał się Chajte Ruderman, drugi Abramek Zołotuszkin. Obydwaj już nie żyją. Obydwaj zasługują na to, by o nich tu wspomnieć. Choćby w kilku słowach.

Chajte Ruderman mieszkał daleko za miastem. Daleko od świata, daleko od ludzi. Był synem melameda Mojżesza Dawida Rudermana, którego opisałem w pierwszej części niniejszej autobiografii, oraz bratem Szymona Rudermana, którego w ostatniej chwili uratowano przed wychrzczeniem się. Wydobyto z monasteru i posłano do szkół rabinackich w Żytomierzu. Chajte w niczym nie był podobny do swego chorowitego bladego brata — Szymona. Był krzepkim młodzieńcem o barczystych plecach, ładnej twarzy, z pulchnymi, czerwonymi policzkami. Mojsze Dawid był melamedem, a jego żona, czyli matka Chajtego, została kucharką. Wypiekała ciastka i podawała je gościom na cudzych weselach. Dostarczało to jej środków do życia i umożliwiała utrzymanie syna, który poza książkami świata nie widział. Chajte nie nawiązywał z nikim kontaktów. Rzadko kiedy zaszczycał rozmową. Wszyscy jednak wiedzieli, że Chajte to człowiek uczony, dużo umie, we wszystkim jest doskonale zorientowany, głęboko myślący. Kto miał szczęście zetknąć się z nim, ten pozostawał pod silnym wrażeniem tego utajonego filozofa. Chajte, rozglądając się wokół, ciskał gromy na wszystko i wszystkich. Nie zostawiał na nikim suchej nitki. Kpił z całego świata. Język miał niczym brzytwa.

Uśmiech pełen żółci. Dowcip pełen jadu. Skąd ten odludek znał tak dobrze świat i życie? To chyba na zawsze pozostanie tajemnicą. Pewnego dnia latem, podczas kąpieli w rzece, przeziębił się. Rozwinęła się gruźlica i umarł w wieku dwudziestu lat.

Drugi filozofsamouk, Abramek Zołotuszkin, nie był już takim odludkiem i samotnikiem. Młodzieniec pełen radości życia: brunet o czarnych, gorejących oczach, kruczoczarnych kręconych włosach, podobny do Araba. Białe, śmiejące się zęby i ochryply nieco głos. Ubierał się niby Anglik. Spodnie w kratkę, dziwna jakaś mycka na głowie i zimą gruby kołnierz. Był nasiąknięty lekturą jak gąbka. Kochał zwłaszcza Dickensa i Thackereya, Swifta, Cervantesa i naszego Gogola. Sam też był humorystą. To znaczy pisał potajemnie, wyłącznie dla siebie, humoreski. Żadnej nie chciał wydrukować. Nikomu też ich nie pokazywał. Z natury był to uparciuch, przewrotny i prześmiewca. Zawsze głęboko nad sobą zadumany. Żył z pensji pisarza zarządu miejskiego. Pismo miał równie kręcone jak włosy. Umarł w stanie kawalerskim, tuż po czterdziestce.

Między tymi dwiema gwiazdami krążył Szolem. Starał się jak najwięcej od nich nauczyć i skorzystać.

Pomiędzy Chajtem Rudermanem i Abramkiem Zołotuszkinem rozciągała się przepaść. Ogień i woda. Nigdy się nie spotkali. I nawet nie znali się. Mimo to nienawidzili się nawzajem. Nie wolno było w obecności jednego z nich wymienić nazwiska jego oponenta. Z całą pewnością spotkamy się jeszcze z nimi w następnych rozdziałach moich wspomnień.

DOBRA POSADA

Próżniak. Izrael Bendycki udziela rady i ojciec pisze list. Szotem znowu rusza w świat i zostaje z jednym piątkiem. U bram raj. Chłodne przywitanie

Co będzie dalej? Z wszystkich wykonywanych zawodów, których było mnóstwo, jakoś nic nie zostało. Korepetycje rozlazły się. Na studia Szolem nie miał pieniędzy. Siedzieć na karku ojca i być na jego utrzymaniu nie należy do miłych rzeczy. Zwłaszcza że było się już samodzielnym i niezależnym. A chociaż ojciec był dumny ze swego syna, który zdobył wykształcenie i należał do maskilów, to jednak martwił się tym, że jego dziecko pęta się po próżnicy i nie ma zajęcia. Co będzie? Macocha, która z pewnym respektem odnosiła się do pasierba, gdy ten był samodzielnym, obecnie straciła szacunek dla próżniaka. Powoli zaczęła wracać do dawnych swoich narowów. Patrzyła jednym okiem, wtrącała od czasu do czasu jakieś jadłowite słówko. Kierowała je niby pod innym adresem, ale miała na myśli Szolema. To wszystko ogromnie martwiło ojca. Nie mógł tego znieść.

Sam nasz bohater zagłębiał się w swoje książki albo brał laskę, nasuwał czapkę na głowę i uciekał do wspomnianych już poprzednio swoich filozofów, do Chajtego Rudermana albo do Abrahama Zołotuszkina. Z nimi lubił dyskutować na tematy abstrakcyjne albo ogólnoswiatowe. Chajte Ruderman, pesymista z natury, zgodnie ze swoim zwyczajem pomstował na wszystkich wielkich ludzi. Nie uznawał żadnych auorytetów, gwizdał na cały świat. Zołotuszkin natomiast z przyśpiewem cytował całe fragmenty Heinego i Borne'a. Nawijał sobie wówczas na palce grzywkę swoich kręconych włosów i rozgrzewał się. Wpadał w zachwyty niczym zagorzały chasyd powtarzający za rebem jego naukę. Było to jednak tylko zabijanie czasu. W głębi duszy

Szołem odczuwał pustkę. Wiedział, że traci nadaremno czas i energię. Tęsknił za pracą. Rwał się w świat. Życie mu obrzydło. Odczuwał do siebie wstręt, przeraźliwy wstręt.

Bóg jednak, który nikogo nie opuszcza w potrzebie, spojrział łaskawie na naszego bohatera. Przyszedł mu z pomocą dobry przyjaciel ojca, Izrael Bendycki. Ów człowiek, choć tylko zwykły klemzer, odgrywał w mieście poważną rolę jako szanowany obywatel. Grywał wyłącznie na bogatych weselach. Uchodził za dyrygenta, za kapelmistrza. Głównym miejscem jego pracy był dom zajezdny należący do dziedzica. Był również jedynym fotografem w mieście. Poza tym piękna to postać. Przystojny, wysoki, zawsze wypucowany. Rzadkiej piękności czarna i okrągła broda zdobiła jego twarz. Nosił skórzany kapelusz i skórzane buty na miedzianych obcasach. Języczek miał ostry. Mowę słodką i gładką. Przeważnie używał słów rosyjskich. Międzyproczem... sledowatielno.

Ów Bendycki był częstym gościem w „klubie”, to znaczy w trafice Rabinowicza. Wpadał tam na pogaduszki. Pewnego razu podczas takiej pogawędki Bendycki mimochodem opowiedział, jak to u niego w domu zajezdnym zatrzymał się jakiś bardzo bogaty Żyd, nadziany nabab, prawdziwy magnat, niejaki K. Mieszka sobie ten bogacz w małym miasteczku T., w kijowskiej guberni. Właściwie nie jest to miasteczko, ale wieś. Ma dzieci, dla których pilnie poszukuje odpowiedniego nauczyciela. Ma to być korepetytor obeznany z językiem rosyjskim i żydowskim, na wysokim poziomie, wykształcony i międzyproczem z dobrego domu.

Okazuje się, że ojciec zna owego magnata od dość dawna. Przed laty, gdy K. był jeszcze małą figurą i kręcił się wokół dworu dziedzica, zwykł był zatrzymywać się w dawnym domu zajezdnym Rabinowiczów. Był wtedy jak brat łąta.

Bendycki, usłyszawszy to, powiada: — Sledowatielno, sam Pan Bóg przysłał mnie do was! A skoro już tak, to udzieleń wam rady. Siadaj pan do stołu i pisz natychmiast odpowiedni i właściwy list, międzyproczem po

hebrajsku. Tak jak pan to potrafi i tak jak wypada do magnata pisać. Chłopak zaś niezwłocznie ma pojechać z tym listem do T., objąć posadę i oby to wszystko było w dobrą godzinę, amen!

Tak też się stało. List napisano. Był w nim duży ładunek poezji. Cechował go styl przepiękny i wyszukany język. Mógł on skruszyć najtwardszy kamień. Same tytuły zajmowały trzy bite linijki. Wyliczone w nich zostały wszelkie zalety i pochwały. Gdyby magnat posiadał choćby jedną trzecią tych zalet, mógłby śmiało uchodzić za ideał człowieka. Z taką protekcją nasz młody korepetytor w poszukiwaniu szczęścia po raz drugi rusza w świat boży. Gwoli prawdzie trzeba powiedzieć, że wiele pieniędzy Szolem nie wziął z sobą. Kredytu w banku też nie miał. To, co kiedyś zarobił, zdążył już przepuścić. Ubrał się jak książę, zaś pozostałe pieniądze wydał na bilet kolejowy. Człowiek jest tylko człowiekiem. Pociąg staje na każdej stacji. Pasażerowie wyskakują do bufetu. Idą w ruch butelki i szklanki. Kuszą gorące pierożki. Jest herbata, jest woda sodowa. Szybko, na jednej nodze, pije się, płaci i hojną dłonią wydziela napiwki kelnerowi, jakby się co najmniej było bankierem albo oficerem. Niech zna pana. Ma się ten gest. I tak na każdej stacji. Te trochę bilonu topnieje jak śnieg na słońcu. W sakiewce pozostaje jeden piąтак, ale kto się tym przejmuje? Człowiek przecież jedzie na gotowe. Taka posada. Posiada rekomendacje, czym tu się przejmować?

Gdy Szolem przybył do T., a było to pod wieczór, stwierdził, że jest goły jak święty turecki. W całym majątku ostatni piąтак. Nie zaprzętał sobie tym głowy. Przeciwnie, czuł się znakomicie. Nigdy nie był w tak dobrym nastroju. Sam fakt, że uwolnił się od rżyszczewskich nauczycieli intrygantów, od pluskiew i prusaków, wystarczył za wszystko.

Oddychał pełną piersią. Chłonał zdrowe, jesienne powietrze. Słońce skryło się za lasem, skąd dochodził przyjemny zapach dębów i sosen.

Wyskoczywszy z wagonu młody korepetytor z miejsca zgłosił się u bogacza. Chciał mu wręczyć list. Ale magnat

zafundował sobie, do wszystkich diabłów, siedzibę całkiem daleko od miasteczka. Był to biały pałac pośrodku dużego zielonego ogrodu, otoczonego ostrymi ozdobnymi sztachetami. Dotrzeć do niego nie było rzeczą łatwą. Znacznie trudniej niż do pałacu dziedzica. Ale z dobrym poparciem to i do samego cesarza można się dostać. Takie myśli legną w głowie korepetytora. Myli się jednak nasz bohater. Wbrew pozorom to nie ogród jest taki duży. To droga do pałacu jest zbyt długa. Aby dotrzeć do takiego bogacza, trzeba przejść widocznie przez wszystkie kręgi piekła. Aby mieć zaszczyt oglądania oblicza magnata, należy pokonać trzy przeszkody. Ale nawet wtedy nie jesteś pewien powodzenia. Możesz iść i iść, i wrócisz z niczym. A jakie to są przeszkody? Po pierwsze, stróż. Wysoki, suchy drab o krzywych nogach. Chód ma kaczkowaty. Nazywa się Pantelej, a jego praca polega na tym, że siedzi w bramie, niczym, nie przymierzając, Mordechaj u króla Ahaswera. Po drugie, czarny pies, ślepy na jedno oko niczym biblijny Bileam. Nazywa się Żuk. Ten wściekły pies przywiązany jest żelaznym łańcuchem do drzewa, bo inaczej zagryzałby ludzi na śmierć. Po trzecie, młody służący w brudnym półkoszulku ze złotym pierścionkiem na palcu, z przedziałkiem pośrodku głowy. Czarne włosy ma mocno posmarowane tłuszczem. Zalatuje od nich zapach wody kolońskiej pomieszanej z wonią cebuli. Uszy brudne i czarne paznokcie.

Pokonać te trzy przeszkody wcale nie było łatwo. Przede wszystkim należało zapoznać się ze stróżem Pantelejem. Ten bowiem, dostrzegłszy obcego człowieka, od razu zadaje pytanie: — Czego wam nada? — No i opowiadaj mu, że masz ze sobą list, że czeka na ciebie posada. Pantelej nie jest jednak złym gojem. Piątak to dla niego też pieniądz. I tak popłynął ostatni piątek. Pantelej to swój chłop. Znacznie gorszy od niego jest pies Żuk. Szczeka, skacze i stara się ze wszelkich sił zerwać łańcuch. Wściekły pies! Szczęście, że obok stoi Pantelej. Obrzuca psa stekiem przekleństw i prawi mu kazanie umoralniające.

Najtrudniejsza jest jednak trzecia przeszkoda, a mianowicie służący. Ten uważa się za władzę. Wypytuje i indaguje. Dokładnie i szczegółowo. Coś w rodzaju egzaminu. Kim pan jest? Skąd przychodzi? Czego chce? Błazen i nic więcej. Z nim trzeba raczej z daleka. Należy popatrzeć nań z góry. W przeciwnym razie gotów wejść nam na głowę. Bohater niniejszych wspomnień przekonał się o tym na własnej skórze. Służący wziął go do galopu. Od kogo jest list? Co zawiera list? Co za interes ma do jego pana? Posada? Co za posada? W fabryce, czy może w gospodarstwie rolnym? Jeśli idzie o fabrykę, to wszystkie posady są zajęte, a jeśli o gospodarstwo rolne, to też są zajęte. Chyba, że idzie o posadę nauczyciela. Tu też jest sporo amatorów. Aż nadto. Oto właśnie nadchodzi taki jeden. Bardzo poważny nauczyciel. Ma jednak wadę — jest głupi. Za to ma zaletę — nosi brodę. Będzie miał szacunek i autorytet u paniczów i panienek. Pan nie będzie miał autorytetu. Pan jeszcze za młody. Wejdą panu na głowę te nasze panienki i nasi paniczki — oby ich szlag trafił pewnego dnia.

Tak snuje swoje rozważania służący i kończy je wspaniałym „błogosławieństwem”. Bierze od młodzieńca list, kładzie go na srebrną tacę i znika w głębi apartamentów. Po kilku minutach wraca z pustymi rękoma i bez żadnej decyzji.

— List — powiada — jaśnie pan otworzył, obejrzał i, nie przeczytawszy go, odłożył.
O co chodzi? Wkrótce się dowiemy.

WE ŚNIE I NA JAWIE

W małym miasteczku na stacji. Rudy Berł wyciąga bohatera na słówka. Bohater głodny kładzie się spać i wkracza w świat marzeń. Szotem spotyka córką magnata i marzenia rozwiewają się jak dym. Pomimo tak chłodnego przyjęcia nasz bohater nie stracił ani animuszu, ani nadziei. „Magnat — pomyślał w duchu — może sobie na wszystko pozwolić. Może nie ma głowy do takich spraw? Nie dziś, to jutro”. A czas nie stoi w miejscu. Robi się ciemno. Trzeba pomyśleć o noclegu. Trzeba znaleźć stancję. Szotem rozpoczął poszukiwania i znalazł stancję, zresztą jedyną w mieście. Był to dom na kurzej stopce. Właściciel, jeszcze młody, okazał się bliskim krewnym magnata. Był to rudy Żyd z rudą brodą. Z bardzo rudą brodą. Zwią go Rudy Berł. Gdy mówi, zamyka oczy i uśmiecha się. Dziwny Żyd. Interesuje się wszystkim. O wszystkim musi wiedzieć. Chce wiedzieć na przykład, co u was akurat się dzieje. W każdej chwili gotów jest pomóc człowiekowi w miarę swoich możliwości. Tak twierdzi. Może wam udzielić dobrej rady. Może wykonać dla was jakąś przysługę. Może dla was szepnąć dobre słówko swojemu bogatemu krewniakowi. Może was poczęstować skromnym obiadem, szklanką herbaty. I tak przecież stoi na stole duży samowar z czajnikami. Herbatę pije każdy.

Wybadawszy dokładnie młodego gościa Rudy Berł doszedł do wniosku, że zna doskonale jego ojca. Nieraz zatrzymywał się w jego zajezdzie. Przybysz dzięki temu stał się bliższy Berłowi. Stał się wielce pożądanym gościem. A skoro tak, to gość może umyć się i siąść do stołu pospołu ze wszystkimi. Młodemu gościowi jednak nie podoba się, że traktują go jak biedaka. Ma w sobie jeszcze dosyć dumy, aby nie być na łaskawym chlebie u biednego Żyda, który zapewne żyje z okruchów stołu swego boga

tego krewniaka. Postanawia więc skłamać. Twierdzi, że wcale nie jest głodny, że już jadł. Na wszystkie prośby i nalegania Rudego Berła, aby wyjawiał mu jaki interes ma do jego bogatego krewniaka, a nuż mu pomoże, gość pozostaje głuchy. Nie chce, żeby obcy Żyd, do tego jeszcze rudy, mieszał się do jego spraw. Rudy Berł wyciąga go na słówka. Młodzieniec udaje naiwnego. Że niby nie rozumie, o co mu chodzi. Okazuje się jednak, że stary Żyd wie doskonale, co sprowadziło młodzieńca do jego bogatego krewniaka, ale chciałby to usłyszeć wprost od niego. I opowiada mu, że jego bogaty krewniak roztrąbił swój zamiar po całym świecie. I zaroły się od nauczycieli drogi prowadzące do magnata. Są wśród nich starzy i młodzi, z rekomendacjami, poleceniami i protekcjami. Pochodzą z Bogusławia, Kaniowa i Taraszczy. — Żydzi szukają parnose. Chcą zarobić na kawałek chleba — tymi słowy kończy Rudy Berł swoją perorę. A słowa parnose i kawałek chleba brzmią w uszach młodzieńca jak obraza. I jakby tego było mało, Rudy Berł dolewa jeszcze oliwy do ognia mówiąc: — Żał mi tych kandydatów, biedactwa są zapewne głodne. — Szotemowi wydaje się, że gospodarz pije właśnie do niego. Widać domyśla się, że gość o głodzie idzie spać.

Szołem nie wie, czy śni, czy marzy na jawie, ale po głowie płacze mu się przedziwna, niewydarzona myśl: Nie wręczył żadnego listu magnatowi. Wstąpił do niego na służbę. Jest zwykłym służącym. Jest jednym z jego ludzi. Spodobał się bardzo magnatowi i ten wzywa go do siebie. Pyta go, kim jest i skąd przychodzi. Gdy przekonuje się, z kim ma do czynienia, ofiarowuje mu lepszą posadę. Po krótkim czasie Szołem staje się jego totumfackim. Ma pod sobą wszystkich ludzi, cały dwór... A stróż Pantelej, pies Żuk i błaznowaty służący — wszyscy drżą ze strachu przed nim. On sam pisze list do ojca... List jest poetycki i jak zwykle po hebrajsku. Poza tym nie jest to zwykły list... Zawiera kilka szeleszczących banknotów sturublowych. Jest to prezent dla ojca na święta. W liście Szołem opisuje swoje wysokie stanowisko i swoje bogactwo. Roz

tacza przed ojcem obraz swoich przejażdżek bryczką zaprzęgniętą w trzy konie na szpic. Każdy zadaje pytanie: — A kto to jedzie? A ludzie odpowiadają: — Nie wiecie, kto jedzie? Toć to główny zarządca. To ci młodzieniec! Dzień jest już w pełni. Z kuchni Rudego Berła dobiega hałas. Dolatuje stamtąd zapach świeżo upieczonego chleba i gotowanego mleka. Nasz bohater szybko narzuca na siebie ubranie i pędem rusza do dworu. Spotyka służącego i dowiaduje się, że magnat jeszcze nie raczył przeczytać listu. Ze zbolałym sercem wraca więc do zajazdu i natyka się na rudego gospodarza. Przymknawszy powieki, jak to było w jego zwyczaju, zadaje mu Berł, niby niechęcący, pytanie: — Co słyhać nowego? — Na razie jeszcze nic! — Szołem rzuca odpowiedź i wyslizgując się zręcznie z rąk Rudego Berła idzie do swego pokoiku. Rozciąga się na łóżku i zatyka sobie nos, aby nie czuć zapachu marynowanych śledzi z cebulą, które potwornie pobudzają apetyt. By odpędzić od siebie pokusę, zamyka oczy i oddaje się marzeniom. W ten sposób unosi się na skrzydłach rozgrzanej wyobraźni w świat fantazji, w zaczarowany świat słodkich i kolorowych snów. Szołem zawsze lubił uciekać w krainę marzeń. Tam nikt nie ma dostępu. Nawet jego najbliżsi przyjaciele. Jest to owa kraina, ów świat, który mu pierwszy pokazał dawny kolega i przyjaciel, Szmulik. Świat skarbów i cudownych kamieni, z których jeden to jaspis, a drugi to rubin. Jedno potarcie pierwszego kamienia: — Niech przede mną pojawi się i zjawi! — Pojawiają się natychmiast bułeczki maślane, których cudowny smak łaskocze podniebienie. Zapach gorącej kawy z mlekiem unosi się w powietrzu. Nim Szołem zdążył sięgnąć po kawę, już wyrósł przed nim talerz tłustego rosolu z migdałami, ćwiartka kury, pieczona kaczka z marchewką, kugel z mąki macowej na gęsim smalcu i wino. Dwa rodzaje wina: czerwone wino (cerkiewne i koszerne) na Pesach i białe wino wimorozig jużnawo bieriega. Są to wina, które jego ojciec trzymał na święto

Pesach wyłącznie dla wybranych smakoszy i prawdziwych znawców. Załatwiwszy się z tą wyborną przekąską Szołem potrzebuje odpoczynku. Pociera więc drugi kamień: — Niech się pojawi i zjawi! — Nim zdążył skończyć, a już znajduje się w kryształowym pałacu o dwustu komnatach. Ściany są wyklejone samymi sturublowymi banknotami. Podłogi wyścielone są srebrnymi monetami i przetykane dla ozdoby złotymi rublami. Wszystkie meble są z kości słoniowej. Obicia mają z aksamitu. Gdzie się nie ruszysz złoto, srebro i szlachetne kamienie. Wokół pałacu rozciąga się duży sad pełen najlepszych owoców. Obok toczy wody rzeczka, w której pływają złote rybki. Zewsząd dochodzą

dźwięki boskiej muzyki. Grają tam najlepsi skrzypkowie świata. Zaś nasz bohater nic nie robi. Rozdaje hojną dłonią jałmużnę. Jednemu daje pełne garście złota, drugiemu srebra, trzeciemu drogich kamieni, czwartemu gotówkę. Innym znów rozdaje żywność albo ubrania. Nikogo nie omija. Nawet największych wrogów. Przeciwnie, tym daje jeszcze więcej niż przyjaciółom. Niech wiedzą...

Rozmarzony i głodny zrywa się Szolem ze snu i pół przytomny pędzi znów do dworu magnata. Już się tam zadomowił. To znaczy, że stróż Pantelej przepuszcza go bez ceregieli, pies Żuk nie zaczepia go, a służący jest z nim za pan brat. Klepie go po plecach i informuje, że już rozmawiał w jego sprawie. Prawda, nie z gospodarzem, ale z jego córkami. W tym momencie pojawia się jedna z nich.

Tęga dziewczucha, ruda, w krótkiej sukience, o grubych policzkach i zadartym nosku. — Oto właśnie on! — służący pokazuje palcem Szolema. Tęga dziewczoja lustruje go od stóp do głów. Nagle zakrywa twarz dłońmi, wybucha głośnym śmiechem i ucieka.

ZDARZENIE Z ZEGARKIEM

Co zrobić z głodem? Zegar z historią. Dialog między młodzieńcem a starym zegarmistrzem. Kombinacje nie pomagają, Szolem wciąż jest głodny

Magnat jeszcze nie przeczytał listu. Nasz bohater poczuł się dotknięty do żywego w swojej ambicji. Wyszedł z dworu w stanie silnego wzburzenia. Jak to — list ojca ma się poniewierać? To go najbardziej bolało. Bardziej niż to, że był głodny. A głodny był jak pies. Nie może sobie znaleźć miejsca. Ponosi go. Serce się kurczy, kiszki grają marsza. Zimny pot go oblewa. Szybko w myślach robi remanent rzeczy, które mógłby sprzedać. Za uzyskane grosze mógłby kupić coś do jedzenia, mógłby zaspokoić głód. Gdyby to było w dużym mieście, zastawiłby płaszcz w lombardzie, w ten sposób można zebrać parę groszy...

Sprawdza wszystkie kieszenie i nagle jego myśli zatrzymują się na zegarku. Ale co zrobić z zegarkiem? Zastawić go? Nie ma u kogo. A może sprzedać? Przypomina sobie, że na placu targowym widział szyld z cyferblatem: Czasowych dzieł mastier. Tu zamieni zegarek na forszę. Wielkiego kapitału na tym nie zbije. Zdaje sobie z tego sprawę. Ale wystarczy na zaspokojenie głodu.

Głód to paskudna rzecz. Nie tylko ucisk w sercu, nie tylko drżenie rąk i nóg, ale wstyd, ten okropny wstyd! Trzeba koniecznie zastawić zegarek. Jednak zegarek naszego młodzieńca nie jest zwykłym zegarkiem. Jest to zegarek mający swoją przeszłość, swoje dzieje. Wręcz historyczny zegarek. Dlatego, myślę, należy was zapoznać z historią tego zegarka.

Działo się to wówczas, gdy autor niniejszych wspomnień zażywał sławy korepetytora. W swoim rodzinnym mieście miał znacznie więcej korepetycji, niż przeciętny nauczyciel może sobie wymarzyć. Do pracy brakowało

mu jednej rzeczy — zegarka. Uciulał sobie przeto pewną sumkę. Najlepiej można kupić zegarek podczas spaskiego jarmarku. Zjeżdżają się wtedy do Perejasławia kupcy i handlarze z całego świata. Co oko może dojrzeć i co usta mogą wymówić, to wszystko możecie na tym jarmarku kupić.

Pewnego ranka nasz bohater wziął laseczkę do ręki i udał się na targ, aby rozejrzeć się po sklepach i kramach, w których były wystawione bardzo drogie rzeczy, w tym również ze złota. Wielki jarmark odbywał się pod koniec lata, w sierpniu. Wtedy już są dojrzałe kawony i melony. Jabłka i gruszki ułożone w stosy na wozach i na ziemi. Dokoła biegają Żydzi. Biegają jak zatrute myszy. Zahukani i spoceni ubijają interesy, zarabiają pieniądze. Cyganie zaklinają się. Konie rżą, bydło ryczy, świnie kwiczą i wydzierają się z worków. Ślepy żebrak gra na bandurze. Żydówka sprzedaje obwarzanki. Młody chłopak roznosi kwas. Wszyscy gadają. Wszyscy krzyczą. Można ogłuchnąć! Zamyślony Szolem chodzi sobie po targowisku i napotyka Żydkę o pryszczatej twarzy, o dziwnie rozbieganych oczach, odzianego w brudny podkoszulek. Ten zatrzymuje Szolema. Mówi cicho, ochryple i mruga oczkami, wskazując mu w ten sposób jakiegoś wysokiego chudego gościa z wąsami podkreconymi do góry. Ma on na głowie polską czapkę.

— Ten właśnie wielmożny pan — powiada Żydek — ma do sprzedania rzecz za pół darmo. Rzuć pan okiem na to! Co panu szkodzi?

Natychmiast też podchodzi ów „wielmożny pan” i wyciąga z kieszeni jakiś papier. Rozgląda się na wszystkie strony i rozwija go. Na dnie papieru coś błysnęło. Jest to zupełnie nowy, błyszczący zegarek. Facet na mgnienie oka pokazuje go z daleka. Potem zawija z powrotem w papier i chowa do kieszeni bez słów. Od mówienia jest Żydek.

— Prawdziwa złodziejska okazja! Na gwałt potrzebuje forsę. Samo złoto w zegarku warte chyba sto rubli.

— Ile więc chce za zegarek?

— Myślę, że weźmie połowę. To znaczy pięćdziesiąt. Doprawdy, złodziejska okazja! Sam bym go kupił, ale akurat nie mam przy sobie tyle pieniędzy.

— Ja też nie mam — powiada młodzieniec i łapie się za kieszeń.

— A ile pan ma?

— Wszystkiego ze dwadzieścia pięć.

Żyd błyska bękartami oczkami, wyciąga rękę i powiada: — Niech będzie na szczęście!

W mig wyliczono pieniądze i złoty zegarek przechodzi do rąk kupca. Na chwilę Szolem odczuwa ucisk w sercu. A nuż zegarek pochodzi z kradzieży? Okazyjny nabytek nie idzie mu w smak. Smutne, ciemne myśli snują mu się po głowie. A nuż znajdą u niego ten skradziony zegarek? Nabycie kradzionego przedmiotu jest gorsze od samej kradzieży. Krótko i węzłowato — żałuje tej całej transakcji. Nic jednak nie poradysz, przepadło! Wyjmuje zegarek z kieszeni. Ogląda go ze wszystkich stron. Nowusienki zegarek, bije jak młot. Koperta z czystego złota, ciężka. Cyferblat bielutki jak śnieg. Wskazówki jak różgi. Pozostaje tylko pokazać go jakiemuś prawdziwemu specowi, aby go obejrzał i oszacował. Ojciec zna się nawet na zegarkach, ale jakoś nie wypada pokazać go ojcu. Należałoby przecież opowiedzieć całą prawdę. A prawda jest taka, że kupił zegarek na ulicy. Najlepiej byłoby, gdyby zaniósł go do zegarmistrza Henzla. Zegarmistrz Henzel to jeszcze całkiem młody człowiek. To łebski facet. W mieście opowiadają, że Henzel skonstruował zegar według systemu słonecznego. Z jego twarzy specjalnej mądrości nie wyczytasz. Jest to zwykły, prosty Żyd z szerokim nosem. Jeden palec ma gruby, płaski, zakończony długim paznokciem. Tym paznokciem Henzel otwiera szybko zegarek, uzbiera oko w lupe, zagląda do środka i natychmiast może wam powiedzieć, co jest w zegarku, czego mu brak i ile jest wart.

Obejrzawszy nabytek Szolema, zamknął go z trza

skiem i powiedział: — Prosty cylinder, żaden ankier, wart nie więcej niż piąta.

— No, a złoto?

— Jakie złoto? Takie to złoto jak ja minister.

— To co to jest?

— Tombak.

— Co to znaczy tombak?

— Tombak, to tombak. Ani mosiądz, ani miedź, tylko tombak.

I Henzel zdejmuje z oka szkło powiększające, zabiera się do swojej roboty i więcej nic nie mówi.

Ten właśnie zegarek młody wędrowiec chciał sprzedać zegarmistrzowi w małym miasteczku. Stary zegarmistrz był nieco głuchawy. Miał uszy zatkane watą. Niby tak ma wyglądać lepszy kupiec. Między młodzieńcem a zegarmistrzem zawiązała się taka oto rozmowa:

Młodzieniec: — Dzień dobry, panie zegarmistrzu! Czy ma pan jakieś porządne zegarki?

Zegarmistrz: — A ile zegarków potrzebuje młodzieniaszek?

Młodzieniec: — Jeden.

Zegarmistrz: — A jaki zegarek życzy sobie pan? Srebrny, złoty?

Młodzieniec: — Złoty zegarek kupię u pana później. Na razie wystarczy mi srebrny. Aby tylko dobrze chodził.

Zegarmistrz: — To się rozumie. Szkoda nawet gadać.

Stary zegarmistrz wysypuje przed klientem pół tuzina nowych zegarków. Młodzieniec wybiera z nich jeden i daje do zrozumienia staremu, że chciałby właściwie dokonać wymiany. To znaczy, że weźmie u niego srebrny zegarek i w zamian da mu swój stary, złoty zegarek. Pyta starego, na ile i za ile by go wzięł? Pyta, na ile go wycenia. Stary skrupulatnie ogląda zegarek młodzieńca. Przez chwilę zastanawia się i kiwa głową. Potem wyjmuje watę z uszu i przekłada ją z jednego ucha do drugiego, jakby to miało jakiś związek z zegarkami. Ledwo odważa się powiedzieć, że może wzięć zegarek za jakieś dwa ruble. Wychodzi więc na to, że jeśli młodzieniec chce kupić

srebrny zegarek, powinien dopłacić jakieś siedem rubli i sprawa z głowy.

Taka kombinacja przypadła młodzieńcowi do gustu. Proponuje więc zegarmistrzowi: Niech tymczasem zegarmistrz weźmie sobie jego zegarek i da mu te dwa ruble, a za jakieś dwa dni przyjdzie znowu i wtedy wybierze sobie nowy zegarek. Staremu jednak nie podoba się to rozwiązanie. Dlaczego? Po prostu dlatego, że starych zegarków nie kupuje. On sprzedaje zegarki, a nie kupuje. Młodzieniec nie daje za wygraną i proponuje coś nowego: Oddaje swój stary zegarek za jednego rubla i basta! Nie idzie mu o pieniądze. Chodzi o to, że zegarek mu obrzydł. Nie może na niego patrzeć. Na to stary: Jeżeli zegarek mu obrzydł, to może go wyrzucić. Wówczas młodzieniec daje mu do zrozumienia, że teraz nie ubije interesu, bo z forszą u niego krucho. To znaczy, że chwilowo nie śmierdzi groszem. Wtedy stary udziela mu rady: Niech zajdzie kiedy indziej, gdy będzie przy forsie. I tak w kółko. Jeden mówi tak, a drugi siak. Od kiedy Bóg handluje z nudziarzami, to jeszcze takiego nudziarza nie spotkał.

Młodzieniec chowa swój tombakowy zegarek do kieszeni i prosi starego, aby odłożył wybrany srebrny zegarek. Może jeszcze dziś wpadnie do niego. Mają dla niego nadejść pocztą pieniądze. Niech mu wybaczy, że zajął mu tyle czasu. Na to stary powiada, że nic nie szkodzi. Jednak jego blada twarz, złe spojrzenie i drżenie palców mówią co innego.

Młodzieniec ledwo trafia do drzwi. Ze ściśniętym z głodu sercem wraca do Rudego Berła na stację. Prosi Boga, żeby przynajmniej uniknął spotkania z gospodarzem. Ten bowiem rudy Żyd jest jedynym człowiekiem, który domyśla się, że Szolem jest głodny.

ANIOŁ W POSTACI CZŁOWIEKA

W bóżnicy. Zjawia się anioł i szczęście uśmiecha się do Szolema. Zostaje zaangażowany na wieś jako nauczyciel i nie zdaje sobie nawet sprawy, że tym razem jego szczęście zostało przypieczętowane na zawsze

Drugim zajazdem poza domem należącym do Rudego Berta był dom modlitwy w miasteczku. Tam też wybrał się bohater niniejszych wspomnień nazajutrz rano. Nie mając nic do roboty postanowił wziąć udział w modlitwie. Modlił się sam, gdyż garstka Żydów z miasteczka bardzo wcześnie utworzyła minjan i odprawiła modły, po czym jak zwykle udała się na poszukiwanie parnuse. W bóżnicy pozostał tylko szames, z zawodu szewc. Jako szewc nie ma zbyt wiele roboty, dlatego dorabia w bóżnicy. Na widok obcego młodzieńca z woreczkiem na tefilin, szameszewc podszedł do niego i zapytał, czy czasem nie wypadła mu dziś rocznica śmierci po którymś z rodziców. Jeśli tak, to poleci natychmiast zebrać minjan.

Nie, żadna rocznica. Po prostu chce się pomodlić. Uspokojony szames powiada: — No i na zdrowie! Masz pan i modlitewnik. — Powiedziawszy to, szames wychodzi do przedsiönka bóżnicy i zabiera się do reperacji pary starych butów.

Już dawno nasz młodzieniec nie modlił się tak żarliwie. Był już wtedy daleki od religijnego zapału. W okresie haskali pobożność uchodziła nawet za ujmę. Fanatyk traktowany był gorzej niż hultaj, a może jeszcze gorzej; tak dzisiaj traktowany jest przechrzta. Ale ta modlitwa była potrzebą duszy Szolema. Ogarnęło go nagle coś w rodzaju ekstazy religijnej. Rozmodlił się na głos. Rozśpiewał się niczym kantor, a przy osiemnastu błogosławieństwach rozplakał się. Długo, serdecznie. Wyplakawszy się poczuł ulgę. Zrobiło mu się lekko na duszy. Jakby spadł mu kamień z serca. Skąd ten płacz? Tego nie

był w stanie wytłumaczyć. Po prostu jakoś sam wydobyl się ze zbolalej duszy i dokonał jej oczyszczenia. Może z powodu postu? Szolem postanowił natychmiast przerwać głodówkę. Za wszelką cenę. Dość poszczenia. Wkłada tefilin do woreczka, bierze laskę i idzie do domu, na stancję. Tam spotyka Berła, który przekazuje mu następującą nowinę: Oto dziś zatrzymał się u niego na stancji młody, bogaty pan, prawdziwy wielmoża z pobliskiej wsi. Zdaje się, że jest nawet blisko z nim spokrewniony.

— Z kim spokrewniony?

— Z panem. To znaczy nie zupełnie spokrewniony, ale trochę powinowaty. — Bez zbytnich ceregieli gospodarz bierze Szolema za rękę i prowadzi go do pokoju zarezerwowanego dla lepszych gości. Wreszcie przedstawia go młodemu człowiekowi, który siedzi przy stole i popija herbatę z samowaru.

Był to bardzo sympatyczny młody człowiek o niebieskich oczach, pełnych dobroci, o wysokim jasnym czole i ładnej okrągłej bródce. Na widok Szolema grzecznie wstał i przedstawił się: — Jehoszua Łajew — tak brzmiało jego nazwisko. Poprosił gościa o zajęcie miejsca przy stole z samowarem. Dał znak gospodarzowi, aby podano drugą szklankę i natychmiast napełnił ją herbatą. Podsunął nowemu gościowi talerzyk z obwarzankami, ciastkami i innymi smakołykami. Po czym odezwał się do niego tymi słowami:

— Gospodarz powiedział mi, że pan pochodzi z Perejaśławia i jest synem Nachuma Rabinowicza. Jeśli tak, to jesteśmy jakby swoi... Proszę posilić się, proszę napić się herbaty.

Nigdy w życiu, ani przedtem, ani potem, Szolemowi nie smakowała herbata tak jak w tej chwili i żadna potrawa nie miała tak wspaniałego smaku jak te obwarzanki, ciastka i pozostałe zakąski. Toteż szybko i bez śladu przysmaki zniknęły ze stołu. Dobry obyczaj nakazywał zostawić coś na talerzu, ale Szolem nie mógł się oprzeć. Półkał wszystko jak wygłodniała gęś. Gdy się spostrzegł, było już za późno. Już po wszystkim. Tymczasem

młody człowiek wymieniał stopnie łączącego ich pokrewieństwa.

— Powinowatym pańskiego ojca jest Abraham Jehoszua. Tegoż Abrahama Jehoszui pierwsza żona była moją ciocią. Była siostrą mojej zmarłej matki. Rozumie już pan? Dalecy powinowaci, ale jednak powinowaci. A teraz powiedz mi pan, skąd pan przybywa, dokąd jedzie i czym się zajmuje?

Po dokładnym przesłuchaniu Łajew dowiaduje się, że Szolem przybył tu po to, aby objąć posadę nauczyciela. Nasuwa się w związku z tym pytanie, czy chce pozostać właśnie u bogacza K., czy też jest mu to obojętne i gotów jest pojechać trochę dalej? Jeśli tak, to miałby dla niego propozycję. Niech jedzie z nim do ojca Łajewa na wieś. Obejmie tam posadę nauczyciela. Uczennicą Szolema będzie młodsza siostra Jehoszui. Ojciec jest w stanie dobrze zapłacić. Nie gorzej od miejscowego bogacza, a może nawet i lepiej. Tu wtrąca się Rudy Berł: — Jeszcze jak. Oby, bez uszczerbku dla niego, przypadła mi choćby jedna dziesiątka tego, co Łajew zapłaci! — I nie pytając zainteresowanego o zdanie Berł dodał, że Szolem z największą przyjemnością pojedzie z młodym człowiekiem do jego ojca na wieś i z nie mniejszą chęcią obejmie tam posadę nauczyciela.

Dziwny Żyd z tego Rudego Berła. Jakby go ktoś prosił o to, aby stał się opiekunem Szolema lub co najmniej jego pośrednikiem. Nikogo nie dopuścił do głosu. Perorował i perorował. Szolem był oszołomiony całą tą historią. Nie wierzył własnym uszom. Czy to sen, czy jawa? A może młody człowiek jest po prostu aniołem, który w postaci ludzkiej zstępuje na ziemię?... Nie wypada mu jednak okazywać radości. Przysłuchuje się więc rozmowie z udaną obojętnością. Rozważa każde słowo, zanim odpowie na propozycje młodego człowieka.

— Pański plan jest może niezły. Szkopuł w tym, rozumie pan, że zaniósłem miejscowemu bogaczowi list polecający od mojego ojca... Co będzie, jeśli...

Tu Rudy Berł wtrącił się:

— W jakim języku został napisany list pańskiego ojca?

— Co znaczy w jakim języku? Po hebrajsku.

— Po hebrajsku? — Berł trzyma się za boki i pokłada się ze śmiechu. Ryczy tak, jakby go sto diabłów łaskotało pod pachami. — Przyjdzie panu, panie młody, jeszcze trochę poczekać, zanim mój krewniak nauczy się czytać listy po hebrajsku. Obawiam się, że to potrwa bardzo, bardzo długo... — I wszyscy wybuchają śmiechem.

Nie minęło pół godziny, a już między młodym Łajewem a Szolemem została zadzierzgnięta nić serdecznej przyjaźni. Z każdą chwilą rosła i umacniała się obopólna sympatia. Okazało się, że młody Jehoszua Łajew jest maskilem. Jest typowym przedstawicielem oświeconych Żydów tej epoki. Doskonale znał Tanachu, biegły w Gemarze, odczytany w

poezji, recytujący na pamięć dzieła Mapu, śmiało rozprawiający na temat More Newuchim i Kuzań i do tego wszystkiego na cudowną rączkę do pisania... Jest tylko nieco słabszy w gramatyce. Poza tym miły, kocha ludzi. Z zasady wszyscy z jego rodziny kochają ludzi. Mieszkając na wsi łakną widoku człowieka. Czym się zajmują? Dzierżawią majątki u hrabiego Branickiego i hrabiego Mołdeckiego. Sami żyją i prowadzą się jak dziedzice. Mają do swojej dyspozycji konie i karety. Utrzymują dobre stosunki z okolicznymi dziedzicami. Goje wprost przepadają za nimi.

Wynurzenia Jehoszui potwierdziły w całej rozciągłości jego zapewnienie, że rodzina Łajewów spragniona jest widoku człowieka ze świata. Usta mu się przez cały czas nie zamykały. Chciał wyrzucić z siebie wszystko, co nagromadziło się przez długi czas pobytu na wsi. Nie przerywał swoich wynurzeń ani w mieszkaniu, ani na dworze, i nawet wtedy, gdy siedzieli już w faetonie i zbliżali się do ich majątku.

— Podobają się panu te rumaki? — Rudy Berł zadał to pytanie w chwili, kiedy Jehoszua Łajew poszedł do stajni, aby wydać polecenie zaprzęgania do drogi. I Berł zaczął rozprawiać o wielkich zaletach ojca młodego czło

wieka. Jaki to z niego potentat, jaki bogacz i co za wspaniały i oryginalny zarazem człowiek.

— Powinien pan dziękować Bogu, że tak się stało! — Wyszło na to, że Berł właściwie pragnął, żeby jemu podziękowano za wszystko. Ale figa z makiem! To mu się nie uda! Jeszcze pomyśli, że osobiście uratował Szolemą od śmierci głodowej. Szolemowi nie jest przyjemnie, że nie może zapłacić za stancję. Z forszą jest u niego chwilowo bardzo krucho.

— Powiedz mi lepiej, panie Berł, ile się należy? Rudy Berł przymyka oczy i powiada: — Za co?

— Za stancję, za wszystko... Odeślę panu natychmiast po przybyciu na miejsce.

— Idź pan, coś pan. Śmiechu warte! — Berł lekko odpycha Szolemą od siebie. Śmieje się. W tym momencie zjawia się goj. Jest to wysoki, postawny mężczyzna o białych brwiach nad poddańczo uśmiechniętymi oczyma. Nazywa się Andriej. Pyta o bagaż panicza, który ma pojechać z jego barinem. A nasz korepetytor wstydzi się powiedzieć Andriejowi, że nie ma żadnego bagażu. Powiada więc, że bagaż jedzie za nim. Nadejdzie później. Tymczasem ma tylko mały pakuneczek. Będzie go miał przy sobie. Andriej nie chce jednak odejść z pustymi rękami. Pakuneczek — niech będzie pakuneczek. Dwoma palcami chwyta paczuszkę i zanosí do wozu.

W chwilę potem Szolem siedzi już ze swoim patronem w przepięknym faetonie. Andriej trzasnął biczem i dwa szare koniki niosą ich po polach i lasach. Szolem jedzie na nowe miejsce wśród nowych ludzi. I nie przychodzi mu nawet na myśl, że oto na tym nowym miejscu, dokąd w tej chwili podąża, zostanie przypieczętowane jego szczęście na zawsze. Na całe życie.

Na stacji w Bogusławiu. Stary Łajew. Dziewczyna w otoczeniu kawalerów. Spilhagen, Auerbach i Czto dziełał? Czego chce Raszi od córek Cełofchoda i jak się pisze list do dyrektora cukrowni? Szotem zdaje egzamin i jedzie na wieś

Był szarawy, przedwieczorny mrok, gdy młody maskil Jehoszua Łajew i jego protegowany przyjechali do Bogusławia. Na stacji, gdzie się zatrzymali, spoktali ojca młodego maskila. Stary Łajew oczekiwał syna.

Wrażenie, jakie stary Łajew wywarł na nauczycielu, było niezwykle. Szolem nigdy sobie nic wyobrażał, aby tak wyglądał Żyd. A wyglądał jak generał, może nawet jak feldmarszałek. Głos miał niczym lew. W krótkich słowach syn poinformował ojca, kim jest młody nauczyciel, z czym przybył i jak go poznał. Po wysłuchaniu informacji syna, stary wdział na nos srebrnobiałe okulary i skrupulatnie z uwagą obejrzał sobie młodzieńca. Nie ceregielił się zbyt, lustrował go jak ryby zakupione na targu... Następnie wyciągnął ku niemu ciepłą rękę i z przyjaznym uśmiechem, na który może zdobyć się tylko feldmarszałek, przywitał go serdecznie. Od razu przeszedł na ty i zadał pytanie:

— Jak się nazywasz?

Usłyszawszy, że zwą go Szolem, niezwykle delikatnie i łagodnie, jak na swój lwi głos, odezwał się:

— Posłuchaj, kochany Szolemie. Nie obraż się i przejdź do tamtego pokoju. Mam do załatwienia pewną sprawę z moim synem. Zawołam cię potem i wtedy sobie pogadamy.

Pokój do którego wszedł Szolem, był, wyrażając się po europejsku, swego rodzaju westybulem. Zastał tam właściciela zajazdu, który w przeszłości zajmował się handlem. Nazywał się Berele Etels. Był to Żyd z sinym nosem, pełnym cienkich czerwonych żyłek. Stał z założonymi rękami i gadał. Gadał o gościach, o ich interesach. Gadał o sobie.

Skarżył się, że Pan Bóg go skarał, bo na stare lata przyszło mu handlować rosółem z makaronem. Jego połowica, chudziutka, niskiego wzrostu Żydówka, z muszką na twarzy i żółtymi perełkami na szyi, uwijała się po izbie i klęła w niebogłosość na dzieci. Była to druga żona gospodarza. Przeklinała służącą, przeklinała kota. Widać, że nie jest zachwycona światem. Jest pesymistką i to nie byle jaką. Przy oknie siedzi, pochylona nad książką, powieścią Spilhagena, ich najmłodsza córka — Siwka. Piękna dziewczyna o jasnej okrągłej twarzyczce. Przyszli do niej w odwiedzinach trzej młodzieńcy z podstrzyżonymi bródkami. Są to przedstawiciele śmietanki bogusławskiego towarzystwa. Cymes miejscowej inteligencji. Toczą rozmowę o literaturze. Gospodarz przyprowadza do nich Szolema i przedstawia go.

Skąd właściwie stary wie, kim jest Szolem? Nowa zagadka. Piękna dziewczyna nie chce, by gość się nudził. Zwraca się więc do niego z miłym uśmiechem na twarzy nosem, pełnym cienkich czerwonych żyłek. Stał z założonymi rękami i gadał. Gadał o gościach, o ich interesach. Gadał o sobie. Skarżył się, że Pan Bóg go skarał, bo na stare lata przyszło mu handlować rosółem z makaronem. Jego połowica, chudziutka, niskiego wzrostu Żydówka, z muszką na twarzy i żółtymi perełkami na szyi, uwijała się po izbie i klęła w niebogłosość na dzieci. Była to druga żona gospodarza. Przeklinała służącą, przeklinała kota. Widać, że nie jest zachwycona światem. Jest pesymistką i to nie byle jaką. Przy oknie siedzi, pochylona nad książką, powieścią Spilhagena, ich najmłodsza córka — Siwka. Piękna dziewczyna o jasnej okrągłej twarzyczce. Przyszli do niej w odwiedzinach trzej młodzieńcy z podstrzyżonymi bródkami. Są to przedstawiciele śmietanki bogusławskiego towarzystwa. Cymes miejscowej inteligencji. Toczą rozmowę o literaturze. Gospodarz przyprowadza do nich Szolema i przedstawia go.

Skąd właściwie stary wie, kim jest Szolem? Nowa zagadka. Piękna dziewczyna nie chce, by gość się nudził. Zwraca się więc do niego z miłym uśmiechem na twarzy. Może czytał powieść Na diunach Spilhagena? Okazuje się.

że młody nauczyciel doskonale jest zorientowany w twórczości tego autora. A jak z Auerbachem? Również! A Zapiski Jewreja Bergowa? Zna je na pamięć. A powieść Czto dielat? A któż by nie czytał Czernyszewskiego? A jak się panu podoba główna bohaterka Wiera Pawłowna? Co za pytanie!

Piękna dziewczyna i jej kawalerowie są zachwyceni. Jeden z nich, czastnyj powierennyj o dźwięcznym nazwisku Mendelson, podszczypuje swoje ledwo sypiące się wąsiki. On, zdaje się, podkochuje się w dziewczynie. Dlatego jest wściekły na młodego przybysza, który na wszystkim zna się doskonale. Miota więc złowrogie spojrzenia i w duchu życzy mu zapewne, aby połamał ręce i nogi. To jeszcze bardziej dodaje odwagi naszemu bohaterowi. Sypie zdaniem jak z rękawa, cytuje całe fragmenty z pamięci, wtrąca w dodatku takie nazwiska, jak Buckle {Historia cywilizacji w Anglii) oraz Stuart Mill {O wolności). Maskil z innego miasta w zetknięciu z nowo poznanymi powinien wyłożyć to, co umie, powinien wyjawic swojĄ wiedzę i swoje możliwości. W chwili, gdy temperatura dyskusji idzie w górę, wchodzi Łajew, a wraz z nim jego syn Jehoszua. Mimo woli są świadkami lekcji, jaką daje miejscowym inteligentom młody nauczyciel z Perejasławia. Wymieniają spojrzenia. Odczuwają widocznie satysfakcję. Stary Łajew zwraca się do Szolema.

— Posłuchaj no, młody człowieku. Mam do ciebie pytanie. Mój syn opowiada mi, że jesteś w naszych żydowskich książkach nie mniej biegły niż w książkach gojów. Chciałem od ciebie usłyszeć, czy jeszcze pamiętasz czego chce Raszi od córek Celofchoda.

I potoczyła się rozmowa na temat Rasziego. Od niego przechodzą do Gemary. Padają wywody scholastyczne z zakresu nauk teologicznych i nauk świeckich, o haskali, słowem tak jak to bywa wśród Żydów, którzy są za pan brat z nauką wyższego stopnia. Wypowiedzi Szolema robią furorę. Stary Łajew jest tak przejęty, że kładzie mu rękę na ramieniu i powiada: — Z tą wiedzą i erudycją mam przykre doświadczenie. Gdy przychodzi mianowicie do napisania li

ściku okazuje się, że nic z tego... Oto, dla przykładu, masz pióro i atrament, proszę ciebie, i napisz po rosyjsku list do dyrektora cukrowni. Napisz, że nie dostarczymy mu więcej buraków, jeśli nie nadeśle tyle i tyle pieniędzy... Jest rzeczą oczywistą, że liścik był tylko pretekstem, kamuflażem, rodzajem egzaminu. Po chwili list zaczął wędrować z rąk do rąk. Wszyscy podziwiali rzadkiej piękności charakter pisma. Nie mogli się nadziwić jego pięknej kaligrafii. Była to zasługa jego dawnego nauczyciela, reb Monisza z Perejasławia. Melamed Monisz Wołow, który słynął ze swojej kościstej rączki, był kaligrafem wysokiego lotu. Był urodzonym artystą. Złota rączka. Jego dzieła stanowiły chlubę miasta. Nie pisał, ale rysował. Był z niego przyzwoity, porządny Żyd. Wielce bogobojny. Słowa po rosyjsku nie rozumiał, a mimo to konkurował z nauczycielem kaligrafii z ujezdnoj.

Trudno było wprost uwierzyć, że nie maszyna, ale ręka ludzka mogła wykaligrafować takie litery. Jego uczniowie, a wśród nich dzieci Rabinowicza, niemało ucierpiały od kościstej ręki reb Monisza. Za to jednak przejęły wiele z jego kunsztu kaligraficznego. Nauczyły się od niego pięknego pisania po rosyjsku. Przyniosło im to duże korzyści. Na tym egzamin jeszcze się nie skończył. Stary Łajew zażądał od młodego nauczyciela, aby zadał sobie trud i przetłumaczył napisany list na język hebrajski. Dyrektor cukrowni bowiem jest Żydem. W ten sposób stary uzasadnił swoje żądanie. Jasne więc, że był to dalszy ciąg egzaminu. Bez dłuższego zastanawiania Szolem przełożył list na hebrajski. Zrobił to w stylu wyszukany. Postarał się też o to, aby pismo było eleganckie, ozdobne i kaligraficzne. Gęsto zapełniał równe linijki. Słowem, cackał się z tym pismem, pielęgnował i wychuchał każdą literkę. Było to w wielkiej mierze zasługą wcześniejszego jego melameda, reb Zurechła. Kim w kaligrafii rosyjskiej był reb Monisz, tym w kaligrafii hebrajskiej — reb Zurechł.

Jednym słowem, nasz korepetytor zdał egzamin celująco. Od sukcesu ma nawet lekki zawrót głowy. Czuje, że mu płoną uszy, wyobraźnia unosi go na skrzydłach w świat ma

rzeń. Cudowne myśli chodzą mu po głowie. Jest szczęśliwy. Promienieje. Dziwny sen o skarbie zaczyna się urzeczywistniać. Szolem przybywa do Łajewa i tu fantazja podpowiada mu, że zawiera znajomość z córką starego. Zakochują się w sobie i zwierają ze swego sekretu staremu Łajewowi. On kładzie swoje dłonie na ich głowy i błogosławi. — Bądźcie szczęśliwi, moje dzieci kochane!... — I Szolem pisze list do swego ojca w Perejasławiu. „Tak i tak kochany ojcze, przyjeźdź koniecznie”... Posyłają po niego powóz zaprzęgniony w ogniste rumaki... I nagle, gdy marzenia osiągają zenit, zostaje przywołany do porządku, zostaje ściągnięty na ziemię. Stary Łajew odwołuje go na bok, aby porozmawiać względem „tego co i owszem”, to znaczy o przyszłym wynagrodzeniu. — A może zostawmy to na później? — Niech będzie na później. — I Szolem czuje się jak człowiek, któremu przerwano brutalnie jego najśladniejszy sen. Marzenia rozwiały się jak dym. Mroczny cień zasnuł rozpaloną wyobraźnię. Czar skarbu oraz wszystkie słodkie tęsknoty prysły jak bańka mydlana. Tymczasem zapadła noc i trzeba wyruszyć. Z Bogusławia do wsi jest jeszcze kilka mil. Dwie godziny jazdy. Konie czekają już w zaprzęgu. Woźnica Andriej wkłada do powozu walizy. Na dworze jest chłodnawo. — I tak chcesz jechać? — Stary Łajew upomina młodego nauczyciela. — Jesteś przecież prawie goły. Zmarzniesz, do wszystkich diabłów. Andriej! Podaj burkę! — Andriej wyciąga spod siedzenia ciepłą, wełnianą burkę. Stary sam pomaga Szolemowi ją włożyć. Burka jest ciepła i przyjemna. Coś jednak psuje tę przyjemność. Dziewczyna, córka Berele, Siwka i jej kawalerowie stoją w oknie i patrzą, jak stary pomaga mu włożyć burkę. Wydaje mu się, że śmieją się. Wstyd mu również przed woźnicą, przed Andriejem. Co sobie ten goj pomyśli?

ŻYDDZIEDZIC

Magnacki dom żydowski. Savoirvivre i etykieta. Biblioteka starego Łajewa. Rzadki okaz żydowskiego dziedzica. Noc już była w pełni, gdy cała trójka: stary Łajew, jego syn Jehoszua i młody nauczyciel z Perejasławia, przybyła na miejsce. Przejeżdżali obok małych, niskich, ciemnych chatk chłopskich. Minęli duże pole, zwane przez mieszkańców wsi wygonem. Minęli ogromną, otwartą stodołę, pełną siana, słomy i nie wymłóconego jeszcze zboża. Powóz zatrzymał się przed ogromnym pańskim dworem. Woźnica ledwo zdążył zatrzymać konie, a już wrota otworzyły się jakby automatycznie. Przy bramie stał chłop z obnażoną głową. Nisko kłaniając się przepuścił powóz, który lekko, jak po miękkim dywanie, podjechał pod okazały, chociaż niewysoki, biały dom z dwoma gankami po bokach, kryty, o dziwo, słomą. Tuż za budynkiem rozciągał się sad. W środku dom był tak samo jak na zewnątrz wymalowany wapnem. Umeblowany skromnie i prosto. Dużo okien. Pokoi bez liku. Po nich uwija się cicho, niczym cienie, służba. Wszyscy mają na nogach miękkie pantofle. Nikt nie śmie odezwać się, gdy stary jest w domu. Panuje tu surowa dyscyplina. Tu słyhać tylko jego głos. Głos gospodarza. Jego głos rozbrzmiewa jak dzwon. W pierwszym pokoju przy ładnie zastawionym stole siedziała kobieta. Była to młoda, piękna, wysoka niewiasta. Żona starego Łajewa! Obok niej dziewczyna lat może trzynastuczternastu. To ich jedynaczka. Prawdziwa kopia matki. Stary przedstawił je nauczycielowi, po czym zasiedli do stołu, do kolacji.

Po raz pierwszy w swoim życiu znalazł się bohater niniejszych wspomnień przy arystokratycznym stole, gdzie spożywano posiłki według ustalonego ceremoniału. Do stołu podaje lokaj w białych rękawiczkach. Co prawda lokaj jest zwykłym szejgecem imieniem Wańka, ale stary

ubrał go i wytresował na pański sposób. Człowiekowi, który nie przywykł do mnóstwa talerzy i talerzyków, łyżek i łyżeczek, szklanek i szklaneczek, trudno jest wytrwać przy takim stole bez uchybień wobec wymaganej etykiety. Trzeba się mieć na baczności. Trzeba uważać. Bogiem a prawdą wypada przyznać, że młodzieniec nasz nie miał dotąd pojęcia o tym, że przy stole należy przestrzegać etykiety. W zwykłym domu żydowskim nikt na to nie zwracał uwagi. W zwykłym domu żydowskim je się z jednego talerza. Maczają świeżą chałę w gęstym i tłustym sosie i jedzą rękami. W tak zwanych gospodarskich domach nie mają pojęcia o przepisach traktujących o tym, jak należy siedzieć przy stole, jak posługiwać się łyżką, widelcem czy nożem. W porządnym domu żydowskim wystarczy wiedzieć, że należy zostawić z szacunku kawałek ryby lub mięsa na talerzu. Poza tym można siedzieć, jak się chce, i jeść tyle, ile się chce. Można też dłubać widelcem w zębach. Kto mówi, że gdzieś w świecie obowiązuje jakaś tam etykieta? Kto i gdzie taki Szulchan Aruch napisał? Nasz młody korepetytor nigdy i nigdzie nie zetknął się z takim podręcznikiem. Skupił całą uwagę. Podpatrywał, jak inni postępują. Oczywiście, że w tej sytuacji wielkiej przyjemności z jedzenia nie miał. Trzeba było bez przerwy uważać. A nuż za dużo sobie na talerz nałożył? A może za głośno chłepce zupę albo za mocno pracuje zębami?...

Chwała Bogu, nasz młody nauczyciel i ten egzamin z etykiety zdał celująco. Od stołu jednak po raz pierwszy odszedł głodny. Po tych wszystkich pięknych ceremoniach, po wszystkich sutyh potrawach i znakomitych specjałach tęsknił za świeżym kawałkiem chleba ze śledziem i cebulą. Za kartoflami w mundurkach, za porcją kapusty, którą czuje się w żołądku przez całą dobę. Sporo czasu minęło, nim przyzwyczaił się do reżimu pełnego ceregieli. Na razie musiał, jak to się mówi, powtarzać pacierz za panią matką, musiał trzymać fason i broń Boże nie zdradzić się ze swoimi demokratycznymi skłonnościami i proletariackimi nawykami. Jednym słowem, powinien być taki, jak wszyscy w tym domu. Gwoli prawdzie należy podkreślić, że od

pierwszego dnia pobytu u Łajewów odnoszono się do niego jak do równego sobie, jak do swojego. Chłopak z dobrego domu, jakby nie było. Tak zawyrokował stary. Zrobił to publicznie. W obecności młodego nauczyciela stwierdził, że chłopak z dobrego domu, a takim jest przecież młody nauczyciel, zasługuje na to, aby traktować go inaczej, jak kogós z dobrej rodziny.

Zaczął się od tego, że dostał oddzielny pokój. Skromny, ale ze wszystkimi wygodami i z najlepszą obsługą. Miał tam sporo wolnego czasu i mógł robić to, co chciał. Lekcja z uczennicą zajmowała mu jakieś dwie, trzy godziny dziennie. Pozostały czas mógł wykorzystać dla siebie. Mógł w tym czasie czytać książki lub pisać. A czytał wszystko, co mu wpadło w rękę. Stary Łajew sam lubił dużo czytać i nie żałował pieniędzy na zakup nowych książek. A że czytał wyłącznie po hebrajsku, to nic dziwnego, że jego biblioteka składała się w większości z książek hebrajskich. Jidisz nie był jeszcze wtedy w modzie. Kałmen Szulman, Mapu, Smoleński, Mandelkern, Gotlojber, Jehalel, Icchok Ber Lewinzon, Mordechaj Aaron Ginzburg, Icchok Erter, doktor Kaminer, Chaim Zelig Słonimski, oto nazwiska pisarzy,

które zdobiły bibliotekę wiejskiego magnata, dziedzica Łajewa. Wszystkie te książki znał stary Łajew niemal na pamięć. Lubił z nich przytaczać cytaty. Stale i wciąż rozprawiał na ich temat. Miał niezwykle talent do opowiadania różnych rzeczy swoimi słowami. Rzekłbym, że był to znakomity orator. Miał ogromne poczucie humoru. Jego opowiadania trzymały w napięciu. Człowiek o wielkim doświadczeniu, miał wiele do opowiadania. Mógł mówić godzinami i zawsze ciekawie. Nie tylko opowiadał. Poetyzował, tworzył, malował. Jego słowne obrazy pełne były barw. Gdziekolwiek przebywał, nawet wśród mnóstwa ludzi, słychać było tylko jego głos. Jego i nikogo więcej. Był to w ogóle rzadko spotykany typ człowieka. Oryginał pod każdym względem. Żyd, ale niepodobny do innych Żydów. Wyrósł i wychował się w pobożnej rodzinie żydowskiej, w żydowskim mieście Bogusławiu. Aż dziw

bierze, jak mógł w tych warunkach wyrosnąć taki okaz. Skąd u Żyda bogusławskiego żyłka dziedzica? Skąd się u niego wzięła miłość do ziemi i zamiłowanie do pracy na roli? Warto popatrzeć na niego, gdy wczesnym rankiem, ubrany w długie błyszczące buty z cholewami, aksamitną, długą do kolan marynarkę, stoi przy młóckarni i dowodzi pracownikami wrzucającymi snopy do maszyny lub tymi, którzy pracują przy wialni albo przy rzeszotach. Był wszędzie. Sam doglądał wszystkiego. Był przy orce, siewie, pieleniu, wykopkach, żniwach. Przy sprzęcie zboża, przy koniach, wołach, krowach. Myślę, że gdyby kiedyś zaszła potrzeba pokazania innym narodom wzoru i przykładu Żydadziedzica, właściciela dóbr ziemskich i prawdziwego rolnika, to najlepszy byłby stary Łajew. Chrześcijanie otwarcie przyznawali, że u tego Żyda można i trzeba się uczyć, jak prowadzić gospodarstwo, jak rządzić ekonomicznie, jak bardziej wydajnie uprawiać ziemię i jak obchodzić się z pracownikami. Wszyscy bez wyjątku chłopci ze wsi przepadali za nim. Nie bali się go, ale i mieli dla niego szacunek. Oni go po prostu lubili. Lubili go za to, że traktował ich jak ludzi, że obchodził się z nimi jak przyjaciel, jak ojciec. Od poprzednich polskich dziedziców chłopci nigdy czegoś takiego nie zaznali. Godzi się nadmienić, że starsze pokolenie muzyków nie zapomniało jeszcze smaku pańszczyzny. Wielu chłopów nosiło na swoich plecach ślady chłosty. A tu tymczasem obchodzą się z nimi jak z ludźmi, a nie jak z bydłem. Poza tym żywili do gospodarza ogromne zaufanie. Rzadko kto we wsi był w stanie zliczyć do dwóch. W rachunkach całkowicie polegali na starym Łajewie. Byli pewni, że ich nie oszuka. Trudno sobie wyobrazić, jak potoczyłaby się historia narodu żydowskiego i jaką rolę odegralibyśmy w życiu ekonomicznym i politycznym kraju, gdyby nie te niektóre osławione wremiennyje prawa wprowadzone przez ministra Ignatiewa. Ustawy te zabraniały Żydom osiedlać się na wsi, nabywać ziemię lub ją dzierżawić i uprawiać. Mówię o tym dlatego, że tacy gospodarze, jak na przykład Łajew, nie należeli w tych okolicach do rzadkości (podob

nie zresztą w innych rejonach strefy osiedleńczej). Żydzi bogusławscy, kaniowscy, spalscy, Żydzi z Rżyszczewa, Złotopola, Taraszczy i Humania osiedlali się na wsiach i w małych miasteczkach. Wydierżawiali większe lub mniejsze majątki, brali warendę folwarki pańskie i dokonywali tam cudów. Z ruin i złej, zaniedbanej ziemi potrafili stworzyć prawdziwy raj. Nie ma w tym, co mówię, żadnej przesady. Powyższą opinię usłyszał autor tych wspomnień z ust słynnego rosyjskiego dziedzica Wasyla Fiodorowicza Symerenki, z którym stary Łajew pozostawał w bliskich stosunkach handlowych. Z tymże Symerenką będziemy jeszcze mieli okazję się spotkać. Słowem, macie przed sobą typ Żydadziedzica, Żydarolnika, który zrzędzeniem złego losu zniknął, niestety, z areny dziejów na długie, długie lata.

ŻYCIE NA WSI

Wieś Zofiówka. Autor poznaje okolicę. Trzech dobrych Żydów. Nauczyciel i uczennica stają się sobie bliscy niczym brat i siostra. Wśród książek, w polu i u sąsiadów

Wieś, do której sprowadzony został autor tej opowieści, należała do hrabiego Branickiego. Nazywała się Zofiówka. Szolem przybył tu w charakterze nauczyciela. Przyjechał na krótko, a został na zawsze. Tu znalazł swój drugi dom rodzinny. Tu, jak się przekonacie, znalazł swoje szczęście i tu zapadła ostateczna decyzja w sprawie jego dalszego życia. Tymczasem jako korepetytor spędził na wsi niemal trzy lata. Te trzy lata trzeba zaliczyć do najlepszych, najpiękniejszych i najszczęśliwszych w jego życiu. Można powiedzieć, że była to prawdziwa wiosna jego życia. Wiosna we wszystkich jej przejawach. Tu miał okazję bliżej poznać przyrodę, boży świat i bożą ziemię. Ziemię, z której wszy

scy wyszliśmy i do której wrócimy. Tu dostrzegł, zrozumiał i poczuł, że nasze miejsce jest na łonie natury, a nie tam, w mieście. Tu doszedł do wniosku, że jesteśmy częścią składową wielkiego świata przyrody, że zawsze tęskniliśmy i będziemy tęsknić za matkąziemią. Zawsze kochaliśmy i nigdy nie przestaniemy kochać otaczającego nas świata. Wieś pociągała nas zawsze i myślę, że tak już to pozostanie. Sądzę, że mój wielkoduszny czytelnik wybaczy mi ten krótki wstęp. Gdy powracam do wsi, trudno mi powstrzymać się i zataić moje uczucia z nią związane. A teraz, gdy już wyjawilem je, przechodzę do opisanie tej wsi. Chcę dać dokładny obraz szczęśliwego wiejskiego życia.

Nasz nauczyciel spał w dużym, jasnym pokoju, przy zamkniętych okiennicach. Obudziwszy się wczesnym rankiem, jednym pchnięciem otworzył okno wraz z okiennicą. Snop światła wdarł się do pokoju. Wraz z nim napłynęło ciepłe od słońca powietrze. Miało w sobie zapach rezedy zmieszanej z miętą i aromat przeróżnych zielsk, których nazw nawet nie znamy. Rośliny te zasiał kiedyś hrabia Branicki. Obecnie rosną one dziko wraz ze zwykłym burzanem i pokrzywą. W połowie lata zielska osiągały taką wysokość, że nauczyciel i uczennica w czasie spaceru tonęli po prostu w ich gęstwinie. Rośliny sięgały im po szyję. Mogli doskonale bawić się w chowanego.

Raptnym otwarciem okna Szolem spłoszył rozgdaną kurę i jej rodzinę. Wnet jednak powróciła i zaczęła grzebać w śmietniku, dając przy tym lekcję swoim pisklętom, jak należy szukać i wybierać to, co nadaje się do jedzenia. Poranna toaleta i mycie nie zabiera dużo czasu. Jest jeszcze wcześniej. Gdy jednak Szolem wychodzi ze swego pokoju, nie zastaje już nikogo. Stary Łajew od dawna jest już w gumnie, skąd dochodzi warkot młockarni. Jego żona zajęta przy indykach, gęsiach, kaczkach i innym ptactwie domowym. Prawdziwe królestwo drobiu. Z szerokich pól woły ciągną powolutku wozy ze zżętym zbożem. Gołym okiem można dostrzec widniejące w dali łąny pszenicy. Sporo już skoszone. Sterty związane w сноpy użatku leżą na polu. Wiele zagonów lśni jeszcze zielenią

i kołysze się w podmuchach lekkiego wiatru. Za łanami zboża w równych rzędach zielenią się liście buraków. Wśród nich w rzadkich odstępach, pojedynczo, rosną słoneczniki. Wysokie, w żółtych czapach niby żołnierze na warcie. Ptaki lubią słoneczniki. Wydziobują z nich, jedna po drugiej, białe jeszcze, ale już słodkie pestki. Za buraczanym polem szumi młoda gęsta dąbrowa, zwana Turczyną. W czasach, gdy majątek należał do magnatów, chodziło się do lasu na polowanie. Teraz należy on do Żyda, bezbronnie zające i Bogu ducha winne ptaszki mogą zatem spać spokojnie. Żydzi nie polują. W inny sposób korzystają z dobrodziejstw lasów. Stary Łajew wywiózł z lasu sporo drewna, z którego zbudował stodoły i stodółki, magazyny i magazynki, spichlerze na zboże i obory dla krów i wołów, stajnie dla koni, wozów i sań.

Lekcje odbywały się zaraz po śniadaniu. Potem nasz korepetytor odbywał spacer po ogrodzie. Czasem sam, a czasem razem z uczennicą. Trudno powiedzieć, kiedy ogród jawił mu się w najpiękniejszej krasie. Czy w okresie świąt Szawuot, gdy drzewa były w rozkwicie, czy też wtedy, gdy porzeczka zaczęła się czerwienić, a agrest żółcić. A może znacznie później, pod koniec lata, gdy jabłka spadały z drzew i spóźnione okrągłe śliwki błyskały wśród gałęzi. O każdej porze roku ogród zachwycał swoim powabem i wdziękiem. O każdej porze roku nauczyciel ze swą uczennicą odkrywali w ogrodzie coś nowego. Może to być agrest. Nie szkodzi, że jeszcze zielony i kwaśny jak ocet. Fraszka, że przy zrywaniu można sobie pokłuć palce. Zrywają te owoce, które są największe, te, które zwisają w dół prześwietlone przez słońce. Cóż dopiero, gdy porzeczki napelniają się czerwonym sokiem i mienią się kolorami tęczy w promieniach słońca! Proszą się po prostu, aby je skosztować. Kiść po kiści. Kosztują więc, próbują, aż zęby cierpną. To samo powtarza się z czereśniami, wiśniami i innymi owocami, dojrzewającymi w różnych porach. Prawda, są to owoce, które można kupić również w mieście. Można je z łatwością nabyć za pieniądze. Nie mają jednak wtedy tego smaku i tego zapachu. Zwłaszcza gdy się je zry

wa wprost z drzewa w towarzystwie miłej dziewczyny; w towarzystwie dziewczyny, dla której jesteś miły, drogi, kochany jak własny brat...

I nie mogło być inaczej. Przecież jej ojciec i matka traktowali młodego nauczyciela jak własnego syna. W ich stosunku do własnych dzieci i do Szołema nie było żadnej różnicy. Korzystał więc ze wszystkich dobrodziejstw zamożnego domu. Opływał w dostatki. Nie znał, co to bieda. Nie miał żadnych kłopotów pieniężnych. Nikt w tym domu nie wiedział, co znaczy pieniądź. Nie chodzi o to, że nie było tam pieniędzy. Wprost przeciwnie. Pieniędzy było w bród, ale oprócz starego Łajewa nikt nie znał ich wartości. Nikt nie odczuwał ich braku. Wszystkiego mieli pod dostatkiem. Jadła, napojów, odzieży i powozów do podróży. A wyjeżdżało się z fasonem! Na każdym kroku służący. Mieli do swojej dyspozycji ludzi i konie o każdej porze dnia i nocy. Gdy zajeżdżali do wsi, chłopci zdejmowali przed nimi czapki i nisko się kłaniali. Prawdziwi wysoko urodzeni hrabiowie nie mogli czuć się swobodniej.

Z roboty stary Łajew wracał cały pokryty pyłem, słomą i ostami. Zdejmował wtedy wysokie buty z cholewami, mył się dokładnie i natychmiast zmieniał się nie do poznania. Zupełnie inny wygląd. Siadał przy biurku i zaczynał przeglądać pocztę dostarczaną codziennie przez umyślnego chłopaka, który wyprawiał się po nią konno do stacji Baranie Pole. Po przejrzaniu poczty Łajew wołał nauczyciela i kazał mu odpisywać na listy. Szolem wykonywał zleconą pracę bardzo dokładnie. Ze starym rozumiał się w pół słowa. Tajniki korespondencji miał w małym palcu. Stary nie miał w zwyczaju dwa razy powtarzać tego samego. Chciał, by go pojmovano w lot, jeszcze nim dokończy zdania. Sam pracowity, cenił tych, którym praca się paliła w rękach.

Po załatwieniu korespondencji siadano do stołu. Rzadko bywało, aby przy stole nie było osób spoza kręgu domowników. Do wspólnego posiłku siadali często goście. Byli to sąsiedzi, dzierżawcy albo kupcy, którzy przyjechali po pszenicę, owies, jęczmień lub inne zboża. Przy stole pa

nowała ostra dyscyplina. Nikt nie odważył się podnieść głosu. Tylko stary grzmiał jak dzwon. Nigdy nie brakło mu tematów. Na każdą okazję miał stosowną przypowieść, właściwy przykład i trafne powiedzonko pobudzające biesiadników do śmiechu lub refleksji. Nie było drugiego, który by z równym talentem umiał opowiadać, naśladować i parodiować. Robił to z genialną wprost precyzją. Jednak w świecie Żydów uchodził Łajew za co najmniej osobliwego człowieka. Ot, cudak w mózdzek kopnięty. Mimo to kupcy lubili z nim handlować. Bowiem jego słowo było święte. Jeżeli nawet zapłacili za zboże trochę drożej, to z całą pewnością nie żalowali tego. Nie wchodziły tu w grę jakieś z góry ustalone zasady. Wynikało to po prostu z wrodzonej uczciwości Łajewa, który nie znał kręactwa i fałszu. W środowisku kupieckim taki człowiek uchodzi zwykle za wariata, a mimo to wszyscy kupcy chcieli z nim prowadzić interesy, nie zaś z kimś bardziej „normalnym”.

Po posiłku pozostają przy stole tylko stary Łajew i jego goście. Toczą się wtedy konkretne rozmowy, załatwia się sprawy handlowe. Młody korepetytor zabiera się do lekcji z uczennicą. Studiują, piszą, ale głównie czytają. Czytają wszystko, co popadnie. Bez wyboru, bez systemu, bez z góry narzuconej koncepcji. Najczęściej czytają powieści. Czytają utwory największych klasyków: Szekspira, Dickensa, Tołstoja, Goethego, Schillera, Gogoła. Wraz z nimi czytają również najgorsze, kiczowate powieści: Eugeniusza Sue, Xaviera de Montepin, Acharda Van Badena i wielu innych francuskich pisarzy bulwarowych. Naczytawszy się do syta, wychodzą w pole popatrzeć na pracę żniwiarzy. Na widok zboża układanego w snopy ogarnia ich chęć, aby zakasać rękawy i też zabrać się do pracy. Okazuje się jednak, że stać z boku i obserwować, jak inni koszą i zbierają, jest znacznie łatwiej, aniżeli samemu schylać się, kosić i zbierać. Od patrzenia człowiek się nie męczy i nie dostaje odcisków na dłoniach. Za to nabiera apetytu.

Po powrocie do domu sięga się więc po zsiadłe mleko i czarny razowy chleb. Po czym następuje przechadzka po ogrodzie. Można też kazać Andriejowi zaprząć powozik

i wyruszyć na objazd dzierżaw i arend. Do Guzyfki, Krytohorbów i Zakuteńca. Można też pojechać do Baraniego Pola, do naczelnika poczty, pana Malinowskiego. Wszędzie człowiek spotyka się z serdecznym przyjęciem, uważany jest za miłego gościa. Na stole samowar i konfitury. U Malinowskiego znajdzie się zaraz butelka wódki, którą naczelnik poczty kieliszek po kieliszku sam wypija do dna. Malinowski to goj, który uwielbia gorzałkę. A jeśli nie do Malinowskiego, to można wpaść do Dodiego, ekonoma, który mieszka na tym samym podwórzu co gospodarz. Tam, u Dodiego, w jego małym mieszkaniu jest zawsze wesoło. A to, co możesz zjeść u Dodiego, tego nie dostaniesz w domu Łajewa. Na przykład młody czosnek ze szczawiem. To jest specjał małżonki gospodarza. Albo solone ogóreczki prosto ze słoja i ziemniaki w mundurkach. Słodkie głąby kapusty, którą żona ekonoma poszatkowała na kiszzenie. Można się napić kwasu jabłkowego, który smakuje jak napój bogów. Pani domu była uszczęśliwiona tymi wizytami. Jednak szczęśliwszy był Dodi. Wprost w siódmym niebie. Sam Dodi jest zresztą indywidualnością zasługującą na specjalny rozdział, poświęcony tylko jemu

EKONOM DODI

Człowiek natury. Stary Łajew czyta historię o Piotrze Wielkim i Dodi w trakcie czytania zasypia. U ekonoma w mieszkaniu. Bohater pisze powieści, romanse i dramaty, a nad własnym romansem nie zastanawia się wiele

Ekonom Dodi był potężnym chłopem, można rzec atletą. Nie tyle ze względu na wzrost i wagę, ile z powodu swojej wspaniałej budowy. Była to bardzo solidna postać. Płowłosy, o małych oczkach, z lekka zezujących. Bary — stal, pierś — żelazo, ręka — młot. Nie każdy koń chciał go nosić

na grzbiecie. Gdy siadał na konia, to jakby przyrósł do niego. Nie wiadomo, gdzie kończy się koń, a zaczyna Dodi. Przed Dodim wszyscy chłopcy mieli pietra. Truchleli na widok jego ręki, chociaż rzadko robił z niej użytek. Chyba w sytuacji bez wyjścia. Wówczas, gdy słowa nie odnoszą skutku. Wystarczyło, że ktoś szepnął: — Idzie Dodi — a wszyscy chłopcy i dziewczynki zajęci paplaniem zabierali się w mig do przerwanej pracy. Dodi nie marnował czasu na czczą gadaninę dydaktyczną. Brał w ręce sierp albo łopatę lub chwycił za pług i własnym przykładem pokazywał, jak należy pracować. Oszukać go nie było łatwo, a ukraść coś — niemożliwe. Za kradzież karał surowo. Nie popuszczał też pijakom. Co innego jeden kieliszek, co innego w miarę. Uchlać się jednak i urządzać skandale? Co to, to nie! Nie ręczył wtedy za życie pijaka.

A teraz wyobraźcie sobie, że ten Dodi, chłop na schwał, przed którym drżeli ze strachu wszyscy chłopcy we wsi, gdy stał przed obliczem Łajewa, zmieniał się nie do poznania. Malał jakoś i cichł. Cichszy od wody i niższy od trawy. Ręce spuszczone, oddech wstrzymany. Prostym żołnierzem stojącym przed generałem lub marszałkiem nie wykazuje więcej szacunku i lęku. Jako młody chłopak Dodi przybył na wieś i został już na zawsze. Rósł, dojrzewał i wciąż wspinał się wyżej, aż stary Łajew awansował go na ekonoma. Uczynił go inspektorem nad wszystkimi gospodarstwami. Tu na wsi Dodi ożenił się, uzyskał stałe miejsce pracy, oddzielny domek z własnym ogrodem. Miał swoją żonę, swoją słomę, drewno opałowe, kilka mlecznych krów i dorobił się dzieci. Słowem, stał się gospodarzem pełną parą. I mimo to Dodi nigdy nie odważył się w obecności starego Łajewa usiąść choćby na chwilkę. Raz tylko zdarzyło mu się coś takiego i zapamiętał ten wypadek na całe życie.

Wydaje mi się, że już zwróciłem waszą uwagę na fakt, iż stary Łajew lubił każdego pouczyć, uświadamiać i dzielić się tym, co wiedział. Pewnej długiej nocy zimowej Dodi stał przed nim jak zwykle wyprostowany niczym struna i składał raport ze stanu powierzonych mu gospo

darstw. Po złożeniu meldunku czekał na rozkaz odejścia. Stary jednak był dobrze usposobiony i chciał trochę pogadać. Już nie o gospodarstwie, ale o sprawach ogólnych. Zaczął od sąsiadów Polaków, by potem przejść do sprawy Polski. Mówił o polskim powstaniu. Od Polaków przeszedł do Rosjan. Rozwodził się nad Piotrem Wielkim. Na stole akurat leżał podręcznik Rosji w hebrajskim przekładzie Mandelkerna. Stary Łajew otworzył książkę i zaczął tłumaczyć Dodiemu całą historię Piotra Wielkiego po żydowsku. Czytając, polecił Dodiemu zasiąść na krześle. Dodi jednak nie odważył się. Wtedy stary powtórzył polecenie. Nie było wyjścia, więc usiadł przy drzwiach pod ściennym zegarem. Głowa Dodiego nie była przyzwyczajona do takich lekcji. Ponadto siedząc na wysokim wygodnym krześle powoli popadł w drzemkę. Oczy mu się kleiły. Ukołysany monotonnym głosem starego ostatecznie zasnął głęboko. Zostawmy na razie Dodię. Niech sobie śpi spokojnie, a tymczasem poświęcę kilka słów wielkiemu zegarowi ściennemu. Był to stary gruchot. Inwalida, który już dawno wysłużył swoje. Mógłby już sobie od lat spoczywać na strychu, wśród innych starych gratów. Cóż z tego, gdy Łajew miał dziwną słabość do staroci. Na przykład do starego lustra, które odbijało dwie twarze naraz, lub do starej komody, z której niezwykle trudno było wyciągnąć szufladę. Na jego biurku stał niezmiennie od wielu, wielu lat kałamarzyk w dawnym stylu — szklany bucik i czarna drewniana miseczka napełniona piaskiem. Za żadne skarby Łajew nie chciał zamienić tego starego kałamarzyka na nowoczesny, porządnym kałamarz.

Nie chodziło tu rzecz jasna o skąpstwo. Stary nie był wcale skąpy. Przeciwnie, jeśli kupił coś, to musiało być w najlepszym i najdroższym gatunku. Po prostu ciężko mu było rozstać się z antykami. Tak się rzecz miała również z zegarem, który stale wymagał zwiększania wagi. Co pewien czas przybywał mu nowy ciężarek. Zanim wybił godzinę zanosił się ochrypłym kaszlem niczym wiekowy starzec chorujący na astmę. Ale, gdy już zaczął bić, to bił jak dzwon kościelny. Bim! Bom! Było go słychać

na dworze! Teraz możemy wrócić do Dodiego. Dodi śpi, a stary czyta dzieje Piotra Wielkiego i jego żony Anastazji. Nagle zachciało się zegarowi wybić godzinę dziewiątą. „Pali się” — pomyślał Dodi. W mig zerwał się i krzyknął: — Wody! — Stary przeraził się. Odłożył książkę o Piotrze Wielkim i spojrział na słuchacza przez okulary. Tego spojrzenia Dodi nie zapomni do grobowej deski.

Nasz korepetytor lubił Dodiego za jego sposób bycia, za jego dobroć. Był przekonany, że ten człowiek natury nigdy w swoim życiu nie skłamał. Jego wierność i przywiązanie do chlebodawcy i jego rodziny nie znały granic. A ponieważ Szołem był traktowany przez Łajewów jak własne dziecko, Dodi rozciągał swoje przywiązanie i na niego. Uznał go za członka rodziny i gotów był za niego skoczyć w ogień. W oczach Dodiego wszystko, co miało styczność z rodziną Łajewów, uchodziło za coś wzniosłego. Rodzina ta stała w jego oczach wyżej od innych ludzi. Wprost uwielbiał ją. Z tego uwielbienia korzystał też nauczyciel. W gorące dni lata albo podczas długich wieczorów zimowych korepetytor lubił ze swoją uczennicą wpaść do domu Dodiego. Tam, w małym domku, gdzie ręką można było dosięgnąć sufitu, młodzi czuli się lepiej niż u siebie. Jedzenie u Dodiego miało smak niebiańskich potraw. Latem wspaniały był kwaśny szczaw z młodym czosnkiem. Cudowne kartofle w mundurkach z solonymi ogórkami, z kapustą. Były tysiąc razy lepsze od najlepszych smakołyków serwowanych w domu Łajewów. Cóż dopiero mówić o ciastkach i skwarkach małżonki Dodiego! Dzień, w którym wypiekała ona ciasto albo topiła smalec, był prawdziwym świętem. Wyobrażacie sobie? Gorące ciasto wprost z pieca! Świeże, tłuste skwarki, które rozplývają się w ustach jak owa manna, którą Żydzi jedli na pustyni.

Najczęściej gościli u Dodiego zimą. Wtedy, kiedy drzewa opatulone są w biel i wyglądają jak nieboszczycy odziani w śmiertelne całuny. Wiosna traci zimą swój powab, a natura bogactwa typowe dla okresu letniego. Wtedy nie pozostaje nic innego, jak tylko wpaść do dobrze ogrzanej

go mieszkania Dodiego i delectować się smakołykami jego żony Pesi. Na dworze panuje przeraźliwa cisza. Śniegu pełno. Wokół pusto. W sercu narasta smutek. Dusza pełna niepokoju. Chyba, że od czasu do czasu każe się Andriejowi zaprząć konie do sań i urządza się przejażdżkę z jednego folwarku do drugiego. Trzeba wdziać wtedy kozuch, nakryć nogi ciepłą skórą baranią, a w każdym folwarku czeka już na stole samowar. Pijemy gorącą herbatę i jedziemy dalej. Jednak i zima ma swoje zalety. Jest wówczas sporo czasu na czytanie i pisanie. W ciągu tych prawie trzech lat pobytu na wsi nasz bohater napisał o wiele więcej, aniżeli później w ciągu dziesięciu lat, gdy był już znanym pisarzem. Nigdy potem już mu się tak lekko nie pisało. Całymi nocami tworzył długie wzruszające powieści, wstrząsające dramaty, skomplikowane tragedie i zawile komedie. Pomysły sypały się jak z rękawa. Wyobraźnia tryskała jak fontanna. Dlaczego i po co to wszystko pisał? Tego pytania nigdy sobie nie zadawał. Ledwo zdążył zakończyć jakieś „dzieło”,

natychmiast czytał je swojej uczennicy. Oboje byli zachwyceni. Świącie przekonani, że jest to arcydzieło. Nie na długo jednak. Gdy tylko uporał się z następnym utworem, poprzednie arcydziełko natychmiast blakło. Było słabe w porównaniu z najnowszym, prawdziwym arcydziełem... Najlepszym miejscem dla niego był piec. I tak poszedł z dymem niejedyn tuzin powieści i niejedna dziesiątka dramatów.

Co do tego, że nauczyciel zostanie pisarzem, młodzi nie mieli wątpliwości. Mówili o tym nieprzerwanie. Puszczali wodze swojej fantazji. Snuli plany różnych nowych utworów, zapominali o własnych planach. Nigdy o tym nie mówili. Nikomu z nich nigdy nie przyszło na myśl, aby wyznać swoje uczucia albo zastanowić się nad losem własnego romansu. Słowo „romans” było widocznie zbyt szablonowe, zaś słowo „miłość” zbyt banalne dla określenia tego uczucia, które powstało i zawiązało się w ich sercach.

Było to uczucie spontaniczne, naturalne. Nie mogło być inaczej. Czyż mogło przyjść do głowy bratu, aby wyznać miłość swojej siostrze? Obawiam się, że nie będziemy dalecy od prawdy, jeśli powiemy, że ludzie stojący z boku, ludzie postronni, znacznie więcej od nich wiedzieli, zdawali sobie sprawę, i co więcej — mówili o romansie tych dwojga młodych ludzi. Byli za młodzi, za naiwni i zbyt szczęśliwi. Na ich niebie nie było najmniejszej plamki. Znikąd nie spodziewali się sprzeciwu i co najważniejsze nigdy o tym nie myśleli. W ciągu trzech lat znajomości nie dopuszczali do siebie myśli o rozstaniu choćby na chwilę. A jednak dzień rozłąki nastąpił. Na razie nie na zawsze, ale na krótki okres czasu.

Na czas, kiedy bohater niniejszych wspomnień musiał stanąć do poboru.

POBÓR DO WOJSKA

Dużo mówi się o poborze. Pożegnanie z uczennicą i list do priedwaditiela. Fantazja w drodze. List skutkuje. Zdarzenie z kaleką. Szolem wraca na wieś, ale jego marzenia nie spełniają się

Można tylko żałować, że w ciągu tych trzech lat pobytu na wsi nie było ani jednego dnia, żeby nie padło słowo „pobór”. Dla starego Łajewa pobór był czymś chorobliwym, czymś co spędzało sen z jego powiek i nie pozwalało w dzień zażyć spokoju. Pobór kosztował go bardzo drogo. Jego syn Jehoszua miał stanąć do poboru. Przeto ojciec udał się do guberni czernihowskiej i narażając się na trudy i wyrzeczenia czynił starania o uzyskanie tak zwanej kwitancji. Jest kilka zaledwie takich kwitancji nadliczbowego zaświadczenia, dzięki któremu można

było uwolnić się od poboru do wojska. Kto mógł dostarczyć takie zaświadczenie, ten nie musiał odbywać służby wojskowej, bowiem od razu był zaliczony do rezerwy. Zaświadczenie kosztowało majątek. Stary Łajew nie żałował pieniędzy dla swego dziecka. Ledwo uporał się z zaświadczeniem nadliczbowego, a już wpadł w nowe kłopoty. Wybuchła wojna rosyjskoturecka.

Zaczęły krążyć pogłoski, że wcielą do wojska również tych z zaświadczeniem. Skoro tak się rzeczy mają, trzeba postarać się zawczasu o biały bilet. To znaczy, że należy rezerwistę postawić przed lekarską komisją poborową i ustalić jego przydatność do stałej służby wojskowej. I okazało się, że widocznie do służby wojskowej nie nadaje się, bo dali mu biały bilet. Dzięki Bogu, wybrakowali go. I nie tylko, że go wybrakowali, ale musiał ze względów zdrowotnych pojechać na kurację do ciepłych krajów. Pojechał więc do Mentony i Nicei na południu Francji leczyć chore serce. Z powodu tej choroby w kilka lat później umarł. Tymczasem jednak sprawa była w toku. Wybrano się do Kaniowa, nawiązano kontakt z isprawnikiem, przewodniczącym komisji poborowej, z lekarzami. Urzędnicy zasiadający w komisji zaciągali na razie „pożyczki”. Również różni Żydzi „doradzający” i „przyjaciele” nieźle się obłowili. Kto tylko miał Boga w sercu, ten pompował forszę. Słowem, dom żył jednym hasłem: „pobór”.

I nastał czas, gdy bohater niniejszej biografii miał stanąć do poboru. Stary Łajew okazywał zdenerwowanie. Było nie było postarał się o to, aby zawczasu przemeldować nauczyciela z Perejaśławia do Kaniowa i tam go wciągnąć na listę poborowych. W Kaniowie stary Łajew miał pewne możliwości. Własny ojciec nie przejąłby się bardziej losem syna niż stary Łajew losem Szolema. Co więcej, sam Szolem nie przejął się tak poborem jak rodzina Łajewów. Dla młodego Szolema wyjazd do Kaniowa i stawienie się przed komisją poborową było swego rodzaju świętem. Obstał sobie parę długich butów z cholewami, żołnierski baszłyk i był gotów odbyć służbę

wojskową. Uważał, że w wojsku wyróżni się, zdobędzie uznanie przełożonych i dosłuży się w krótkim czasie stopnia podoficera albo nawet feldfebla. Wyższego stopnia Żyd przecież nie mógł osiągnąć. Gdy jednak nadszedł termin wyjazdu, cała jego odwaga i dobry nastrój rozplynęły się bez śladu. Wstyd przyznać się, ale gdy trzeba było pożegnać się z rodziną Łajewów, a mogło to być pożegnanie na zawsze, coś ścisnęło Szolema za serce. Zamknął się w swoim pokoju, wtulił twarz w poduszkę i zapłakał rzewnymi łzami.

Nie był jednak jedynym, który gorzko płakał w tym domu. W tym samym czasie jego uczennica dała również upust łzom. Oczy jej tak spuchły od płaczu, że nie mogła pokazać się przy stole. Wymawiając się bólem głowy nie wyszła tego dnia ze swego pokoju. Nie chciała nikogo widzieć.

W domu panował smutek jak w rocznicę zburzenia Świątyni. Ciężko i beznadziejnie. Szolem siedział już na wozie, Andriej zamachnął już batem. Ostatnie spojrzenie na dom. W oknie Szolem dojrzał zapłakane oczy swojej uczennicy. Wyczytał z nich pożegnanie: „Szczęśliwej drogi, kochany! Wracaj jak najprędzej. Nie mogę bez ciebie żyć”.

Te niewypowiedziane słowa usłyszał w swojej duszy. W jego spojrzeniu zawarta była również wyraźna odpowiedź: „Bądź zdrowa, kochana. Wrócę do ciebie, gdyż bez ciebie żyć nie potrafię!” W tej chwili dopiero odczuł z całą mocą, jak bardzo jest przywiązany do tego domu. Zrozumiał też, że nie ma na świecie takiej siły, która potrafiłaby go od tego domu oderwać. Tylko śmierć. I znowu, jak zawsze w chwilach osobliwych, porywa go wyobraźnia. Zaczyna śnić o tym, co będzie, gdy wróci. Najpierw pokaże się swojej ukochanej. Potem stanie przed obliczem jej ojca i matki i hebrajskimi słowami zwróci się do starego: — Ahawti — pokochałem i kocham waszą córkę. Możecie ze mną zrobić, co chcecie! — Wtedy stary obejmie go i powie: — Dobrze, że mi powiedziałaś. Od dawna zwróciłem na to uwagę. — Potem zaczną się przy

gotowania do wesela. Sprowadzą krawców z Bogusławia i z Taraszczy. Uszyją stroje dla nowożeńców. W domu pieką ciasta i smażą konfitury. Po rodziców i krewnych pana młodego wysyłają karetę zarezerwowaną tylko na wielkie uroczystości. Przyjeżdżają: ojciec, stryj Pinie i pozostali członkowie rodziny. I nie wiadomo skąd zjawia się Szmulik. Ów Szmulik, dawny kolega i przyjaciel, wychowanek rabina, Szmulik sierota, który zna tyle cudownych bajek. Wymienia pocałunki z panem młodym i powiada: — A co, Szolemie, nie mówiłem, że skarb należy do ciebie? I nie opuszczają go słodkie, młodzieńcze marzenia, aż do wrót Kaniowa. Zatrzymują się u krewniaka Łajewa. Jest to garbaty Żyd, bardzo bogaty. Ma winiarnię, z której korzystają tylko bogaci dziedzice. Nazywa się Baruch Perczyk. Zajmuje się sprawami poboru. Szolem przekazuje więc przewodniczącemu komisji poborowej list. W liście stary Łajew pisze, że do komisji poborowej ma stanąć nauczyciel z jego domu, żywi więc nadzieję, że nie później niż od dziś za tydzień odeślą go jako zwolnionego ze służby wojskowej. Pan przewodniczący przeczytał list i wypowiedział jedno słowo: — Charaszol — To wystarczyło, aby młodzieniec był spokojny o swój los. Stał przed komisją i wyciągnął los z numerem. Nie można powiedzieć, aby to był wysoki numer, ale pobór kończył się na numerze. I Szolem był wolny. A dzięki niemu zwolnionych zostało jeszcze kilku Żydów z wyższymi numerami. Pożegnał więc Kaniów z wielką radością.

Z okazji poboru przybył również z Perejasławia ojciec poborowego i, jeśli się nie mylę, stryj Pinie. Ten miał w Kaniowie powinowatego. Słowem, radość była podwójna. Baruch Perczyk zarobił nieźle na wypitym przez gości winie, a niedoszły żołnierz wysłał do Zofiówki depeszę tej treści: „Mazł tow! Do mnie nie doszło. Jestem wolny. Jutro wracam!” Minęło jednak kilka dni, nim nasz bohater mógł wyjechać z Kaniowa. Czyż bowiem może być tak, aby żydowska radość nie została zakłócona? Znalazł się jeden taki Wyszyński, czy jak go tam, Wiśnie

wski, Żyd krzykacz, o głosie przypominającym grzechotkę, który miał kalekiego syna. Był pewien w stu procentach, że komisja go zwolni ze służby wojskowej. Okazało się, że jednak wcielono go do wojska. Ojcu fakt ten dopiekl do żywego. Podniósł larum. Puścił w ruch swój głos grzechotki. Jak to, mój syn będzie służył? Kaleka? Zamiast tych arystokratów, którzy zapłacili grubą forszę? Proszą go, aby tak głośno nie krzyczał. Wtedy on powiada: — A czyż ja krzyczę? Mówię i zdaje mi się, że mówię całkiem cicho. — I zaczyna krzyżeć jeszcze głośniejsze. Doskonale wie, dlaczego przewodniczący wcielił do wojska kalekę. To „dlaczego” przekazuje w wielkiej tajemnicy, ale głosem tak donośnym, że całe miasto już wie. Zna już wszystkie szczegóły. Nawet treść listu, który stary Łajew przesłał przewodniczącemu komisji. Dla Żydów nie ma tajemnicy. I krzykacz dał do zrozumienia, że nie będzie milczał. Odda, powiada, pod sąd przewodniczącego, lekarzy i całą komisję. Wtedy odwołują Żyda na bok i obiecują, że złożą się na niego. Zbiorą forszę i wyciągną jego syna z pułku. On jednak nie chce słyszeć o obiecankachcacankach. — Między obietnicą — powiada — a mennicą leży głęboka przepaść. Chcę — powiada — mieć w ręku monetę. — I zaczyna już wtedy po rosyjsku: — Chaczu widiet dieńgi. — I nie było sposobu. Ludzie zebrali się na naradę. Po tej naradzie zwołano następną i po niej jeszcze jedną. Zwolnieni poborowi złożyli się po pięćdziesiąt i po sto rubli. Zebraną sumę rozdzielili między tych, których wcielono do wojska. Największa dola przypadła — rzecz jasna —

Żydowi krzykaczowi. Utrzymał, że jemu należy się więcej od nich, ponieważ jego syn jest najbardziej kaleki. Zdrowy rozsądek wskazywał raczej na coś przeciwnego. Jeśli jest bardziej kaleki od innych, to łatwiej będzie go wyciągnąć. Ale co zrobić z Żydem krzykaczem? Przekonał się bowiem, że mu ustępują niczym jedynekowi, więc zaczął coraz bardziej podnosić głos. Targował się jak prawdziwa przekupka... Szczęście, że Baruch Perczyk otrzymał od starego Łajewa *carte blanche*, aby młodemu poborowemu dał tyle forsy,

ile będzie potrzeba. Kto wtedy liczył się z forszą? Wolność, to był jedyny, jaśniejący jak gwiazda, cel. Szolem całkowicie wolny poczuł się dopiero wtedy, gdy siedział w powozie specjalnie po niego wysłanym i gdy Andriej przekazał mu pozdrowienia z domu oraz zapewnienie, że wszyscy mają się, dzięki Bogu, dobrze, że wszystko w porządku. — W najlepszym porządeczku — powiada na zakończenie Andriej i przelacza się na rozmowę z końmi. A koniki rozumieją go doskonale i pędzą wprost jakby w powietrzu. Jest ciepły, łagodny dzień jesienny. Słońce nie pali, nie piecze, tylko głaszcze i muska. I oczy same się przymykają. I snują się po głowie marzenia. Marzenia delikatne jak jedwab. Rosną zamki na lodzie. Złote zamki. Wnet Szolem znajdzie się w domu. Gdy wejdzie w jego progi, natychmiast odkryje staremu Łajewowi karty: — Chcę, aby pan wiedział, że kocham pańską córkę i że ona również mnie kocha. — Wkrótce, za pół godziny, za kwadrans, będzie w domu. Oto już Baranie Pole, oto już las, już łąka. Już widać cmentarz, wiatraki z daleka wyglądają jak olbrzymy. — Do nas! Do nas! — machają wielkimi ramionami. Jeszcze kilka chwil i oto już dwór. Duży, biały dom z dwoma gankami. Nie, nie ma większej radości od tej, gdy do domu, do ojca i matki powraca nareszcie uwolnione dziecko. Bohater nasz miał co opowiadać. Opowiadał o tych wszystkich cudach i cudeńkach związanych z poborem. Historia równa cudownemu wyjściu Żydów z Egiptu. Najważniejszej jednak sprawy, którą miał na sercu, nie wyłożył. Kart przed starym Łajewem nie odkrył. Odłożył to do jutra, na później. A tymczasem mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, aż wreszcie pękła bomba. Zupełnie postronny człowiek otworzył staremu Łajewowi oczy na romans młodych. Tym człowiekiem była mądra Żydówka o przenikliwym spojrzeniu, krewna starego Łajewa z Berdyczowa. Nazywała się Tojba. Nazywaliśmy ją ciocią Tojba z Berdyczowa. Gdy bliżej poznacie tę postać, przekonacie się, że to imię pasuje do niej jak ulał. O niej jednak w następnym rozdziale.

CIOCIA TOJBA Z BERDYCZOWA

Ciocia Tojba śledzi młodą parę. Stary Łajew dowiadyuje się o tajemnicy. Katastrofa. Obrażony bohater opuszcza dom. Przechwytną jego listy, a on sam błąka się ciemną nocą

W istocie rzeczy nie była wcale ciotką. Była tylko kuzynką starego Łajewa. „Ciocia” pasowało do niej jak ulał. Taka nieładna Żydówka o piegowatej twarzy, pośrodku której sterczał długi nos. Oczy miała przenikliwe. Czaiła się w nich mądrość. Spojrzeniem potrafiła przejrzeć człowieka na wskroś. W domu, jak to mówią, ona tylko nosiła spodnie. Ona prowadziła interesy. Dorobiła się sporego majątku. W domu Łajewa pojawiała się gościnnie, czasami raz na kilka lat. Zrozumiałe, że dla cioci Tojby, która przyjechała aż z Berdyczowa, życie dziedzica na wsi wydawało się dość szare i na wszystko wydziwiała. Ze starym Łajewem była na ty. W żywe oczy mówiła mu, co o czym myśli i co jej się nie podoba. Dla przykładu, życie na wsi jako takie akceptowała. Zwłaszcza powietrze. Również krowy, konie, świeże mleko, chleb z własnej pszenicy. Słowem, dary ziemi, wynik znoju rolnika. To wszystko było dobre, nawet doskonałe. Także Dodi, człowiek natury, spodobał się jej.

Nie mogła jednak pogodzić się z postępowaniem swego kuzyna, który zbyt przypominał już posiadacza ziemskiego. Żyd ziemskim posiadaczem — to jakoś nie gra. Że jest dobrym gospodarzem, miłośnikiem ziemi — bardzo proszę. Jeśli tylko Bóg pomaga i można przy tym forszą zbić, stać się bogaczem, to czemu nie? Sama może by tak postąpiła, ale oddalić się od Żydów? Tego właśnie nie mogła pojąć. Dlaczego nie jedzie do Bogusławia na święta żydowskie? Dlaczego pokpiwa sobie z porządnego Żyda w zielonym szaliku, który zabłądził pod jego dach

prosząc go o jałmużnę? Jałmużnę wprawdzie daje, i to hojną dłonią, ale szydzi trochę z biedaka. — Już lepiej byś nie dał i nie kpił — takie to pretensje ma do swego kuzyna ciocia Tojba z Berdyczowa.

I jeszcze jedno. Cioci Tojbie spodobał się nauczyciel. Całkiem fajny chłopak. Nie ma czego tu skrywać. Uczony i w dodatku z dobrej rodziny. Więc wszystko w porządku. Gdzie jednak jest napisane, że korepetytor ma prawo tak blisko kumać się z uczennicą? Według niej za bardzo się już skumał. Skąd o tym wie? Już ciocia Tojba wie. Ciocia Tojba ma oko, ciocia Tojba zadała sobie trud, śledziła każdy ich krok i na własne oczy widziała, jak młodzi jedli z jednego talerza. Gdzie to było? U Dodiego. Ciocia Tojba z Berdyczowa już od pierwszej chwili zauważyła, że dziewczyna przepada za młodzieńcem, a on jest w niej zakochany na śmierć. To każdemu rzuca się przecież w oczy. Chyba, że ktoś jest ślepy. — Wystarczy — powiada ciocia Tojba — popatrzeć na nich, gdy siedzą przy stole. Wprost obejmują się spojrzzeniami, które mogą zastąpić całą rozmowę. — Jak tylko to spostrzegła, nie spuszczała już z nich oka. Ciocia Tojba odtąd podglądała młodych w czasie lekcji, podczas spaceru albo przejażdżki powozem.

Pewnego razu powiada do starego Łajewa, że zauważyła, jak oboje weszli do domu Dodiego. Od razu wydało jej się to podejrzane. Co młodzi mają do roboty w biednym domku ekonoma? No i nie leni się ciocia Tojba z Berdyczowa i zapuszcza żurawia przez okno, i cóż widzi: młoda para siedzi i zajada z jednego talerza. Co jedli, tego nie wie, ale widzieć widziała, żeby tak miała skonać. Widziała, że jedli, rozmawiali i śmiali się. Jakby więc tam nie było, kroi się małżeństwo. Nie mam nic przeciw temu, ale o tym powinni wiedzieć rodzice. A jeśli nie małżeństwo, to co? Może miłość? Może romans? Tym bardziej rodzice powinni o tym wiedzieć. Lepiej przecież wydać córkę za biednego nauczyciela, który chodzi w jednej koszuli, aniżeli czekać, aż uciekną razem pewnej ciemnej nocy do Bogusławia lub Taraszczy czy Korsunia i tam wezmą ślub...

To właśnie, jak się później okazało, ciocia Tojba miała do powiedzenia staremu Łajewowi. Powiedziała mu w wielkiej tajemnicy na pół godziny przed swoim odjazdem z Zofiówki. Słowa jej głęboko zapadły w serce starego. Gdy bowiem wyszedł na dwór, aby odprowadzić swoją krewną, widać było, że jest mocno wzburzony. Przez cały dzień z nikim nie zamienił słowa. Zamknął się w swoim pokoju i w ogóle z niego nie wychodził.

Wieczorem przyjechał jego syn Jehoszua i pozostał na noc. Coś się działo. Coś się kroilo. Ojciec i syn zamknęli się w alkowie i rozmawiali szeptem. Widocznie odbywali naradę rodzinną. Uczennica miała zamiar tymczasem wybrać się na spacer ze swoim nauczycielem. Powstrzymano ją od tego. Do stołu zasiedli nie jak zwykle razem, ale osobno.

Każdy przyszedł o innej porze. Zjadł, natychmiast wstał i wracał do siebie. W domu działo się coś niezwykłego.

Panowała jakaś niesamowita cisza. Cisza zapowiadająca burzę. Kto mógł przypuścić, że kilka wieloznacznych słów cioci Tojby z Berdyczowa potrafi narobić tyle zamieszania i przewrócić dom do góry nogami. Jest wysoce prawdopodobne, że gdyby ciocia Tojba zdawała sobie wcześniej sprawę z tego, jakie skutki mogą wywołać jej słowa, to by w ogóle nie wtrącała się.

Dopiero w jakiś czas potem przyszły wieści, że ciocia Tojba z Berdyczowa pożałowała swego uczynku i chciała wszystko wyjaśnić, ale było już za późno. Obróciła więc, jak się to mówi, dyszel i zaczęła tłumaczyć staremu Łajewowi, że właściwie nie widzi w tym wielkiego nieszczęścia. Nie ma się czym przejmować. Młodzieniec przecież nie ponosi winy za to, że jest biedny. Ubóstwo nie przynosi wstydu, a szczęście leży w rękach Boga. I jeszcze wiele w tym samym stylu wbijała mu do głowy. Nic jednak nie pomogło. Stary uporczywie twierdził, że do młodzieńca nie ma pretensji. Ale jak śmieli romansować w jego domu bez wiedzy gospodarza? Wcale nie boli go, że córka chce pojąc za

męża ubogiego młodzieńca. W czym więc rzecz? Rzecz w tym, że tylko on miał prawo wybrać go na męża dla własnej córki, a nie żeby ona sama sobie

wybrała nie pytając ojca o zdanie. To go najbardziej bolało.

O tych wszystkich pretensjach i rozmowach dowiedziano się znacznie później. Tymczasem młoda parka, niczym para niewinnych owieczek, nie miała pojęcia o tym, kto ją nakrył. Instynktownie jednak przeczuwali, że coś się gotuje. Co z tego będzie, zobaczą dopiero następnego dnia.

Ranek wszystko im odkryje.

A gdy nasz bohater wstał o świcie, nikogo już nie zastał. Ani starego, ani jego żony, ani ich syna, ani też ich córki. Gdzie się mogli podziać? Wyjechali? Dokąd? Nie wiadomo... Nikt z domowników nie mógł powiedzieć dokąd. Na stole leżał przygotowany dla niego pakiet. Otworzył go z nadzieją, że znajdzie jakiś list, jakieś wyjaśnienie. Ale nic z tego. Żadnego słowa wyjaśnienia. W pakiecie były tylko pieniądze — zapłata za naukę. Na podwórzu stały przygotowane dla niego sanie (rzecz działa się w pełni zimy). W nich ciepła baranica dla okrycia nóg. Z dworskich ludzi nie wydobyl ani słowa. Nawet ekonom Dodi, który gotów był zawsze do największych poświęceń dla nauczyciela i uczennicy, tym razem wzruszył ramionami i tylko westchnął. Strach przed starym był silniejszy od sympatii. Wzburzyło to jeszcze bardziej nauczyciela. Poczul się obrażony. Nie wiedział, co począć. Próbowal pisać listy. Najpierw do starego Łajewa. Potem do jego syna, maskila, i na koniec do swojej uczennicy. Pisanie mu jednak nie wychodziło. Stała się katastrofa. Nie spodziewal się takiego policzka. To była obraza. Obraza także przed ludźmi. Dlatego też bez większego oporu wsiadł do san i dał się zawieźć na stację, by stąd odjechać. Pytanie tylko dokąd? Sam nie wiedział. Gdzie oczy poniosą. Tymczasem, nim dotarł do stacji, polecil woźnicy zatrzymać się w Baranym Polu, przy poczcie, skąd Zofiówka otrzymywała swoją korespondencję. Tam miał nasz bohater przyjaciela. Znać go. Był nim naczelnik poczty, Malinowski.

Naczelnik poczty, pan Malinowski, był typowym ła

pówkarzem. Lubił, jak wiecie, zaglądać do kieliszka. Z majątku starego Łajewa otrzymywał często prezenty. To worek pszenicy, to wóz słomy, czasami na święta żywą gotówkę. Z nauczycielem i uczennicą trzymał sztamę. Słowem, był to swój chłop.

U niego to zatrzymał się nasz nauczyciel i przed nim otworzył swe serce. Planował przy tym, że pan Malinowski weźmie na siebie rolę pośrednika w przekazywaniu listów do córki Łajewa. Wysłuchawszy jego prośby, poczmistrz Malinowski wyciągnął rękę, przeżegnał się i przysięgnął na wszystkie świętości, że swoją misję wypełni co do joty. A ponieważ została zawarta umowa między dwoma dobrymi przyjaciółmi, należało ją oblać. Żadne wykręty nie pomogły. Od stołu wstali dopiero po opróżnieniu całej butelki. A Malinowski, gdy sobie podpił, jał całować i ścisnąć nauczyciela. Jeszcze raz zaklinał się, kreślił znak krzyża i obiecał przekazać list do własnych rąk córki Łajewa. Szolem może być spokojny. Słowo Malinowskiego jest święte...

A rzecz się tak potoczyła: Pierwsze płomienne, miłosne listy naszego bohatera poczmistrz Malinowski wręczył osobiście staremu Łajewowi... Łatwo więc zrozumieć, dlaczego na te listy nie otrzymał odpowiedzi. Nie trudno też domyślić się, że tak długo pisał listy, aż przestał...

Co oznaczają te trzy kropki? Oznaczają one długą, ciemną noc. Wszystko spowite było gęstą mgłą. Samotny wędrowiec szukał swojej drogi. Co chwila potykał się o kamienie albo wpadał w dół... Pada, wstaje i podąża dalej. I znów potyka się o następny kamień, wpada w kolejny dół. Nie widząc światła przed sobą popełnia błędy, głupstwa i omyłki. Jeden błąd większy od drugiego... Ciężko trafić na właściwą drogę mając zawiązane oczy. W tej sytuacji nieuniknione jest błądzenie. Długo błądził, aż znalazł właściwą drogę. Aż odnalazł samego siebie.

PIERWSZY WYJAZD

Kijów. Wielkie gwiazdy haskali. Obława w domu zajezdny. Hebrajski poeta Jehalel. Autor książki Zapiski Jewreja i preferansik. Szolem dociera do poety i doznaje chłodnego przyjęcia

Dokąd jedzie bezdomny młodzieniaszek, który chce coś osiągnąć? Do wielkiego miasta. Duże miasto to miejsce, do którego podąża każdy człowiek poszukujący jakiegoś zajęcia, posady, stanowiska. Dokąd uda się młody człowiek, gdy stracił posadę albo zniechęcił się do swojej żony? Gdy pokłócił się z teściami, z własnymi rodzicami albo rozszedł się ze współnikiem? Do wielkiego miasta. Ktoś usłyszawszy, że na giełdzie robi się ze śniegu gomółki i z tego są kokosy, co czyni? Jedzie do wielkiego miasta. Duże miasto ma w sobie siłę magnetyczną, która przyciąga i już nie puszcza. Miasto wciąga jak bagno. Spodziewacie się tam znaleźć to, czego szukacie?

Owym wielkim miastem dla naszego bohatera był przesławny, święty Kijów. Właśnie tam się udał. Czego właściwie pragnął? Do czego dążył? Tego nie da się określić, ponieważ sam jeszcze w głębi swojej duszy nie znał właściwej odpowiedzi. Ciągnęło go do wielkiego miasta, tak jak dziecko ciągnie do blasku księżyca.

W wielkim mieście są wielcy ludzie. Są jak gwiazdy, które opromieniają naszą ziemię jasnym blaskiem niezmiernych przestworzy niebiańskich. Są nimi słynni maskile, sławni pisarze i z łaski Bożej poeci, których nazwiska tak pięknie brzmiały w uszach tych — no, jak ich mam nazwać? Powiedzmy: „młodych pędów haskali". Te młode pędy haskali to uczciwi młodzieńcy, niewinne chłopaki. Była to pierwsza wyprawa naszego bohatera w szeroki świat. Pierwszy wjazd do wielkiego miasta. Stanął w domu zajezdny o nazwie „Stacja reb Altera Kaniewera". Zajazd mieścił się w niżej położonej dzielnicy

miasta, zwanej Padoł. W tej dzielnicy wolno było przebywać Żydom. Powiadają, że wolno, ale muszę natychmiast coś dodać, żebyście nie pomyśleli, broń Boże, że wszystkim Żydom. Co to, to nie. Tam mogą mieszkać Żydzi mający tak zwane prawo żitelstwa na przykład rzemieślnicy, subiekci sklepów pierwszej gildii, żołnierze mikołajewscy oraz tacy, którzy mają dzieci w gimnazjach. Pozostali Żydzi trafiają tam jakby przypadkiem na krótki termin. Są w ciągłym strachu. Przebywają z łaski dozorczy domu, pana administratora, pana przystawa. I to też do czasu. Do obławy, czyli

nalotu na żydowskie domy zajezdne, dokonywanego zazwyczaj w nocy przez żandarmów i żołnierzy. W ich języku nazywa się to rewizja. Gdy wyłapują „kontrabandę”, czyli Żydów bez prawa żitelstwa, pakuje się ich jak zwierzęta do komisariatów policji, po czym wyprowadza z wielką pompą z miasta. To znaczy, wysyłają ich etapem razem ze wszystkimi złodziejami do miejscowości, gdzie są zameldowani na stałe. To jednak nikogo nie powstrzymuje od przyjazdu do Kijowa. Jak powiada przysłowie rosyjskie: „Kto się boi wilka, nie powinien chodzić do lasu”. Mają wprawdzie ludzie pietra przed obławą, ale walą do Kijowa. O to, aby obława albo rewizja przeszła gładko, martwi się już właściciel zajazdu. Dba, by nie nakryto go, broń Boże, na przechowywaniu „kontrabandy”, na udzielaniu gościny Żydom nie mającym prawa zamieszkania w Kijowie. Jak to robi? Bardzo prosto. Właściciel zajazdu wie, gdzie i kogo ma posmarować. Z góry więc już zna datę rewizji i ma na to radę: „trefny towar” zostaje upchany. W piwnicy, na strychu, w szafie na ubrania, w jakiejś skrzyni albo w takim miejscu, gdzie nikomu nie przyjdzie na myśl szukać. Najzabawniejsze, że ludzie, którzy ukrywali się w tych zakamarkach, po ich opuszczeniu od razu pokpiwali sobie z całej tej afery. Mieli prawdziwy ubaw i cieszyli się jak dzieci podczas zabawy w chowanego. W najgorszym wypadku tylko lekko wzdychali mówiąc: — Nic strasznego. Przeżyliśmy już gorsze czasy i gorszych Hamanów. Autor niniejszych wspomnień miał zaszczyt i przyje

mność przy pierwszym swoim przyjeździe do świętego miasta Kijowa leżeć oraz przeżywać emocje wespół z kilkoma innymi Żydami na strychu u właściciela stacji reb Altera Kaniewera. Działo się to pewnej ciemnej nocy zimowej. A ponieważ obława była nagła i zaskoczyła wszystkich, więc mężczyźni, za przeproszeniem, nie zdążyli założyć spodni a kobiety dessous. Szczęście, że tym razem rewizja trwała krótko. Inaczej zamarziłyby na śmierć w słomie na strychu. Radość za to była ogromna, gdy reb Alter Kaniewer, właściciel zajazdu, postawny Żyd z białą brodą, odwołał alarm jakimiś dziwnymi, rymowanymi zwrotami: — Żydzignomy! Wyłażcie ze słomy! Po czartach ni widu, ni słyhu! Zejdźcie ze strychu!

Wielki strach zamienił się w wielką radość. Podano samowar, pito herbatę, zajadano się suchymi obwarzankami. Opowiadano sobie cuda o niedawno przeżytym strachu. Co najmniej równe cudowi wyjścia Żydów z Egiptu. Radość została jednak wkrótce zmaćona, bowiem reb Alter Kaniewer nałożył na wszystkich swoich gości coś w rodzaju kontrybucji, po pół karbowanica na głowę. Miało to pokryć jego wydatki związane z rewizją. Protesty kobiet nie odniosły żadnego skutku. Twierdziły one, że nie powinny płacić, gdyż nie przybyły tu ani dla przyjemności, ani dla interesów, ale po to, aby się leczyć u profesora.

I zaczyna się gadka na temat lekarzy i profesorów. Każda relacjonuje przebieg swojej choroby i opowiada, do którego profesora przyjechała. Okazuje się, że wszystkie chcą się dostać do tego samego profesora i wszystkie chorują na tę samą chorobę. Dziw tylko bierze, że pomimo jednoczesnego szwargotu wszystkich bab naraz, każda potrafiła dosłyszeć słowa drugiej. Niektóre sceny z owej nocy wykorzystał potem autor tych wspomnień w jednym z pierwszych jego utworów pt. Pierwszy wyjazd (historia o tym, jak dwa ptaszki wylatują po raz pierwszy w świat boży).

W taki to sposób spędził nasz bohater pierwszą noc w świętym mieście Kijowie. Nazajutrz rano wyszedł na mia

sto, aby pokazać się wielkim gwiazdora jaśniejącym na firmamencie literatury żydowskiej, to jest naszym maskilom, poetom. Dotychczas znał tylko jednego z nich, a mianowicie hebrajskiego poetę, który zasłynął pod nazwiskiem Jehalel. Próbował dotrzeć do niego i to mu się udało. Nie tak łatwo jednak, jak byśmy to sobie wyobrażali. Dopytując się o poetę usłyszał, że w Kijowie mieszka pewien milioner nazwiskiem Brodzki. Tewje Brodzki miał na Padole młyn. W tym młynie było biuro, a w biurze pracowali różni ludzie. Wśród tych ludzi jest kasjer, który nazywa się Lewin. Ten właśnie Lewin jest owym stawnym poetą Jehalelem. W tym miejscu zaczyna się ta historia.

Nie każdy ma swobodny dostęp do młyna Brodzkiego. Może tam być dopuszczona tylko osoba mająca jakiś związek z pszenicą albo mąką. — A pan do kogo? — Do sławnego poety Jehalela. — Nie ma tu takiego. — Znalazł się nawet jakiś makler zbożowy, który pozwolił sobie na niewybredny dowcip. Z głupia frant zapytał: — Czy dziś jest Rosz Chodesz, że pan odmawia Halel?

Bóg uczynił cud, bo oto zjawił się naraz Żyd długi, chudy, o cienkim nosie na pomarszczonej twarzy i o złotych pniakach zamiast zębów. Był w podartym ubraniu, nosił duży parasol z szarego płótna żaglowego, a na głowę włożył taki „kopnięty” kapelusik. Miał w sobie coś ze sławnego na całym świecie poety Jehalela zatrudnionego w młynie Brodzkiego. Dowiedziawszy się, kogo młodzieniec szuka, bez słowa wziął go za rękę i wprowadził do środka. Tam nasz Don Kichot postawił w kącie swój wielgachny parasol, zdjął wierzchnie okrycie i pozostał w krótkiej marynarce z wytartymi na łokciach rękawami. Gdy tak stał na swoich pałkowatych nogach, Szolem pomyślał, że gdyby nie były one zgięte, nasz poetabuchalter byłby jeszcze wyższy. Już po pierwszej zdawkowej wymianie słów typowej dla ludzi, którzy dopiero się poznali, długi buchalter urósł w oczach młodzieńca co najmniej o dwie głowy. Dlaczego? Okazało się, że nasz Don Kichot zna osobiście człowieka, który dla naszego boha

tera był wówczas uosobieniem anioła. Autora książki Zapiski Jewreja, Bogrowa. Z tym Bogrowem buchalter był w dobrej komitywie. Pracowali kiedyś razem w banku w Symferopolu.

— A więc jak to? Pan zna osobiście wielkiego Bogrowa? — W pytaniu ciekawskiego młodzieńca pobrzmiwał zachwyty.

— Człowieku, przecież mówiłem panu, że razem pracowaliśmy w banku, w Symferopolu, a pan jeszcze pyta.

— I pan osobiście z nim rozmawiał?

— Tak jak teraz z panem. Nie tylko, że rozmawiałem, ale też grałem w karty, w preferansa. A w karty Grigorij Isakowicz lubi grać. Jeszcze jak lubi. To znaczy nie hazardowo. Karciarzem bynajmniej nie jest, ale pograć sobie w preferansika lubi. Dlaczegoż by nie? Lubi, ojej, jak lubi!

Buchalter podnosi swoją suchą, kościstą rękę. Marszczy już i tak pomarszczoną twarz, wykonuje kolisty ruch w powietrzu koniuszkiem swego nosa i ukazuje żółte pniaki zębów. Ma to oznaczać, że się uśmiecha. Natychmiast jednak poważnieje. Patrzy przez swoje grube okulary gdzieś w dal, drapie się pod kołnierzykiem i z szacunkiem zaczyna mówić o Bogrowie.

Grigorij Isakowicz, wielki człowiek! Łatwo powiedzieć Grigorij Isakowicz... To bardzo wielki człowiek.

o ile większy od waszego sławnego poety Jehalela. Ten jest malutki. Ot, taki malutki... Ależ zupełnie, zupełnie malutki! Ręką pokazuje na podłodze, jaki malutki jest Jehalel. W tym momencie otwierają się drzwi i wchodzi mały, lecz tęgawy człowieczek o nieco skośnych oczach

i z pokaźnym brzuszkiem. Na pierwszy rzut oka wygląda w porównaniu z naszym suchym i długim Don Kichotem na Sancho Panse, adiutanta Don Kichota. Bez słowa powitania przebiegł i zniknął w drzwiach następnego pokoju.

— To właśnie jest ten wasz poeta Jehalel. Może pan wejść do niego w każdej chwili. Niewielki z niego pan. — Z tych słów oraz z poprzedniego porównania poety

z wielkim Bogrowem łatwo było wywnioskować, że buchalter żyje z kasjerem jak kot z myszą. Mimo to poeta nie stracił w oczach swego młodego wyznawcy niczego ze swego blasku. Z drżącym sercem przekroczył próg jego pokoiku i przejęty, z szacunkiem stanął przed obliczem poety. Sławny poeta stał z założonymi na piersiach rękami, w pozie przypominającej Aleksandra Puszkina lub co najmniej Józefa Lenbensona. Poeta był widocznie w nastroju podniosłym, bo kręcił się tam i nazad po pokoju, cały czas trzymając ręce na piersiach i nie zwracając zbytnej uwagi na wielbiciela swego talentu. Ledwo raczył odpowiedzieć na jego pozdrowienie. Zmierzył go przy tym złym spojrzeniem swoich skośnych oczu. Nie poprosił, żeby usiadł i nie zapytał nawet o nazwisko. Naiwny wielbiciel był przekonany, że wszyscy poeci tak postępują, że Aleksander Puszkina też nie odpowiadałby na słowa powitania. Trzeba przyznać, że sterczenie przy drzwiach niczym bałwan nie było w smak naszemu bohaterowi, ale nic nie poradzi. Nie można tego mieć za złe poecie. Przecież nie jest zwykłym zjadaczem chleba! Przecież jest poetą! W kilka lat potem, gdy naiwny wielbiciel sam został pisarzem i nie tylko pisarzem, ale też redaktorem rocznika „Żydowska Biblioteka Ludowa”, i poeta przywiózł mu felieton do druku, dawniejszy jego wielbiciel a obecny redaktor Szotem Alejchem przypomniał mu scenę ich pierwszego spotkania. Poeta trzymał się za boki. Śmiali się do rozpuku. Wtedy jednak młodemu entuzjastce nie było do śmiechu. Można sobie wyobrazić, z jakim sercem wyszedł wówczas od poety. Nie było to jednak ostatecznie jego zmartwienie w Kijowie. Prawdziwe zmartwienia, które miał przeżyć w czasie swego pierwszego przyjazdu do Kijowa, dopiero się zaczynały.

PROTEKCJE

Właściciel zajazdu mówi o protekcjach. Szolem składa wizytę rabinowi Kijowa. Odsyłają go do „uczzonego Jewreja” przy generalnym gubernatorze. Roztargniona osoba. Rekomendacje do adwokata Kupernika

W obcym wielkim mieście człowiek czuje się jak w lesie. Nigdzie, poza lasem, nie odczuwa się w takim stopniu ciężaru samotności. Nigdy też nasz bohater nie był tak osamotniony jak wtedy w Kijowie. Nikt nie okazywał mu serdeczności. Najmniejszego śladu gościnności. Jakby się wszyscy zmówili. Przybierali na jego widok posępne miny. Zamykano przed nim drzwi. I gdyby chociaż ci ludzie nie byli poubierani w przepiękne futra jak magnaci i nie rozjeżdżali się po mieście w przepięknych saniach zaprzężonych w ogniste rumaki! I gdyby ich domy nie były urządzone z takim szykiem, a przy drzwiach nie stali portierzy i lokaje bezczelnie śmiejący się w twarz, mógłby im wszystko wybaczyć. Jednego tylko nie znosił: że się z niego śmiali. Bo jakby na złość powszechnie nabijano się z niego. Wszyscy, nawet właściciel zajazdu, w którym zatrzymał się, reb Alter Kaniewer, Żyd, który jeśli coś znaczył u władzy, to tylko dlatego, że jego goście nie mieli prawa mieszkania w Kijowie. Gdy z kimś rozmawiał, nie patrzył mu w oczy. Wzrok miał utkwiony gdzieś daleko poza rozmówcą, a pod siwymi wąsami błąkał mu się uśmiezek. Młodemu swojemu gościowi nie mówił ani per wy, ani per ty. Kręci się i wiję niczym akrobata, aby tylko ominąć to „ty” lub „wy”. Przytoczę wam w tym miejscu rozmowę, jaka wywiązała się między nimi. Stary, siwy Żyd uśmiecha się, wbija wzrok w podłogę, skręca papierosa i kwilącym słodkawym głosem zaczyna rozmowę.

Właściciel zajazdu: — Co słyhać?

Gość: — A co niby ma być słyhać?

Właściciel: — Co się porabia?

Gość: — A co niby ma się porabiać?

Właściciel: — Mam na myśli, co się robi w Kijowie.?

Gość: — A co się niby ma robić w Kijowie?

Właściciel: — A może szuka się czegoś w Kijowie?

Gość: — A czego to niby szukać w Kijowie?

Właściciel: — Może pracy, może posady?

Gość: — A to niby jakiej posady?

Właściciel: — Może przez protekcję? Może przez rekomendację? Czy ja wiem?

Gość: — Do kogo rekomendacja?

Właściciel: — Czy ja wiem? Może do rabina?

Gość: — Dlaczego do rabina?

Właściciel: — Niech będzie do rabinowej.

Tu po raz pierwszy od początku rozmowy reb Alter podniósł wzrok, przyjrzał się swemu gościowi i zamilkł. Młody nie dał jednak za wygraną.

Gość: — Co panu wpadło do głowy z rabinem?

Właściciel: — A bo ja wiem? Młodzieniaszek z pokolenia współczesnych młodzieniaszków, który przybywa do Kijowa, z całą pewnością ma przy sobie list polecający do rabina. Tak sobie myślę. A przez rabina można już uzyskać protekcję. Tak to już jest na tym świecie. A jeśli się myślę, to co? Tak ja nie tańcowałem s niedźwiedziem!

Widać, że uznał za wskazane przetłumaczyć na rosyjski żydowskie powiedzonko: „przecież nie tańczyłem z niedźwiedziem”. Ostatecznie jednak słowa właściciela zajazdu o protekcji u rabina wryły się głęboko w jego serce. Doszedł do wniosku, że byłoby to wcale niegłupie. Protekcja nie protekcja, ale złożyć wizytę rabinowi nie zaszkodzi. I coś przynieść ze sobą też nie zaszkodzi. To przecież rabin, i do tego jeszcze jaki rabin! Gubernialny rabin. Nie żarty. Coraz bardziej rozpala się jego wyobraźnia, a plan pokonania trudności z pomocą rabina nabiera w oczach Szolema uroku i realnych kształtów. Jest świecie przekonany, że tak mu było sądzone. Dzięki temu, że staremu Żydowi, reb Alterowi, zachciało się z niego drwić. A z pomysłem zawsze tak bywa. Przez przypadek,

błahostkę, zachodzą czasami największe wydarzenia na świecie. Dzieje największych wynalazków i odkryć potwierdzają tę regułę. Nie stanowi to rewelacji.

Przez kilka dni Szolem zbierał informacje o miejscu urzędowania rabina i pewnego mroźnego poranka zadzwonił do jego drzwi. Drzwi otworzyły się i jakaś ręka wskazała mu właściwy dzwonek umieszczony po lewej stronie, tam, gdzie była kancelaria rabina. Znowu zadzwonił. Tym razem do kancelarii. Wszedł do środka i zastał w poczekalni grono osób.

Byli tu Żydzi wszelkich typów i wszelkich zawodów. Przeważnie rzemieślnicy, zabiedzeni, przybici i obdarci. Były również kobiety o zaniedbanym wyglądzie i twarzach pełnych smutku. Był spuchnięty chłopak w wysokich, podartych butach, z których wystawały gołe palce stóp. Szyję miał opatuloną dwoma szalikami, by broń Boże nie przeziębic się. Na ścianie wisiała rozerwana mapa Ziemi Izraela oraz szkaradny portret cesarza. Kancelaria, obdarci Żydzi, zaniedbane kobiety, prawie bosi i spuchnięty chłopak, podarta mapa Izraela i szkaradny portret cesarza, wszystko to razem napawało głęboką melancholią. A jeśli wam tego mało, to przy doszczętnie zaplamionym i mocno sfatygowanym

biurku siedzi stary mężczyzna o wyblakłej, śmiertelnie bladej twarzy. Gdyby staruszek raz po raz nie zanurzał pióra w kałamarzu, można by pomyśleć, że za biurkiem siedzi nieboszczyk, który umarł już kilkadziesiąt lat temu, ale zamarynowany trzyma się jakoś. Wyblakły „nieboszczyk” załatwia wszystkich po kolei. Nie trwa to zbyt długo. Może niespełna półtorej godziny. Podchodzi wtedy do opuchłego chłopaka z dwoma szalikami. Chłopak zabiera mu nie więcej niż pół godziny. Chłopak płacze. Zamarynowany krzyczy na niego. Ale, dzięki Bogu, i chłopak już jest załatwiony. Wtedy „nieboszczyk” daje znak autorowi niniejszych wspomnień, aby zbliżył się do biurka. Podchodzi do biurka i ledwo słyszy, co „nieboszczyk” do niego mówi:

— Co pan chce?

— Mam sprawę do rabina.

„Nieboszczyk” wpatruje się wnikliwie w naszego bohatera. Jego głos dobiega jakby z tamtego świata.

— Metryka?

— Nie.

— Ślub?

— Nie.

— Chłopca? Dziewczynkę zapisać?

— Nie.

— Jałmużna?

— Nie.

— Więc co?

— Nic, chciałem zobaczyć się z rabinem.

— Tak i mów!

„Zamarynowany nieboszczyk” wstaje zza biurka i powoli, jakby na podciętych nogach, znika w pokoju obok na jakieś piętnaście, dwadzieścia minut, po czym wraca z twarzą bez wyrazu i bez żadnego rezultatu.

— Rabina nie ma w domu. Proszę wybaczyć i przyjść innym razem.

Do kijowskiego rabina nasz bohater fatygował się jeszcze nie raz i nie dwa, aż wreszcie zastał go w domu. Doznał za to serdecznego i przyjaznego przyjęcia. Początek zapowiadał się nie najlepiej. W pierwszej chwili rabin był nawet nieco przestraszony. Musiał porządnie wysilać się, aby wydobyć z młodzieńca powód jego wizyty. Młodemu naszemu bohaterowi wydawało się, że rabin kijowski powinien od pierwszego wejrzenia zrozumieć, co go sprowadza.

Tymczasem okazało się, że rabin, jak zwykły śmiertelnik, musiał długo zaglądać mu w oczy, powoli przetrawić każde słowo, aby wreszcie po tym wszystkim odpowiedzieć, że nie jest w stanie niczego zrobić. Niczego! Jedynie, co może dla niego zrobić, to dać mu rekomendację.

Rekomendację? Dobre i to. Czy mu więcej potrzeba? Więcej nie potrzebuje.

Młodzieniec spogląda na rabina i zaczyna go porów

nywać z rabinami małych miasteczek, których kiedyś poznał. Przed oczyma przesuwają się cała plejada państwowych rabinów. Szkarady, nicponie, a wśród nich taki jeden z łysiną na głowie. W porównaniu z nimi rabin z Kijowa to prawdziwy arystokrata, magnat. Oni przy nim to karły. On zaś olbrzym. Przystojny mężczyzna. Jedyna jego wada, że jest rudy i trochę ciężkawy. Mówi powoli, rusza się powoli, myśli powoli. Za to bez nerwów. Tacy ludzie żyją sto lat. Nie spieszą się do śmierci. Mają czas.

— To znaczy, że pan koniecznie chce otrzymać rekomendację? A do kogo?

— Do kogo? To już pan powinien zdecydować.

— Dobrze, zastanowię się.

I rabin zaczyna go od nowa wypytywać. Kto, co, skąd pochodzi i czego chce. Potem następuje przerwa trwająca kilka minut. Rabin naciska guzik i w drzwiach pojawia się wyblakły urzędnik z kancelarii. Rabin poleca mu napisać list do swego przyjaciela. Nazwiska przyjaciela nasz bohater nie dosłyszał. W liście prosi owego przyjaciela, żeby cośkolwiek dla młodzieńca zrobił... Do naszego bohatera zaś powiada, że list kieruje do swego przyjaciela Hermana Markowicza Baraca, pełniącego funkcję doradcy prawnego i „uczonego Jewreja” przy generale gubernatorze.

Odwaliwszy tak znaczny kawał roboty, rabin odetchnął z ulgą. Widać było, że ciężar spadł mu z pleców, że się napracował. Wykonał jednak pożyteczną rzecz. Wyrobił młodzieńcowi protekcję. Do samego „uczonego Jewreja” przy gubernatorze. Tak daleko rozgorączkowana wyobraźnia młodzieńca nie sięgała. List polecający w kieszeni ogrzewał mile serce i unosił go w przestworza. Natychmiast i bezpośrednio ruszył stąd do „uczonego Jewreja” przy gubernatorze. Gubernator — to ci dopiero! Zaś „uczony Jewrej” jawi mu się przed oczyma nie inaczej, tylko jako profesor obwieszony medalami niby sam generał. Z drżeniem serca naciska dzwonek w drzwiach. Wprowadzają go do gabinetu pełnego książek i ksiąg. Szczeka zębami. Za chwilę wpada do gabinetu Żyd

z rzadkimi bokobrodami, krótkowidz, dziwnie jakoś roztargniony. Czyżby to był ten „uczony Jewrej” przy generale gubernatorze? Gdyby nie miał wygolonej pośrodku brody to przysięgłby, że to melamed, nauczyciel Gemary. „Uczony Jewrej” ma płynną wymowę. Gdy mówi, pluje. Bardzo roztargnione stworzenie. Opowiadają o nim w Kijowie przeróżne historie i anegdoty. Szolem usłyszał je dopiero później. Nie mógł, na przykład, trafić do siebie, do domu, nim nie przeczytał tabliczki z napisem na drzwiach swego mieszkania: „Herman Markowicz Barac”. Pewnego razu Barac wpatrywał się w tabliczkę i zauważył, że godziny przyjęć są od trzeciej do piątej. Spojrzał na zegarek — dopiero druga. Chwila zastanowienia. Widocznie pana Baraca nie ma w domu, zatem co tu ma do roboty? Poszedł więc Barac na spacer do parku. Słowem, o Baracu mówi się w Kijowie, że Barac szuka Baraca i nie może go znaleźć. Tego dnia zaś Barac był szczególnie roztargniony i w nienajlepszym nastroju. Spieszył się gdzieś. Miotał się, pluł i prychał. Potem, gdy przeczytał list od rabina rekomendujący mu młodzieńca, „uczony Jewrej” złapał się za głowę. Zaczął przemierzać pokój nerwowymi krokami tam i nazad. Mówił i pluł. Mówił i błagał o litość. Dajcie mi spokój. Nic nie wiem. Niczego nie mogę i niczego nie zrobię. Litość brała, gdy się na niego patrzyło. Młodzieniec zaczął usprawiedliwiać się. Niczego nie chce. Chodzi mu tylko o małą protekcję. Barac nie dopuszcza go do głosu. Powiada, że sam wie, o co chodzi. Wściekły jest na rabina za to, że mu codziennie nasyła młodych ludzi. A co on może dla nich zrobić? Co on może wiedzieć? Kim jest? Czym jest? Przecież nie jest Brodzkim.

Ze zboliałym sercem i w posępnym nastroju wyszedł Szolem od „uczonego Jewreja”. Gdy już był na podeście schodów, usłyszał głos przywołujący go z powrotem. Barac oświadczył mu, że wprawdzie sam nie może niczego dla niego zrobić, ale może mu dać rekomendację do swego kolegi i przyjaciela, do pana Kupernika. Kupernik, gdyby tylko chciał, może dużo zrobić. Bardzo dużo. Ku

pernik to nie byle kto. Przy takiej protekcji można mury przebić. Można dotrzeć do największych i najznakomitszych ludzi. Nie namyślając się długo „uczony Jewrej” siada do biurka i pisze karteczkę do swego najlepszego kolegi i przyjaciela, do sławnego adwokata Lwa Abramowicza Kupernika.

KUPERNIK

Sławny adwokat z Kreszczatiku. Kantor wymiany Kupernika. W sądzie okręgowym. Poszukiwania. Kantor wymiany i Mojsze Epelbojm z Białej Cerkwi

Nazwisko Kupernika albo, jak go Żydzi zwali, Kapernikwa, było równie sławne i popularne jak nazwisko Aleksandra von Humboldta w Europie lub Kolumba w Ameryce. Proces w Kutaisi dotyczył oszczerstwa o używaniu przez Żydów chrześcijańskiej krwi dla celów rytualnych. Kupernik bronił oskarżonego i doprowadził do jego uniewinnienia. Dzięki temu stał się tak sławny jak w wiele lat później adwokat Gruzenberg, obrońca w procesie Mendła Bejlisa. I jak o Gruzenbergu opowiadano o nim cuda. Otaczała go legenda.

Jak się ma rekomendacje do takiego człowieka, można puścić wodze fantazji i śnić na jawie najpiękniejsze sny. Spieszyć się też nie ma co, zwłaszcza że Szolem nie znał jeszcze adresu Kupernika. Przechadzał się więc Kreszczatikiem, najpiękniejszą ulicą Kijowa. Tu już łatwiej będzie dowiedzieć się, gdzie mieszka Kupernik. Na budynku naprzeciwko hotelu „Europa” zobaczył szyld z rosyjskim napisem: „Kantor wymiany. Kupernik”. Zdziwił się nawet, skąd do adwokata kantor wymiany. Sprawa wyjaśniła się szybko.

W kantorze Szolem zastał młodego człowieka w niebieskich okularach i litwaczkę w białej peruce:

— Pan do kogo?

— Do Kupernika.

— Od kogo?

— Od „uczonego Jewreja”. Mam liścik od Hermana Markowicza Baraca.

— Liścik od Baraca? Pokaż pan.

Młody człowiek w niebieskich okularach wziął liścik i podał go litwaczce w białej peruce. Litwaczka sięga po liścik, nakłada okulary, czyta, po czym ciska go precz.

— To nie do mnie. To do mego syna.

— A gdzie on jest?

— Kto?

— Wasz syn.

— Mój syn? Co znaczy „gdzie”? W sądzie okręgowym. Tam go pan znajdzie.

Znaleźć adwokata w sądzie okręgowym, to tak samo jak znaleźć igłę w stogu siana. Sąd okręgowy to stary i ogromny budynek z żelaznymi schodami, z tak wielką ilością pokoi, pomieszczeń i sal, że człowiek łatwo może stracić głowę i zablądzić. Nasz bohater po raz pierwszy w życiu zobaczył tylu ludzi w czarnych frakach i z dużymi teczkami w rękach. Sami adwokaci. I odgadnij, człowieku, który z nich jest Kupernikiem. Zatrzymać któregoś i zapytać — rzecz niemożliwa. Wszyscy gdzieś pędzą, wszyscy są zajęci. Wszyscy gnają przed siebie z teczkami w rękach. Jedni tu, drudzy tam. Istni wariaci. Wreszcie Szolem zaczepił jednego z nich. Był to oczywiście pan w czarnym fraku, o sympatycznej twarzy, z żółtą teczką pod pachą. Gdzie tu może być Kupernik? Odpowiedź była natychmiastowa. W jakiej sprawie? Mam do niego liścik od „uczonego Jewreja”, pana Hermana Markowicza Baraca. Co? Od Baraca? Niech pan posiedzi chwileczkę, zaraz wrócę. Wskazuje mu długą, wypolerowaną ławkę i znika. Nasz młodzieniec

zajmuje miejsce na długiej, wypolerowanej ławce i czeka. Mija pół godziny, mija godzina i nic. Nie ma Kupernika. Szolem wstaje

z ławki. Tłum zdążył już zrzednąć. Gdzieś tam przewija się jeszcze jakiś czarny frak. Wtem zauważa pana z żółtą teczką. Tamten powiada: — Ach, to pan. Jeszcze tutaj? A co właściwie ma pan do Kupernika? — I młodzieniec po raz drugi odpowiada mu: — Mam liścik polecający od Hermana Markowicza Baraca. — A gdzie ten liścik? — Pokazuje mu liścik. Pan z teczką bierze list do ręki i czyta.

— A czego właściwie chciał pan od Kupernika?

— Dokładnie to jeszcze nie wiem. Może dostanę u niego posadę?

— A co pan umie?

— Umiem pięknie pisać po żydowsku i po rosyjsku.

— Po rosyjsku też? No to chodź pan ze mną.

Czy może jeszcze wątpić, że to sam Kupernik? Po wyjściu z gmachu sądu Kupernik złapał lichacza, dorożkę na gumowych kołach, i kazał jechać do hotelu „Rosija”. Dorożka pomknęła jak wicher i wkrótce stanęła przed hotelem „Rosija”. Weszli do gęsto zadymionej sali. Kupernik posadził swego gościa przy stoliku. Zapalił papierosa, kazał podać arkusz papieru, kałamarz, pióro i zaproponował młodzieńcowi, by napisał kilka zdań. Ten zamoczył pióro w atramencie i nim przystąpił do pracy zapytał, jak ma napisać: po żydowsku czy po rosyjsku? Oczywiście, że po rosyjsku! Młodzieniec przyłożył się pilnie do roboty. Szkoła rebego Monisza, złotej rączki w dziedzinie kaligrafii, przyszła mu w sukurus. Po pierwszej linijce Kupernik przerwał egzamin i wielce zadowolony podsunął Szolemowi papierosy. Nasz bohater odmówił:

— Proszę mi wybaczyć, ale nie palę, panie Kupernik.

— Proszę mi wybaczyć, ale ja nie jestem Kupernik. Nazywam się Epelbojm.

— Epelbojm?

— Ano Epelbojm, Mojsze Epelbojm z Białej Cerkwi, adwokat przysięgły.

Widać tak było sądzone. Kto mógł przewidzieć, że z kijowskiego Kupernika zrobi się Mojsze Epelbojm z Białej Cerkwi. A Mojsze Epelbojm z Białej Cerkwi

okazał się prawdziwym dżentelmenem. O wynagrodzenie nawet nie targował się. Zgodził się na wszystko. Obiecał w dodatku podszkolić jeszcze młodzieńca. Potem dostanie od niego listy polecające nie tylko do Kupernika, ale do znacznie ważniejszych osobistości, Epelbojm zna bowiem wszystkich znaczących ludzi w Kijowie, Moskwie, Petersburgu. Jest w najlepszej komitywie ze wszystkimi ministrami. Jeśli młodzieniec zgadza się, to mogą jeszcze dziś wyjechać do Białej Cerkwi. Na jedną, krótką chwilę wpadnie tylko do generałagubernatora. A skoro będzie u generałagubernatora, to wypada również złożyć wizytę cywilnemu gubernatorowi. Te sukinsyny patrzą na siebie zazdrosnym okiem. Prawda, byłby zapomniał. Miał również wpaść do szefa policji kijowskiej, ale nie będzie miał nic przeciw temu, aby policmajster wstąpił do niego. Cholera go nie weźmie. Adwokat przysięgły Epelbojm wyskoczył z sali i zostawił dopiero co poznanego młodzieńca na ławce Boga. Trzeba powiedzieć, że cała ta przygoda spodobała się

naszemu bohaterowi. Był po prostu zachwycony osobą pana Epelbojma. Nim zdążył wszystko przemyśleć do końca, zjawił się znowu pan Epelbojm. Przyjechał teraz elegancką dorożką załadowaną po brzegi różnymi paczkami. A w nich wszelkie dobro: ryby, kawior, owoce i papierosy.

Myślicie, że je kupił? Nic podobnego. Są to wyłącznie prezenty ofiarowane mu przez panią generałową gubernatorową, przez żonę gubernatora cywilnego i żonę szefa policji.

— To pan był również u szefa policji? Przecież mówił pan, że...

— Broń Boże! Nie od jego żony, tylko od jego kochanki... Jestem jej adwokatem. Występuję w procesie o pół miliona.

Ona jest multimilionerką, ale bardzo skąpa. Za najmniejszy grosz da się powiesić. Dla mnie jednak nie znają słowa „drogo”. Dla mnie gotowi są poświęcić wszystko! Znaczy się, jedziemy do Białej Cerkwi?

— Jedziemy, znaczy się, do Białej Cerkwi!

POSADA SEKRETARZA

Z nowym patronem do Białej Cerkwi. Gorące przyjęcie drogiego gościa. Rodzinne sielanki. „Reb Lewi”. Patron kształci sekretarza w dziedzinie advokatury. Brzydko oszukany. List pełen poezji. Nowe nadzieje

W czasie podróży do Białej Cerkwi adwokat Epelbojm zachowywał się jak dziedzic z szerokim gestem. Nie pożałował pieniędzy i kupił bilety pierwszej klasy. Na dworcu w Fastowie dał sporo zarobić bufetowemu. Kelnera również sownie wynagrodził. Wszystkim przedstawiał naszego bohatera jako swojego sekretarza. Jak go przedstawił we własnym domu, jeden Pan Bóg tylko wie. Można sobie wyobrazić, że nasz przysięgły adwokat musiał odmalować go w najcudowniejszych barwach, albowiem przyjęcie było wspaniałe, niesłychanie ciepłe. Tak wita się tylko długo oczekiwanego gościa albo bogatego krewnego z Ameryki. Krewnego, po którym zostaje bogaty spadek.

Żona Mojszy Epelbojma, cnotliwa matrona i świetna gospodyni, wykapała swoje dzieci i ubrała się odświętnie jak na sobotę. Potem przygotowała kolację, której sam cesarz by się nie powstydział. Starszy syn Epelbojma, chłopak na schwał, zwany w domu „reb Lewi”, nie mógł powstrzymać się od wyrażenia swego zachwyty. Wstał od stołu i głaszcząc się po brzuchu burknął, że nie zaszkodziłoby, gdyby codziennie byli tacy goście i takie potrawy. Na to Mojsze Epelbojm wymierzył mu siarczysty policzek i powiedział, że nie zaszkodziłoby, gdyby był trochę mądrzejszy i nie miał tak długiego języka w gębie. A zwracając się do sekretarza dodał: — Jak się panu podoba mój kadisz, reb Lewi? Dobry gagatek! Bez uroku, sama doskonałość! Będę mógł umrzeć wtedy, gdy on będzie odmawiać Kadisz po mnie.

Wszyscy uśmieli się z tego żartu. Nawet sam reb Lewi.

Mimo to matka uznała za wskazane ująć się za swoim synalkiem. Mama to jednak mama. Przy tym o mało nie doszło do konfliktu. — Pani Epelbojm jest święcie przekonana — otwarcie i szczerze to powiedziała — że jej kadisz osiągnął lata swego ojca, będzie miał tyle samo rozumu co on.

— A może więcej niż ojciec! — wykrzyknął reb Lewi. Mojsze Epelbojm wkurzył się. Szczęście, że reb Lewi uciekł zawczasu, inaczej mogło być kiepsko. Mojsze Epelbojm zwierzył się, że aczkolwiek jest przeciwnikiem kary cielesnej i uważa chłostę za zwyczaj barbarzyński, sprzeczny z nakazami cywilizacji, to jednak jest przekonany, że taki bezczelny chłopak jak jego syn reb Lewi, powinien dostać po tyłku choć raz w tygodniu. Uważa to za żelazną zasadę. Należy przypuszczać, że reb Lewi ją znał, sam bowiem podobno wypracował własną zasadę i gdy tylko ojciec chciał zrealizować swój zamiar, synek zniknął z domu. Zniknął i szukał wiatru w polu!

Zniknięcie reb Lewiego nie zażegnało jednak konfliktu. Walka, mówiąc językiem literackim, przeniosła się na inny teren. Przed chwilą toczyła się pomiędzy ojcem a synem, obecnie wybuchła między mężem a żoną. Mojsze Epelbojm wylał całą swoją gorycz na panią domu. Wszystkiemu winna ona — jego wierna i kochana małżonka, oby zdrowa była. A winna jest dlatego, że zawsze staje w obronie swego uroczego synka. Ale małżonka nie pozwoliła dmuchać sobie w kaszę i przypomniała swemu kochanemu mężowi, oby żył długo, że w wieku swego syna był o wiele większym łobuzem i jeśli jej drogiemu Mojszy Epelbojmowi dopisuje pamięć, to chyba pamięta, że kiedyś o zgrozo, nazywano go Mojsze Plećl.

Nie można powiedzieć, żeby gościowi odpowiadało być świadkiem rodzinnego dramatu, że było mu przyjemnie patrzeć na to, jak wierna i kochająca się para małżeńska prała brudną bieliznę w jego obecności. Jednemu tylko nie mógł się nadziwić, że obydwie walczące strony wcale nie skakały sobie do oczu. Przeciwnie, odnosiło się wrażenie, że małżonkowie są tuż po ślubie, w podróży

poślubnej, i z braku innego zajęcia przekomarzają się, obdarzają się słodkimi komplementami. Bywają jakoś na tym świecie różni ludzie i różne bywają sielanki.

Po tej wspaniałej kolacji adwokat Epelbojm posadził swego sekretarza przy biurku i dał mu do przepisania jakiś dokument. Sam zaś uciął sobie drzemkę. Przebudziwszy się zapalił papierosa i wdał się w pogawędkę ze swoim młodym sekretarzem. Pogawędka miała na tyle interesujący przebieg, że byłoby grzechem wobec Boga puścić ją w niepamięć. Trudno autorowi przekazać ją po tylu latach dosłownie. Treść jej była jednak mniej więcej taka: — Posłuchaj więc, młodzieńcze. Sprawa ma się tak: Jesteś, jak widzę, człowiekiem niegłupim i rączkę do pisania masz, jak trzeba. Języczek do rosyjskiego masz też niezły. Słowem, posiadasz wszystkie atrybuty potrzebne do spełnienia swoich marzeń. Jesteś urodzonym adwokatem. Do tego potrzebne są chęci. Jak zechcesz, to nim zostaniesz. Wiedza to drugorzędna rzecz. Najważniejsze, to nie upadać na duchu i nie przejmować się tym, że ktoś inny umie więcej od ciebie. Masz cięty język, to rozbijesz jego całą wiedzę. Ani przez chwilę nie należy pokazywać po sobie, że się żywi szacunek dla większego od siebie człowieka, albowiem ty jesteś największy i najmądrzejszy! Masz bez przerwy sypać słowami. Język ma pracować intensywniej niż głowa. Masz oponenta zasypać tak słowami, aby go oszołomić i pozbawić wszelkiego rozsądku. Wtedy możesz go obrzucić tysiącami „granatów” z Kodeksu praw i z Departamentu kasacyjnego. To nic, że wszystko jest wzięte z sufitu. To jest przeznaczone dla sędziów. O klientach już nie wspomnę. Klienci to stado baranów, które można strzyc dowolnie. To krowy, które można doić. To konie, które lubią być ujeżdżane. Z nimi nie ma się co certolić. Oni nie mają szacunku dla mięczaków, którzy prawią kazania o moralności. Oni bardziej szanują impertynenta aniżeli profesora naszpikowanego przepisami prawa niczym worek pełen plew. Na ulicy nie ma po co pokazywać się bez dużej teczki. Możesz w niej

mieć stare gazety albo brudne kołnierzyki i mankiety. U siebie w domu możesz cały dzień bawić się z kotem, ale gdy usłyszysz dzwonek u drzwi, masz natychmiast zagłębić się w lekturę grubej książki i pocierać przy tym czoło. Klienta nie masz prawa wypuścić z rąk, dopóki nie wydoisz go do końca. Dla ciebie nie powinno istnieć słowo „nie wiem”, ponieważ ty wszystko wiesz.

Po tak pięknej lekcji mógłby już autor niniejszej biografii zrozumieć, z jakim człowiekiem ma do czynienia. Atoli adwokat Mojsze Epelbojm miał tak sympatyczną i zarazem mądrą twarz, że swoimi oczyma oczarował Szolemą zupełnie. Kupił go sobie bez reszty swoim gadaniem. Mimo woli Szolem poddał się jego wpływowi ciałem i duszą. Tego samego wieczoru, po przebudzeniu z drzemki, Epelbojm wziął swoją laseczkę i teczkę i zamierzał wyjść. I tu znowu wybuchnął konflikt między wiernymi i kochającymi się małżonkami. Małżonka chciała wiedzieć, dokąd się wybiera. Mąż odpowiedział, że udaje się do klubu na pół godziny. Będzie dobrze, jeśli wróci drugiego dnia na obiad. A co do człowieka, to aż zanadto dobrze go zna. To żaden człowiek. To same ludziki, same króle, królowe i walety...

— O asach, moja droga widocznie zapomniałaś. Asy. Co to za gra bez asów? — Na podobne dictum małżonka nie odpowiada. Rzuca na niego takie spojrzenie, że inny człowiek na jego miejscu schowałby się pod ziemię. Mojsze jednak nic sobie z tego nie robi. Podchodzi do swego młodego sekretarza, nachyla się nad nim i szeptem zapytuje, ile ma przy sobie forsy. Sekretarz sięga do kieszeni i pokazuje jej zawartość. Epelbojm przez chwilę zastanawia się, po czym wyciąga rękę i powiada:

— Mógłbyś mi pożyczyć tę forszę na kilka minut. Zwrócę ją jeszcze dziś, jak tylko wrócę z klubu.

— Oczywiście, z przyjemnością. — I sekretarz wręcza mu całą swoją gotówkę.

Po wyjściu Epelbojma małżonka zaczyna wypytywać sekretarza, w jaki sposób stał się pracownikiem jej męża:

— Jakie pokrewieństwo łączy pana z Brodzkim?

— Z jakim Brodzkim?

— Z kijowskim milionerem Brodzkim.

— Co to ma wspólnego z Brodzkim?

— Czy Brodzki nie jest pańskim wujem?

— Dlaczego pani uparła się, że Brodzki musi być moim wujem?

— To w jaki sposób jest pan spokrewniony z Brodzkim?

— Z kim?

— Z Brodzkim.

— A jak pani chciałaby, żeby był spokrewniony?

Następuje przerwa. W oczach obojga zdziwienie. Minuta zastanowienia. Oboje myślą. Po chwili pani Epelbojm znów zadaje pytanie:

— A więc tak? Nie pracował pan u Brodzkiego?

— Co pani wpadło do głowy? Dlaczego miałem pracować u Brodzkiego?

— I pan go wcale nie zna?

— Kogo?

— Tfu! A niech to! Mówimy i mówimy, a nie można się dogadać. Powiedz pan przynajmniej, kto pan jest i skąd się zjawiał?

Na drugi dzień naszego naiwnego bohatera czekała nowa niespodzianka. Jego patron nie wrócił z klubu. Reb Lewi otrzymał polecenie, aby pójść do klubu i ściągnąć tatusia na obiad. Reb Lewi jednak nie miał ochoty dostać po pysku, i to na czczo. Wobec tego szanowna matula awansem dała mu w twarz. Reb Lewi poszedł do klubu i przyniósł stamtąd wiadomość, że tatuś z samego rana poszedł na dworzec i pojechał do Kijowa.

Ta wiadomość spadła na naszego bohatera jak grom z jasnego nieba. Było mu wstyd, było mu przykro. Wtedy dopiero zaczął zasięgać informacji o osobie pana „przysięgłego adwokata”. Okazało się, że Epelbojm nigdy nie był żadnym adwokatem. Na dźwięk jego nazwiska każdy człowiek w Białej Cerkwi uśmiechał się z ironią. Tymczasem sytuacja, w jakiej znalazł się nasz bohater, stawała się z każdą chwilą coraz bardziej tragiczna. Wszystko

wskazywało na to, że przyjdzie mu znowu głodować. Ze zbolałym sercem zasiadł do stołu i machnął list pełen wyszukanej poezji do ojca w Perejasławiu. Poezja, można powiedzieć, uratowała go. Dzięki poezji można dużo napisać i mało powiedzieć. W zakończeniu listu dodał mimochodem, że wróciłby do domu, gdyby miał drobne na kosztą podróży. Niedługo czekał na odpowiedź. Nadeszła wraz z forszą i poleceniem, aby jak najszybciej wrócił, albowiem jest vacat na stanowisku rabina w mieście położonym niedaleko od Perejasławia. Istnieje szansa, że Szolem je otrzyma. List kończył się poetyckim zawołaniem po hebrajsku: „Pospiesz się! Nie zwlekaj! Leć jak strzała z łuku, jak na skrzydłach orłów. Nie oglądaj się! Przyjedź i niech ci szczęście sprzyja!”

WYBORY

Jak wybiera się rabina. Rabin z Lubenia. Stary znajomy. Reb Kahane proteguje młodego kandydata. Szolem wygłasza kazanie i zdobywa sobie poklask publiczności. Mazł tow! — wybrany jednogłośnie. Cud dla gojów. Powrót do Perejasławia. Radość zostaje zmacona. Szolem daje sobie słowo, że nie będzie taki jak inni

Lubeń to nazwa miasta, które zapragnęło mieć nowego rabina. Słowo „zapragnęło” jest oczywiście poetycką przesadą. Miasto pragnie mieć rabina tak samo, jak pragnie mieć grabarza. Właściwie cała ta instytucja urzędowych rabinów jest niepotrzebna. Została narzucona przez rząd rosyjskim Żydom, a ci traktują ją z całą powagą. Dowcip polega na tym, że urzędowy rabin jest mianowany przez rząd dla sprawowania władzy nad Żydami, ale sami Żydzi muszą dokonać jego wyboru. Takie „wybory”

odbywają się w gminie. Są nakazane z góry. Władza wysyłała zarządzenie na piśmie, w którym podane było, że dnia takiego to a takiego Żydzi mają się zebrać tam a tam i dokonać wyboru rabina. No i zaczyna się pielgrzymka kandydatów. Każdy kandydat ma swoje „stronictwo”, ma swój „oreż”, swoje środki, za pomocą których chce zdobyć głosy. Jeden posiada dobrą protekcję, drugi ma pieniądze, trzeci załatwia sprawę przez wódkę. Nikt nie zasypia gruszek w popiele. W mieście wrze i kotłuje się. Wszystkich opanowała gorączka. Na ulicy żydowskiej jest święto. Wybierają rabina. Idą wybory. Idą zakłady. Żyć, nie umierać! Czasami ciągnie się to przez kilka tygodni. Czasami przez kilka miesięcy. Aby wybory były uczciwe, przydzielono jakąś figurę urzędową. Ta miała czuwać nad przebiegiem głosowania, żeby nie było, broń Boże, kantów przy liczeniu głosów. Prawdziwa jednak heca zaczęła się dopiero po wyborach. W związku z tym, że gubernator miał zatwierdzić wybór, zaczęły przychodzić do urzędu gubernialnego różne donosy i żądania unieważnienia wyborów. Autorami ich byli oczywiście odrzuceni kandydaci. Jeśli wybory zostały unieważnione, to cała zabawa zaczynała się od nowa. Nowi kandydaci, nowe stronictwa, nowe wybory, nowe donosy i nowe unieważnienia. Wśród osób, które wystawiły swoje kandydatury do wyborów, był również poprzedni rabin. Jeśli pamiętacie, był nim Szymon, syn mełameda Rudermana. To on właśnie omal nie wychrzcił się ongiś w Perejasławiu. Żydzi go wówczas uratowali i skierowali do szkoły rabinackiej w Żytomierzu. Ten oto rabin widać nie bardzo cieszył się względami w mieście. Ludzie czekali na wybory jak na Mesjasza. Lubeńscy Żydzi nie znają się na

polityce, nie mędrkują. Jeśli spodoba im się człowiek, to mówią bez ogródek: — Spodobałeś nam się. — Jeśli zaś nie przypadł im do gustu, to mówią mu: — Idź z Bogiem, nam się nie podobasz. — Rabinowi Rudermanowi już dawno temu powiedzieli, i to bez owijania rzeczy w bawełnę, że może sobie poszukać innego miasta. I aby mu udowodnić, że to nie przelewki, odnajdęli jego stałe miejsce w bóżnicy ja

kiemuś bogatemu obywatelowi. Gdy rabin zjawił się w sobotę w bóżnicy, nie miał już gdzie usiąść i stał podczas nabożeństwa. Następnej soboty przybył już w asyście policji i siłą odebrał swoje miejsce przy wschodniej ścianie. Można sobie wyobrazić, jaki to wywołało efekt i jakie mu to zyskało uznanie. Sprawa stała się głośna, albowiem została opisana w „Hamelicu”. Redaktor Cederbojm dodał własne uwagi redakcyjne, które zajęły trzy razy więcej miejsca aniżeli sama korespondencja, mimo iż zostały wydrukowane petitem. Cederbojm rozprawił się zarówno z rabinem, jak i mieszkańcami miasta za to, że dopuścili do profanacji świętego przybytku pozwalając policji na interwencję w bóżnicy. Zakończył artykuł pouczeniem zaczerpniętym z megily, że tak się nie postępuje, bo to wstyd i hańba. Błogosławionej pamięci Cederbojm był w tych sprawach mistrzem.

Mimo to Ruderman nie wycofał swojej kandydatury, a pozostali kandydaci, każdy opierając się na swoich stronnikach, uwijali się jak w ukropie. Walka przybrała na sile. Prawie tuż przed wyborami spadł jak z nieba nasz bohater i stanął w szranki. Miał list polecający od stryja Pinie do swego powinowatego, reb Nachuma Kahanego, jednego z najszanowniejszych notabli Lubenia. Był to człowiek sędziwy, o wysokiej pozycji społecznej, bogaty. Taki Żyd liczy się w bóżnicy. Kantor nie śmiał kontynuować modlitwy, dopóki reb Nachum nie ukończył Osiemnastu Błogosławieństw. Mogło to trwać w nieskończoność. Zdarzało się, gdy reb Nachum miał spóźnić się do bóżnicy (a powtarzało się to niemal co sobotę), że wysyłał umyślnego z zawiadomieniem, żeby na niego nie czekano. Ludzie jednak zgromadzeni w bóżnicy wiedzieli, co to jest szacunek, i myśleli, że w rzeczywistości reb Nachum pragnie, aby zaczekano na niego z modłami. Jednym słowem, reb Nachum był przedmiotem chluby i dumy miasta. O takim człowieku można powiedzieć, że jednoczy w sobie wiedzę i wielkość.

Nasz młody kandydat na rabina zastał go pochylonego nad Miszną. Przeczytawszy list od stryja Pinie, stary Ka

hane przetaił okulary i zmierzzył wzrokiem młodzieńca od stóp do głowy. Wyglądało na to, że młodzieniec w krótkim paletku nie bardzo przypadł do gustu temu szacownemu Żydowi. Dobre imię i zasługi stryja Pinie przesądziły widocznie sprawę, bo starzec poprosił Szolema, by usiadł. Wdał się w rozmowę z młodym gościem i stwierdził, że nie jest on w ciemni bity, posiada głęboką wiedzę w dziedzinie judaistyki i potrafi właściwie wtrącić słowa hebrajskie. Stary uśmiechnął się i polecił podać coś do jedzenia. Wniesiono tacę. Na tacy leżało jedno jedyne, samotne niczym sierotka ciastko. W ciastku tkwił rodzynek.

— Proszę odmówić błogosławieństwo i posilić się. — Stary zaprasza go do jedzenia i wypytuje młodego kandydata na rabina o Perejasław, w którym przebywał lat temu sześćdziesiąt. Wtedy to było miasto żydowskie, a jak wygląda dzisiaj?

— Dobrze wygląda, nawet bardzo dobrze — odpowiada gość i wymawia się od poczęstunku. Może nie tyle ze względu na modlitwę poprzedzającą posiłek, ile z powodu modlitwy odmawianej po jedzeniu. Nigdy jej nie znał na pamięć. Na

pożegnanie reb Kahane pobłogosławił go i życzył mu sukcesu. Z pewnością, powiedział, z woli bożej uda mu się osiągnąć powodzenie, albowiem jego błogosławieństwo zawsze się spełnia. Przecież jest kohenem.

Tego samego dnia rozeszła się po mieście wieść, że przybył nowy kandydat na rabina. Wieść głosiła, że jest to bardzo młody człowiek o wielu zaletach. Po pierwsze pochodzi z dobrego domu. Krewniak samego reb Nachuma Kahanego. Ponadto świetny znawca Tanachu, znakomity kaligraf i biegły w Talmudzie. A że wyobraźnia ludzka ma tendencję do wyolbrzymiania rzeczywistości, zaczęto powoli dodawać różne inne walory. Ma podobno świadectwo uprawniające do zajęcia stanowiska rabina. Umie rozstrzygać kwestie rytualne, zaś dotychczasowego rabina — i wraz z nim także trzech innych rabinów — potrafi zapędzić w kozi róg. Słowem, wymarzony kandydat.

Ptak z ptasiego królestwa. Gdy pojawił się na ulicy, ludzie natychmiast zwracali na niego uwagę. Pokazywali go sobie nawzajem. Słyszał, jak za jego plecami mówiono:

— To ten?

— Kto?

— Nowy rabin.

— Taki młokos?

— Mleko matki nie wyszło mu jeszcze.

— A co, za długie włosy nosi!

— Długie włosy — krótki rozum.

Rozumu mu nie brakowało. Miał go na tyle, aby złożyć wizyty notablom stanowiącym śmietankę miasta. Był więc u Bachmuckich, Kaniewskich, Rogaczewskich i pozostałych przedstawicieli burżuazji lubeńskiej. I jakby tego było za mało, w sobotę poprzedzającą wybory poszedł do bóżnicy. Posadzono go oczywiście na honorowym miejscu, obejrzano ze wszystkich stron. Kilkaset rąk wyciągnięto do niego w uścisku powitalnym i wreszcie obdarzono go zaszczytem. Było to coś w rodzaju egzaminu. Nasz młody bohater wykonał zadanie w najlepszym stylu. Cóż to była za haftora! Ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co zdarzyło się w trakcie wyborów. A było to tak:

Sala wypełniona była Żydami. Już przystępowano do wyborów, gdy wtem zjawia się najmłodszy z kandydatów, występuje z przemówieniem, i to po rosyjsku, przeplatając je wersetami z Tanachu i okraszając przypowieściami z Midraszu pasującymi jak pięść do nosa. Przemówienie jednak tak się spodobało, że młody kandydat jednogłośnie został wybrany na rabina. Natychmiast też wysłał telegram do domu: Mażł tow, izbran jedinogłasno. Sam zaś nowo wybrany rabin udał się do reb Nachuma Kahanego, aby podziękować mu za poparcie. Stary był doprawdy wzruszony. Jego protekcja okazała się skuteczna. Chciałby, powiedział, prosić rabina, aby był łaskaw powtórzyć mu przemówienie, które wygłosił przed wyborcami. Na to otrzymał odpowiedź, że chętnie by to uczynił, ale przemówienie na to nie zasługuje. Nic nie warto.

— Dlaczego więc ludzie opowiadają, że po prostu palce lizać?

— Jeśli nie weźmie mi pan tego za złe, to opowiem panu pewną historię.

— Z największą przyjemnością. Aby tylko miała związek z tym, o czym mówimy. — Powiedziawszy to, stary założył okulary i zamienił się w słuch. Młody rabin rozpoczął tymi oto słowy:

— Historia, którą chcę opowiedzieć, dotyczy, za przeproszeniem, popa. Pewien młody pop, dopiero co wyświęcony, poszedł do metropolity prosić go o błogosławieństwo i o radę, o czym ma mówić w swoim pierwszym kazaniu cerkiewnym z okazji święta. Metropolita pobłogosławił go i poradził opowiedzieć o cudach dokonanych przez świętych. Niech, radził mu, opowie dla przykładu o czterech świętych, którzy przez trzy dni i trzy noce błądzili po lesie i o mało nie umarli z głodu. I Bóg uczynił cud. Znaleźli bochenek chleba. Zasiadli do wieczerzy. Jedli, jedli, jedli i jeszcze pozostało im dużo chleba na jutro... Gdy nadeszło święto, młody pop opowiedział zebranym w cerkwi wiernym historię z cudem. Powtórzył ją tylko nieco inaczej. Według niego pewien człowiek przez trzy dni i trzy noce błądził w lesie. O mało nie umarł z głodu. I Bóg sprawił cud. Głodny człowiek znalazł czterdzieści bochenków chleba. Zasiadł do jedzenia. Jadł, jadł, jadł i zostało mu jeszcze dużo na jutro. Gdy metropolita robił mu potem wymówki z powodu błędu, którego pop w żadnym wypadku nie może popełnić, ten odpowiedział: „Dla tych gojów to też jest cud...” Stary Kahane pękał ze śmiechu. Setnie się ubawił tą historią. Widać było, że młody rabin sprawił mu przyjemność, że jest mu bliski. Niedługo to jednak trwało. Jak wkrótce się dowiemy, radość ta została zmażona. Tymczasem wybierzmy się z rabinem do jego miasta rodzinnego, do Perejasławia.

Nasz bohater wyobrażał sobie, że miasto będzie żyło jego wyborem na rabina, że będzie wrzało i kipiało. Taki sukces w tak młodym wieku to przecież nie błahostka.

Tymczasem nic z tego. Cieszyła się tylko rodzina, i to niezupełnie. Radość i święto będą wtedy, gdy wybory zatwierdzi gubernator. Na razie wszystko wisi w powietrzu. Tymczasem trzeba pojechać do guberni, do Połtawy, aby starać się, zabiegać i smarować. Już to samo wystarczyło, aby nastrój pogorszył się. I jakby tego wszystkiego było mało, musiał się nasz bohater spotkać jeszcze z Chajtem Rudermanem, młodszym bratem lubeńskiego rabina.

Chajte stawia kroki szeroko. Ręce ma założone z tyłu. Żółtą kamizelkę zarzucił na plecy. Nasz bohater w poczuciu swojej całkowitej niewinności wyciąga ku niemu rękę. Chajte nie przyjmuje jej. Mija go bokiem i odchodzi, jakby go nigdy nie znał. „Brat za brata” — myśli sobie obrażony Szolem i rozgrzesza go. Sam biegnie szybko do innego swego kolegi, do Abrama Zołotuszki, i otwiera przed nim swoje zbolełe serce. Kończy się na tym, że Zołotuszkin, chociaż jest z Chajtem Rudermanem na noże, oświadcza Szolemowi w żywe oczy, że uczciwy człowiek nie powinien podawać mu ręki. Po pierwsze dlatego, że jest rabinem, zaś rabin jest dwulicowcem, hipokrytą, lizusem bogaczy i czynownikiem u władzy. Po drugie, porządny i uczciwy człowiek nie zabiera drugiemu parnose. Tylko pies potrafi wyrwać kość drugiemu psu. Krótko i węzłowato, nasz bohater czuje, że w tych ostrych słowach kryje się nieco prawdy. Przed oczyma staje mu dzień wyborów. Spotkał właśnie tego dnia lubeńskiego eksrabina, Szymona Rudermana. Na widok Szolema były rabin zbladł. W oczach strach i pytanie: „Co masz do mnie?” Tak wygląda pies, który został pogryziony i przepędzony przez inne psy. Szolemowi ścisnęło się serce. W pewnym momencie gotów był rzucić się na szyję Rudermanowi i prosić go o przebaczenie. Gotów był zrzec się na jego korzyść miasta wraz z jego nobliwymi gospodarzami. Chciał odstąpić mu stanowisko rabina. Byłoby to po ludzku. Może za bardzo po ludzku. Trwało to jednak tylko chwilę. Wnet górę wziął egoista, odezwało się własne „ja” i to „ja” zwyciężyło.

Można sobie wyobrazić, w jakim stanie opuścił nasz

bohater dom Zołotuszkin. Co mogło być gorszego od świadomości, że Zołotuszkin miał rację? U Czechowa można znaleźć właściwe określenie takiego stanu duchowego: „Czuł się jak człowiek, który zjadł mydło”. Jednego tylko Szolem nie mógł zrozumieć: Dlaczego właśnie rabin ma być hipokrytą, lizusem bogaczy i czynownikiem u władzy? I daje sobie natychmiast słowo, że on taki nie będzie. Będzie zupełnie inny niż pozostali rabini. Człowiek jest tym, kim pragnie być...